

**Marcin Wolski**

# **Bogowie jak ludzie**

2004

**TMN**

*Trzydzieści lat temu na prośbę, a właściwie na wyraźne żądanie nieznanego mężczyzny, który pragnął zachować w tajemnicy swą tożsamość, opublikowałem pod moim nazwiskiem pewien niezwykle zbiór tekstów, zatytułowany, w hołdzie H.G. Wellsowi (mimo że jego socjalistycznych ciagot i uwielbienia dla Stalina nie podzielam) – „Bogowie jak ludzie”. Do spotkania, dzięki któremu materiały znalazły się w moich rękach, doszło właściwie parę lat wcześniej, ale znane wszystkim okoliczności sprawiły, iż druk możliwy był dopiero w Wolnej Polsce. Podejrzywałem, że maszynopis jest dziełem zapoznanego autora, który w fikcyjną opowieść wplótł fragmenty własnego życiorysu. Nigdy niestety nie udało mi się tego zweryfikować.*

*Człowiek, który wczesnym przedpołudniem pewnego zimowego dnia w 1985 roku odwiedził mnie w motelu w Częstochowie, gdzie leczyłem kaca po wieczornej balandze, nie pojawił się więcej. Nie zostawił swoich namiarów. Wszystkie dane, które wynikały z tekstu: adresy, osoby – nie pokrywały się z rzeczywistością. Nikt taki jak Adam Szarecki nie był na przełomie lat 60. i 70. studentem historii UW, wiem, bo sam studiowałem tam w tym czasie, próżno szukać Łukasza Szareckiego na listach uczniów Liceum im. Jana Zamoyskiego. Nie istniał teatrzyk studencki Delta, miasteczka Rychłowa też nie potrafiłem odnaleźć, podobnie jak wielu postaci z przeszłości wymienionych w opowieści. Czyżby zatem była to czysta fikcja, dzieło anonimowego autora, który z jakiegoś powodu wzgardził sławą i pieniędzmi (od razu zaznaczę, niewielkimi) i zgodził się, aby jego dorobek poszedł na konto kogoś innego? Dlaczego? Przez wszystkie te lata łudziłem się, że pewnego dnia zgłosi się do mnie, zażąda honorarium, które cały czas czekało odłożone... I nic. Zacząłem nawet podejrzewać, że może coś mu się przydarzyło, wypadki chodzą po ludziach. Możliwa była utrata pamięci oraz ewentualność, że ociekający wodą mężczyzna w półwojskowej kurtce był przebywającym na przepustce więźniem lub zbiegłym pensjonariuszem zakładu psychiatrycznego. Nie zdołałem dokładniej przyjrzeć się jego twarzy.*

*Lata mijały i zapomniałem o całej sprawie. Wkrótce po propozycji wydawnictwa „Solaris”, zamierzającego wznowić „Bogów”, wybrałem się na egzotyczną wyprawę. Celem była Nowa Gwinea. Moje podróże oczywiście to temat na osobną książkę, a może nawet cykl książek. Przytoczę więc tylko jeden znamienity epizod. Godzinę szybkiej jazdy łodzią motorową od Mandangu, głównego miasta w północnej części Papui Nowej Gwinei, leży wyspa Karkar, zielony stożek wulkanu wylaniający się z oceanu. Z rekomendacji polskich księży werbistów, gościliśmy tam u niejakiego Noela Goodyeara handlarza koprą, właściciela trzech statków, który w tym gorącym malarycznym zakątku wyczarował przepiękną*

rezydencję, z ogrodem botanicznym, kolekcją mebli, sreber, chińskich bibelotów i starych litografii, wśród których z niemalą satysfakcją dostrzegłem portret Tadeusza Kościuszki. Po obiedzie Noel zabrał nas swym zwinnym trakiem z napędem na cztery koła na objazd wyspy, po karkołomnych ścieżkach, mogących wzbudzić grozę nawet u miłośnika motocrossu. Przystanęliśmy w dawnej protestanckiej misji, którą malaria skutecznie zamieniła w pustkowie. Cmentarz, kaplica, wspaniałe widoki na wulkaniczną kaldere, częściowo zatopioną przez morze. Nasza szczupła grupka rozproszyła się – część poszła fotografować, inni zwiedzać, inni wreszcie za potrzebą. Wysforowałem się nieco do przodu i wtedy z cienia wyszedł jakiś człowiek. Nie wiem skąd przybył, czy może czekał na mnie, ubrany był jak tubylec w drelichowe spodnie i brudną koszulkę, choć rysy miał niewątpliwie europejskie, włosy proste, siwe, ale ruchy zwinne i znakomitą muskulaturę. Przestraszyłem się i ścisnąłem mocno cyfrowy aparat kupiony w Singapurze.

– Mam coś dla pana – powiedział, i wetknął mi jakąś kopertę. Potem dosłownie dał krok w zieloną ścianę zieleni, która natychmiast zamknęła się za nim. Gdyby nie zatłuszczony papier, rzekłbym, nigdy go nie było. Miałem zamiar wyrzucić pakunek, kiedy uświadomiłem sobie, że człowiek zjawa mówił do mnie po polsku! Zajrzałem do środka. Znalazłem tam książkę a właściwie jej strzępy, poprute, poklejone, pospinane na nowo, pełne skreśleń i dopisków piórem lub ołówkiem, a niekiedy czymś przywodzącym na myśl krew. Co ważniejsze, była to moja książka „Bogowie jak ludzie”. Wydanie pierwsze i jak dotąd ostatnie. Nie wiem dlaczego, ale nie wspominałem o tym spotkaniu nikomu. Wsadziłem podarunek na dno plecaka, a przed odjazdem zagadnąłem Goodyeara.

– Biały, Polak? – zdziwił się. – Jedyne biały w tej okolicy to ja. No, są jeszcze dwie siostrzyczki z misji i aborygen albinos. Owszem, w starej misji nocami można spotkać duchy, ale te wyłącznie mówią po niemiecku.

Nie potrafię powiedzieć, czy facet z dżungli był tym samym nieznanym z deszczu, który ofiarował mi maszynopis „Bogów”. Nie mam też pojęcia, co mógł tam robić. I skąd wiedział jak się ze mną spotkać. Jego poprawki miały sens. Nie pozostaje mi nic innego, jak zastosować się do nich.

# **Część pierwsza**

# Rozdział I

## Seria zdarzeń

Pilnie studiując prasę europejską z początków 1899 roku, można natknąć się na relacje o dwóch tajemniczych zniknięciach, którym ówczesne popołudniówki poświęcały sporo miejsca, chociaż jakoś nikt nie wpadł na pomysł, aby powiązać je ze sobą. Zresztą, któżby miał to uczynić, gdy z jednej strony umysł czytelników absorbowała wojna burska, z drugiej nadciągające nowe stulecie. Wiek, daj Boże, postępu i pokoju. Stulecie, do którego wzdychał i Verne, i Wells, choć obaj, trzeba przyznać, trochę obawiali się niewiadomego...

Z pożółkłych fotografii spoziera na nas szczupła, inteligentna twarz pierwszego z zaginionych, Karla Wallenhoffa, ostatniego potomka szlacheckiego rodu wywodzącego się ponoć od Karola Wielkiego. Po mieczu. Po kądzieli Karl dziedziczył tradycje Machabeuszy. I nie tylko tradycje – Laura Wallenhoff wniosła w posagu potężny majątek jednej z tych legendarnych fortun zrodzonych przez „wiek stali i żelaza”. A zatem był piękny, bogaty, a na dodatek niezwykle zdolny. W wieku dwudziestu paru lat doktoryzował się (źródła nie wspominają, w Heidelbergu czy Getyndze). Pasjonowała go medycyna i biologia, ale nie stronił również od historii i archeologii, co w owych czasach nikogo nie zadziwiało. Wedle wspomnień jednego z jego kolegów, laureata nagrody Nobla, profesorowie uważali Karla za przyszłego geniusza. Opanował kilkanaście języków, mnożył w pamięci wielocyfrowe liczby, a sprawnością fizyczną zaskakiwał rówieśników podczas krótkotrwałego pobytu na uczelni angielskiej. Niestety, genialność nierzadko ociera się o obłąd.

Wkrótce po śmierci ojca (matka odumarała go w dzieciństwie) dziwne rzeczy poczęły dziać się z młodym Austriakiem. Zrezygnował z kariery naukowej, a kierowanie finansowym imperium przekazał zarządcom. Coraz częściej widywano go wśród ludzi podejrzanej konduity, artystów cyrkowych, okultystów, jasnowidzów. Plotki wspominały o kontaktach z masonerią. Podobno nagminnie zaglądał do kieliszka! Wprawdzie na jego związki ze światem przestępczym policja wiedeńska nie znalazła dowodów, coś jednak musiało się dziać, skoro wspaniały majątek w ciągu roku stopniał, jak pozostawiony na słońcu tort lodowy... Późniejsze śledztwo wykazało, że w krytycznym dniu 14 lutego Karl był bankrutem.

Dosłownie, nie miał ani szylinga. Jego bankowe konta zostały opróżnione do cna. Na nieruchomościach ciążył monstrualny dług hipoteczny. Większość akcji przeszła w obce ręce. A co stało się ze słynną kolekcją sreber, z rodową biżuterią, galerią malarstwa? Po paru latach niektóre artefakty wypłynęły na zagranicznych aukcjach.

Jednak o rzeczywistej kondycji Wallenhoffa nie mieli pojęcia nawet najbliżsi przyjaciele, z którymi spotkał się owego krytycznego południa w jednej z cukierni, nieopodal wiedeńskiej opery. Według ich opinii wyglądał na przemęczonego, był blady, ktoś twierdził, że miał oczy szaleńca. Nikt nie wiedział, gdzie przebywał przez ostatnie dwa tygodnie. Niektórzy podejrzewali wstydlivą chorobę, inni jakąś wyniszczającą miłość, sprawczynię wielu nieszczęść w onej epoce. Dziesięć lat wszak mijało od samobójstwa arcyksięcia Rudolfa w Meyerlinku. Poza tym spotkanie nie odbiegało od poprzednich. Towarzystwo rozprawiało żywo na temat najnowszych odkryć naukowych, przyszły noblista przekonywał, że otwierają się przed ludzkością bezkresne perspektywy w nauce, technice, kulturze. Karl potakiwał, choć momentami wydawał się zapadać w głąb własnych myśli, potem znów ożywił się, strzelał celną uwagą lub dowcipnym paradoksem. Nagle przypomniał sobie o jakimś niewielkim długu wobec przyjaciela muzyka i uparł się, że musi go uregulować.

W którymś momencie zabrał głos inny z przyjaciół, redaktor popularnego dziennika:

– Dwudziesty wiek nie zapowiada się za dobrze – rzekł. – Wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby okazało się, że wśród obecnej dzieciarni mamy paru przyszłych antychrystów. Boję się, że nasze wynalazki, nasze hasła socjalne otwierają pokrywę puszeki Pandory. Demokracja oświeconych to wspaniały ustrój, ale oddanie głosu ciemnym masom...

– Klaus jak zwykle odwiedzał wróżkę – zaśmiał się znakomity aktor cesarskiego teatru.

– A żebyście wiedzieli... Horoskopy są przerażające, a frau Apolonia powiedziała mi wprost: „Boję się przyjscia Szatana...”

– Szatana, a czemu nie Boga? – rzucił niespodziewanie Karl.

Nie kontynuowano tego wątku. Uwagę wszystkich odwrócił powóz arcyksięcia Ferdynanda, który z Maria Hilffer Strasse wyjechał na Ring, kierując się w stronę Hofburga. Rozeszli się po godzinie, do mieszkania Karla było parę kroków, dwóch przyjaciół postanowiło go odprowadzić. Uszli może pięćdziesiąt metrów, kiedy Wallenhoff przypomniał sobie nagle, że w cukierni pozostała jego laska.

– Odbiorę ją i was dogonię – rzekł.

Przebiegł na drugą stronę przez Ring i znikł w tłumie. Było spokojne, wiedeńskie popołudnie. Czekali na niego kwadrans. Potem wrócili do cukierni. Laska ze srebrną gałką pozostała na stojaku.

Nikt od tamtej pory nie widział Karla Wallenhoffa. Nikt też nie potrafi powiedzieć, gdzie podziały się jego miliony.

\* \* \*

Na przełomie wieków, tuż przy Grosvenor Square w Londynie, wznosił się czteropiętrowy gmach, zdobny w łuki, wykusze i kariatydy. Opromieniała go ponura sława, toteż prawie nigdy nie miał zbyt wielu lokatorów. Podobno architekt, Włoch, sam słynny Mario Bonetti Młodszy popełnił samobójstwo skacząc z dachu świeżo ukończonego obiektu. Podczas budowy, w tragicznej katastrofie poniosło śmierć paru murarzy, a pierwszy właściciel zginął w pojedynku. Dziś budynku już nie ma, żywota swego dokonał w czasie pamiętnej bitwy o Anglię, zdruzgotany celną bombą wypuszczoną przez jakiegoś asa Luftwaffe.

Charakterystyczne, że zła sława nigdy nie odstręcza ekscentryków, a nawet chyba ich przyciąga. 13 marca 1899 roku właściciel apartamentów na czwartym piętrze, sir Thomas Parnell, zorganizował seans sztuk tajemnych, na który zaprosił goszczącego przejazdem w Londynie słynnego uzdrowiciela i maga, pana Joshuę Langa z Massachusetts.

Na pierwszy rzut oka pan Lang stanowił zaprzeczenie obiegowego wyobrażenia o jasnowidzu – krótkoszyi, z czerwoną twarzą rzeźnika, o wodnistych oczach jaszczura i wiecznie tłustych włosach, zaczesanych na wyboistą łysinę. Znakomicie pasowałby na handlarza końmi czy podrzędnego szewca. Zapewne trudniłby się tym fachem, gdyby cudotwórstwo nie było bardziej opłacalne. A było! Zwłaszcza, że w liczbie cudownych uzdrowień mistrz Joshua bił na głowę niejednego z renomowanych ośrodków pątnicznych. Inna sprawa, że było to w niewielkim stopniu jego zasługą. Lang zajmował się głównie organizacją i aranżacją seansów, samych uzdrowień dokonywały szczupłe, kakaowe dłonie jego medium.

W zależności od okoliczności i klienteli, Joshua raz przedstawiał Sarę jako znaną w prerii księżniczkę indiańską, kiedy indziej uprowadzoną z seraju hurysę, rzadziej zomboskę z Karaibów, wykupioną od antylskich rozbójników. Nikt nie zweryfikował tych informacji u samego medium. Podczas wszystkich seansów dziewczyna przeważnie milczała. Jedynie gdy jej zabiegi odnosiły uzdrowicielski skutek, uśmiechała się łagodnie, a twarz przybierała wtedy wyraz katolickiej świętej lub Madonny w ciąży. A przecież umiała mówić. Tylko że nie miała z kim. Lang perfekcyjnie oddzielił ją od świata. Raz jeden, kiedy zaśląbła na promie z Calais, mag dopuścił do niej lekarza, jakiegoś cudzoziemca z kontynentu, który przypadkowo znalazł się na miejscu. Ale potem bardzo prędko odprawił medyka.

Nie lubił obcych, a do swego medium miał stosunek więcej niż bezceremonialny. Może wynikało to z wrodzonej agresywności, może z poczucia niższości, może wreszcie dlatego, żeby „indiańskiej księżniczce” w głowie się nie przewróciło, w każdym razie bijał ją często i systematycznie. Przez zwiewne peniuary pacjenci często dostrzegali blizny i wybroczyny...

W Londynie zły humor „cudotwórcy” najwyraźniej się wzmógł, czyżby żywił jakieś podejrzenia? Parokrotnie odwoływał seanse. Hotelowej służbie zarzucał zaniedbania w pilnowaniu „księżniczki”, kupił broń...

Okolo północy towarzystwo zaproszone przez sir Parnella przeszło do lustrzanego gabinetu. Oprócz ciekawskich było paru rzeczywistych kandydatów na pacjentów – generał,

wiekowy weteran spod Sewastopola, cierpiący na dokuczliwą podagrę, przemysłowiec z rozdętą tarczą, chora na padaczkę aktorka.

Grający na piszczalce Lang oczekiwał ich przy drzwiach, bez nakrycia głowy, w białym peplum greckiego kapłana. Gestem nakazywał wszystkim milczenie i zaprosił do jadalni przekształconej obecnie w sanktuarium.

Fioletowa poświata wypełniała całe wnętrze o szczelnie zasłoniętych oknach, niespokojnie tańczyły niebieskawe płomyki świec, a nawet pot na wertepiastej łysinie jasnowidza zdawał się wydzielać dziwaczny blask. Joshua odłożył instrument i klasnął w dłonie, a klaśnięcie odbiło się pogłosem po mrocznej sali. Żadnego efektu. Zasłona w końcu sali nie poruszyła się, a masywne drzwi ani drgnęły. Twarz cudotwórcy nabiegła krwią.

– Saro! – krzyknął tak donośnie, że zebranych ogarnął dreszcz. – Saro!

Ponieważ nadal nie było odpowiedzi, skłonił się zebrany, a następnie obrócił się i zniknął za drzwiami. Znajdowało się tam małe pomieszczenie bez drzwi i okien, przeznaczone na pokój koncentracji.

Pomimo grubych murów, podniecony głos Amerykanina pozostawał słyszalny – prócz klątw, dobiegły odgłosy razów. Parnell, wyraźnie skonfundowany, uczynił krok do przodu. I wówczas przez obite draperią ściany przedarło się nieludzkie wycie. Brzmiała w nim rozpacz, ból, strach i zdumienie! Sir Thomas dopadł drzwi. Zamknęte! Napał na nie razem z barczystym kamerdynerem. Raz, dwa... Wypadły z zawiasów.

Pozbawiony światła pokój tonął w mroku, podano świece... Z kilku gardeł wydobył się okrzyk grozy. Pośrodku pustego pokoiku leżał rozkrzyżowany trup Joshuy Langa. Nabrzmiałą, szerniałą twarz wykrzywił grymas trwogi i dzikości. Można by podejrzewać porażenie prądem, ale przecież zgodnie z żądaniem jasnowidza cała instalacja elektryczna została wyłączona.

Kiedy oczy widzów oswoiły się z widokiem trupa, poczęły rozglądać się za medium. Sary jednak w alkwie nie było! Jej garderoba, rozerwany sznur koralu, nawet staniczek i pantalony poniewierały się na marmurowej posadzce. Uciekła naga? Którędy? Jak?

Nadzieje pokładane w Scotland Yardzie okazały się daremne. Nawet po zburzeniu ścian pokoju nie znaleziono żadnej zapadni, tajemnego przejścia lub choćby mysiej dziury. Nie natrafiono nawet na gram substancji, w którą ewentualnie mogło przemienić się ciało medium. Nie ustalono, co zabiło Joshuę Langa...

Owszem, pojawił się pewien trop, młody inspektor Follet odnotował zniknięcie z grona uczestników seansu młodego europejskiego lekarza. Jego nazwisko, Oscar Mayer, pod którym występował w hotelu i na promie, okazało się fałszywe. Nikt nie wiedział, w jaki sposób młody doktor znalazł się na seansie, nie udało się dociec, kto go tam zaprosił... Ustalono tylko, że przybył z Calais tym samym promem, co para cudotwórców, i prawdopodobnie był tym przypadkowym lekarzem, który udzielał pomocy dziewczynie, gdy ta zasłabła. Możliwe, że śledził parę uzdrowicieli od dawna? Nie udało się stwierdzić ani jego



prawdziwego nazwiska, ani nawet narodowości. Wraz z Sarą rozpląnął się w żółtawej londyńskiej mgle. Przez parę dni pisma bulwarowe z uporem lansowały go jako samego Kubę Rozpruwacza, który wrócił z gościnnych występów na kontynencie.

\* \* \*

Radośnie były dzwony pewnego wiosennego dnia roku 1922 w starym francuskim mieście Besancon. Ślub prześlicznej Pierrette Ducroix ściągnął do miejscowego kościoła liczniejsze grono gości, niż można było przypuszczać. Ale wiadomo, gawiedz kocha sensację. Nie co dzień zdarza się przecież, aby potomek nobliwej, zamożnej rodziny, bohater spod Verdun, żenił się z cyrkówką. Oczywiście, Pierrette była urocza i pod każdym względem niezwykła, jednak czy są to wystarczające powody do mezaliansu?

Mówi się, że strzały Amora bywają ślepe, choć celne. Marcel został rażony nagle i nieoczekiwanie podczas przedstawienia, kiedy dwa miesiące temu cyrk „Kraina Fantazji” bawił na występach w pobliskim Dijon. Na nic zdały się opory rodziny, życzliwe rady przyjaciół – wbrew tradycjom i konwenansom młoda para w błyskawicznym czasie znalazła się przed obliczem kapłana.

W relacjach gazetowych chętnie wspomniano o ponurych prognozach poprzedzających ten ślub. Poprzedniej nocy piorun uderzył w dach pobliskiej oberży, tydzień wcześniej zmarła na serce mamka Marcela, a w cyrku zdechł słoń. Ale nie odwołuje się przecież wesela z powodu żałoby po słoniu. Czy Pierrette należała do osób tajemniczych, z gatunku femme fatale, jak sugerowała prasa? W cyrku cieszyła się opinią wesołej, sympatycznej koleżanki. Nikt nie znał jej prawdziwego pochodzenia, mówiono, że była podrzutkiem przygarniętym w wieku pięciu lat przez wędrowną trupę linoskoczków. Jej zdolności, podobno wrodzone, były wręcz nieprawdopodobne: zapalanie wzrokiem białej w piasek zapalki czy gięcie za pomocą psychicznej koncentracji odległych o metr stalowych prętów... Jak ona to robi? zastanawiali się widzowie, a także najbardziej doświadczeni koledzy z branży.

Dzień był pogodny, słoneczny i ciepły. Przy kościelnych murach kwitły magnolie. Jak na zamówienie śpiewały ptaki. Pierrette, cała w bieli, wstąpiła na schody. Zamiast ojca prowadził ją dyrektor cyrku, opodal oczekiwał pan młody. Mimo bojkotu większej części rodziny Marcela, świątynia pękała w szwach. Nagle iluzjonistka potknęła się, błądź ogarnęła jej twarz, a usta poczęły rozpaczliwie łapać powietrze.

– Rozstąpcie się! – krzyknął dyrektor. – Słabo jej! Wody!

Znaleźli się chętni do udzielenia pomocy. Odsunęła ich zdecydowanym ruchem ręki. Potem odwróciła się i ruszyła z powrotem ku ulicy. Nikt z zaskoczonych weselników nie usiłował jej zatrzymać. Dopiero po kilkunastu sekundach zareagował pan młody, skoczył ku dziewczynie, ale jakby podcięty niewidzialną barierką runął jak długi. Kiedy goniący pannę młodą ludzie wypadli na ulicę, ta świeciła pustkami.

Później pojawili się świadkowie, twierdzący, że przez cały czas stał za rogiem ciemny samochód z zapuszczonym silnikiem. Początkowo przypuszczano, że należy do kogoś z gości, zeznania gapiów w tej kwestii były sprzeczne; jedni wspominali, że był pusty, inni przysięgali, że widzieli w środku trzech mężczyzn, jeszcze ktoś mówił o dwóch małych dziewczynkach o wielkich oczach i diabolicznie wyszczerzonych ząbkach, śledzących z tylnego siedzenia przygotowania do ceremonii.

Wskakując do wozu – babina obserwująca to z okna twierdziła, że kobietę w bieli wciągnięto siłą – Pierrette upuściła bukiet i zerwała welon. Zanim ktokolwiek mógł temu przeszkodzić, pojazd szybko zniknął w tumanie kurzu.

Ku rozpaczycy Marcela i dyrektora cyrku, pomimo rozesłania listów gończych, ufundowania nagród i paroletniego śledztwa, nie udało się trafić na jakikolwiek ślad Pierrette, jej porywaczy czy samochodu. Nie wykryto też żadnego motywu porwania.

Dziesięć lat później w hoteliku pod Rosario (Argentyna) popełniła samobójstwo iluzjonistka, z pochodzenia Francuzka, pracująca w jednym z miejscowych lokali, Marina, o rysopisie zbliżonym do Pierrette – była jednak mocno zniszczona życiem i alkoholem. Nikt nie znał jej pochodzenia ani prawdziwej narodowości. Podobno nie potrafiła pozbierać się po stracie synka, którego ktoś jej kiedyś odebrał. Być może były to bredzenia alkoholiczki, która, rzecz znamienna, nigdy nie wspominała o ojcu dziecka.

\* \* \*

W listopadowe popołudnie roku 1932, dokładnie w trzydziestą rocznicę śmierci dr Petera Schultza, w kancelarii Alfreda Bauera, znanego berlińskiego notariusza, nieopodal muzeum pergamońskiego, zgromadziło się kilka osób, aby uczestniczyć w otwarciu zapisków dawno nieżyjącego archeologa. „Otworzyć po 30 latach” brzmiała dyspozycja zmarłego. Być może kiedy indziej grono oczekujące na rewelacje naukowca byłoby większe, tej jesieni jednak waląca się w gruzy republika weimarska znacznie bardziej absorbowwała umysły niż ruiny Troi czy Olimpii. A jakież inne tajemnice mógł pozostawić potomnym ten mizantrop?

Mecenas Bauer lubił teatralne gesty; wygłosiwszy stosowną formułę, zrobił efektowną pauzę i otworzył staroświecką kasę pancerną, z jego ust wydarł się okrzyk:

– Mój Boże! Co to znaczy?

Z wnętrza sejfu posypał się zwęglony papier. Podbiegli dziennikarze. Błysnął flesz.

– To niewiarygodne – dyszał prawnik. – Ta kasa jest ogniotrwała...

– Wszystko się spaliło? – spytał korespondent „Wiadomości Archeologicznych”.

– Wszystko... Na szczęście, oprócz koperty Schultza trzymałem tu jedynie trochę pieniędzy i stare rachunki. Inne dokumenty przechowuję gdzie indziej. Jak to się mogło stać?

Hans Werner, reporter z działu zajmującego się sensacjami, starannie obejrzał dywan, firanki i stwierdził, że nigdzie nie ma śladów ognia.

– A może wpadł tam jakiś przypadkowy niedopałek? – podsunął.

Mecenas aż się zachnął.

– Co pan... Poza tym ja nie palę. Panno Kluge!

Do pokoju weszła chuda i sucha jak wiór aplikantka. Zjeżyła się na widok zniszczeń, ale kategorycznie zaprzeczyła, jakoby miała z tym coś wspólnego.

– Panno Kluge – powiedział notariusz – jeszcze dziś rano otwierałem kasę i wszystko było w porządku. Proszę się dobrze zastanowić i odpowiedzieć, czy ktoś nie wchodził tu podczas mego spaceru?

– Nikt. Jeśli nie liczyć tego narwańca.

Wszyscy aż podskoczyli.

– Jakiego narwańca?

– Około wpół do pierwszej przyszedł tu taki blondyn, sądząc z akcentu cudzoziemiec. Trzy razy tłumaczyłam mu, że pana nie ma, ale on uparł się, że sam zajrzy do gabinetu.

– Pani go wpuściła?!

– Zajrzeliśmy razem, trwało to parę sekund. Nawet nie przekroczył progu. Rzucił tylko okiem.

– Ale...

– Co ale?

– Miał taki dziwny wzrok. Po prostu przewiercał człowieka na wylot. Kiedy patrzył na mnie, aż ugięły się pode mną nogi...

– Zemdląła pani? – padło pytanie z sali.

Na przywiedłych policzkach starej panny wykwitł ceglasty rumieniec.

– Usiadłam na chwilę na kanapce, ale on natychmiast odszedł, mówiąc, że przyjdzie innym razem.

– I to wszystko... Niczego więcej pani nie zauważyła? – dopytywali się dziennikarze.

– Musiał być z niego straszny palacz, bo kiedy odprowadziłam go do wyjścia, cały cuchnął spalenizną...

Wiele wskazywało, że treść zapisków Petera Schultza na zawsze miała pozostać tajemnicą.

\* \* \*

Dziennikarzy jest na świecie jak psów. Również pod względem ras i gatunków. Są posokowce reagujące na świeżą krew, obronne, broniące aktualnej władzy jak niepodległości, buldogi, co jak chwycą temat, to nie puszcza, dogrzebujące się do wszystkiego niepozorne jamniki, bawidamki kanapowe (z pism ilustrowanych)... Hans Werner należał do najinteligentniejszych – wyżłów. Z ogromnym wysiłkiem, kierując się zaiste psim węchem, dosłownie parę dni przed hitlerowskim anslussem odszukał w prywatnym pensjonacie opodal Innsbrucku przyjaciela archeologa z lat dziecięcych, emerytowanego lekarza. Całe lata doktor i badacz antyku nie utrzymywali ze sobą kontaktu, ale na krótko przed śmiercią

Schultza dziwnym zrządzeniem losu zetknęli się ze sobą. Po prostu, do szpitala, w którym pracował dzisiejszy emeryt, przywieziono pacjenta umierającego na zakażenie krwi, gangrena była rozległa, żadnych możliwości ratunku... Pacjent był prawie do ostatniej chwili przytomny.

– Rozmawiali panowie ze sobą? – ożywił się Werner.

– Ma się rozumieć.

– O czym, jeśli wolno spytać?

– Nie wiem, czy powinienem...

Długo trwało, zanim staruszek zdecydował się podzielić posiadanymi informacjami. Przesądziło zapewnienie Hansa, że taka była ostatnia wola Petera, który chciał, by po trzydziestu latach ujawniono prawdę.

– Czymże jest prawda? – zamyślił się starzec, wpatrując w kamienną sylwetę Hafelekaru. Ale opowiedział.

\* \* \*

Wiosną 1897 roku sir Herbert Dunstall, angielski arystokrata i kolekcjoner starożytności, zwrócił się do doktora Schultza z propozycją udziału w wyprawie archeologicznej. Potrzebował fachowca dobrze znającego grekę i obeznanego w technice wykopaliskowej, proponował królewskie honorarium. Nie chciał jednak zdradzić celu ekspedycji. Schultzowi to nie przeszkadzało, zawsze marzył o prawdziwej przygodzie, a co do dyskrecji...? W tamtych czasach wykopaliska bardzo często łączyły się z pospolitym szabrem. Mimo to zdziwił się, gdy płynący z Konstantynopola jacht sir Herberta, zamiast do greckiego Pireusu, zawinął do tureckich Salonik. Tu dołączył trzeci uczestnik wyprawy, młody, wyjątkowo bystry Austriak, wyglądający bardziej na łowcę przygód niż na poważnego badacza. Nadal nie ujawniono miejsca poszukiwań. Anglik pozałatwiał wszelkie formalności z Turkami, w porcie załadowano parę skrzyń sprzętu i znów ruszono na południe. Tym razem niedaleko. Jacht zacumował opodal niedużej wioski rybackiej Platamon, naprzeciw majestatycznych gór tonących w chmurach.

– Tam idziemy – wyjaśnił arystokrata.

– Na Olimp? – zdziwił się dr Schultz. – A czego mamy tam szukać?

– Bogów! – spokojnie rzekł sir Herbert, a widząc osłupienie archeologa, dorzucił: – Ach, ta nasza dziewiętnastowieczna nauka, racjonalistyczna i ostrożna, lękająca się fantazji i własnej odwagi. Jeśli Schliemann mógł szukać Priama i Agamemnona (jak wiemy z powodzeniem), mamy prawo poszukać Zeusa.

– To przecież postać z mitologii.

– A jeśli za mitami stoją fakty?

Tu przytoczył kilka lokalnych podań, przekazywanych sobie przez pasterzy od pokoleń, o bogach śpiących w jaskiniach. Schultz zauważył, że takie podania funkcjonują u wielu szczepów ludzi gór, nikt jednak nie próbował traktować ich serio.

– Otrzyma pan swoje honorarium niezależnie od sukcesu – zamknął całą sprawę Anglik.

Drugiego dnia wspinaczki znaleźli się w surowym świecie skał i karłowatej roślinności. Czasem spod nóg wyskoczył im jakiś gryzoń lub po skałach przepłynął cień szybującego orła. Wielokrotnie wydawało się, że dalsza droga graniczy z niepodobieństwem, ściany były zbyt strome a rozpadliny za głębokie, ale wówczas przydawały się liny i niezwykła sprawność fizyczna młodego wieńczyka. Wreszcie, kierując się jakąś poplamioną starą mapą, natrafili niedaleko wierzchołka na rozpadlinę głębszą od innych, na w pół zasypaną kamienistymi lawinami. Na jej dnie ział wąski otwór. Poszukiwacze wczołgali się do jego wnętrza. Nie byli pierwsi. Znaleźli ślady uderzeń kilofem, stary trzewik, niedopałki papierosów. W jakimś załomie omal nie wpadli w ramiona wyschniętego kościotrupa. Potem trafili na drugiego.

Kiedy znaleźli się w jaskini przegrodzonej bezdenną czeluścią, znów przydały się liny. W następnej grocie, rozmiarów gotyckiej katedry, natknęli się na podziemne jezioro, ale nie było żadnego tunelu prowadzącego dalej.

– Koniec wycieczki – westchnął Schultz.

Ale sir Herbert pokręcił głową.

– Tu musi być przejście.

Austriak też nie wydawał się zaskoczony, ściągnął ubranie, zawinął lampę w nieprzemakalny materiał i przewiązał się w pasie mocną liną.

– Liczcie wolno do stu, potem, jeśli nie wrócę, możecie ciągnąć – zaproponował. I zanurkował w ciemną toń. Doliczyli do stu pięciu i zaczęli ciągnąć. Poszło łatwo, zbyt łatwo. Wyciągnęli pustą pętlę – ciało wieńczyka musiało utknąć gdzieś w podziemnym korytarzu.

– No to zostaliśmy we dwóch – flegmatycznie stwierdził Anglik i ku przerażeniu Schultza, zaczął się rozbierać.

Na szczęście nie minęła minuta, gdy woda zakotłowała się ponownie i Austriak wypłynął, łapiąc chciwie powietrze.

– Jest przejście. Bliżej niż myśleliśmy. Jeszcze większa jaskinia! – wykrztusił podekscytowany.

Kolejno przepłynęli przez kilkunastometrowy syfon. Jaskinia rzeczywiście okazała się ogromna, zda się bezkresna, światło lamp nie sięgało jej krańców. Pochyłe dno tarasowało opadało w głąb góry.

– Patrzenie! – zakrzyknął nagle Austriak. Na ścianie, wypolerowanej niczym pałacowa posadzka, widać było regularne kręgi i nakładające się na siebie pierścienie...

– O tym mówili – wyszeptał sir Herbert. – Nie chciałem wierzyć.

– A co to ma być? – zapytał dr Schultz.

– Jak to co? Nasz system słoneczny. Sporządzony na tysiące lat przed Kopernikiem.

Stromizna zwiększyła się. I naraz w kręgu światła znalazły się szkielety, dziesiątki ludzkich kości tarasujących drogę.

– Zdaje się, że szukając Nieba dotarliśmy do Hadesu – powiedział Schultz. Natomiast Anglik spokojnie rozwinął jeden z pakunków. Były w nim grube poduszeczki z gazy, najwyraźniej wypełnione jakąś substancją.

– Co to jest? – zapytali towarzysze wyprawy.

– Sposób na Tanatosa, boga śmierci... węgiel drzewny, tiosiarczan sodu... Musimy nałożyć to na twarze, inaczej podzielimy los tych nieboraków

– A co pańskim zdaniem zabiło tych ludzi? – spytał Schultz.

– Gaz – powiedział sir Herbert. A potem w zaimprovizowanej masce ruszył przez sterty nieboszczyków w mroczną głąb jaskini.

Od tego momentu opowieść starego doktora sprawiała wrażenie baśni z tysiąca i jednej nocy. Schultz opowiedział przyjacielowi dokładnie, co znaleźli na samym dnie pieczar. Zresztą, sam nie spenetrował ich do końca. Kolejne wyprawy były z konieczności krótkie, natomiast królestwo ukryte we wnętrzu świętej góry niezmierzone. Werner nie miał pewności, co było jawą, a co konfabulacją. Bo czy możliwe mogło być wszystko? Grobowe komory i złociste sarkofagi, pokryte przezroczystymi płytami z nieznannej substancji, przypominającej szkło, pod którymi zdawali się drzemać piękni ludzie niezwykłej harmonii, jakby zaprojektowani przez Fidiasza czy Praksytelesa? A te stosy dziwacznych przyrządów niejasnego przeznaczenia, rzeźby w niespotykanym w starożytności stylu, o uproszczonych kształtach i płynnych liniach, dalekich od ideałów antycznych. Poza tym, odkryli tam dziesiątki złotych tabliczek, pokrytych nieznanymi hieroglifami i młodszym pismem linearnym.

– Jak pan myśli, doktorze? Spisano je w języku greckim czy egipskim? – pytał Dunstall.

– Nie mam pojęcia, chociaż... Być może uda się to odczytać. Proszę zwrócić uwagę, sir, na tę serię złotych płytek. Napisy, a obok proste rysunki.

– Panowie! – wykrzyknął Austriak. – Kimkolwiek byli ci ludzie, przewidzieli, że bibliotekę odnajdą barbarzyńcy nie znający ich mowy. Dlatego zostawili nam słownik!

Parokrotnie wychodzili na powierzchnię objuczeni bezcennymi trofeami, jednak musieli się oszczędzać, mimo posiadania masek wyziewy jaskini dawały im się we znaki. Bolały ich głowy, czuli się coraz słabsi. Odpoczywając w tym miejscu rozpadliny, do którego docierało słońce, nieustannie zadawali sobie pytanie, kim są ci piękni ludzie z przejrzystych sarkofagów? Czy naprawdę są bogami? Czy ów muskularny brodacz nie przypominał Gromowładnego Zeusa, a ta niewiarygodnie piękna dziewczyna o złotych włosach – Afrodyty? I dlaczego gospodarze Olimpu umarli? Czyżby nie byli nieśmiertelni... A może w sarkofagach spoczywały jedynie doskonałe kukły?

Trzecie wyjście z podziemnego labiryntu należało do szczególnie trudnych. Odkrywcy wręcz ślaniali się na nogach ze zmęczenia i duszących oparów, worki ze złotymi tabliczkami

z każdym przebytym metrem stawały się coraz cięższe. Z najwyższym wysiłkiem Schultz i wiedeńczyk wygramolili się na otwartą przestrzeń, wyciągnęli worki. W szczelinie pozostawał jeszcze sir Herbert. Schultz wyciągał go za pomocą prymitywnego bloczka, podczas gdy Austriak przenosił worki do namiotu.

Naraz góry zadrżały. Jakby sam Zeus Gromowładny zdenerwował się naruszeniem jego królestwa przez nieproszonych gości. Posypały się kamyki, mniejsze, potem większe...

– Ciągnij linę! – wrzeszczał z oddali Austriak. – Idę do ciebie.

Głuchy grzmot zdawał się rozsadzać góry. Podniósł się kurz. Jeszcze chwila, a szerokim żlebem, spod samego wierzchołka Olimpu, ruszyła kamienna lawina.

– Trzymaj linę...! – krzyczał z ciemności Dunstall.

Okruch skalny uderzył Schultza w głowę, lina wysunęła mu się z rąk. Nieprzytomny ze strachu rzucił się ku skalnemu występowi, za którym stały ich namioty.

Kiedy doszedł do siebie, pył opadł, a góry zalegała cisza, tylko rozcięte czoło ciągle krwawiło. Namioty jakimś cudem ocalały, natomiast ze szczeliny i parowu nie zostało śladu, bogowie ukryli swoją nekropolię pod milionami ton rumowiska, a sir Herbert Dunstall podzielił los innych świętokradców.

– To ja go zabiłem – jeszcze na łożu śmierci powtarzał Schultz. – Gdybym utrzymał linę, gdybym nie uciekł, może zdążyłbym go wyciągnąć.

I dlatego na żądanie Austriaka przysiągł, że nikt nie dowie się o odkryciu wcześniej niż trzydzieści lat po jego śmierci. I przyrzeczenia dotrzymał.

– Czy Schultz odczytał tabliczki? – wypytywał starego dziennikarz.

– Częściowo tak – padła odpowiedź.

– Co na nich było?

– Nie chciał mi powiedzieć, twierdził, że w zapiskach, które zdeponował u notariusza, znajdzie się komplet tłumaczeń.

– Potrafi pan wytłumaczyć, dlaczego owemu Austriakowi tak zależało na tajemnicy?

– Nie wiem. Za sumę przekraczającą wartość artefaktów Peter pozostawił mu wszystko, tabliczki, słownik...

– Tak łatwo zrezygnował ze współudziału w odkryciu?

– Może bał się oskarżenia o nieumyślne zabójstwo Dunstalla. Austriak był świadkiem.

– Bez przerwy mówi pan Austriak, wiedeńczyk, nie wie pan, kto to był?

Staruszek zawahał się i przez chwilę niemo poruszał bezzębnymi ustami.

– Nie powinienem mówić... ale... jego też już chyba nie ma.

– Więc proszę powiedzieć.

– Rok po tej wyprawie przepadł gdzieś w tajemniczych okolicznościach. Nigdy nie skontaktował się z Schultzem. Być może i jego dotknęło przekleństwo Olimpu.

– Ale kto to był?

– Austriacki milioner, Karl Wallenhoff.

Przez wiele lat zapiski Hansa Wenera pozostały w rękopisie. Osobiście nigdy nie zdążył ich opublikować. Był jednym z pierwszych dziennikarzy aresztowanych po zajęciu Austrii przez Hitlera. Zmarł dwa lata później w obozie w Dachau.



## Rozdział II

# Witajcie w Rychłowie

17 lipca, po pomyślnie zdanym egzaminie wstępnym, pojechałem do Rychłowa. Miałem dziewiętnaście lat i masę wolnego czasu, nie wprowadzono bowiem jeszcze obowiązkowych praktyk robotniczych, a jednocześnie nie potrafiłem zakreślić wokół wyjazdu na winobranie czy inną dobrze płatną fuchę zagraniczną.

Rychłów liczył wtedy parę tysięcy mieszkańców i gdyby nie szosa o znaczeniu wojewódzkim, kisałbym zapomniany przez Boga i ludzi w sosie własnym, sennym, nieco tylko urozmaiconym przez mnogość gwar: nielicznych autochtonów, przybyszów z północnego i południowego wschodu, osadników z Mazowsza, Łemków, Cyganów, a nawet Greków. W tej, wybaczenie określenie, dziurze, znajdował się stary hotel, dwie knajpy, jedna gorsza od drugiej, na rynku sterczał pomnik wdzięczności dla Armii Radzieckiej, typowy dla Ziemi Północnych i Zachodnich, była też wieża, podobno „piastowska” a naprawdę neogotycka, w lesie ruiny spalonego dworu. Dziś naturalnie wygląda to całkiem inaczej, rynek zeszpecono wieżowcem, rzekę zanieczyściły ścieki z nowo powstałych zakładów, hotel jest w remoncie, a stare centrum omija dwupasmowa obwodnica.

Wyznam, że ofertę wyjazdu do mego stryjecznego brata przyjąłem chętnie, zwłaszcza że naprawdę nie bardzo miałem gdzie się podziać. Ojciec mieszkał z młodą żoną, a do mamy wprowadził się, czy też raczej został wciągnięty, całkiem nowy narzeczony, niewiele starszy ode mnie. Karol, wdowiec, dobrze sytuowany lekarz i miejscowy playboy, znany głównie z tego, że nie przepuścił chyba żadnej niewieście w powiecie, kusił:

– Nie ma się nad czym zastanawiać, przyjedziesz do mnie, jest tu woda, las, a poza tym poznasz przy mnie życie...

Obietnica brzmiała nęcąco. Mówiąc otwarcie, życie znałem głównie z książek i to historycznych. Nie umiałem tańczyć. Byłem jednakim, wczesnym dzieckiem, rozpieszczonym i nadwrażliwym. A póki żyła babcia, trzymanym krótko i separowanym od niegodziwości zepsutego świata. Poza przypadkowymi całusami z Beatą w drodze na

zimowisko i nieudanymi podchodami do córki sąsiadki, kartoteka moich sercowych osiągnięć była czysta, aż wstyd...

Miasto przywitało mnie bryzgami błota spod kół gwałtownie ruszającego pekaesu. Przeklinając, że nie uskokzyłem w porę, starłem, a właściwie roztarłem oleistą maź na twarzy i ruszyłem w górę stromo biegnącej uliczki imienia Pierwszych Piastów. Dzień był pochmurny, lecz niezwykle ciepły. Zajęty obserwowaniem numerów domów, omal nie wpadłem pod wyjeżdżającego z przecznicy mercedesa z austriacką rejestracją. Pisnęły hamulce, uskokzyłem! Cholera! Zginać pod kołami cudzoziemca w takiej dziurze to wielka sztuka! Nim zdołałem przyjrzeć się kierowcy i pasażerom, wozu już nie było.

Karola w domu nie zastałem, toteż honory czyniła garbata gospodyni, w wieku, na oko stu dwudziestu pięciu lat. Mój stryjeczny brat zatrudnił ją chyba dla komfortu psychicznego.

– Dom służy do wypoczynku – mawiał – i wolę nie ryzykować, że nagle nabiorę ochoty na moją gosposię... Chociaż – zawiesił głos – im dłużej przyglądam się mojej Ernestynie, tym częściej stwierdzam, że ona coś w sobie ma.

Pierwsze dni upłynęły mi dość monotennie. Rano, jeśli była pogoda, chodziłem nad rzekę, po południu do kina. Lub czytałem. Dużo na temat antyku. Pierwszy rok historii miały wypełnić dzieje starożytne; moja skłonność do perfekcjonizmu sprawiła, że chciałem zapoznać się z tematem zawczasu. Karol przed południem udawał się do przychodni, wieczorem przyjmował w domu. Czy pacjentem był mężczyzna, czy kobieta, można było poznać po wyrazie twarzy Ernestyny, która nie akceptowała wizyt pacjentek, zwłaszcza gdy wychodziły z gabinetu z purpurową twarzą, nerwowo obciągając sukienkę, często zapomniawszy o rajstopach. Rzecz nietypowa po wizycie u laryngologa.

– Przygadałeś już sobie kogoś? – pytał mnie codziennie przy kolacji, a gdy przecząco kręciłem głową, wzdychał: – W kogoś ty się wdał, braciszku!

– A gdzie niby miałbym przygadać?

– Choćby nad rzeką, mało tam towaru?

Co fakt to fakt, od przybytku mogła zboleć głowa. Towar, zazwyczaj pięknie opalony, cienko opakowany przeważnie w kostiumy „bikini”, zalegał całą przestrzeń od mostu do starego wiatraka. Niestety, brakowało mi śmiałości, by po niego sięgnąć. Nawet gdy jakimś trafem przypadkowo schwytna piłka czy prośba o ogień mogły stać się zaczynem konwersacji, mamrotałem coś pod nosem, bojąc się spojrzeć dziewczynie prosto w oczy. Wielka szkoda że nie urodziłem się w czasach, w których o sprawach matrymonialnych decydowali rodzice, a rolę nauczycieli czy raczej nauczycielek spełniały służące. Myślę, że moje opory wypływały z dziwnego splotu kompleksu wyższości i niższości, podszytego egoistycznym lękiem przed porażką.

Niedzielę spędziłem na plaży, pochłaniając Herodota. Słońce przypiekało, od wody niosły się śmiechy młodzieży. Na wszelki wypadek obłożyłem tomiszczę gazetą, tylko idiota albo ktoś taki jak ja, studiowałby w podobny dzień klasyka dziejopisarstwa. Ale nikt nie zwracał

na mnie uwagi. Spokojnie brnąłem przez dzieje Cyrusa Wielkiego, zerkając sporadycznie na przechadzające się dziewczyny, przeważnie w towarzystwie barczystych chłopaków. Czułem gorycz, zaprawioną żółcią. Prymitywni mięśniacy bez większego trudu uzyskiwali względy nastoletnich boginek.

Po obiedzie Karol postanowił wziąć moje sprawy w swoje ręce.

– Umówiłem nas w campingu, nieopodal spalonego dworu.

– Co to ma być?

– Randka.

– Z kobietami?

– A znasz ciekawszą wieczorową propozycję niż panienki?

– I ja mam tam pójść razem z tobą? Przecież nikogo nie znam.

– To poznasz. Nie rób takiej przerażonej miny. Walniemy coś dla kurażu. A ty tylko poddaj się biegowi zdarzeń.

Miało się ku zachodowi, żaby zaczęły rechotać, a od domków dolatywała muzyka z tranzystorów, a może magnetofonów. Cel naszej wycieczki stał na skraju lasu, trochę poza ośrodkiem. Na ganeczku, obok stołu i paru składanych fotelików dojrzałem cztery kobiety. Niedobrze. Dwie młode, kilkunastoletnie, były ładne jak prawie wszystko w ich wieku. Tylko po co nam te dwie zaawansowane w latach niewiasty?

– Nie mówiłeś, że są z matkami – szepnąłem.

– Spokojnie, spławimy je. Albo odbijemy owieczki od stada.

Mój stryjeczny brat znał damski kwartet dopiero od rana, ale zachowywał się, jakby był wieloletnim gościem. Ucałował rączki, rozdzielił po kwiatku, wyczarował dwie butelki czerwonego wina. Trochę bezczelny, ale pełen dżentelmeńskich manier, agresywny, aczkolwiek ze świetnie granymi etiudami nieśmiałości. Patrzyłem z podziwem, jak wpatruje się w oczy kobiet, jednako młodych czy starych. Mnie to nie wychodziło, zawsze czułem się, jakbym naruszał czyjąś prywatność. Później dowiedziałem się, że brano to u mnie za objaw nieszczerości i wysokiego mniemania o sobie.

Idylla trwała może kwadrans, po czym nastolatki oświadczyły, że idą na ognisko i pożegnały się, zostawiając nas przy matkach i świeżo otwartych butelkach. Przeżyłem to jak dramat. Zamiast zapytać – „można iść z wami?“, milczkiem sączyłem Egri Bikaver. Karol natomiast wydawał się być w swoim żywiole. Sypał kawałami z gatunku „przychodzi baba do lekarza”, przeplatając je grubo szytymi komplementami. Nie zapominał również o dolewaniu wina. Mimo że alkohol podobno obniża kryteria estetyczne, nie czułem potrzeby włączania się w rozmowę. Pani Jadzia, siedząca bliżej Karola, chudsza, mimo śniadej cery zachowała tu i ówdzie resztki dawnej świetności. Druga, Ziuta – co jakiś czas mrugająca do mnie wesoło – przypominała królową Wiktorię, i to raczej nie z operetki „Wiktoria i jej huzar”, tylko z epoki Sherlocka Holmesa. I Kuby Rozpruwacza. Może zresztą była to królowa Wiktoria? Obraz stawał się niewyraźny. Zaczynałem wierzyć, że wszechświat jest skończony i zakrzywiony.

Ogólnie miałem wszystkiego dość, kiedy Karol zdecydował:

– Teraz brudzio!

– Brudzio, brudzio! – pochwyliły rówieśniczki królowej Bony.

Ani się spostrzegłem, kiedy moje ramię zakotwiczyło się w łokciu Ziuty. Chyba miałem halucynacje. Z kosmiczną prędkością zbliżyła się do mnie okrągła twarz o fakturze żwirowatej pustyni, z której szczególnie wybijała się oaza włochatej brodawki na policzku. Całując usiłowałem ominąć ową brodawkę i niestety natrafiłem na usta. Nie usta, wrota raczej, prawdziwą Bramę Floriańską, z okapem na wpół męskiego wąsika, przepaścistą i agresywną. Usiłowałem cofnąć się. Nic! Tkwiałem jak w imadle. A już z czeluści wychynął jak smok wawelski – długi, mrówkojadzi jęzor, przedarł się przez transzę zębów i bezceremonialnie wdarł w moją jamę gębową, jakby chciał zbadać stan mego uzębienia. Krążył bezczelnie jak kocia łapa za kanarkiem w klatce – oślizgły, alkoholiczno-nikotynowy... Obcy niczym niezidentyfikowany obiekt latający.

Wyrwałem się, kiedy smokowi zabrakło oddechu. Zerwałem się na równe nogi.

– Tak, tak, na spacerek, na spacerek! – gdał potwór.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu stryjecznego brata, ale znikł już we wnętrzu domku. Miałem nadzieję, że skończy się tylko na spacerze, Ziuta jednak, zamiast po macierzyńsku odprowadzić mnie do domu, zaatakowała mnie już przy pierwszym drzewie, naparła całym ciałem, a jej dłoń szarpnęła zamek w dzinsach. Wyrwałem się. Pobiegnęłam w las, na oślep, przez krzaki i zarośla, ścigany histerycznym, a może tylko kpiącym chichotem. Targały mną mdłości. Biegłem jakiś czas, potem padłem na ziemię, chyba nawet przysnąłem. Obudziła mnie wilgoć, ziab, a zwłaszcza księżycowe światło, które zalało ziemię po nagłym odstąpieniu chmury. Uniosłem się na kolana. Poznałem miejsce – pochylony komin na tle księżycy. Spalony dwór.

A potem zobaczyłem ją. Stała kilka metrów ode mnie, wpatrzona w niebo. Jej sylwetka, właściwie kontur, wydał mi się wzorem doskonałego piękna. Szczupła, w każdym szczególe idealna...

Nagle zapaliły się reflektory samochodu i zobaczyłem ją jak artystkę na estradzie, bujne ciemne włosy i migdałowe oczy, teraz rozszerzone przestraczem. Przysłoniła je dłonią, bardziej niż artystkę przypominała teraz ćmę przycupniętą na firance. Zasłonięty przez kawał muru usłyszałem jej okrzyk:

– To znowu wy?! Czego znowu chcecie? Oszukaliście mnie!

Dopiero później zdałem sobie sprawę, że wołała po niemiecku. Słaba znajomość języka Mommsena i Burkhardta wyniesiona z liceum nie pozwoliła zrozumieć odpowiedzi mężczyzny, który stał obok wozu. Brzmiała spokojnie, grzecznie, z szacunkiem... Nimfa jednak odwróciła się i zaczęła uciekać. Wóz ruszył za nią. Mercedes z rejestracją austriacką. Po kilkunastu metrach utknął w zaroślach. Dwaj faceci wyskoczyli ze środka i pobiegli za

dziewczyną. Trzymając się cienia, poszedłem w ich ślady. Odwaga? Raczej nieprzemyślany odruch.

Dziewczyna nie miała szans, perspektywę alejki oświetlonej księżycową poświatą zamykał długi, wysoki mur cmentarza. Tyczkarz by go pokonał, może akrobata... Nagle potknąłem się i na moment straciłem całą scenę z oczu. Kiedy się podniosłem, boginki już nie było. Faceci w skórzanych kurtkach kręcili się jak ogary, które zgubiły trop. Piękna zniknęła. Gdzie? Pole przed cmentarzem było płaskie jak stół pingpongowy, mur stary, ale bez szczelin, z ostrym, żelaznym zwieńczeniem...

Spod muru poleciała cicha klątwa, tymczasem okrężną drogą dojechał trzeci z cudzoziemców – młody, o lekko nalanej twarzy kleryka, ozdobionej dużymi okularami. Znalazłem się w świetle reflektorów. Prawdopodobnie wykonałem jakiś gwałtowny gest, który wzięto jako próbę ataku...

Dziwne uderzenie gorąca zważyło mnie z nóg, runąłem twarzą w miękką, zroszoną trawę. Usłyszałem chyba jeszcze trzaśnięcie drzwiczek samochodu...

Ocknąłem się dobrze po wschodzie słońca. Mur cmentarza trwał w swoim miejscu, za rzadkim laskiem sterczał komin dworu. Ślady opon i połamane gałęzie dowodziły, że wydarzenie nie przyśniło mi się. Nie odniosłem żadnych obrażeń, nic, co tłumaczyłoby nagłą utratę przytomności. Dziwne! Mniej dziwny natomiast był kac. Kac i zapach perfum Ziuty, wżarty w moje najlepsze ubranie.

Wracając do domu dostrzegłem przy schodkach mego stryjecznego brata, żegnającego się z kimś wylewnie. To coś było wysokie i miało złocisty koński ogon. Jadwiga się ufarbowała, czy może Ziuta? Kiedy płomienny pocałunek dobiegł końca, w dziewczynie mknącej w stronę campingu poznałem córkę Ziuty! Nawet mnie nie zauważyła. Karol przeciwnie, poczekał przy drzwiach i puścił do mnie oko. Chciałem go zapytać, jak dokonał niewiarygodnej zamiany zwietrzałego piwa na młody koniaczek, ale byłem zbyt zmęczony.

Ponownie spotkałem go przy obiedzie. W międzyczasie zdążył przyjąć kilkudziesięciu chorych, odebrał w zastępstwie koleżanki poród bliźniąt, odbył krótką naradę w Powiatowej Radzie i wydawał się równie świeży, jak wczorajszego popołudnia. Skąd on czerpał siły? Czyżby tak jak dotknięcie Matki-Ziemi regenerowało siły mitycznego Anteusza, Karola stymulowały dziewczyny?

– Któż zrozumie kobiety? – powiedział, nakładając sobie porcję pierogów. – Nawet mnie czasami zdaje się, że ich nie znam, choć praktykuję od lat... Wydaje ci się, że znasz je jak krtań i tchawicę, a nagle panienska potrafi wykręcić ci taki numer, że się nie pozbierasz. Są po prostu niepoczytalne! Mężczyzna to stworzenie domowe, kobieta mimo wieków cywilizacji pozostała dzika. A propos, jak ci poszło wczoraj? – widząc, że zwieszam głowę, ciągnął dalej: – Nie sądzę, że ja zawsze odnosiłem sukcesy, w twoim wieku też miewałem głównie pryszcze i nieprzyzwoite sny. A wracając do tematu. Znałeś Alfreda? Byliśmy obaj u was tylko raz w 1958, czy 59...

Jak przez mgłę przypomniałem sobie wyrośniętego chłopaka, starszego ode mnie o jakieś siedem lat, który raz spędził wakacje w drewniak u naszej babci na peryferiach Warszawy. Zaimponował mi, gdy jak małpa, bez najmniejszego zabezpieczenia, pokonał północną grań domu.

Pamiętam, że w domu nigdy nie rozmawiano o moim drugim stryjecznym bracie. Temat wydawał się być kłopotliwy. Kiedyś zdało mi się, że Alfred umarł, później, że przebywa za granicą.

– Możesz tylko żałować, że nie poznałeś go bliżej – opowiadał Karol. – Alek był najweselszym chłopakiem w Rychłowie, wspaniały sportowiec, okropny zabijaka, no i dużo przystojniejszy ode mnie... Wiesz, jakie miałem przy nim kompleksy? Rokowano mu dużą przyszłość. Zdał do Szkoły Morskiej... I gdyby nie ta mała dziwka...

Wszystko rozegrało się podczas wakacji, niedaleko stąd, w starym kamieniołomie. Alek trenował biegi i pewnego dnia pędząc przecinką, usłyszał krzyk. Zboczył z drogi. Obok wyrobiska szamotał się jakiś chłopak z półnągą dziewczyną, rozpaczliwie wzywającą pomocy. Alek stanął w jej obronie. Odepchnął z łatwością napastnika, ten dobył noża. Mój brat bez trudu wybił mu broń. Skoczyli na siebie, przetoczyli się po murawie. Już po chwili pokonał niedoszłego gwałciciela, dołożył mu raz, drugi. Potem puścił. Napastnik ledwie trzymał się na nogach, oczy zalewała mu krew, zataczając się wykonał parę kroków do tyłu.

– Uważaj! – krzyknął Alfred. Ale było za późno, chłopak stracił równowagę i skoziółkował na dno kamieniołomu.

Dziewczyna dostała ataku hysterii. Wzywając mego brata od morderców pobiegła na milicję, gdzie zeznała, że podczas spaceru z narzeczonym zaczepił ich mój brat. Najpierw miał jakoby im ubliżyć, a gdy jej towarzysz stanął w obronie dziewczyny, pobił go i rozmyślnie strącił w przepaść. Nóż zabitego, jedyny dowód świadczący na korzyść Alfreda, gdzieś się zawieruszył. Potem nastąpił łańcuch wydarzeń niczym z greckiej tragedii – poinformowany przez adwokata o beznadziejności swej sytuacji, Alek uciekł podczas przewożenia go do aresztu wojewódzkiego, uszedł pościgowi, po drodze raniąc milicjanta. Mówiono, że próbując przedrzeć się do Austrii, niedaleko Bratysławy stoczył potyczkę z miejscową strażą graniczną. Pozostawił za sobą trzech rannych, związanych funkcjonariuszy. Według Austriaków jego pobyt na terenie Republiki nie został potwierdzony...

– Może zginął. A Czesi zataili ten fakt?

– Może, jednak kiedy trzy lata temu zmarła nasza mama, a nekrolog ukazał się w „Życiu Warszawy”, po paru dniach przyszedł ze Szwajcarii pokaźny przekaz na moje nazwisko. Nadawca pozostał nieznany. Ale wiesz, przez te wszystkie lata zastanawiałem się nad motywem postępowania tamtej dziewczyny. Poszła ze swoim chłopakiem do lasu, więc cel był dość oczywisty, w trakcie prawdopodobnie zmieniła zdanie i wzywała pomocy, nie zrobiła nic, kiedy bójka przybrała tragiczny obrót, wreszcie oskarżyła swego wybawcę o morderstwo...

– Nieludzkie.

– Ale jeśli popatrzymy na to wszystko jak na zwierzęce odruchy samicy, rzecz staje się trochę jaśniejsza. Tak, mój drogi, kobiety trzeba traktować jak luksusowe zwierzątka. Trzymać krótko i na dystans.

\* \* \*

„Historia kultury Starożytnej Grecji” pomimo pięknego papieru, na jakim w owych latach częściej wydawano dzieła klasyków niż podręczniki, okazał się książką zdefektowaną. Do strony 144 wszystko było w porządku, dalej co druga kartka bieliła się płachtą jednostronnie niezadrukowanego papieru. Chcąc dokończyć lektury udałem się do miejscowej biblioteki. Nie pamiętam już, czy znalazłem w niej dzieło Kumanieckiego. Przez otwarte okno zobaczyłem na skąpanym w słońcu skwerku moją boginkę z nocnego snu. Nie wyglądała ani jak sen, ani jak widmo, szła z siatką pełną włoszczyzny, w rybaczkach i kolorowej bluzce. Zwykła dziewczyna o podwyższonym standardzie urody.

Wybiegłem na ulicę. Boginka zniknęła mi za zakrętem, ale zdążyłem dojrzeć ciemne włosy. Pobiegłem za nią. Najpierw szybko, potem zwolniłem. A kiedy już byłem o parę metrów od niej, ogarnęły mnie wątpliwości. Co jej powiem? „Hej, widziałem wtedy panią w lesie!” Albo: „Czy koleżanka lubi Kumanieckiego?” A może: „Czy podzielasz pogląd, że poezje Pindara są jednak lepsze od strof Safony?”

Problem rozstrzygnęło życie, a ściślej mówiąc trzy schodki, po których dziewczyna wbiegła do sieni jakiejś kamieniczki. Pewnie tam mieszkała. Aż dziw, że nie spotkałem jej dotąd.

– Gratuluję gustu! – usłyszałem głos z tyłu. Należał do pana Frania, kierowcy zdezelowanej „warszawy” z ośrodka zdrowia, którą posługiwał się przy wizytach domowych mój stryjeczny brat. Franio wychylony przez otwarte okno samochodu rozglądał się po rynku, metodycznie dłubiąc zapałką w zębach. Szofer znał wszystkich w Rychłowie. Miałem nadzieję, że powie mi coś o nimfie.

– Helena jest nie do wyjęcia – stwierdził, uprzedzając moje pytanie.

– Helena?

– Kuzynka mojej świekry – Frankiewiczowej. Studentka jak pan. Wspaniała sztuka. Ale trudna, nawet pan doktor nie dał rady...

– A próbował? – bolesne ukłucie zapiekło w sercu.

– Nawet nie próbował, bo od razu wiedział, że nie ma szans. A ten Austriak próbuje, i co ma z tego?

– Austriak?

– Może Niemiec. W każdym razie baron albo książę. Przyjechał mercedesem z dwoma fagasami, wynajął jedyne dwa apartamenty „Pod Zegarem” i uderza w konkury. Chyba że dwa tygodnie staje na uszach i nic.

– Skąd pan wie, że nic?

– U nas wszyscy wiedzą wszystko. Frankiewiczowa się żali, że dziewczyna głupia, taką szansę zaprzepaszcza, ale mała ma swoje zasady. „Helenka, co nie chciała Niemca”.

Dialog skończył się. Z czynszówki po przeciwnej stronie wyszedł Karol, odprowadzany przez jakąś wniebowziętą jejmość, która mogłaby chyba być matką Ziuty.

– Wybierzemy się znów na camping? – zapytał mnie wesolutko. Pokręciłem głową.

Patent cichego adoratora miałem już przeciwczony, z Baską w dziewiątej klasie. Cały rok nie dałem jej poznać, że umieram z miłości. Może i lepiej. W dziesiątej zaszła w ciążę z jakimś głąbem. I ma za swoje. W tych upalnych dniach poświęciłem Helenie! (Hela, Helka lub Helunia brzmiały dla mnie wulgarnie lub zgoła prostacko). Jedyne, co miałem do dyspozycji – to był czas. Poszedł w ciemny kąć Hezjod i Homer (Homerowi zresztą, jako niewidomemu i tak było obojętne, gdzie spoczywa). Bojąc się do niej zagadać i wołąc nie mieszać w to Karola jako pośrednika, poprzestałem na podglądactwie.

Czy już ją kochałem? Zapewne był to pewien rodzaj ogłupienia, zachwytu, które wierci dzień w dzień mózg, absorbuje myśli, upewniając, że to jest to, na co czekałem od chwili, kiedy zacząłem rozróżniać chłopców od dziewczynek. Nie wiem, czy przez te dni zauważyła moją obecność koło siebie, jeśli tak, to świetnie się maskowała.

Życie Heleny w Rychłowie składało się głównie z zakupów i korespondencji. Co drugi dzień odnosiła na pocztę pękaty list. Dużo rzadziej otrzymywała odpowiedź, przeważnie na kartce pocztowej. Czuję że jest to korespondencja z chłopakiem, pewnie odbywającym służbę wojskową i z całego serca zniechęciłem nieznanego szczęśliwca. Imaginacja podsuwała mi najrozmaitsze obrazy z ich romansu. Drugiego dnia śledztwa odkryłem jej samotnię, nieckę między dachami kamieniczek, prywatne solarium. Pragnąc choć optycznie być z nią, kiedy na własne życzenie funduje sobie raka skóry, zaprzyjaźniłem się z organistą i uzyskałem stałe prawo wstępu na wieżę kościoła. Lornetkę podprowadziłem Karolowi. Wiedziałem, że jestem śmieszny i infantylny. Niestety, nie mogłem się powstrzymać od podglądania Heleny, zwłaszcza, że opalała się nago.

Ileż ja na tej dzwonnicy, wśród kurzu i gruchających gołębi, wymyśliłem planów, ileż efektownych scenariuszy poznania, a potem rozwinięcia znajomości. Rozważałem projekt posłania jej listu z biletem do kina. Głupie! Pomyślałaby, że to manewr namolnego Austriaka. To że i jemu się nie wiodło, stanowiło słabą pociechę. Cudzoziemiec, stosunkowo młody, tęgawy i niski, denerwował mnie maksymalnie. Obiektywnie nie wzbudzał sympatii. Na szczęście rzadko pokazywał się na mieście, kwiaty dla Heleny zanosili jego fagasi, nieodmiennie wracając jak niepyszni. Wyglądało, że po pewnym czasie natężenie jego uczucia osłabło. Cztery dni po nocnej przygodzie kwiaciarnia zmniejszyła obroty. Cudzoziemiec jednak nie wyjeżdżał. Może brał na przeczekanie?



Zastanawiało mnie, dlaczego Helena nie zameldowała milicji o nocnym pościgu, dlaczego w ogóle nie wspomniała o tym nikomu. Gdyby puściła parę, pan Franio już by to wiedział.

A moje sny o Helenie! Fantastyczne, kolorowe, nasycone znajomymi i nieznajomymi twarzami, zamglone, dramatyczne, zawsze oglądane jak przez szybę. Ja sam nigdy nie znalazłem się w środku akcji. Jak w rzeczywistości, w której radość Heleny po kolejnej wizycie listonosza nie wymagała nawet potwierdzenia u pana Frania. Narzeczony przyjeżdżał!

Cóż! Przeprosiłem Hezjoda i zabrałem się za jego „Prace i dni”. Tak zastała mnie noc.

Przy pracy, szczególnie umysłowej, w pewnym momencie osiąga się stan takiego zmęczenia, kiedy już nie chce się spać, rośnie tętno, świat zaczynamy widzieć ostrzej, a potem niczym czarny kot wygląda z kąta nieokreślony niepokój. Nigdy nie odznaczałem się szczególną intuicją, ale wówczas czułem wyraźnie zbliżające się niebezpieczeństwo. Impuls nadany przez jej radiostację musiał być silny, skoro aktywizował mój słaby odbiornik. Naciągnąłem sweter, wziąłem latarkę i wybiegłem z domu. Miasto spało, ale nie był to spokojny, ciepły sen, raczej narkoza. Steżała Wielka Cisza, bez naszczekiwania psów, postukiwania nieszczęśliwych okiennic czy poświstów parowozów na pobliskiej stacji.

W hotelu „Pod Zegarem” ćmiło się tylko słabe światelko w recepcji, a z apartamentu na pierwszym piętrze sączyła się purpurowa poświata. Austriak nie spał. Jego sprawa!

Pokręciłem się po skwerze, nigdzie nie spotkałem nawet psa z kulawą nogą. Emocje ustępowały, tętno osłabło. Ki diabeł mnie podkusił, aby rzucać lekturę i szwendać się po mieście? Kiedy więc ją zobaczyłem, w pierwszej chwili wziąłem za widmo. Helena, blada jak koszula nocna, która ją okrywała, wyszła ze swego domu. Niczym nakręcona lalka sztywno zeszała po schodkach, po czym równie mechanicznie ruszyła na drugą stronę rynku. Zakochałem się w lunatycze? Minęła obelisk, kosz na śmieci, zakręciła... Szła wprost na mnie. Szeroko rozwarłe oczy zdawały się niczego nie widzieć. Minęła mnie jakbym był powietrzem i weszła w uchyloną bramę wiodącą na przyhotelowe podwórko. Pobiegłem w ślad za nią. Helena jak po sznurku sunęła ku małym, awaryjnym drzwiom hotelu „Pod Zegarem”.

– Proszę pani! – zachrypiałem.

Nie zareagowała, szła dalej. Podbiegłem i zagroziłem jej drogę. Odsunęła mnie z siłą Casiusa Claya, szarpnęła klamkę wiecznie dotąd zamkniętych drzwi i drewnianymi schodkami zaczęła wspinać się do góry. Chciałem ruszyć za nią, kiedy podest na pierwszym piętrze zalało światło i wysunęła się twarz młodego Austriaka, o żrenicach rozszerzonych do rozmiarów dziesięciozłotówek. Na jego ustach igrał uśmiech dziwnej satysfakcji. Cofnąłem się na ulicę, chyba mnie nie zauważył. Setki myśli przelatywały mi przez głowę. Obojętnie, czy byłem właśnie świadkiem lunatyzmu, hipnozy czy zwykłego szantażu, nie mogłem zostawić dziewczyny samej. Patrzyłem na purpurowe światło sączące się z apartamentu i

nagle mój wzrok padł na przycupniętą pod murem poczty budkę telefoniczną. Szybko wykręciłem numer straży pożarnej.

– Pali się! W hotelu „Pod Zegarem”, pierwsze piętro! – wymamrotałem falsetem przez palce. Potem upuściłem słuchawkę, by zablokować linię. Czekałem, mając nadzieję, że nikomu ze straży nie przyjdzie do głowy sprawdzać, czy doniesienie jest prawdziwe. Minuty sunęły wolno, niczym ślimaki na emeryturze. Purpurowa poświata w pokoju zgasła. Zalało mnie gorąco, straży ciągle jeszcze nie było. Nie namyślając się wiele, porwałem kawał bruku, wypłukany przez ostatnie ulewę i cisnąłem w okno apartamentu. Kamień już leciał, gdy ogarnęło mnie przerażenie, czy aby nie trafię Heleny. Prawie równocześnie z brzękiem szyby od strony remizy zawył sygnał straży. Ile sił w nogach puściłem się w stronę domu Karola.

Rychłowo nie pospało tej nocy. Pod hotelem zgromadziła się blisko połowa jego mieszkańców. Strażacy przeszukali cały gmach. Oczywiście nigdzie nie znaleźli śladu ognia. Kierownik przeproszał wyrwanych ze snu gości, a szczególnie zadomowionych Austriaków. Sensacja wybuchła dopiero wtedy, gdy w łazience na drugim piętrze znaleziono śpiącą, wyjątkowo twardo, pannę Helenę. Obudzona nie wydawała się być zaskoczona, odmówiła jednak jakichkolwiek wyjaśnień i poszła do domu. Ernestyna skomentowała ten fakt po swojemu: „Wiadomo teraz, skąd miała na kosmetyki!” Natomiast ja, budząc się koło południa, znalazłem wrzucony przez okno nieduży bukiet polnych kwiatów z przypiętą kartką z notesu: „Dziękuję ci, Adamie”.

Szok! Czyżby widziała mnie tej nocy i jedynie udawała lunaticzkę. Skąd jednak wiedziała, jak mam na imię i gdzie mieszkam?

Na fali szaleńczej odwagi pognałem pod jej dom. W drzwiach kamieniczki natknąłem się na Frankiewiczową.

– Chciałem porozmawiać z panną Heleną.

– Helenka dopiero co wyjechała – padła odpowiedź.

Pognałem na stację, żeby zobaczyć ostatni wagon pociągu, oddalający się z peronu. Odjechała tym samym pociągiem, którym przyjechał jej narzeczony.

Wracając osowiały, przy budce z piwem natknąłem się na Frania.

– Ej, nuda, nuda – westchnął. – Austriacy wyjechali, Helenkę zabrał narzeczony, nędza!

## Rozdział III

# Studenckie czasy

Kiedy przeglądam notatki w moim starym kalendarzu, w październiku, listopadzie i grudniu owego roku, brak w nim wydarzeń typu horror. Oprócz zapisków: „kolokwium z łaciny”, „na piwie z Jarkiem” czy „268 złotych na książki”, nie znajduję niczego godnego uwagi. Ot, kilka znaczków, poczynionych ku pamięci, bez znaczenia dla postronnego obserwatora.

Zaczął się pierwszy semestr, z nawyku i ze strachu przed odsiewem uczyłem się pilnie i w miarę systematycznie. Choć warunki do nauki miałem średnie. Spod skrzydeł matki, zajętej nowym mężem i będącym w drodze potomkiem, trafiłem do mieszkania ojca.

Punkt był niezły, rzut beretem od Pałacu Kultury. Niestety, dwunastometrowa klitka, do której oprócz łóżka wstawiłem stos kartonów z ukochanymi książkami, sąsiadowała z identycznym pokoikiem zajmowanym przez tatusia i macochę. Macocha, brzmi strasznie, a wyglądało jeszcze gorzej. Irena była zaledwie siedem lat starsza ode mnie, za to była głupia, pretensjonalna i leniwa. Do dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego ojciec rzucił dla niej matkę. Ze względu na wiek? Na temperament? Tego jej nie brakowało.

Mój stary poznał ją, kiedy była w przedostatniej klasie szkoły muzycznej, gdzie od paru lat męczyła wiolonczelę. Przyszedł na zastępstwo uczyć polskiego i zaskoczył. Gdzieś po pół roku romans zrobił się głośny, wybuchł skandal, ojciec zmienił pracę, rozwiódł się i poślubił osiemnastoletnią uczennicę. Twierdził, że wymaga tego elementarne poczucie uczciwości. Może postąpił pochopnie. Dziecko – owoc samochodowych wypadów w zagajone okolice Młocin i Kampinosu – urodziło się martwe.

Irena do muzyki już nie wróciła. Dało jej to możliwość wielokrotnego podkreślania, że przez nieodpowiedzialny związek zaprzepaściła światową karierę. Ojciec nie polemizował z tą tezą, traktował młodą żonę trochę jak dziecko, a trochę jak zabawkę, nie dostrzegając jej wad. Jej bezustanna, bezsensowna paplanina wydawała się go odprężyć a intensywny seks rekompensować niedostatki nieudanego życia.

Jako sublokator nie mogłem znieść jej gadaniny a jeszcze bardziej momentu, gdy koło północy radio w ich pokoju zaczynało grać głośniej. Mogłem poświęcić się tylko łacinie czy francuskiemu. Czułem jednak, że długo nie wytrzymam. Zwłaszcza, że gdy ojca nie było, Irena zachowywała się na zmianę arogancko i prowokacyjnie. Uwielbiała się przy mnie przebierać i robić głupie żarty na temat mojej nieśmiałości. „Czy to prawda, że jesteś prawiczkiem? No, przytul się do mamusi”. Udawałem, że to żart, Irena była chuda jak szczapa i poza twarzą mało pojętna; miała małe piersi, właściwie same sutki, za to nogi odległe od siebie jak przęśła mostu. Na szczęście, moją sytuację lokalową wyjaśniło samo życie, a precyzyjnie mówiąc śmierć. Dwa dni po Wszystkich Świętych umarła babcia. Jeszcze w Dzień Zmarłych byliśmy razem na Powązkach, babcia odszykowana i umalowana tak, jakby się tam umówiła z dziadkiem na randkę. Kiedy już uporządkowaliśmy grób rodzinny i zbieraliśmy się do odejścia, starowinka postąpiła chwilę w milczeniu nad płytą i na odchodnym powiedziała: „Będziesz się musiał niedługo posunąć, Dyziu”. Śmierć zabrała ją we śnie, łagodnie, jakby rewanżując się za jej życzliwość i dobroć. A ja zyskałem własne mieszkanie – poddasze malowniczego drewniaka w stylu nadświdrzańskim. Sam urok. Do okna zaglądały sosny, nocami szczeptały psy i tylko czasami zaterkotała podmiejska kolejka. Parter wzniesionej w latach trzydziestych letniskowej willi zamieszkiwali dość obojętni ludzie, uciekinierzy z Powstania, których mimo dwudziestoletnich usiłowań nie udało się babci wygryźć. Na szczęście, z werandy prowadziły na pięterko odkryte schody a dalej, rzeźbiona w serduszka i romby galeryjka, toteż zawsze można było niekępując dostać się do mieszkania.

Poddasze, wprawdzie mocno zapuszczone, składało się z dwóch pokoi, kuchni i łazienki. Jednak utrzymanie nawet tego mieszkania przerastało wielokrotnie możliwości mego kieszonkowego. Na początku roku kandydatów do korepetycji było niewiele, mając dwie lewe ręce wołałem się nie pchać do żadnej ze studenckich spółdzielni pracy, a za dwa wiersze wydrukowane w akademickim piśmie honorarium miało się pojawić w przyszłości albo nigdy.

Postanowiłem podnająć jeden pokój. Nadarzył się Waldek, syn zamożnego badylarza spod Olsztyna, łączący w sobie chłopski upór w nauce z okresowymi ciągotami do alkoholu. Mniej więcej raz w miesiącu przyjeżdżała do Waldka narzeczona, pulchna blondynka, rodem z jego przysiółka, ze srebrnym zębkiem na froncie. Wtedy wołałem iść na spacer, potrafiłem spacerować dosyć długo, toteż gdy wracałem, z pokoju Waldka dobiegało chrapanie w dobrze zaaranżowanym dwugłosie. Co ci ludzie widzieli w tym seksie?

Lidkę poznałem w Delcie. Działał tam teatrzyk studencki, do którego zaszedłem jeszcze w październiku, zwabiony kolorowymi ogłoszeniami w pasażu koło kwestury. „Szukamy następców! I ty możesz spróbować swych sił”. Wziąłem teczkę z sześcioma najlepszymi wierszami oraz napisane w liceum trzy czwarte sztuki z czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego. Jej bohaterem był szpicel ambasadora Ingelstroma, zakochany w córce

Tadeusza Kościuszki. (Później, gdy okazało się, że Naczelnik nie miał dzieci, Joanna została przerobiona na nieprawie dziecię Hugona Kołłątaja.)

Kiedy wszedłem do piwnicznego lokum, szef, reżyser i główny aktor Delty, niejaki Wyszczak (imię uległo niepamięci), brodaty jak Marks i Engels razem wzięci, zajmował się akurat pionierską inscenizacją „Ślubu-Matki”. Była to awangardowa krzyżówka Gombrowicza z Witkacym, okraszona poezją Bruno Jasińskiego i wycinkami z gazet, polegająca z grubsza na tym, że grupa półnagich dziewcząt miotła się wśród ubranych w worki mężczyzn, wykrzykując cytaty z klasyków awangardy na zmianę z fragmentami artykułów wstępnych z „Szeregowca Braterstwa”, bardzo wówczas popularnej gazety codziennej.

W przerwie próby, popijając piwo, którego transporter otrzymał w nagrodę za szóste wyróżnienie w okręgowych eliminacjach, Wyszczak poświęcił mi całe pięć minut. Nie chciał czytać ani wierszy, ani „Warszawskiego staccato”. Skierował mnie do swego asystenta, Grzegorza Malińskiego. Maliński, chłopak przystojny, może nawet za bardzo, natychmiast wziął mnie za rękę i trzepocąc rzesami stwierdził, że gotów jest słuchać nawet całą noc. Wprawdzie również nie chciał sam czytać, jednak poprosił o opowiedzenie dramatu własnymi słowami. Skrzywił się lekko, kiedy dowiedział się, że sztuka rozgrywa się w XVIII wieku: „skąd my weźmiemy peruki?” Potem jednak już nie przerywał. Słuchał opowieści o tym, jak Czerkaski przybywa do Warszawy w ostatnich dniach Sejmu Czteroletniego, z zadaniem inwigilacji czołowych przywódców stronnictw postępowych, i jak lutowego wieczoru spotyka pod kolumną Zygmunta Joannę...

– Lidka, wyżej cycki, wstydzisz się jak święta Cecylia, a masz uosabiać absolut nonkonformizmu – moją narrację zmaćł bas Wyszczaka.

Popatrzyli na zastygłą w półmroku blondyneczkę o figlarnej, teraz mocno zafrasowanej twarzy...

– Lidka jest już passe – objaśnił mnie Maliński.

– Nie rozumiem?

– Nie sprawdziła się, wiecznie ma o coś pretensje do szefa, chciałaby być gwiazdą. Ale wracaj do twej opowieści...

Trwała ta dziwna noc. Piliśmy piwo. Maliński słuchał, zadawał pytania. A im dłużej rozmawialiśmy, tym bardziej zdawałem sobie sprawę z własnej anachroniczności. Moja sztuka o konstrukcji dziewiętnastowiecznego dramatu, na dobitkę napisana wierszem, pasowała na scenę Delty jak pięść do nosa. Ideologia, wyniesiona ze szkolnych pogadanek na propedeutyce filozofii, raziła naiwnością. Szlachetny, wrażliwy szpieg, dziewczyna – żarliwa patriotka, król z narodem, naród z królem i niemal happy end w postaci przeprawy przez San po upadku Powstania Kościuszkowskiego, w drodze na emigrację.

– Wiele zależy od inscenizacji – powiedział w pewnym momencie Maliński i przyjacielsko potargał autora po włosach. Oczy mu błyszczały. – Dobry reżyser rzuci publikę na kolana, nawet wystawiając kwity z pralni.

Też miałem zdrowo w czubie. Wyobraźnia podsuwała mi rozmaite wizje spektaklu – a to tłum kłębiący się pod czarną płachtą, symbolizujący zdrowe siły narodu, a to król na drewnianym białym koniu na biegunach i nagle, w świetle reflektora, naga dziewczyna z pochodnią i w czapce frygijskiej – zwiastunka idei wolnościowych z rewolucyjnej Francji, a potem sznury, sznury, którymi półnaczy mężczyźni wiążą publiczność, aby wyciągnąć ją potem z piwnicy, jak na ogromnej wędce, na skwer przed uniwersytetem...

– Zasnąłeś Adasiu? – zapytał mnie Maliński.

– Nie, zamyśliłem się.

Przy scenie trwała szamotanina. Próba skończyła się już dawno. Wyszczak tarosił jakąś zgrabną brunetkę, ciągnąc ją w stronę pakamery z rekwizytami. Nieśmiałe protesty adeptki łamały się pod ciężarem autorytatywnych zdań o życiu według praw awangardy i nowej, bezpruderyjnej moralności. Kątem oka dostrzegłem Lidkę, siedziała na barowym stołku, nieruchoma, jak zaklęta w kamień królewna.

– Sądzę, że muszę wszystko przerobić – powiedziałem do mego słuchacza. – Pomógłbyś mi?

Grzesio zaczerwienił się, a potem dodał, że wprawdzie bardzo chętnie, tylko że niewiele może pomóc, bo jest jedynie inspicjentem. A poza tym wątpi w sceniczne szanse „Warszawskiego staccato”, nawet po poprawkach.

– Żeby wystawiać swoje sztuki, trzeba założyć własny teatr – powiedział szczerze. – Tu możesz się jedynie uczyć. A naukę trzeba zaczynać od zera, od zamiatania sceny, noszenia dekoracji, statystowania. I tyle mogę ci załatwić, stareńki.

Śliski uśmiech towarzyszący tym słowom nie bardzo mi się spodobał. Mocno związałem teczkę i stwierdziłem: „muszę już iść”. Za pół godziny miałem pierwszą kolejkę, a nazajutrz sprawdzian z rosyjskiego. Maliński posmutniał.

Mijałem opustoszały barek, kiedy posązek Lidki ożył.

– Masz papierosa?

– Niestety...

– Nie szkodzi, ja mam.

Przespacerowaliśmy resztę nocy po nadwiślańskich bulwarach, Lidka sprawiała wrażenie rozżalanej. Opowiadała o sobie, chociaż nie wspomniała ani słowem o problemach z Wyszczakiem. O studiach na ASP, które chyba będzie musiała przerwać. Potem rozmowa zesłała na temat koloru, światłocienia... I tak na kamiennym obramowaniu „królowej polskich rzek” zastało nas wschodzące słońce.

Nie wróciłem więcej do Delt. Wiersze dałem do „Studenckiej Czapki”, dwutygodnika wychodzącego przy jednej z uczelni technicznych, przyjęli. Później zacząłem pisać artykuły i

recenzje. Lidki przez dwa miesiące nie spotkałem. Dopiero w połowie grudnia (pamiętam, że Waldek wyjechał już na święta do rodziny) na dziedzińcu przed BUW-em natknąłem się na Malińskiego. Ucieszył się na mój widok, jakbym był jego ukochanym bratem porwanym w dzieciństwie przez Cyganów.

– Od dawna cię szukałem! Czytałem te wiersze! Leć tym kursem, a zajdziesz dalej, niż opiewając Insurekcję Kościuszkowską.

Usiłowałem go ominąć. Przyssał się do mnie jak pijawka.

– Robię jutro duże party, starzy wyjechali do Nigerii. Wpadnij, będzie Lidka.

Wpadłem. Na przyjęciu u Malińskiego, z braku zagrychy ograniczonym do picia wódki, było ze trzydzieści osób. Nie zauważyłem Wyszczaka, podobno wyjechał z częścią zespołu na przegląd teatrów do Finlandii. Był natomiast gwiazdor studenckiego kabaretu, który, przekrzywiając po stańczykowski głowę, recytował swoje wiersze, godzące w podwaliny i podstawy, była córka ministra (podobno jednego z lepszych w historii resortu), wpadł wreszcie chłopak z mojego roku, Adam jak ja, o charakterystycznej wadze wymowy i cały czas dyskutował w kącie z facetem o koziej bródce, o którym wszyscy mówili „docent”. Adama znałem słabo i choć wiedziałem, że zaliczył już pobyt w więzieniu nie przypuszczałem, że za parę miesięcy jego relegowanie z uczelni wywoła wielki wstrząs społeczności akademickiej, stając się początkiem całej serii wydarzeń... Ale to całkiem inna historia.

Lidka przyszła spóźniona, na dodatek z jakimś facetem, podobno operatorem filmowym. Ledwie mnie zauważyła. Toteż snułem się po ogromnym mieszkaniu na Starym Mieście samotny, słuchając strzępków rozmów. Nie znałem tu nikogo, a i mnie nikt specjalnie znać nie chciał. Wreszcie kiwnął na mnie idol kabaretu, uwalniając się z objęć dwóch podpitych wielbicielek.

– Odkrycie „Studenckiej Czapki” – rzekł łaskawie, nalewając mi wódki. – Czytałem, czytałem. I powiem ci wprost, wiersze są akademicko poprawne. Tylko że bez jaj. Bo widzisz, sztuka nie polega na jubilerskim składaniu wyrazów, sztuka to życie, amok, ekstaza. Trzeba wejść w rynsztok, ubabrać się po uszy, splugawić, a wtedy objawi ci się sacrum. Chcesz zobaczyć gwiazdy, wskocz do studni! Napij się ze mną. Twoje zdrowie!

Wypiłem duszkiem a potem intensywnie szukając popitki trafiłem na Grzegorza. Mocno podchmielony objął mnie znienacka i pocałował w usta. Mamrotał przy tym coś o męskiej przyjaźni, a jednocześnie jego ręce błyskawicznie znalazły się przy moim rozporoku.

Pederastów znałem dotąd jedynie z kawałów i prawdę powiedziawszy powątpiewałem w ich istnienie. Wyrwałem się z objęć, targany obrzydzeniem. Grzesio śmiał się:

– Tchórz, tchórz, nie chce smakować tego, co dobre! – A potem napał na mnie z siłą, o jaką nigdy bym go nie posądził. – Stary, mówię ci, nigdy nie zrobisz kariery, a wiesz dlaczego?

– Nie wiem.

– Aby zrobić u nas karierę, trzeba być albo dzieckiem prominenta, albo Żydem, albo pedałem, albo masonem, albo...

– Mieć talent! – dokończyłem.

Zachichotał i usunął się, robiąc mi miejsce.

– Idź, idź, kurczaku, i pisz dalej o szlachetnych rewolucjonistach, cnotliwych dziewczynach, mądrych królach i dzielnym narodzie...

W przedpokoju wpadłem na Lidkę. Gwałtownie naciągała futrzaną kurteczkę.

– Świnia! – mruzczała. – Zero! W życiu nie popychał nawet stojaka od kamery...

Jakoś się tak złożyło, że wyszliśmy razem. Padający śnieg topił się na naszych rozognionych twarzach.

– Gdzie cię odprowadzić? – zapytałem.

– Mieszkam w bursie.

Ruszyliśmy w stronę Dziekanki. Jak Aleksy i Joanna minęliśmy kolumnę wznoszącą się na tle szczyby po Zamku Królewskim... Milczeliśmy.

– Okropna sprawa – westchnęła naraz Lidka. – Jest już pierwsza, cieciovoy nie wpuszczą mnie o tej porze. Od dawna mam na pieńku z portierkami...

Wspomniałem jej o mym drewniaczku. Nie miałem na myśli żadnych podtekstów ani czasu na rozterki, na postoju przy Trębackiej czaiły się taksówki... Po skrzypiącej galerii weszliśmy do mych apartamentów. Zapaliłem światło, wstawiłem herbatę. Potem zacząłem słać dwa posłania. Koce miałem, kłopot był z prześcieradłami.

– Po co dwa łóżka, daj tylko słowo, że będziesz grzeczny – powiedziała Lidka.

Dałem, choć od razu wiedziałem, że go chyba nie dotrzymam.

Ten pierwszy raz trudno nazwać sukcesem. Raczej rozczarowaniem. Nie wiem czy powinienem winić za to alkohol, brak doświadczenia, nadmiar emocji?

Nigdy przedtem nie obejmowałem nagiej kobiety. Nie miałem pojęcia o jej budowie, gładkości skóry, nadzwyczajnej jędrności piersi, których czubki stwardniały jak pestki wiśni. Do tego doszło zdumienie różnicą temperatury wewnętrznej i zewnętrznej strony ud. I zdziwienie jej przyspieszonym oddechem i rumieńcem oblewającym twarz i szyję; nie, to stanowczo było za wiele na jeden raz. Choćby pierwszy. Co zapamiętałem z samego aktu? Jego szybkość i poczucie ciasnoty. Oraz rozczarowanie – to tylko tyle?

Gdy leżała obok mnie paląc papierosa, myślałem – nagle chłodny i obojętny – to już wszystko? A gdzie owe uniesienia, o których marzyłem blisko siedem lat, gdzie szaleństwa opisywane przez poetów? Do leżącej obok fajnej, miłej dziewczyny czułem sympatię, nic poza tym. No, może odrobinę wdzięczności za uległość i trochę niepokoju, czy poznała, że ma do czynienia z męską dziewicą?

Drugi raz w ogóle nam nie wyszło. Mimo pieszczot – dość nieudolnych, ja niedoświadczony, ona jakby skrępowana – podniecenie opadło i nad ranem, wstyd przyznać,



zrezygnowałem. Sen nadszedł szybko, ale przez parę chwil, kiedy na swych plecach odczuwałem ciepło przytulonego do mnie ciała, pomyślałem o Helenie.

\* \* \*

Wyjeżdżając z Rychłowa byłem przekonany, że tamten dziwny epizod nie będzie miał żadnych następstw. Nie przypuszczałem, że stanowi pierwsze ogniwo dramatycznego łańcucha, czy jak kto woli, schodek w nieznaną. Tymczasem już piątego października w lektorium Wydziału Historycznego jakaś siła kazała mi podnieść oczy znad książki i spojrzeć ponad zastawką oddzielającą mnie od czytającego vis-à-vis.

– Helena! – szepnąłem.

Skinęła mi głową i ponownie zagłębiła się w lekturze. Helena studiowała razem ze mną! Cóż za zrządenie losu! Okazało się, że na archeologię nie przyjęto jej z braku miejsc i zaproponowano mój wydział. Skorzystała z tej możliwości. Niestety, nasze wzajemne kontakty od pierwszego dnia ułożyły się dziwnie. Niby znaliśmy się, ale faktycznie nadal się nie znaliśmy. Jakby przygoda w Rychłowie miała i jednocześnie nie miała miejsca. Choć przesiadywałem na schodach instytutu wtedy, kiedy jej grupa kończyła ćwiczenia, moje sprawy nie posunęły się w dobrym kierunku. Po ćwiczeniach Helena biegła na Krakowskie, gdzie koło sklepu „Sumatra” zawsze czekała zaparkowana syrenka Włodka, syna zamożnego kuśnierza, po czym razem znikali gdzieś za pomnikiem wielkiego astronoma. Tak przeszła jesień i zaczęła się zima.

Lidka okazała się w moim życiu raczej fraszką niż sagą. Następnego dnia zjadła jajecznicę z żółtym serem i odprowadzona do kolejki, odjechała raz na zawsze z mego życiorysu. Spotkaliśmy się jeszcze może parę razy w konwencjonalnych sytuacjach, później wyjechała w świat robić karierę i dziś jest, zdaje się, współwłaścicielką jakiegoś sklepiku w Malmö czy Kopenhadze. Pewnie nie wydałem się jej przyszłościowym facetem, a i ona, choć ładna i sympatyczna, nie miała nic wspólnego z moimi marzeniami. Ot, odegrała pożyteczną rolę terapeutki, wyleczyła z niemożności. Odtąd wiedziałem już, że przy odrobinie fartu wszystko jest możliwe, a seks należy do rozrywek dostępnych w równym stopniu intelektualistom, co idiotom, przy czym idiotom zwykle wychodzi lepiej. Z czasem poszerzyłem moją wiedzę na temat „wesołych zabaw w łóżku”, jak w parę lat później określiła ten rodzaj gimnastyki Michalina Wisłocka, choć prawdę powiedziawszy nigdy nie stałem się wielkim smakoszem tych igraszek. Wolałem pierwsze spotkania od następnych, bawiło mnie podrywanie i po jednym numerku prędko zasypiałem. Koledzy, którzy swe nocne wyczyny zamykali dwucyfrową liczbą, budzili we mnie przede wszystkim współczucie.

Początkowo „zaliczałem” jak leci i miałem sporo porażek, później nauczyłem się odróżniać te dziewczyny, które mają na mnie ochotę od tych, które raczej nie i zajmowałem się wyłącznie tymi pierwszymi. W ciągu pół roku od inicjacji przez piętro mego drewniaczka

przetoczyło się pół tuzina przedstawicielek płci przeciwnej i z wyjątkiem Urszuli, która pozwalała się jedynie pieścić i to wyłącznie przy dźwiękach nagrań Okudźawy, pozostałe zachowywały się zgodnie ze swobodną modą seksualną końca lat sześćdziesiątych. Kogo zapamiętałem? Policzmy.

Gosia, znacznie starsza ode mnie, nieładna dziewczyna z kompleksami. Poznałem ją u Grażynki, której byłem korepetytorem. Gosia pierwsza zdradziła mi sekrety miłości francuskiej, została jednak wyparta przez Monikę, pyzată koleżankę z roku, która lubiła nakładać na gołe ciało futrzaną kamizelkę, a piersi miała tak niewyobrażalnie wielkie, że zawsze troszkę się ich bałem i miałem ochotę przekłuć szpilką. Potem przyszła kolej na Beatę, wielką i cichą miłość ze szkoły średniej. Ongiś nie ośmielałem się podnieść na nią oka, a teraz zaprosiłem ją na kieliszek nalewki „po babci” i już po półkieliszku powołała się trzęsła.

Kto dalej?

Uczennica Grażynka. Miała wprawdzie duże problemy z egzaminem dojrzałości, natomiast sama dojrzałość nie sprawiała jej najmniejszych kłopotów. Ależ zrobił się ze mnie łajdak. Którejś soboty z nudów (i pod wpływem alkoholu) zborsuczyłem Zoche „srebrny ząbek”, bezskutecznie czekającą na Waldka, już wtedy aktywistę młodzieżowej organizacji. Przykre wspomnienie! Podobnie jak noc, podczas której uległem Irce, czyli swojej macosze, która namówiła mnie na wspólne kupowanie prezentów, a potem wpadła się trochę rozgrzać. Nidoszła wionczelistka wyraźnie zasmakowała w swym pasierbie i próbowała mnie nachodzić, ale zagroziłem, że powiem ojcu i dała spokój.

Nie zmieniało to faktu, że nadal kochałem Helenę, miłością wielką, czystą i beznadziejną. Widywałem ją prawie codziennie i nie potrafiłem wyzbyć się marzeń. Bywało, że kochając się z innymi kobietami wyobrażałem sobie, że to ją właśnie trzyma w ramionach.

Pojawiła się jeszcze jedna nieoczekiwana fascynacja. Na lektoracie z francuskiego dzielił ze mną ławkę Albert Goldkind, wysoki, małomówny brunet student trzeciego roku, któremu w drodze wyjątku pozwolono chodzić na dodatkowy lektorat z pierwszorocznikami. Małomówność Alberta w idealny sposób zbiegała się z jego pasją, którą była pantomima. Studiując przez rok we Wrocławiu zetknął się z Tomaszewskim i teraz założył własny „Teatryk Absolutny”. Któregoś razu zostałem zaproszony na próbę, bez publiczności, ale z włączonymi reflektorami i mikrofonami... Innowacją Goldkinda było odejście od żelaznych reguł pantomimy. Ogólnoludzkim alegoriom á la Marcel Marceau przeciwstawił scenki – aluzje. Obok tych znakomitych, wręcz felietonowych etiud, kończących się celnymi pointami, które wzbudzały spontaniczne reakcje widowni, w spektaklu wykorzystano dramatyczne songi jakiegoś Czecha czy Rosjanina. Śpiewał je z nieruchomą, kamienną twarzą sam reżyser lub jego żona Krystyna, prawem kontrastu ruchliwa, ekspresyjna, prawie histeryczna. Siedząc w zadymionej salce „Hybryd” miałem świadomość, że uczestniczę w czymś naprawdę wielkim.

Gdzieś na przełomie stycznia i lutego Albert, okropnie wzburzony, wyciągnął mnie z zajęć na piwo do „Kuchcika”.

– Nie będzie premiery! – wyrzucił z siebie.

– Ktoś zachorował?

– Cenzura wycięła mi wszystkie songi!

– Niemożliwe, przecież były takie ogólne, uniwersalne.

– Wydaje mi się, że nie poszło o teksty, tylko o autora, Jirzi Zemanka. To Czech, a z Czechami teraz niewyraźnie.

Nie interesowałem się polityką, więc wyraziłem zdziwienie:

– To chyba niemożliwe... – zacząłem.

– Co niemożliwe? A ostatnie zdjęcie „Dziadów”, mało ci...

– Jeszcze nie zdjęli, są tylko takie plotki.

– Ale zdejną.

– Bo, swoją drogą, reżyser przesadził. Te aluzje antyrosyjskie i granie pod publiczność.

– A jak ma się grać „Dziady”? Jako protest przeciwko amerykańskim imperialistom? – Albert rąbnął dłonią w stolik, aż dwóch pijaczków opodał mocniej chwyciło swe kufle. – Gdzie ty żyjesz, Szarecki? Co wiesz o naszej sytuacji, poza garścią obiegowych komunałów... Zresztą, niezależnie od „Dziadów” moja premiera się nie odbędzie. W naszej literaturze nie ma materiału na takie songi, jakie są mi potrzebne... Chyba że ty? Pisziesz przecież wiersze...

Czy doświadczyłem nieoczekiwanego pocałunku muzy? Napisałem te sześć songów o wielkich słowach – wolność, honor, prawda, odwaga, nadzieja i solidarność – które bywają tak wielkie, że patrząc z bliska trudno ogarnąć je w całości. Na co dzień, wyświechtane we frazesach, uległy dewaluacji, bywają wstydlive, niemodne... A co jakiś czas stają się niezbędne jak tlen, jak miłość.

– O kurwa! O to chodziło! – zrecenzował Goldkind.

Barbara skomponowała muzykę.

Oficjalną premierę wyznaczono na 11 marca. Poniedziałek. Prace postępowały galopem. Szczególnie ciekawy miał być finał. Zaczynał śpiewać Albert, potem dołączała Barbara, wreszcie cała dotychczas milcząca grupa mimów. Muzyka była dość prosta, tak aby każdy mógł ją podchwycić. A potem, kiedy śpiew zdawał się ogarniać całą salę, coś się łamało, kolejno milkli wykonawcy, twarze sztywniały, wracała pantomima, głuchła fałszująca orkiestra, pozostawał tylko dramatycznie wybijany na werblu rytm.

W czwartek na zamkniętą próbę generalną (w piątek miał być pokaz dla cenzury) przyszła masa ludzi, chyba nawet zauważyłem Lidkę, zjawił się nasz dziekan, docent Samsonowicz, moja matka, Helena z Włodkiem (choć wcale ich nie zapraszałem), odchodzący weterani „Hybryd”: Pietrzak, Kofta, Kreczmar, red. Ibis z „Życia”, Henio Malecha z STS-u...

Może tego wieczoru chcieliśmy za dobrze, może zespół był zmęczony próbami, w każdym razie nie wyszło to tak, jak chcieliśmy, etiudy szły jakby zgaszone, songi za wolno. Mimo owacji miałem psychicznego kaca. Schowałem się w garderobie, ale odnalazł mnie tam Samsonowicz, ścisnął mi ręce i powiedział krótko: „Dobrze, panie Adamie!”.

– Jak na próbę generalną poszło akurat – ocenił Albert. – Ludzie zmobilizują się na premierę. Żeby tylko cenzura się nie przyczepiła. W czytaniu puścili, ale chcą jeszcze zobaczyć.

Helena też mi gratulowała, miała rumieńce na policzkach. Mówiła dużo i z zapalem, wyczuwałem jednak w jej głosie coś nienaturalnego.

– Czy coś się stało?

– Nie wiem, mam jakieś złe przeczucia. Ale to nie dotyczy sztuki!

– Chodzi ci może o ten jutrzejszy wiec „w obronie swobód demokratycznych”? Nic nie będzie, ludzie pokrzyczą i rozejdą się. Na KC nie pójdziemy.

– Nie potrafię określić powodu mego strachu. Wiem, że to jest bliskie. I jest tego dużo.

Dalszą rozmowę przerwał jej narzeczony, Włodek, trzymał w ręku butelkę wina i proponował oblać sukces.

Kiedy koło północy wyszedłem na pustą Mokotowską, było ciemno i wilgotno. Szedłem sam, lekko upojony, pełen planów. Goldkind obiecywał, że zabiorę się z zespołem na festiwal w Nancy. A potem, kiedy stałem na przystanku pod KC, czekając na nocny autobus, nie wiedzieć czemu przypomniała mi się scena z „Warszawskiego staccato”. Oto na wieść o wybuchu insurekcji z domów na przedmieściach, z dawnych jurydyk, wybiegają ludzie i kroczą ku Staremu Miastu tłumem coraz szerszym, coraz liczniejszym, biją dzwony i wszystkich ogarnia niewyraźne poczucie jedności. Jest w ciżbie i Joanna, i Czerkaski, syn wielkiego narodu, eks-szpieg, który otworzy ludowi Warszawy sekretne przejście do pałacu swego ambasadora...

\* \* \*

Wygrzebałem zapomnianą od dnia inauguracji studencką czapkę i pojechałem do miasta. O jedenastej byłem umówiony z Goldkindem w „Harendzie”. Chciał, żebym jeszcze dopracował song o honorze. Koło Teatru Polskiego minąłem kilka autokarów z napisem „Wycieczka”. Dłuższą chwilę rozglądałem się po zadymionej kawiarni. Zamiast Alberta przyszła Barbara.

– Wzięli go nad ranem – powiedziała. – Nie mam pojęcia dlaczego.

– Aresztowali Alberta? Przecież jego stary jest taką fiszą!

– Może właśnie dlatego.

Mój udział w wydarzeniach marcowych był dość ograniczony. Nie zostałem aresztowany, nie oberwałem milicyjną pałą. Około godziny pół do pierwszej, po karkołomnym skoku przez ogrodzenie za Pałacem Kazimierzowskim, znalazłem się na bezpieczeństwańskich terenach podskarpia.

Za mną pozostał zgiełk dziedzińca, przerwany w pół śpiew „Międzynarodówki” i krzyki bitych studentów. Musiałem zawrócić. Na Obożnej, przy bocznym wejściu na Uniwersytet kłębił się tłum. Wśród uciekinierów uczelni dojrzałem Helenę. Płaszcz miała pobrudzony, a policzek przekreślała potężna pręga.

– Jesteś – ucieszyła się. – Wszyscy poszli na Krakowskie, trzeba się tam jakoś przedostać! Szybko!

Na ulicy Karasia błysnęły kaski i tarcze. Kolejne natarcie! A nasza konstytucja? A nasze prawa obywatelskie? To, co się działo, nie mieściło mi się w głowie. Cały mój dobroduszny i przyjazny świat runął w kałużę jak ta nieszczęsna czapka.

– Cofnijmy się – zaproponowałem Helenie. – To nie zabawa!

– Nie bądź tchórzem!

Rozdzielił nas potok uciekających ludzi, silnie odepchnięty poleciałem znów w dół, ku ulicy Sewerynow i dalej... Czułem, jak podlegam wszystkim emocjom uciekającej masy, bezwolnie, a zarazem w łączności z nią. Zatrzymałem się dopiero na przystanku „Powiśle”. Świeciło słońce, ludzie ustawiali się pod kioskiem w kolejce po „Ekspres”. Przerażliwie normalnie. Jakby nic się nie zdarzyło. Tłumaczyłem sam sobie, że postąpiłem racjonalnie i tak nie dotarłbym na Trakt Królewski przez przecięte kordonami ulice. W domu, nie rozbierając się, padłem na łóżko i natychmiast zasnąłem jak kamień.

Obudziło mnie łomotanie do drzwi. Za oknami mrok. Na zegarku jedenasta. Otworzyłem i ze zdumieniem dostrzegłem na galerii Włodka.

– Nie ma tu Heleny? – rzucił. Wpuściłem go do środka, pokazując, że jestem sam.

– Bardzo się o nią niepokoję, nie wróciła do domu... Od chwili kiedy rozproszyli ich w Alejach, nikt jej nie widział. Jedna z koleżanek mówiła, że wciągnięto ją do jakiegoś ciemnego samochodu z zagraniczną rejestracją. Boję się...

Pomyślałem o przecuciach Heleny, ale wolałem o nich nie wspominać. Próbowałem pocieszać tego dużego mężczyznę o zacerwienionych oczach, tłumacząc, że wszystko się wyjaśni, a w najgorszym wypadku, jeśli ją zatrzymano, zostanie szybko zwolniona. Nie była przecież prowodyrem, nie interesowała się polityką, ktoś się pomylił, ktoś przedobrzył, a jutro na pewno wszystko się wyjaśni.

– Ech, idealisto! – westchnął Włodek.

Wyciągnąłem z piwnicy nalewkę jeszcze z zapasów babci. Mówiliśmy o przyszłości, potem znów o Helenie i chyba mi się wysnęło stwierdzenie: „ty szczęściarzu”.

– Ja szczęściarz, ja? – wybuchnął Włodek. – Niby z jakiego powodu?! Mam się cieszyć, że mogę być podnóżkiem bogini, wozić ją moim gratem, obsypywać prezentami? Przecież ja jestem dla niej nikim. Obstawą, w najlepszym wypadku przyjacielem.

– Ale to taka wspianiała dziewczyna...

– A co ja z tego mam? Przecież nie da się nawet tknąć. „Te rzeczy wyłącznie po ślubie” – zorientował się, że powiedział zbyt wiele, więc lekko zveksłował temat: – Znam się na

kobietach, a Helena... Ciągle nie wiem, kim właściwie jest. Czasami przeraża mnie łatwość, z jaką odgaduje moje myśli...

Koło północy przyszedł Waldek. Na kilometr śmierdział wódką i ledwo trzymał się na nogach.

– Konspiracyjka? – rzucił na nasz widok. – No i widzisz, jak się doigrali wasi koleżkowie z pejsami? Tatusiowie na wysokich stołeczkach nie pomogli... Prowokacja nie wypaliła!

– Jaka prowokacja – krzyknąłem. – Przecież sam byłem na miejscu i wiem...

– A co ty wiesz, miejski dzieciaku na białym chlebkcu chowany. Toczy się brutalna walka o władzę nad światem. Wróg nie zawahał się wykorzystać naszych narodowych świętości. A przecież wiadomo, kto za tym stoi i czemu to służy.

– I dlatego bije się bezbronną młodzież?

– Do której dołączyły elementy chuligańskie. Ulica nie jest miejscem dialogu i trzeba się tej prawdy nauczyć.

– Pierdolisz, kmiocie! – powiedział nagle Włodek. – Wyczuleś swoją szansę. No to idź, bierz ją...

Waldek poderwał się z pięściami, ale plasowany cios odrzucił go z powrotem na fotel. Na wszelki wypadek wyprowadziłem mego gościa z domu.

– Idzie czas dla Waldków – powiedział na pożegnanie Włodek. – Tu masz mój telefon, jakby Helena odezwała się...

– Oczywiście.

Gdy wróciłem, osowiały Waldek kończył pić z gwinta nalewkę.

– Burzuj – warknął. – I syjonista. Ty wiesz, że jego matka była z domu Birkenfeld?

Ponieważ nie zaszczyciłem go odpowiedzią, Waldek wstał i mrużąc „Polska dla Polaków!”, poszedł uwalić się na wyrko.

Helena nie wróciła ani w sobotę, kiedy ruszyła Politechnika, ani w niedzielę, ani w poniedziałek... Ze stałych kontaktów z Włodkiem wiedziałem, że nie odnaleziono jej w szpitalach i wśród zatrzymanych – jej stryj, sędzia, zbadał rzecz dość gruntownie. Po Krakowskim poczęła hulać plotka o utajonych ofiarach śmiertelnych, na jednej z klepsydr ktoś nabazgrał długopisem nazwisko Heleny. A we wtorek otrzymałem urzędowe wezwanie do Pałacu Mostowskich. Przekraczając bramę nie miałem wątpliwości, że drzwi zamykają się za mną na zawsze. Ani chybi chodzi im o moje songi. Chociaż, dlaczego w takim razie zwolniono Goldkinda?

Przesłuchujący inspektor zaskoczył mnie uprzejmością i inteligencją. Z wyglądu mógł być równie dobrze dziennikarzem lub młodszym pracownikiem naukowym. Nie pytał ani o „Teatryk Absolutny”, ani o Alberta, nie zastosował wobec mnie przemocy fizycznej czy moralnej. Interesowała go Helena. Wydawał się zaniepokojony jej zniknięciem. Powiedziałem wszystko z wyjątkiem tego, że namawiała mnie do demonstracji.

Podziękowano mi, dano numer telefonu „gdybym coś sobie przypomniał” i – o cudzie – byłem wolny.

Helena wróciła do domu w czwartek. Trochę zmęczona, z podkrążonymi oczami, ale absolutnie cała i zdrowa. Wszystkim mówiła, że oszołomiona gazem łzawiącym doznała w pewnym momencie zawrotu głowy, a później straciła pamięć.

– Tak jakbym wjechała w tunel... – tłumaczyła. – Niczego nie pamiętam aż do momentu, kiedy ocknęłam się wśród bezlistnych krzaków w lasku między Nadarzynem a Podkową Leśną.

Przypuszczała, że zanik pamięci trwał najwyżej godzinę. Napotkany mężczyzna na rowerze wskazał jej drogę. Dopiero na stacji WKD zorientowała się, że upłynął prawie tydzień. Co się mogło z nią dziać? Miała przy sobie torebkę i skrypt, z posiadanych pieniędzy nie brakowało ani grosza, ba, ktoś w międzyczasie musiał uprać jej garderobę, bo owego ranka była świeża i czysta... Mimo wysiłków, nagabywań rodziny, psychologa i funkcjonariuszy, nie udało jej się przypomnieć sobie nic więcej. Włodek, zasepiony i nieufny, podejrzewał, że narzeczona nie mówi całej prawdy. Zwierzył mi się, nie wiem czemu akurat mnie wybrał na powiernika, że nie wyklucza jakiejś szalonej eskapady z nieznanym mężczyzną.

I mnie przychodził na myśl przystojny cudzoziemiec ratujący ją z przerażonego tłumu, a trochę szaleństwa w jakiejś ustronnej willi, przy pełnej dyskrecji...

Tymczasem wiosna protestu wygasła. Przeżyliśmy jeszcze strajki i demonstracje, atoli coraz słabsze. Nasz wydział nie został rozwiązany, więc nie wzięto mnie w kamasze, a dziejowa burza przeszła koło mnie bokiem. „Teatrzyk Absolutny” rozpadł się. Goldkind wyjechał z rodziną do Izraela, aby ostatecznie osiąść w Berlinie. Raz na zawsze zrezygnowałem z uprawiania poezji. Powolutku zaczęło mi się wieść jako krytykowi. Dostałem okienko felietonisty w tygodniku „Kultura Studencka”. Waldek wyprowadził się przed wakacjami. W ZMW szybko piął się w górę. Równocześnie wstąpił do partii. Moja mała Grażyna zdała maturę i przesiadywała u mnie całe noce. I zaczął się czerwiec...

## Rozdział IV

# Dziwny kontrakt

Nieliczni, którym trafił w ręce przechowywany w archiwum w Norymberdze manuskrypt niejakiego Hansa Müllera, pod koniec wojny zastępcy komendanta jednego z obozów na terenie okupowanej Polski, z pewnością musieli trafić tam na opis pewnego wydarzenia, które, rzecz dziwna, nie zostało nigdy upublicznione. Może wyglądało na zbyt nieprawdopodobne, a może ci, którzy czytali spisywane w więzieniu pamiętniki owego standartenfuhrera, uznali opis za konfabulację autora.

Wczesną wiosną roku 1944 zgłosił się do niego pewien obcokrajowiec, legitymujący się paszportem szwajcarskim na nazwisko Peter Hoffbach, ze zgoła niezwykłą ofertą. Chodziło ni mniej ni więcej tylko o wypożyczenie na tydzień jednego z więźniów (konkretnie nr 567892, czyli Pierra Leblanca, lat 22, aresztowanego za przynależność do ruchu oporu). Prośba poparta została znaczną kwotą w dolarach.

Müller, choć stuprocentowy nordyk i wypróbowany członek Partii, nie chwalił się w swych wspomnieniach ani handlem z Polakami, ani interesami prowadzonymi na własny rachunek. Wojna zbliżała się ku końcowi i z pewnością myślał o jakichś zabezpieczeniach na przyszłość. Napisał za to, że podjął grę z Hoffbachem. Nie dlatego, żeby spełnić zachciankę Szwajcara, ale żeby zgodnie z obowiązkiem wobec Ojczyzny zbadać, o co chodzi.

– Czy mógłby pan sprecyzować swoją propozycję, Herr Hoffbach? – zapytał

– Wydaje mi się, że wyraziłem się jasno: w zamian za pięć tysięcy dolarów chciałbym, aby ów Leblanc mógł opuścić obóz i bezpiecznie dotrzeć we wskazane miejsce. Ręczę, że po tygodniu może być z powrotem.

– Jakie miałbym gwarancje powrotu więźnia?

– Moją osobę – rzekł Szwajcar. – Mogę być pańskim zakładnikiem.

W ciągu dalszej rozmowy komendant usiłował wysondować, kim jest ów młody człowiek wart taką kupę pieniędzy: przywódcą maquis, naturalnym synem de Gaulle'a czy jedynym posiadaczem jakiejś naukowej tajemnicy?



– Nie jest nikim, kto mógłby was zainteresować – padła odpowiedź. – To sierota, wychowanek domu opieki, później student medycyny, szeregowy członek Ruchu Oporu...

– W takim razie, dlaczego chcecie jego uwolnienia i to na tak krótko. To jakiś wasz krewny?

– Powiedzmy... potrzebujemy go w celach... badawczych. Prowadzimy pewien program na temat teorii dziedziczenia. I możliwość kompleksowego zbadania tego człowieka byłaby dla nas wyjątkowo cenna.

Muller postanowił grać na zwłokę. Mógłby oczywiście oddać Szwajcara w ręce gestapo, a Francuza rozwalić, ale nie zdecydował się na taki krok. Mimo częstych zaprzeczeń, z kart pamiętnika wyziera duże zainteresowanie transakcją. Na początek standartenfuhrer dyskretnie zasięgnął informacji o Hoffbachu – lekarz z Zurychu nie figurował w żadnej kartotece wrogów Rzeszy. Podobnie wypadł wywiad w sprawie Leblanca; nie notowany. Mimo półrocznego pobytu w obozie, młody Francuz trzymał się całkiem nieźle. Nie chorował. Badający go lekarze nie stwierdzili żadnej organicznej anomalii, podwójnego serca, siedmiu palców czy rzadkiej grupy krwi. Robił wrażenie przeciętnego. Kapo z jego bloku też nie miał wiele do powiedzenia. Leblanc cieszył się opinią więźnia subordynowanego i lubianego. Pomagał swym towarzyszom niedoli; umiał leczyć zwichnięcia, robił z palonego chleba leki na biegunkę... Kapo twierdził, że Leblanc używa w swych zabiegach leczniczych magii, że potrafi odjąć ból głowy lub dotykiem złagodzić cierpienia konających na raka. Tej ostatniej informacji Müller nie potraktował serio, zarówno kapo jak blokowi byli ludźmi ciemnymi i prymitywnymi, skłonniymi wierzyć w gusła i zabobony.

– Sprawa jest trudna – powiedział następnego dnia Szwajcarowi. – Skąd miałbym pewność, że wypuszczenie Leblanca nie będzie działaniem na szkodę Rzeszy? Musiałbym dokładnie znać wasze cele i zamiary...

Hoffbach odpowiedział, że nie ma żadnych ukrytych celów i podwoił stawkę.

„Dla dobra sprawy” – pisał esesman – „udałem, że akceptuję warunki. Szwajcarowi z bliżej nieokreślonych przyczyn zależało, aby akcję przeprowadzić z początkiem następnego tygodnia. Leblanc miał zostać przeniesiony do komanda wykonującego prace poza obozem, jemu samemu przypaść miało porządkowanie ogródka wicekomendanta. Ustalono, że upozoruję ucieczkę. W istocie miał zostać ukryty w mojej willi. Po odczekaniu dwóch dni obiecałem przewieźć go swym samochodem (bez kierowcy) na stary cmentarz, gdzie miał przejąć go towarzysz Szwajcara...”

– A co miałyby się stać z nim po powrocie? – pytał Hoffbacha. – Nie chciałbym, żeby kiedykolwiek zdradził moją rolę...

– Jego los jest nam obojętny, choć oczywiście, jako człowiek wolałbym, żeby przeżył...

Na kolejnych kartach Müller opisał swój plan. Zamierzał dopuścić do ucieczki tylko po to, aby dowiedzieć się, po co Francuz potrzebny był współpracownikom Hoffbacha, który miał pozostać u niego jako gość. Czytaj: zakładnik.

Plan pokrzyżowali, zresztą niechący, jego zwierzchnicy. Akcja ustalona została na najbliższy wtorek, natomiast dwa dni wcześniej Müller został wezwany na odprawę do Berlina, i musiał pozostać tam do piątku. Zadzwoił do Hoffbacha, który zatrzymał się w hotelu, proponując następny tydzień. Szwajcar na moment zaniemówił, a potem bardzo grzecznie obiecał zgłosić się w kolejny poniedziałek...

W tym miejscu warto zacytować fragment wydanych w Londynie wspomnień Sokoła, dowódcy polskiego oddziału partyzanckiego, działającego w okolicznych lasach.

„11 kwietnia podjęliśmy próbę odbicia więźniów politycznych z pobliskiego obozu koncentracyjnego; mimo współpracy z obozową konspiracją i stosunkowo niezłego uzbrojenia ponieśliśmy wielkie straty, uwalniając zaledwie trzech przypadkowych więźniów, z których jeden, Francuz, zmarł z wycieńczenia...”

Opublikowany tekst został jednak z niewiadomych powodów ocenzurowany. Pełna wersja znajdowała się do lat 80. w Instytucie Sikorskiego, po czym w tajemniczy sposób wyparowała. Zachował się jednak odpis w archiwum rodzinnym.

„Plan odbicia grupy więźniów z obozu rozważany był przez nas od dość dawna, odkładaliśmy go jednak wielokrotnie ze względu na duże ryzyko i siły nieprzyjaciela. 8 kwietnia 1944 chłopską furmanką dotarł do partyzanckich straży cudzoziemiec, Szwajcar. Podawał się za współpracownika brytyjskich służb wywiadowczych i zaproponował mi pomoc w ataku na kontzentrationslager. Twierdził, że w baraku XI znajduje się pewien Francuz, as wywiadu, którego odbicie ma ogromne znaczenie dla aliantów. Czas naglił – więźniowi nr 567892 w każdej chwili groziła egzekucja. Akcję należało przeprowadzić najpóźniej we wtorek.

Początkowo odmówiłem, obawiając się prowokacji. O Szwajcarze nie miałem sygnałów z dowództwa, a mój zastępca, porucznik „Pustułka”, wręcz sugerował, aby podejrzanego osobnika rozstrzelać. Dlaczego tego nie zrobiłem? Dalibóg, nie wiem.

Przez wszystkie te lata zastanawiałem się nad moim postępowaniem i doprawdy nie potrafię sobie wszystkiego wytłumaczyć. Im dłużej trwała moja rozmowa ze Szwajcarem, tym bardziej miękłem, przyjmowałem jego argumentację. Jak ptaszek hipnotyzowany przez węża nabierałem przeświadczenia, że cudzoziemiec mówi prawdę. Zwłaszcza gdy przedstawił mi dokładny plan obozu z zaznaczonymi posterunkami, stanowiskami broni maszynowej, godzinami zmian wart. Propozycję poparła pokaźna suma dolarów, a następnego dnia dostarczono nam znaczną partię nowiuteńkiej broni...

Również moi ludzie szybko zmienili zdanie a „Pustułka” po krótkiej rozmowie przemienił się w najgorętszego orędownika Szwajcara. Później, po akcji, wszystkim nam wydawało się, że działaliśmy jak we śnie...

Operację, wyznaczono na poniedziałek. Morale esesmańskiej załogi, i tak słabe po Stalingradzie, dodatkowo obniżył fakt wyjazdu komendanta i jego zastępcy, tego bydlaka Müllera.

Plan ataku wydawał się niezły. Oddział bojowy podzieliliśmy na cztery mniejsze jednostki. Pierwsza grupa miała wysadzić mostek, którym mogły nadejść ewentualne posiłki i przerwać główny kabel zasilania elektrycznego, co winno pogrążyć obóz w mroku; drugiej, z dwoma ciężkimi karabinami maszynowymi, wyznaczaliśmy atak na gmachy komendantury i koszary. Trzecia miała przeciąć druty ogrodzenia i dotrzeć do baraków XI i XIII, aby uwolnić więźniów... Grupę czwartą przeznaczono na ochronę i odwód akcji. Las odległy był zaledwie o kilometr. Mieliśmy kilka koni. Powinno być się udać”.

Piętnaście po pierwszej w nocy „Mirek”, człowiek z obozowej konspiracji, wśliznął się do baraku XI.

– Chodź i nic nie mów – szepnął słabą francuszczyzną do Leblanca. Pierre zsunął się z pryczy, jego sąsiad, Grek w drugim stopniu muzułmaństwa, nawet się nie poruszył. Poszli wąskim korytarzem między pryczami, pełnymi chrapliwych oddechów, gdzieś z kąta dolatywały ciche jęki umierającego, aż dotarli do drzwi. I tu Francuz stanął.

– Non – powiedział.

– Musimy – naciskał Mirek.

Leblanc szwargotał coś po swojemu, zapierając się nogami, ale Mirek, nie ułomek, wypchnął go na dwór. I natychmiast pożałował swego kroku. Zza węgła wyłonił się tęgi, mocno podpity Niemiec, który najwyraźniej pomylił drogę między barakami.

– Halt! – zawołał, trzeźwiejąc na widok dwóch postaci w pasiakach. Sięgnął po broń...

Mirek nie mógł czekać. Świsnął nóż i wbił się w szyję strażnika. Seria z automatu poszła w niebo. Szybko pociągnął Francuza w kierunku płotu. Niestety, w obozie podniósł się alarm. Z wieżyczki strażniczej zaterkotał karabin maszynowy. „Sokoła” przycupniętego w kępie drzew, sto metrów od obozowej bramy, ogarnęła wściekłość. Za wcześnie!

Tymczasem druga grupa otworzyła ogień na komendanturę. A gdzie była reszta? Dwójka uciekinierów przemykała między barakami, gdzie uchwycił ich reflektor i przyszpilił jak ćmy do drewnianej ściany.

– Będą strzelać! – przemknęło Mirkowi.

W tym momencie jednak, jak ucięte nożem, światło zgasło. Intuicyjnie przypadli do ziemi. Seria poszła ponad nimi. Znów biegli, ledwie widoczni w ciemności. Jeden skręt, drugi. Ostatnia prosta. Lada moment zza chmur mógł wyłonić się księżyc.

– Żeby tylko druty były przecięte w umówionym miejscu!

W pobliżu bramy wybuchła gwałtowna strzelanina. Więźniowie, którzy wybiegali z baraków, potęgowali chaos. Wreszcie Mirek zobaczył otwartą przestrzeń, partyzanci machali spoza drutów, zbawczy otwór był tuż, tuż... I wówczas zorientował się, że zgubił Francuza...

\* \* \*

Podoficer Stampke dostrzegł uciekiniera w momencie, gdy ów przebiegał przez alejkę opodal łązni. Mimo ciemności obozowe łąchy były znakomicie widoczne. Stampke wiedział,

że zbieg musi być jego. Strzelanina przy komendanturze była w tym momencie dużo mniej istotna. Jak dobry ogar skoncentrował się na uciekającym zającą.

– Złapię go gołymi rękami – pomyślał Niemiec, widząc że uciekinier najwyraźniej zmylił drogę. – Sam lezie w pułapkę.

Po wybiegnięciu zza zakrętu Leblanc znalazł się na niewielkim placu, przed ścianą poraną przez kule niezliczonych egzekucji. Wzrokiem zagonionego zwierzęcia omiół zamkniętą przestrzeń dookoła. Za nim na plac kaźni wpadł Stampke. I wtedy...

Leblanc zwierzył się „Sokołowi”, że nadludzkim wysiłkiem udało mu się pokonać dwupółmetrowy mur i wylądować na zewnątrz.

Müller, otrzymał od swego podoficera zupełnie inną relację.

– To był cud – mówił rozdygotany Stampke. – Ścigany, przyparty do muru złożył ręce i, Mein Gott, niech mnie szlag trafi, jeśli tego nie widziałem, począł unosić się do góry!

– Bredzicie, a jeśli nawet skoczył, trzeba było strzelać.

– Kiedy nie mogłem poruszyć ręką ani nogą, panie komendancie. A więzień, jak znalazł się nad murem, przesunął się ponad nim i opadł lekko po drugiej stronie.

Przedwczesny alarm pokrzyżował plany partyzantów, uciekło ledwie paru więźniów, a wycofujący się oddział „Sokoła” trafił pod silny ogień esesmańskich odwodów. Zginęło jedenastu partyzantów, sześciu było rannych.

Leblanc po nocy spędzonej w ziemiance odjechał następnego dnia ze Szwajcarami, „Sokół”, rozgoryczony porażką, zapisał w raporcie, że Francuz zmarł z wycieńczenia.

Müller od razu zorientował się, kto był inspiratorem ataku na obóz, zwłaszcza że wśród uciekinierów znalazł się nr 567892. Usiłował odszukać Hoffbacha. Ten jednak przepadł. Pokój hotelowy był pusty. Dopiero po dwóch miesiącach, przy pomocy kumpla z gestapo, ustalili, że parę dni przed atakiem na obóz, w pobliskim miasteczku zatrzymała się para obywateli szwedzkich (starszy mężczyzna i jego córka). Przebywali tam pięć dni. Przyciśnięta przez Müllera gospodyni, która wynajęła im pokój, zeznała, że po jakimś czasie dołączył do nich trzeci gość, wychudzony, ciemny mężczyzna o zapadniętych policzkach.

– Co robili? – dopytywał się śledczy esesman.

Pani Ratschko zaczerwieniła się.

– Nie jestem osobą wścibską, ale to, co przypadkiem widziałam, przekraczało wszelkie granice przyzwoitości. Chudy mężczyzna i młoda Szwedka przez pięć dni prawie nie wychodzili z łóżka, a rzekomy ojciec spędzał czas w restauracji, wesoło pogwizdując. Obraza boska!

Ustalono, że mniej więcej w tydzień po ataku na obóz, państwo Langström opuścili Rzeszę, udając się do Szwecji, do Uppsali. Później okazało się, że ich paszporty i personalia były fałszywe. A rysopis starego Szweda dziwnie odpowiadał wizerunkowi Hoffbacha.

Pierre Leblanc nie pojechał z nimi, a mimo to przeżył. Ukryty przez polską rodzinę dotrwał do wyzwolenia, a później z polską żoną wyjechał do swego kraju. Nigdy nie

wspominał o tym, co robił przez tydzień po ucieczce z obozu. Zaginął na początku lat pięćdziesiątych podczas samotnej zimowej wspinaczki w Alpach.

Müller z ciekawości ustalił jego pochodzenie: wychowanek domu opieki w Lyonie był synem niejakiej Pierrette Ducroix, artystki cyrkowej. Tak przynajmniej wskazywały dokumenty, które wraz z rocznym dzieckiem i pokaźną kwotą gotówki dostarczył do zakładu upoważniony prawnik. Jego zaginionej matki nikt nie widział od chwili, gdy przepadła w dniu własnego ślubu. Ojciec (Leblanc było nazwiskiem przybranym – notariusz lubił autora powieści o Arsenie Lupin) pozostał nieznany...

## Rozdział V

# Tajemnica Heleny

Czerwcowe noce bywają krótkie jak przymknięcie oczu w miłosnym zatraceniu. Pierwszego dnia wycieczki naukowej po ziemi kieleckiej, sandomierskiej i lubelskiej zjechaliśmy na nocleg do Radomia. Przy kolacji, ku mojemu zaskoczeniu, natknąłem się na Piotrkiewicza. Jurek Piotrkiewicz, nieduży, kudłaty chłopaczyna z Pasłęka, był moim kolegą z jednej grupy seminaryjnej. Jego widok na tle pomalowanej w picassy ściany restauracji zdziwił mnie, ponieważ powinien znajdować się akurat na mym poddaszu pod Warszawą. Ważne zaliczenia miały zatrzymać go na uczelni. A poza tym dostał klucz...

Po zwolnieniu pokoju przez Waldka, wieść o wolnej chacie u Adama rozeszła się lotem błyskawicy. Nie było dnia, by jakiś znajomy znajomego nie przychodził do mnie uśmiechając się głupkowato z pytaniem, czy nie dałbym klucza na godzinę, dwie? Co miałem robić, dawałem, zwłaszcza, gdy miałem w planie dłuższy pobyt w bibliotece, kino czy kolację u któregoś z rodziców. Dzięki swej szczodrości zdobyłem grono oddanych przyjaciół, a prócz wdzięczności często otrzymywałem jeszcze pół litra, fajną książkę czy notatki z socjologii. Pieniądzy naturalnie nie brałem, uważając, że istnieje nieprzekraczalna bariera przyzwoitości.

Sama obecność Piotrkiewicza wskazywała, że coś poszło nie tak. Po kolacji wyjaśnił mi cicho, że zaliczenie oblał, a dziewczyna się rozmyśliła, więc postanowił przynajmniej uczestniczyć w objeździe, skoro są wolne miejsca. Kiwnąłem wyrozumiale głową i wyciągnąłem rękę po klucz. Jurek zaczerwienił się.

– Wyobraź sobie, spotkałem wczoraj wieczorem Helenę, zgadało się o tobie... A kiedy wspomniałem o kluczu, zapytała, czy mogłaby go wziąć na jeden dzień. Co miałem zrobić...

Helena odwiedziła mnie dotąd tylko raz, i to z Włodkiem. Czyżby chciała się spotkać z kimś za jego plecami? Czy planowała to wcześniej? Na objazd nie pojechała, twierdząc, że jest chora...

– Nie czuła się chyba najlepiej i wyglądała na lekko wstawioną – dorzucił Jurek.

Tak mnie to zdenerwowało, że zamiast udać się na koleżeńską popijawę, poszedłem spać. Chyba źle zrobiłem. Szybko ogarnął mnie dziwny sen, niesamowity, przykry. Oto biegłem

pusztą plażą i choć zapadała noc, panowała tam iście dzienna jasność. Tyle że chłodna. Nad morzem wisiały dwa czy trzy świetliste punkty, niczym rozmnożone księżycy, krążki połyskliwe, niepokojące. Droga prowadziła stromo pod górę, ale jakaś siła kazała mi biec, gdy tymczasem piasek pod stopami drgał jak żywy organizm. Naraz spod wydm poczęły wysuwać się ręce, ręce drgające, wyrastające niczym pustynna trawa. Ręce, które starały się złapać mnie za kostki. Biegłem dalej, uskakując natarczywym dłońmi, a wydma zdawała się nie mieć końca. I nagle, gdzieś spoza niej dobiegł mnie krzyk rozpaczliwy, bolesny: „Adamie, Adamie!” Znałem ten głos, choć nigdzie nie było widać wołającej.

„Adamie, ratuj!”

Na łądce zacisnęła się koścista łapa. Kopnąłem ją drugą nogą. Pękła jak balon, a ze środka wysypała się nieprawdopodobna mnogość robactwa. Gnałem dalej, umykając trupim rękoma, aż dotarłem do szczytu... I obudziłem się...

Fosforyzujący zegarek wskazywał dopiero dwunastą, z restauracji na dole dolatywały odgłosy dancingu. Byłem w pokoju sam, koledzy jeszcze nie wrócili z zabawy. Serce łomotało mi szybko, a strach nie ustępował. Nawet kiedy zapaliłem światło.

„Adamie...”

Uniosłem głowę i przez ułamek sekundy mignęła mi w lustrze zapłakana twarz Heleny. Jak wtedy w Rychłowie czułem, że dzieje się coś naprawdę niedobrego. Tyle że teraz byłem oddalony od niej o ponad sto kilometrów. Wiedziony nagłym impulsem, ubrałem się i wyszedłem z hotelu. Trwała ciepła, cokolwiek duszna czerwcową noc.

– Sie masz, stary! – przez uchylone drzwi hotelowej restauracji wypłynęła grupka gości. A wśród nich Czesiek Goleń, nasz akompaniator z „Teatryku Absolutnego”, w późniejszych latach znany pod pseudonimem Wiktor Wektor.

– Co cię tu zaniósł? – zapytał.

– A ciebie?

– Dla chleba, panie, dla chleba – zaśpiewał i pociągnął mnie do towarzyszących mu kobiety i mężczyzny. – Wandę pewnie znasz, a to jest Romcio, nasz wesoły impresario. Wracamy właśnie z błyskotliwego tournée – Ryki, Kozienice, Pionki, Końskie i wpadliśmy tu na kolację. To mój kumpel ze studenckiego teatryku.

Panią Wandę znałem jak każdy konsument telewizyjnej siczki. W naszym środowisku uznawana była za podstarzałą gwiazdę dla kucharek, niemniej jej płyty rozchodziły się w setkach tysięcy egzemplarzy.

– Musimy się pospieszyć – powiedziała piosenkarka, ignorując mnie. – Przecież nie dojedziemy w godzinę do Warszawy, a rano muszę być wypoczęta przed spotkaniem w telewizji.

– Jak się musi, to się zrobi – mruknął pan Romcio, kierując się ku zaparkowanej przed hotelem wołdze.

– A czy mógłbym się zabrać z państwem? – zapytałem, sam dziwiąc się swojej beczelności. – Zapomniałem z domu mojego referatu...

– Nie ma problemu – stwierdził Czesiek. Gwiazda nie wyglądała na zadowoloną, ale impresario uznał, że dodatkowy pasażer nie robi mu różnicy.

Jechał jak wariat, przekraczając średnio dwukrotnie ograniczenia szybkości. Gdzieś po godzinie pani Wanda wysiadła przed swoją willą na Saskiej Kępie, nawiasem mówiąc razem z Cześkiem, chyba łączyło ich coś więcej niż współpraca zawodowa, a pan Romcio spytał, gdzie mnie podrzucić.

– Na najbliższy postój taksówek, do Anina trochę za daleko.

– Do Otwocka jeszcze dalej – powiedział organizator. – Przypadkowo mieszka pan na mojej trasie. – A gdy ruszyliśmy, dodał: – Ależ pan zdenerwowany... Coś się stało?

– Mam złe przeczucia – powiedziałem wymijająco.

Za dziesięć drugą staliśmy na piaszczystej drodze wśród sosen. Nie pożegnawszy się nawet z panem Romanem, przesadziłem symboliczny płotek i wbiegłem na górę. Przez moment przyszło mi do głowy, że jeśli Helena jest z jakimś facetem, wywołam niezłą aferę. Zastukałem do drzwi. Cisza. Stuknąłem mocniej. Drzwi same otworzyły się przede mną. W środku panowała ciemność. Wbiegłem, wołając Helenę i nagle pomiędzy pokojami potknąłem się o coś miękkiego, leżącego na podłodze

– Heleno!

Impresario jeszcze nie odjechał, być może czekał zaintrygowany moją tajemniczością. Wspólnie znieśliśmy bezwładną dziewczynę do wozu, pozbieraliśmy fiolki po proszkach i trąbiąc co chwila, pognaliśmy w stronę kolejowego szpitala w Międzyzlesiu.

\* \* \*

Helenę pozwolono mi zobaczyć dopiero po dwóch dniach. Kiedy wszedłem, blada, nieomal przezroczysta, długo wpatrywała mi się w oczy.

– Dlaczego to zrobiłeś? Po co mnie uratowałeś? – szepnęła, odwracając głowę.

– Ponieważ chciałaś żyć. Wzywałaś mnie.

– Na pewno nie! Moje życie nie ma sensu.

– Nie wolno ci tak mówić. Może jesteś chwilowo załamana... ale

– Nic nie wiesz, a ja jestem sama, nie mam już nikogo bliskiego, ani rodziców, ani Włodka... Odtrącili mnie.

– Niemożliwe! Poza tym masz mnie – powiedziałem dobitnie.

– Nie wiesz, co mówisz! Naturalnie wiem, że mnie kochasz – z wrażenia aż usiadłem. – To znaczy kochałaś mnie... Ale gdy prawda dotrze i do ciebie...

– Jaka prawda...?

– Uznasz mnie za dziwkę!

– Nigdy w życiu!



Poderwała się na łóżku, a na pobladłą twarz wystąpiły rumieńce.

– Jestem w ciąży.

Nie powiem, trochę mnie to zabolalo, ale powiedziałem spokojnie.

– To się zdarza.

– Nic nie rozumiesz. Nikt mi nie wierzy, ale ja naprawdę nie wiem, jak do tego doszło? Nigdy w życiu nie spałam z mężczyzną, przynajmniej świadomie. To musiało wydarzyć się wtedy, no wiesz, kiedy straciłam świadomość...

– Rozumiem...

– Ale wiesz, jakie były reakcje moich najbliższych, kiedy podałam im wyniki testów? Matka kazała mi się wynosić z domu, Włodek nazwał kurwą... A jak się rozniesie po naszym wydziale... To koniec!

Czasami niezwykle pomysły przychodzą człowiekowi w mgnieniu oka. Moja decyzja miała szybkość światła. Czy przypadkiem nie miałem do czynienia z jedyną szansą na milion?

– A gdybym... gdybym poprosił cię o rękę, Heleno? – usłyszałem własny głos, cichy, ale zdecydowany.

\* \* \*

Ślub wzięliśmy w parę tygodni później, cichy, bez rozgłosu, u zaprzyjaźnionego proboszcza w podwarszawskim, ukrytym wśród lasów kościółku. W czasie ceremonii obecne były tylko rodziny, wliczając mego stryjecznego brata Karola oraz dwóch czy trzech kolegów z dzieciństwa, obecna była też jedna przyjaciółka Heleny. Zaczęły się właśnie wakacje, wszyscy się porozjeżdżali, dzięki czemu nasz mariaż nie wywołał większej sensacji wśród akademickich znajomych. Toteż w październiku widoczna ciąża traktowana była jak coś absolutnie naturalnego. Rodzina Heleny przyjęła wiadomość o naszym długotrwałym „romansie” ze zrozumieniem. Jej ojciec pomógł w urządzeniu mego poddasza. Włodek, co zrozumiałe, boczył się na mnie, ale rychło znalazł sobie wystrzałową dziewczynę z muzykologii.

Ceremonię zaślubin pamiętam jak przez mgłę. Chyba silniej przeżyłem spowiedź, pierwszy od lat rachunek sumienia człowieka, który wówczas nie wiedział nawet: wierzy czy nie wierzy? A potem były pocałunki, dzwony, fala słońca, która zalała nas po wyjściu na placyk przed kościołem. I dziwne dotknięcie chłodu, kiedy w perspektywie pustej uliczki dojrzałem wolno sunącą zagraniczną limuzynę.

\* \* \*

Byłbym nieuczciwy twierdząc, że moje małżeństwo było pokerowym wejściem w ciemno. Zostałem ostrzeżony i to parokrotnie. Zaraz po wypisaniu Heleny ze szpitala, kiedy

zawiozłem ją taksówką do mojej willi pod sosnami, zaparzyłem herbatę i pożerając wzrokiem ukochaną postawiłem dwa kubki na stole, powiedziała mi, patrząc prosto w oczy:

– Jesteś wspaniałym przyjacielem, Adamie, ale twoja propozycja nie ma sensu!

– Dlaczego?

– Bardzo cię lubię, ale to nie jest miłość... Skrzywdzę cię.

– Nie możesz mnie skrzywdzić, zostając ze mną! – zawołałem.

– Ale ja nie będę z tobą! – odparła równie impulsywnie. – To znaczy, nie potrafię być z tobą... I chyba z nikim. Po tym, co się zdarzyło, nie wyobrażam sobie, żeby...

– Dokończ!

– Żeby pójść do łóżka z mężczyzną. I cóż ci po takiej żonie? Bolesław Wstydlivy i błogosławiona Kinga?

– Boisz się bólu?

– Nie, tylko po prostu nie potrafię. I nie myśl, że podobają mi się kobiety...

– Dla mnie nie ma znaczenia, czy miłość będzie duchowa, czy fizyczna. Mogę cię kochać jak brat!

– Wydaje ci się.

Zapewne wiedziała, że kłamię. Że jestem przekonany, iż sama instytucjonalizacja związku sprawi, że wszystko się ułoży. Nawet w łóżku.

– Teraz szok był świeży, uraz zbyt silny, no i twoja ciąża. Będę czekać – deklarowałem.

W ciągu tygodnia pozałatwiałem formalności, przekonałem obie rodziny i czekałem. Delikatny, wyrozumiały, cierpliwy. Nie tragizowałem, gdy moje pocałunki natrafiały na chłodne, choć przyjazne usta, gdy zapuściwszy zbyt daleko ręce, czułem dreszcz przebiegający ciało Heleny i nie był to dreszcz rozkoszy, lecz niepokoju. A noce? Spaliśmy razem, żar buchający od jej młodego ciała ogarniał mnie niczym halny, jednak nawet lekkie dotknięcie zmieniało śpiącą dwudziestoparolatkę w bryłę lodu.

Może jedynie w noc poślubną poczułem słabą odwilż. Gdy zostaliśmy sami, a ja wziąłem zaślubioną w ramiona, pocałunki Heleny stały się prawdziwie gorące, a ona sama miękka i uległa. Osunęliśmy się na łóżko, nadzy, bliscy.. Naraz w bliskości drewniaka przeraźliwie zawył pies. Skowyt brzmiał jak wilczy zew, zapowiedź nieszczęścia. I stało się nieszczęście. Helena odsunęła się. Jej wypukły brzusek osrebrzyła smuga księżycowego światła.

– Teraz nie wolno – powiedziała.

Uczepiłem się słowa „teraz”. Zinterpretowałem je jako szansę na „kiedyś”.

## Rozdział VI

# Trop

Późną jesienią 1956 roku, wśród budzących grozę wiadomości ze Wschodniej Europy i Bliskiego Wschodu, kiedy w nieskończoność odmieniano słowa: agresja, wojna i zbrodnia, tylko wnikliwi czytelnicy prowincjonalnej sabaudzkiej popołudniówki mogli zwrócić uwagę na artykuł zatytułowany: „Co się stało z Etienne’em Garny?”

„Ambitny i pechowy” – tak pisał o nim kolega po fachu. Tacy jak on w sprzyjającej sytuacji zostają Stanleyami lub Kapuścińskimi, w niesprzyjającej powiększają grono żurnalistycznych frustratów, o spalonych nikotyną palcach i wiecznie nieświeżym oddechu. Marzeniem Garny’ego było zabyśnięcie materiałem niezwykłym, który utrwaliłby jego imię złotymi zgłoskami wśród świętych prasy. Niestety, zwykle przybywał spóźniony. Lub okazywał się nietaktowny. Wyleciał z „France-Soir” po niesprawdzonym materiale o pewnej gwiazdce, która wygrała potem proces z gazetą, i po półrocznym bezrobociu zaczął się w prowincjonalnej popołudniówce, skazany na relacje z miejscowych uroczystości i niezbyt ciekawych spraw kryminalnych.

Do takich większość reporterów zaliczyłaby ucieczkę z domu dla umysłowo chorych pacjenta bez nazwiska, który sam lubił określać się jako Doktor Reiner. Kierownictwo szpitala niewiele potrafiło o nim powiedzieć – przeważnie był pogrążony w apatii, choć miewał też wybuchy gniewu. Wymyślał wtedy lekarzom od ignorantów i łajdaków i dopiero uspokajający zastrzyk cofał go do stanu posepnej rezygnacji. Kiedy indziej ogarniał go paniczny lęk. Ryglował wtedy wszystkie okna i odmawiał wychodzenia z pawilonu. „Znajdą mnie, znajdą!” – powtarzał bełkotliwie. „Kto?” – dopytywali się pielęgniarki. Zamiast odpowiedzi chował głowę w ramionach i mamrotał coś, chytrze przewracając oczyma. Do szpitala trafił dziesięć lat temu, znaleziony na górskiej drodze z poważnymi urazami czaszki. Być może został potrącony, a może wyrzucono go z pędzącego samochodu. Cierpiał albo symulował zanik pamięci. Kiedyś powiedział o sobie Doktor Reiner i ten przydomek przyłgął do niego na stałe. W kieszeni jego zniszczonego ubrania znaleziono jeden frank szwajcarski. Czy był Niemcem, Szwajcarem czy Austriakiem? Sprawiał wrażenie człowieka

wykształconego – prócz niemieckiego, znał angielski, francuski i łacinę. Nie był Żydem, prędzej nazistą. Próżno próbowano odnaleźć człowieka o podobnym rysopisie na listach faszystowskich zbrodniarzy.

A zatem pojawił się. Bał się, a później uciekł.

Garny zajął się sprawą z wielkim zapalem. Uczestniczył w poszukiwaniach, rozmawiał z lekarzami... Twierdził, że znalazł swoją szansę. Blefował?

Aż któregoś listopadowego popołudnia ukazał się pierwszy artykuł pod tytułem: „Największa zagadka XX wieku”.

„Powiedzmy” – pisał – „że nasze oczy niczego nie widzą, a uszy niczego nie słyszą. Tymczasem od kilkudziesięciu lat prowadzony jest eksperyment, który może zmienić oblicze świata. W absolutnej dyskrecji, obok oficjalnej nauki, toczy swe wody podziemna rzeka, która być może wkrótce wytryśnie niezwykłym gejzerem. Dziś nie wie o niej nikt, poza pewnym straszliwie przerażonym lekarzem, od dziesięciu lat udającym wariata, i dziennikarzem, który go odnalazł. Lekarzem tym jest doktor Peter Reiner Sandler, z Locarno. Dziennikarzem – wasz Etienne Garny – kiedyś paryżanin.

Pierwszego października 1938 roku o godzinie 22.12 wspomniany doktor został wezwany do ciężko chorego. Przed domem oczekiwał na niego samochód z kierowcą. Doktor, obiecując żonie, że wkrótce wróci, wsiadł do auta, które zniknęło szybko w nocnej mżawce. Nad ranem rozbity pojazd znaleziono w korycie potoku o dwa kilometry od domu doktora. Trudno ustalić, czy wracał, czy też dopiero udawał się do pacjenta. W wodzie znajdowało się jedno zwęglone ciało. Po sygnecie, szczątkach okularów i złotej koronie na zębie rozpoznano lekarza. Nie udało się natomiast ustalić, do kogo należał zniszczony wóz, komu owej nocy miał złożyć wizytę doktor Sandler i dlaczego w rozbitym wehikule nie było kierowcy...

Od wielu lat lekarz uznawany był za zmarłego. Aż do momentu, kiedy w tydzień po jego ucieczce z domu dla umysłowo chorych, ja go odnalazłem. Człowieka od dziesięciu lat symulującego obłąd, lekarza, który dwukrotnie przeżył własną śmierć – doktora Petera Reinera Sandlera.

Dyskrecja, a także osobiste bezpieczeństwo lekarza nie pozwalają mi chwilowo ujawnić miejsca pobytu zbiega. Mam nadzieję jednak, że gdy wyjaśnię wszystko do końca, doktor Reiner śmiało stanie w świetle kamer i fleszów”.

Z pewnością młodemu dziennikarzowi można było zarzucić przesadną afektację, ale przyjęta stylistyka odpowiadała zamierzonej dramaturgii. Garny wietrzył sukces. Wierzył, iż z numeru na numer rosnąć będzie liczba przedruków z prowincjonalnej bulwarówki, a jego imię stanie się głośnie w światowych agencjach.

„Na czym polegał dramat doktora Sandlera? Najprościej mówiąc na zbiegu okoliczności. W finalnym etapie pewnego ważnego, ściśle tajnego eksperymentu zabrakło lekarza. Ten, który brał udział w dotychczasowych pracach, niespodziewanie zmarł na atak serca. Postarano się więc o zastępcę. O człowieka podobnego do zmarłego, ba, posiadającego nawet

koronkę na tym samym zębie. Po prostu porwano go... A potem uznano, że może się przydać na stałe.

Osiem lat „doktor Reiner”, praktycznie więzień, pracował w laboratorium nie mając pojęcia, gdzie się ono znajduje. Długo też nie mógł zorientować się, ku czemu zmierza program. Wyznał mi, że jego mocodawcy posiadali nadludzką siłę przekonywania, że hipnotyzowali go i sterowali nim na odległość. A gdy wreszcie przejrzał większą część ich planów i spróbował ucieczki, odnaleziono go. Czy postanowiono go zabić? Nie jest tego pewien, ludzie, w których ręce trafił byli fanatykami, ale nie mordercami, może więc uwierzono w jego amnezję i szaleństwo, a może uznano, że przebywając między czubkami nikogo nie sypnie. A jeśli spróbuje, nikt nie da wiary jego rewelacjom.

Nawet wolny Sandler długo nie chciał opowiedzieć mi wszystkiego. Ale przekonałem go. Dla dobra ludzkości...”

Ukazał się jedynie pierwszy odcinek reportażu redaktora Garny. Później udało się policji ustalić, że umieścił on doktora Reintera w niezamieszkanym domku w Alpach niedaleko Grenoble, sam zaś wyruszył do Szwajcarii, odnaleźć tajemnicze laboratorium. Po raz ostatni widziano go na lotnisku w Zurychu. Później nikt już go nie spotkał.

Doktor Reiner został odnaleziony po paru dniach, jak odziany w łachmany wędrował w stronę nizin. Sprawiał przygnębiające wrażenie, był głodny i wyczerpany. Jego stan psychiczny wyraźnie się pogorszył. Popadł w apatię i melancholię, przestał mówić. I chyba nie była to symulacja. Przewieziony z powrotem do swego dawnego zakładu, przeżył tam jeszcze dwa tygodnie w kompletnym odrętwieniu. Podobno tuż przed śmiercią na moment odzyskał świadomość.

– Bóg przybędzie tu wkrótce – wyszeptał, chwytając za rękę pielęgniarkę.

Potem skonał.

Na zakończenie materiału zamieszczonego przez sabaudzką popołudniówkę podsumowano wyniki dotychczasowych poszukiwań Etienna Garny, prowadzonych wspólnie przez policję francuską, włoską i szwajcarską. Obiecywano informować na bieżąco czytelników o wynikach śledztwa. Widocznie jednak nigdy nie odnaleziono ambitnego Francuza, bo nie ukazały się nigdy żadne wzmianki na ten temat.

## Rozdział VII

# Ojciec, mąż, kochanek

Łukasz urodził się w samym środku nocy sylwestrowej, kiedy nad Warszawą szalała zadymka. Zakładając, że został poczęty w trakcie tajemniczego zniknięcia Heleny, nie śpieszył się zbyt ze swym przyjściem na świat. Był spóźniony o dobre dwa tygodnie. Nie wiadomo, czy w ogóle wyrzałby na ów padół płaczu, gdyby nie skalpel dyżurnego chirurga, który zdecydował się na cesarskie cięcie. Łukasz ważył około pięciu kilo, i według wszystkich kobiet z naszych rodzin, był śliczny.

Helena promieniała szczęściem. Ja mniej. Nasze poddasze wypełniły pieluchy, z kuchni dolatywały zapachy podgrzewanych zupek, a moja żona, która dotąd poświęcała mi niewiele czasu, teraz nie miała go dla mnie w ogóle. Porcja czułości, którą obdarzyła wrzaskliwego berbecia, była tak wielka, że gdyby spotkało to kogoś innego, pewnie by się udusił.

Posłusznie czekałem na spełnienie danej mi obietnicy, ale po dwóch miesiącach moja cierpliwość zaczęła się kończyć. Którejś nocy natarczywiej próbowałem popieścić Helenę. Na trochę zwykle mi pozwalała, teraz jednak spróbowałem posunąć się dalej, a gdy napotkałem opór, zacząłem go łamać siłą. Gra miłosna przemieniła się w bezpardonową walkę. Niezaspokojona żądza przysłoniła mi dotychczasową powściągliwość, rozkrzyżowałem ramiona Heleny, unieruchomiłem wierzgające nogi. Nie przejmując się jej płaczem rozdzierałem kurczowo zaciśnięte kolana. Rzuciła mi jakąś obelgę. Uderzyłem ją w twarz! Rozluźniła się, dotychczasowe przeszkody znikły. Nagły płomień bólu targnął mną w okolice lewej łopatki. Na moment zapadłem w gęsty mrok. Trwało to może sekundę, ale sparaliżował mnie strach. Opadłem na poduszki, jak wyjęta z wody ryba łapiąc ustami powietrze.

Helena wysunęła się spode mnie i znikła w łazience. Czując szum w głowie i wysokie dźwięki dzwoneczków, przetoczyłem wzrokiem po ciemnym pokoju, w poszukiwaniu szklanki z niedopitą herbatą. I wówczas zobaczyłem dwa krążki płonące w ciemności dziwną zieloną poświatą. Musiała minąć chwila, nim zorientowałem się, że to błyszczą oczy Łukasza, wpatrującego się we mnie spoza kratki łóżeczka.

Od tej nocy spaliśmy z Heleną osobno. Było coraz gorzej, z każdym dniem, z każdą pustą nocą dawna miłość przeradzała się w nienawiść. Nienawidziłem jej, nienawidziłem dziecka, a nade wszystko przeklinałem własną naiwność. Rok w małżeńskim łożu jak Bolesław Wstydlivy ze świętą Kingą!

Rodzice Heleny przyspieszyli proces rozkładu zachwyceni dorodnym wnukiem, coraz częściej zabierali go wraz z matką na niedziele i święta. Dla nich sprawa ułożyła się wyjątkowo korzystnie – chłopczyk miał nazwisko, ojca, córka uniknęła hańby, a ja... ja przestałem być potrzebny.

Im dłużej przyglądałem się Helenie, tym trudniej było mi w tej zmęczonej i nerwowej kobiecie odnajdywać czarującą nimfę z Rychłowa. Może zresztą już nie chciałem jej widzieć. Może była to teraz inna osoba? Zamiast tryskającej energią, pogodnej dziewczyny, pewnej, że cały świat ma u swych nóg, w sąsiednim pokoju pochrapywała była studentka, która rzuciła studia. Zniknęły gdzieś jej rozległe zainteresowania i nasze wspólne pasje. Właściwie interesowała ją tylko dziecko. Godzinami potrafiła do niego przemawiać, pieścić je. Powstało między nimi zadziwiające porozumienie, mogło się wydawać, że stanowią jedność.

Czas płynął. Oddalaliśmy się coraz bardziej od siebie. Zrezygnowałem z daremnych zalotów. Unikałem też dziecka. W końcu nie było moje. Tylko nocami, kiedy nie mogłem zasnąć, wpatrywałem się w sufit, zadając sobie pytanie: dlaczego?

W Helenie zawsze było dużo dumy, demonstrowała też pewien rodzaj wyniosłości i to absolutnie naturalnej, jakby była córką księcia albo przynajmniej dyrektora PGR-u. Pewna swej urody i inteligencji, patrzyła na wszystkich trochę z góry. Na mnie też. Czasami w jej wzroku pobłyskiwała litość: Mój biedny, niepełnowartościowy Adaś.

Nie mogłem tego znieść. Kto tu właściwie popełnił mezalians?! Warszawski inteligent od pokoleń czy prowincjuszka z Rychłowa?

Zawodowo wiodło mi się coraz lepiej. W „Kulturze Studenckiej” miałem stałą rubrykę. Zacząłem współpracę z miesięcznikiem „Nazwy Rzeczy”. Po teatralnych premierach wpadałem z zaprzyjaźnionymi aktorami do SPATiF-u, co zważywszy mój gówniarski wiek było wielce nobilitujące. Na uczelni powtarzałem kawały, które poprzedniego wieczora opowiadał Szczepkowski lub Zaorski, sypałem najnowszymi anegdotkami o Łapickim...

A w domu? Każda noc, gdy Helena zniknęła w swoim pokoju, przynosiła kolejne upokorzenie. Ale kogo miałem winić? Przecież mnie ostrzegała.

Tuż przed wakacjami doszło między nami do ostrej scysji. Łukasz był chyba trochę niezdrów, darł się cały wieczór, podczas gdy ja daremnie usiłowałem skupić się nad recenzją z jakiejś sztuki Durrenmatta. Helena coś szyła, a może prasowała pieluchy, z tak prowokacyjnie radosną twarzą, że nie wytrzymałem.

– Może wreszcie uciszysz tego bachora? – warknąłem.

– Jest chory, ale dałam mu lekarstwo i wkrótce poczuje się lepiej.

– Doskonale wiem, że jego choroba to moja obecność, wystarczy, że wychodzę na balkon, zaraz cichnie...

– Przesadzasz, to przecież dziecko.

– Dziecko, dziecko! Dla ciebie to najważniejsza rzecz na świecie.

– Żebyś wiedział – powiedziała poważnie.

– A reszta się nie liczy? – wybuchnąłem. – Zawalone studia, twoja przyszłość, ja!? Nic nie jest ważne, tylko ten bękart niewiadomego pochodzenia!

Nie powiedziała słowa. Wyszła z pokoju. Wiedziałem, że przeholowałem. Dlaczego jednak nie pobiegłem za nią? Następnego dnia, po powrocie z zajęć, zastałem mieszkanie luźniejsze, wysprzątane, zniknęło łóżeczko i wanienska, na półce z książkami ubyło parę jej ulubionych tomików wierszy. W szafie nie było jej ubrań. Na stole leżała kartka nabazgrana ołówkiem: „Drugi klucz jest pod wycieraczką”. Może powinienem pojechać natychmiast do jej rodziców, próbować przeprosić. Nie uczyniłem tego.

Helena zrezygnowała z alimentów. Ja się nie narzucałem. Rozvodu nie braliśmy.

Prawdę powiedziawszy, sytuacja ukształtowała się dla mnie niezwykle wygodnie. Różne dziewczyny, których imion dziś nawet nie próbuję sobie przypominać, wstępowały do pociągu mego życia na kilka przystanków, po czym opuszczały go bezproblemowo – formalnie byłem żonaty i nie chciałem się rozwodzić. I ciągle byłem młody, wolny, niefrasobliwy.

Zaskakująco szybko skończyły się studia. Świat stracił jedną sympatyczną barwę. Pisanie przychodziło mi coraz łatwiej, rosła liczba zleceń, póletatów, ryczałtów, fuch. Tu tekścik do jakiegoś programu teatralnego, tam parę słów na płytę, dyskusja w radio, wypowiedź w telewizji – kiedy, jak i za ile? Dawno poniechałem myśli o zbawieniu świata. Rzeczywistość był taka, jaką ją widzieliśmy, dość plugawa, i by przetrwać, nie należało się od niej różnić. A że był to kanał? Nawet w ścieku możliwe jest życie biologiczne. Należy tylko zbytnio się nie wyróżniać, chwalić tych, co trzeba, kopać tych, którym się słusznie należy, a do tego być grzecznym, punktualnym i sprawnym. Łatwość pisania połączona z elastycznością daje zadziwiające efekty. Dekada sukcesu i „socjalizm o ludzkim portfelu” pozwalały wierzyć w stabilizację. Wkrótce dorobiłem się syrenki, w siedemdziesiątym piątym naczelnym załatwił mi talon na malucha.

Coraz częściej zapraszano mnie do telewizyjnych dyskusji. Wąsik i nowoczesny kształt okularów uczyniły, tak twierdziły kobiety, moją twarz interesującą. Podobno należałem do tego gatunku mężczyzn, którzy z biegiem lat stają się coraz bardziej przystojni. Korzystałem z mej popularności.

Wiosny, lata, jesienie stawały się coraz bardziej podobne do siebie, choć w nawale pracy nie zauważałem mijającego czasu. Tylko sosny wokół mego domu rzedły w miarę, jak wdzierało się tu miasto i opadało zwierciadło wód gruntowych.



\* \* \*

25 maja znalazłem się na Festiwalu Piosenki Młodzieżowej w Gorzowie. Typowa zmultiplikowana chałtura. Udział w pracach jury plus zamówione materiały do kilku czasopism. Ten sam czas opłacony parokrotnie.

Jak zwykle po koncercie za kulisami amfiteatru zaczęła się mała balanga. Stefan, tęgawy konferansjer, przepychał się przez tłum organizatorów, wywijając dwiema butelkami „żyta”, za nim sunęły dwie rozszczebiotane działaczki młodzieżowe, niestety brzydkie i na oko o stażu jeszcze w ZMP.

– Panie Adamie, prosimy do nas! – wykrzykiwał konferansjer.

Dosiadłem się wychodząc z założenia, że lepiej pić w towarzystwie, nawet marnym, zwłaszcza kiedy się pije za cudze pieniądze. Na początek rzuciłem parę kalamburów, pewien, że jeśli obligatoryjnie będę musiał przespać się z kimś z tego towarzystwa, wybiorę konferansjera.

I wtedy dostrzegłem zjawisko. Siedziała w kącie garderoby, między stertą tekstów piosenek masowych, przygotowywanych do rozdania jutro w amfiteatrze, a koszem sztucznych kwiatów.

– Chodź tu, Julio – zawołał tubalnie Stefan. – Poznasz mistrza felietonu...

Podeszła z ociąganiem. Jak się okazało, odbywała praktykę w periodyku „Zew Młodzieży” i delegacja na festiwal była jej debiutem.

Kątem oka otaksowałem szczupłe nogi i prawie chłopięcą sylwetkę. Ładna, nawet bardzo. Dzięki opatrności może nie będę spał sam!

Julia mówiła mało. Nawet kiedy śmiała się z moich anegdotek teatralnych, czyniła to bardzo powściągliwie. Ale sympatycznie. Im szybciej płynęła gorzała, tym bardziej jej pragnąłem. Celowo starałem się nie poświęcać jej zbyt wiele uwagi, taktycznie adorowałem podstarzałe aktywistki, ale kiedy skończyła się wódka, wyszliśmy razem w noc.

– Gdzie cię odprowadzić? – zapytałem.

– Zakwaterowali mnie w domu aktora – odrzekła. – Z koleżanką.

Pojałem aluzję.

– W takim razie idziemy do mnie. Mam niezawodny sposób na portiera, mówię ci, boki zrywać.

Nie odpowiedziała, ale skrzyła w swoją stronę. Szliśmy jakiś czas ulicą, rozmawiając o tym i owym. Zapytała mnie o festiwal. Wyrecytowałem parę komunałów i zapytałem o jej zdanie. Bardzo się zdziwiłem, kiedy w paru zdaniach wyrzuciła z siebie ogrom rozczarowania i obrzydzenia sztucznością, fałszem, brakiem autentyzmu.

– Czy ktokolwiek z nich śpiewał to, co myśli, lub chociaż o tym, co go interesuje? Absolutna obojętność wobec tekstów i ruchy niedźwiedzi tresowanych w akademii smorgońskiej.

– Masz rację, ale spróbuj to napisać.

– Spróbuję.

– Nie wydrukują. Nie będzie wierszówki.

Spojrzała na mnie jakoś dziwnie i zmieniła temat, pytając o moje wyjazdy zagraniczne. Opowiadałem o paru zaliczonych festiwalach, o Edynburgu wiosną, Paryżu jesienią... Parę razy próbowałem zejść na sprawy bardziej osobiste, ale Julia zdawała się unikać tego wątku. Nie była kandydatką na łatwą zdobycz. Choć z drugiej strony, w jej towarzystwie czułem się nadspodziewanie dobrze. Wreszcie stanęliśmy przed drzwiami szarawego bloku, mieszczącego pokoje gościnne gorzowskiego teatru. Pożegnała mnie. Usiłowałem ją pocałować, ale przekrzywiła głowę, podając policzek. I odeszła.

Wracałem z uczuciem zawodu. Podświadomie czułem, że gdzieś pokpiłem sprawę. Dziewczyna była świetna! Ładna i inteligentna. Może należało zaatakować ostrzej? Dotarłem do swego hotelu i stanąłem jak wryty. Koło wejścia czekała Julia. Co za zaskoczenie. Zostanie ze mną! Jednak znów się pomyliłem.

– Chyba nie powiedziałam ci dobranoc... – powiedziała. – I wiesz, lubię tego Adama, którym mógłbyś być, gdybyś zechciał. – Gwałtownie pocałowała mnie w usta, podbiegła do czekającej taksówki i odjechała.

Następnego dnia już jej nie było na festiwalu. Toteż zdziwiłem się, gdy po paru dniach zadzwoniła do mojej redakcji. Byłem zaskoczony, że zgodziła się na spotkanie tego samego dnia w Łazienkach. A potem spotykaliśmy się już codziennie. Na kawie, na obiedzie. Nie udało mi się nigdy zaprosić jej na kolację pod sosny... Julia miała męża i choć z dawnej miłości – zresztą, czy to była miłość? – nie zostało śladu, nie dopuszczała myśli o zdradzie. Ale nie to było najważniejsze. Znów byłem zakochany! Z wzajemnością. Pisała do mnie wiersze. Wspólnie rysowaliśmy komiksy. Jak para nastolatków całowaliśmy się w ustronnych zakątkach, lub trzymając za ręce krążyliśmy po mieście. Czułem jak topnieje łądółód cynizmu, gromadzony od lat. Julia uczyła mnie bycia sobą, zachęcała do odwagi. Zaskakiwały mnie moje własne artykuły. Ostrzejsze, z większym zacięciem, a gdy tekst o kontrowersyjnym teatrze studenckim z Poznania powędrował do redakcyjnego kosza, zamiast strachu pojawiła się nieznana od „Teatryku Absolutnego” satysfakcja. Na zebraniach zdarzało mi się ścinać z naczelnym, broniłem kolegi przed wyrzuceniem. Niektórzy z redakcyjnych wyjadaczy zaczęli domniemywać, że prąd się wkrótce odwróci, skoro dotychczasowy barometr tak radykalnie zmienia front. O seksie mówiliśmy bez osłonek. Julia wyznała, że o niczym innym nie marzy, tylko o pójściu ze mną do łóżka. Chciała być jednak uczciwa, najpierw przeprowadzić swój rozwód. W uniesieniu przyrzekłem uczynić to samo.

\* \* \*

Któregoś sierpniowego dnia zadzwoniłem do drzwi mieszkania matki Heleny (jej ojciec zmarł rok wcześniej). Otworzył mi chłopiec sześć-, może siedmioletni. Cherubinek ze złocistymi kędziorami.

– Ty jesteś Adam – powiedział.

– Skąd wiesz? – zdziwiłem się.

– Tak sobie ciebie wyobrażałem – odparł Łukasz i dodał: – Mama będzie za kwadrans. Jak chcesz palić, tu jest popielniczka.

– Strasznie jesteś dorosły – stwierdziłem. – Chodzisz już do szkoły?

– A po co? – odpowiedziało dziecko i jakieś figlarne błyski zapaliły się w piwnych oczach. – Umiesz to? – podał mi zeszyt pełen nagryzmołonych równań. – Bawię się tym, logarytmy, całki, silnia...

Wytresowała biedną małpkę, pomyślałem.

– Nic nie wytresowała – powiedziało dziecko. – Jestem zdolny. N'est pas...?

– Yes sir! – Odpowiedziałem po angielsku.

Chłopczyk znał i ten język. Potem zacytował kawałek Cezara „Galia est omis divisa in partes tres” i zakończył:

– Nie wolno mi się tym chwalić przed obcymi, ale ty jesteś, mimo wszystko – swój.

Było mi gorąco. Usiadłem, wachlując się gazetą.

– Nadmiar adrenaliny we krwi, poza tym ogólne przemęczenie, nie leczone zęby i stan zapalny dwunastnicy. No i te skoki ciśnienia – mówił chłopczyk ze swadą starego doktora.

– Łukasz, nie nabierzesz mnie, wszystko ukartowałeś z matką – zawołałem.

– W zasadzie nikotyna szkodzi zdrowiu, ale jeśli koniecznie chcesz zapalić, to ci przypalę.

Machinalnie wziąłem do ręki papierosa. Chłopczyk oddalony był o dwa metry, gdy z jego oczu poleciał błysk. Koniec sporta zaczął czernieć, dymić, i rozjarzył się. Wydałem okrzyk podziwu, a malec, jakby zachwycony swym konceptem, w podskokach wyszedł. Nie przez drzwi. Po prostu zanurkował w solidną ścianę pokrytą dębową boazerią. I zniknął. Dopadłem jej i zacząłem macać w poszukiwaniu jakiejś zapadni, kiedy otworzyły się drzwi wejściowe i stanęła w nich Helena, zdyszana i zaróżowiona od wchodzenia po schodach.

– Ach, to ty. Masz jakiś problem? – zapytała.

Potrafiłem wykrztusić tylko jedno.

– Co się dzieje z Łukaszem?

– Nie wiem o czym mówisz. Kiedy go zostawiałam, spał w najlepsze. – Otworzyła drzwi do sąsiedniego pokoju. Przykryty kocykiem chłopczyk o lnianych włosach drzemał słodko, ssąc własny kciuk.

Wbrew moim obawom, Helena podeszła do kwestii rozvodu ze zrozumieniem.

– Oczywiście, naturalnie, skoro chcesz ułożyć sobie życie, nie ma sprawy... Więcej, kiedy się rozstawaliśmy... – oburącz ujęła moje dłonie i powiedziała: – Naprawdę chciałabym twego szczęścia, Adamie! – A po chwili wahania dodała: – Byłam okropna, wybacz...

Gdyby w tym momencie powiedziała jeszcze słowo, zapomniałbym o Julii, zostałbym z Heleną, nie pytając o warunki. Ale to słowo nie padło.

\* \* \*

Z powodu rozlicznych wyjazdów, zobaczyłem się z Julią dopiero w pierwszych dniach września. Umówiliśmy się na starych murach Warszawy, koło syrenki, nie chciała w kawiarni. Pamiętam, biegłem na to spotkanie jak wariat, chciałem powiedzieć jej, a nawet wykrzyzczyć: – Będę wolny, będziemy wolni, dla ciebie, dla nas.

Moja ukochana wyglądała na smutną i zgaszoną. W takim stanie nie widziałem jej nigdy dotąd.

– Czy coś się stało, kochanie? – spytałem. – Zrobiłem, co chciałaś, możemy już wkrótce...

– Nie możemy! – powiedziała, biorąc mnie za rękę. – Nie mogę opuścić Jacka, przynajmniej nie w tej chwili. To byłoby podłe.

– A jednak go kochasz! – jęknąłem, czując, że ziemia osuwa mi się spod stóp. – Dopiero teraz sobie to uświadomiłaś?

– Teraz nie wolno mi go zostawić. – Spuściła głowę jeszcze niżej.

Do tej pory temat jej męża, Jacka, rzadko przewijał się w naszych rozmowach. Wiedziałem, że był człowiekiem piszącym jak my i pracował w jakimś wydawnictwie.

– Nie daje ci rozwodu?

– Nawet mu o nas nie powiedziałam. Ma kłopoty.

– Do kroćset, wszyscy mamy kłopoty. Właściwie, same kłopoty!

– Ale to są duże kłopoty.

Przysiedliśmy na ceglany murze. W paru słowach scharakteryzowała mi sytuację. Parę lat temu Jacek napisał książkę, „zbiór opowiadań i mikropowieść”. Odrzucono mu ją w kilku wydawnictwach. Teraz ukazała się w Bibliotece paryskiej Kultury. Na efekty nie trzeba było długo czekać: wypowiedziano mu pracę w redakcji, na uczelni, gdzie prowadził zajęcia nie przedłużono umowy...

– To rzeczywiście nieszczęście! Ale przecież to są jego kłopoty, sama mówiłaś, że jest dla ciebie obcym człowiekiem.

– Nie bądź podły!

Szkoda, że nie powiedziała: bądź cierpliwy. Może nadzieja dałaby mi siłę. Tak się skończyło nasze ostatnie spotkanie.

Kiedy jak struty wróciłem do redakcji, dowiedziałem się, że poszukuje mnie naczelny. Zastałem go w gabinecie, siedział za biurkiem, pociągając fajeczkę. Lubił europejskość. Dla wybranych zwykł trzymać w barku prawdziwy francuski koniak. Mówiąc, nie gardził obcojęzycznym cytatem.

– Panie Adasiu – zaczął. Cholera, niedobrze, zdrobnienia w jego ustach oznaczały zwykłe kłopoty. – Panie Adasiu, co ja z panem mam? Kropi pan wciąż do jednej bramki, kontestuje twórców zasłużonych dla partii, wychwala osoby... wątpliwe. Oczywiście jestem za odwagą i

zadziornością, cenię to w tobie, ale sam rozumiesz, mam naciski. I nie mogę bronić cię w nieskończoność.

Zaniepokoiłem się nie na żarty. Znając szefa głównie z opowiadań, wiedziałem, że podobny wstęp nie zapowiada niczego dobrego.

– Staram się, szefie, być dobrym dziennikarzem...

– Tego nie neguję. Ale łatwo jest być dobrym, schlebając gustom.

– Ja schlebiam? Przecież sam pan mówił, że się narażam?

– Mam na myśli gusta tłumu. A przecież obaj wiemy, że tłum jest niepoczytalny, i naszą rzeczą jest nie kokietować go, ale wychowywać. Wychowywać! – powtórzył. – No, i reagować. Zna pan to? – rzucił na biurko książkę oprawioną w gazetę.

Zerknąłem na stronę tytułową i zrobiło mi się gorąco. To były opowiadania Jacka! Czyżby wiedzieli o moim flircie z jego żoną, a może przypuszczali, że i ja mam kontakty z opozycją?

– Chciałbym, żeby pan to przeczytał – rzekł szef. – Chyba że już pan zna to dzieło, bo głośno o nim na mieście.

– Nie znam – stwierdziłem skwapliwie, marząc, by jak najszybciej znaleźć się poza drzwiami obitymi dźwiękoszczelną dermą.

– Interesuje mnie pańskie zdanie na temat tego... utworu. Proszę przeczytać w wolnej chwili, a potem wpaść do mnie, pogadamy...

Nie żądał nic więcej. Tak mnie to ucieszyło, że skwapliwie pochwyciłem prohibit i z uśmiechem wycofałem się na korytarz. Tam ochłonałem. Znów obleciał mnie strach. Może rzeczywiście przeholowałem z odwagą. Od kilkunastu dni sekretarz redakcji przestał mi się kłaniać, sekretarka zachowywała się ostatnio bardziej opryskliwie...

Przeczytałem książkę. Opowiadania może i mocne, demaskujące nieprawidłowości naszego życia, podobały mi się przeciętnie. A właściwie zupełnie się nie podobały. Cóż ten mieszczański synek mógł wiedzieć o prawdziwym życiu ludzi marginesu. Wymyślił sobie tę rzeczywistość, powerniksował na ciemno...

– I co pan myśli o „Nowelkach”? – zapytał parę dni później naczelny.

– Dość średnie.

– Zgadzam się, słabe – uśmiechnął się mój zwierzchnik. – Osobiście nie pojmuję powodu odrzucenia ich przez wydawnictwa krajowe. Wychodzą rzeczy jeszcze słabsze. A tu nie ma niczego poza przesadnym pesymizmem.

– Też tak sędzę.

– Dobrze, że jesteśmy zgodni – szef przeszedł do rzeczy. – Napiszesz recenzję.

Zrobiło mi się słabo. Tego nie przewidywałem. W redakcji miałem status wolnego strzelca, który sam wybiera dla siebie tematy. Nigdy dotąd nie znalazłem się w podobnej sytuacji...

– Nie wiem, czy potrafię – wykręcałem się. – Nie mam wyrobienia, a to jest jednak sprawa polityczna.

– Umówmy się, synu, książka jest dobra lub zła niezależnie od tego, czy wydaje się ją w Nowym Jorku czy w Grójcu. Nasz moralny obowiązek to jedynie dawanie świadectwa prawdzie. Twoja recenzja powinna zajmować się wyłącznie – podkreślił z naciskiem – stroną artystyczną. Nie obawiaj się, ja cię nie wrobię w jakąś śmierdzącą sprawę polityczną. Poza tym nie musisz podpisywać tej recenzji. Napisz uczciwie, co o tym myślisz.

Nie wiem, co się ze mną stało. Dlaczego tak skwapliwie wyraziłem zgodę? Przecież mogłem odmówić. Może sprawiała to podświadoma wściekłość na męża Julii, a może zwykły parszywy strach przed ryzykiem, nawet jeśli ryzyko nie istniało. Rozmowę prowadziliśmy w cztery oczy, mogłem przecież powiedzieć: „Wypchaj się pan”, i co by mi zrobił? Z moim lekkim, dowcipnym piórem i wyrobionym nazwiskiem przyjęłoby mnie gdzie indziej.

Najpierw miałem ochotę zwlekać, ale w końcu zabrałem się za tę recenzję. W miarę pisania coraz bardziej byłem przekonany do swych tez. Sam nie pojmuję, skąd przyszła mi następująca końcówka tekstu.

„Czarny atrament ładnie wygląda na papierze, gorzej na oczach, zwłaszcza iż rzetelnemu twórcy bardziej przystoi potykanie się z naszymi bolączkami na swojskim podwórku, niż naszczekiwanie zza paryskiego płotka”.

Może wówczas wydawało mi się to żartem. Oczywiście, zastrzegłem sobie u szefa, że tekst ukaże się pod pseudonimem. Jakież było moje przerażenie, gdy w kiosku na rogu Nowego Świata nabyłem świeży egzemplarz „Tygodnika”. Zwiastun artykułu wyrzucono na okładkę, dopisano też podtytuł „Łowca srebrników”, a na samym dole czerniało moje imię i nazwisko.

Ogarnęła mnie groza, chciałem biec, dzwonić do Julii, tłumaczyć. Nie znalazłem dość odwagi. Nie miałem też siły wpaść do kawiarni, w której zwykła spotykać się redakcja i współpracownicy. W ogóle nie poszedłem do pracy. Przez godzinę szwendałem się po mieście usiłując zebrać myśli.

Pisk opon. Tuż obok krawężnika zahamował piękny peugeot.

– Serwus, Adam! – W rozwalonym na tylnym siedzeniu byczku ledwie poznałem Waldka. Był w ciemnym garniturze i pod krawatem. – Kopę lat się nie widzieliśmy, może gdzieś cię podrzucić, mam spotkanie z aktywem w Siedlcach, przejeżdżam przez twoje regiony.

Wsiadłem. Z dwojga złego wolałem pierwsze reakcje przeczekać w domu. Może rozejdzie się po kościach. Nic takiego przecież nie napisałem.

– I co, ciągle żyjesz na swym stryszku? – spytał Waldek.

Potwierdziłem.

– I klepiesz nadal tę „Kulturę Studencką” po ramieniu? Co?

Dojrzał wystający mi z kieszeni tygodnik, wyciągnął, zauważył reklamę artykułu. Widocznie musiał go już znać, bo klepnął mnie jeszcze raz.

– Mocna, pożyteczna rzecz. Powinno ci się pomóc.

Bardzo mi pomógł. Dostałem etat w liczącym się czasopiśmie. A w październiku 1977 roku po skróconym stażu kandydackim zostałem członkiem partii.

I tylko, kiedy rok później, sącząc mocnego drinka u boku pulchnej Andzi, naszej sekretarki, obserwowałem biały dym wznoszący się z kominka nad Kaplicą Sykstyńską, przyszło mi do głowy, że przecież wszystko mogło potoczyć się inaczej.

# **Część druga**



## Rozdział VIII

# Szary Dom

Ekspres do Mediolanu zatrzymuje się w Bellinzonie tylko na minutę. Tego dnia o 14.28, kiedy rozgrzane powietrze Tessynii drżało od upału, wysiadło zeń kilkanaście osób, z których jedna lub dwie skierowały się do wyjścia, znakomita zaś większość ruszyła w stronę pociągu udającego się do pobliskiego Locarno. Mężczyzna, którego jedyny bagaż stanowił czarny parasol, przez chwilę spacerował po peronie. Kiedy zatrzymał się przed plakatem reklamującym szwajcarską bieliznę, obok niego pojawił się krępy człowiek o tłustych włosach i spoconej twarzy. Powiedział coś po włosku, wręczył kluczyki do samochodu i zniknął. Mężczyzna z parasolem nabył w dworcowym kiosku „Zuricher Zeitung”, parę puszek piwa i mapę kantonu, po czym wyszedł na parking. Po impulsie z pilota zaświergota oliwkowe volvo. Lubił tę markę.

Niespiesznie zapuścił silnik, ustawiając lusterka sprawdził, czy nikt go nie śledzi. Wyglądało, że nikt. Przejechał miasteczko, zamiast jednak wyjechać na autostradę wybrał jedną z bocznych dróg, krętą, miejscami stromą, wijącą się wśród malowniczych wiosek i miasteczek włoskojęzycznego kantonu. Dla postronnego obserwatora zachowywał się jak typowy turysta, podziwiający piękno krajobrazu. Jednak po przejechaniu kilkunastu kilometrów w głąb Val Versasca raptownie zawrócił i przebył całą trasę w odwrotnym kierunku, przyglądając się uważnie wszystkim mijanym samochodom; nie było ich zresztą wiele. Żaden nie zawrócił za nim. Minął Locarno – ani palmy, ani kwiaty, ani ukryte wśród nich wille nie przyciągały jego wzroku. Odnalazł właściwą dolinę i wjechał w jej zielony kanion. Mniej więcej pół godziny minęło, kiedy znalazł się na stoku, gdzie droga zmieniła się w wyjątkowo ciasną serpentynę. Na jednym z wiraży przystanął, lustrując przez lornetkę leżące poniżej zakosy drogi.

– Nie omyliłeś się, Fred, jest! – uśmiech przeleciał przez pociągłą twarz o kwadratowym podbródku. Refleksja dotyczyła niewielkiego opla piaskowej barwy, który posuwał się jego śladem. Zauważył go już wcześniej. Najwyraźniej śledziły go co najmniej dwa wozy. Fred wyciągnął z bagażnika podnośnik i koło zapasowe. Kiedy w parę minut potem piaskowy opel

mijał go pędem, Fred z podwiniętymi rękawami koszuli zdawał się myśleć jedynie o usunięciu defektu. Nie przeszkodziło mu to śledzić sytuacji kątem oka. Dostrzegł, że kierowcą była kobieta w dużym kapeluszu i ciemnych okularach. Kiedy wóz zniknął za zakrętem, Fred szybko wrzucił koło i podnośnik do bagażnika, zawrócił i pognął w dół. Przy krzyżówce skręcił w słabo uczęszczaną dróżkę, przejechał mostkiem nad strumieniem i zaparkował w krzakach. Potem chwycił kilka ładunków i sprytnie umocował je pod legarami mostu. Zastanawiał się, kto podaży za nim: opel czy volkswagen, którego nie widział od Locarno. Opel! Wóz minął go, podnosząc chmurę kurzu. Natychmiast wystartował w przeciwnym kierunku. Minął mostek i zdalnie uruchomił detonator. Mostek przestał istnieć, a pasażerka opła mogła co najwyżej gonić go na piechotę.

Kłopoty mógł sprawiać jeszcze granatowy volkswagen. Kobieta zapewne miała w wozie telefon i już poinformowała swego partnera o pułapce. Ten z pewnością będzie ostrożniejszy...

Plac przed wyciągiem krzeselkowym w Intragna, położony zaledwie pięćdziesiąt metrów od drogi, świecił pustkami. Kiedy nie było śniegu, tylko nieliczni wycieczkowicze wybierali się w góry, by oglądać majestatyczną panoramę Alp. Fred kupił bilet i odczekawszy, aż mężczyzna z granatowego volkswagena znajdzie się na parkingu, wskoczył na krzeselko. Ścigający ulokował się dwa krzeselka za nim. Bardzo dobrze!

Ruszyli. Ziemia uciekła mu spod stóp, Fred jednak nawet się nie zapiął. Utkwił wzrok w rozłożystym świerku, tuż za kolejnym słupem. Sprężył się, potem skoczył. Przez mgnienie zastanawiał się co będzie, jeśli nie trafi. Ale trafił. Gałęzie, chłoszcząc go po twarzy i ubraniu, wyhamowały upadek. Na ziemię opadł miękko i stanął na nogach. Natychmiast popatrzył w górę. Krzeselko ze ścigającym go minęło już świerk – pasażer nie odważył się skoczyć. Fred zachichotał. Zyskał wystarczającą przewagę.

Zanim zapuścił silnik, końcem parasola, z którego wysunęło się maleńkie ciemne żądło, przekłuł wszystkie cztery opony volkswagena. Z pobliskiego automatu wykonał krótki telefon. Kwadrans później w trattorii u wylotu kolejnej doliny tłustowłosa Carlo wręczył mu kluczyki do BMW. Wcześniej w toalecie Fred zmienił się nie do poznania, po ciemnej grzywie włosów i wąsiku nie pozostał nawet ślad. Był teraz łysiejącym blondynem o rumianej twarzy, z brzuszkiem wyraźnie rysującym się pod sportową koszulą. Parasol zniknął wewnątrz grubej laski. Blondyn lekko utykając wszedł do BMW, a Carlo po ukryciu volvo miał pilnować, czy ktoś ruszy w ślad ze Fredem... Kiedy ten zadzwonił, jeszcze raz mógł zameldować: „Nikt nie pojechał w ślad za panem, signore Gray”.

\* \* \*

„Szary Dom” stał u krańca odludnej doliny, a jego potężne ściany nieomal wtapiały się w nagie skały opadającej turni. Do wieczora było daleko, ale już mroczny cień spowijał to miejsce, zaś huczący wodospad potęgował wrażenie izolacji. Od drogi dzieliły go trzy

kilometry prywatnej, kamienistej drogi. Nie biegły tędy żadne szlaki turystyczne ani nartostrady. Nieliczni tubylcy zapuszczali się tu rzadko i niechętnie. Nie potrafili nawet stwierdzić, czy budowla jest na stałe zamieszkana. Ślady życia rzadko wydostawały się na zewnątrz. Czasami tylko nocą przemknął jakiś samochód lub wylądował prywatny helikopter. Dla lokalnych władz właściciel posiadłości, pan Altenbach, był osobnikiem niekłopotliwym, od niepamiętnych czasów żyjącym w tej fortecy, którą wznosił jeszcze na przełomie wieku jego ojciec. Altenbach załatwiał wszystkie sprawy za pośrednictwem swego adwokata, podatki płacił, instytucje charytatywne hojnie wspierał i żył, jakby go nie było.

W ciągu minionych lat pojawiło się niewielu ciekawskich, próbujących zakłócić spokój „Szarego Domu”. Do nielicznych należał miejscowy ksiądz, który parokrotnie usiłował złożyć wizytę panu Altenbachowi, za każdym razem jednak barczysty majordomus odpowiadał mu, że pana nie ma, bo akurat podróżuje w poszukiwaniu motyli do swej kolekcji albo udziela pomocy charytatywnej na Nowej Gwinei. Inna sprawa, że proboszcz zwykle wracał z takiej wizyty z hojnym podarkiem, a to na wdowy, a to na sieroty, a to na biednych emigrantów.

Ksiądz, chociaż świadom, że ciekawość jest pierwszym stopniem do piekła, nie poprzestawał w swych dociekaniach. Dowiedział się, że stary pan Altenbach, bogaty jak indyjski nabab, pojawił się w okolicy z końcem ubiegłego stulecia nie wiadomo skąd, że najpierw nabył kawał ziemi w dolinie i dopiero po paru latach wznosił owo ponure zamczysko. Ustalił też, że dwóch rabusiów, którzy kiedyś połakomili się na jego skarby, zostało spłoszonych przez służbę i próbowało ucieczki skalną półką. Obaj znaleźli śmierć w otchłani wodospadu.

Czy stary potentat miał żonę? Zapewne, chociaż nikt nigdy jej nie widział. Na pewno natomiast miał syna Ernesta, obecnego właściciela „Szarego Domu”. Nikt dokładnie nie wie, kiedy stary Altenbach zmarł, nie widziano go od końca II wojny światowej. Ernest, który nigdy nie chodził do miejscowej szkoły, był chłopcem chmurnym i milczącym. Wiadomo, że towarzyszył ojcu w podróżach, później chyba studiował w Stanach Zjednoczonych. Nikt również nie słyszał o jego żonie – w ogóle wydawał się nie zdradzać zainteresowania kobietami. Tym większe zdumienie wzbudził fakt pojawienia się w latach dwudziestych jego córki Lizy. Dziewczynka była ładna, ale niesforna, lubiła wymykać się z „Szarego Domu”, wędrować po okolicy i, jak twierdziła, rozmawiać z drzewami i zwierzętami. Opowiadano też, że zalecał się do niej syn jednego z najbogatszych obywateli w okolicy, Vittorio Linni.

Mniej więcej na początku wojny doszło do dramatycznego spięcia w rodzinie. Liza uciekła z Vittorioem do Ascony, gdzie zatrzymali się w hotelu pod fałszywym nazwiskiem. Rodzina odnalazła ją jeszcze tej samej nocy. Wiadomo, że odtąd Liza nigdy nie opuszczała sama „Szarego Domu”, Vittorio zaś po przebytych wstrząsach radykalnie się zmienił, zaczął uczęszczać do seminarium duchownego, potem przerwał je i wreszcie wylądował w pięknym, renesansowym uniformie obok Spizowej Bramy jako funkcjonariusz Gwardii Papieskiej.

Liza uległa obyczajom rodziny. Pod sam koniec wojny, parę lat po incydencie z Vittoriem, urodziła syna. W dokumentach stanu cywilnego nie wspominało o ojcu. Peter przyjął nazwisko Altenbach. Nie mając widać buntowniczego charakteru matki, bez zastrzeżeń zaakceptował dziwne obyczaje rodziny.

Wścibskiemu proboszczowi udało się jeszcze dowiedzieć, że podstawą egzystencji rodziny są ogromne kapitały ulokowane w bankach, akcjach i obligacjach, a jedynymi zainteresowaniami jej członków są podróże i motyle. Nikt z nich nie utrzymywał żadnych kontaktów towarzyskich, a funkcję jedyne go łącznika ze światem spełniał adwokat, Otto Schmidt, obecnie grubo po siedemdziesiątce. W Domu służyli ludzie nietutejsi, przeważnie kolorowi, którzy zwykle nie opuszczali dworzyszca. Zakupów dokonywał sam majordomus Wolfgang – człowiek ślepo wierny Altenbachom, ale niekiedy wpadający do kościoła. Z nim też postanowił zaprzyjaźnić się ksiądz. Odniosło to ten skutek, że pewnego dnia majordomus przyniósł kapłanowi zaproszenie na kolację do „Szarego Domu”.

Nikt nie znał przebiegu wizyty, ksiądz nie rozmawiał o niej z nikim, nawet ze swą gospodynią. Wiadomo, że wrócił z niej wstrząśnięty. W niedługim czasie uzyskał od biskupa zwolnienie z parafii, wstąpił w szeregi księży misjonarzy i, jak powiadają dobrze poinformowani, zaginął gdzieś w Oceanii.

Kiedy srebrne BMW zatrzymało się u końca doliny, w „Szarym Domu”, którego kontur z trudem można było odróżnić od tła górskiej ściany, nie paliło się nawet jedno światło. Przybysz, wspierając się na lasce, podszedł do drzwi i przycisnął całkiem tradycyjny dzwonek. Po minucie oczekiwania zadzwonił ponownie. Czyżby zastał dom opuszczony? Byłoby to sprzeczne z danymi otrzymanymi od obserwatora.

Wzrokiem fachowca obejrzał drzwi. Solidne. No, ale przecież nie ma drzwi nie do otwarcia...

– Słucham pana – zadudnił niski głos z głośnika. W tle sączyła się cicha muzyka. Mówiącym był ani chybi majordomus Altenbachów. Jakby włączone fotokomórką, nad wejściem zapaliło się światło.

– Przybywam z Królewskiego Towarzystwa Entomologicznego – powiedział Fred. – Pragnę spotkać się z panem Altenbachem. Rozmawialiśmy przelotnie na kongresie w Port au Prince w zeszłym roku.

– Ma pan zaproszenie?

– Nie, ale sądzę, że pan Altenbach mnie przyjmie.

– Pan Altenbach nie przyjmuje nikogo!

– Ale proszę przynajmniej powtórzyć...

– To bezcelowe, pan Altenbach spotyka się tylko z tymi, których sam zaprasza.

Głos i muzyka ucichły a światło nad bramą zgasło. Gray postanowił wyciągnąć z rękawa atutowego asa...

– Proszę w takim razie powiadomić pana Wallenhofa... – rzucił w ciemność

– Nie ma tu nikogo o takim nazwisku.

Wyglądało to na koniec konwersacji, tymczasem podjazd znów zalały potoki światła, a w domofonie zabrzmiał szept.

– W porządku. Wolfi zaraz pana wpuści.

Zaraz potem kilkanaście metrów od głównej bramy otworzyły się niewielkie stalowe drzwiczki i wielki majordomus poprowadził Freda wąskim korytarzem wewnątrz muru. Po kilkunastu metrach wyszli na otwartą przestrzeń. Zabudowania, od wewnątrz łagodnie podświetlone, otaczały niewielkie patio z basenem i oszkloną oranżerią. Pod oplecionymi bluszczem arkadami stał stół, przy którym siedziały trzy osoby, wpatrujące się uważnie we Freda. Osoby dość osobliwe.

Herr Ernest musiał mieć osiemdziesiąt lat i wyglądał na tyle. Zapadnięte policzki, wystające na kształt gotyckich łuków brwi i głową osadzona na chudziutkiej szyi upodobniały go do drapieżnego ptaka. Liza stanowiła jego wyraźne przeciwieństwo, twarz miała pogodną, czerstwą, ocienioną grzywką siwych włosów. Nie była ani za gruba, ani za chuda i wydawała się być wcieleniem życzliwości. Jej syn nie przypominał matki ani dziadka, krępy i mimo młodego wieku tęgawy, z półprzymkniętymi oczami wyglądał na sybarytę, którego szlachetny ongiś profil utonął w tłuszczu. Kiedy jednak otwierał oczy, zmieniał się nie do poznania, z ciemnych źrenic emanowała inteligencja i wewnętrzna siła. Na pozdrowienie Freda odpowiedzieli lekkim skinieniem głowy.

– Przybył pan porozmawiać o motylach, panie Gray? – zaskrzeczał starzec.

Już miał potwierdzić, kiedy zorientował się, że przecież nikt z obecnych nie może znać jego (i tak zresztą fałszywego) nazwiska z paszportu.

– Widzieliśmy się przelotnie w Port au Prince...

– Zostawmy w spokoju motyle – powiedział Peter. – Wiemy, że pańscy koledzy śledzą nas od dawna. I trochę nas dziwi, czego mogą chcieć od spokojnych szwajcarskich prowincjuszy wszechpotężne tajne służby?

Zatkało go i nie bardzo wiedział, co rzec. Na szczęście odezwała się Liza.

– A może pan się czegoś napije, zje?

Przyjął skwapliwie ofertę, a oni spojrzeli na niego w milczeniu. Tylko Peter spytał o ulubiony gatunek wina. Chianti rocznik 1947 bezzwłocznie naląła skośnooka kelnerka.

– Chciałbym porozmawiać z panem na osobności – Gray zwrócił się do Ernesta.

– Ja i moja rodzina to jedność – Altenbach skrzywił się chytrze i odprawił usługną Japonkę oraz warującego na progu majordomusa. – Proszę powiedzieć czego chcecie od nas?

– Zależy nam na współpracy – odrzekł Fred.

Staruch wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, o jakiej współpracy może być mowa.

– O ile wiem, nie jest pan rodowitym Szwajcarem, Herr Altenbach?

– Już mój ojciec miał tutejsze obywatelstwo. Zresztą, zmiana ojczyzny nie jest chyba w naszych czasach czymś karygodnym. Pan przecież też nie jest Anglikiem mimo posiadania paszportu Imperium Brytyjskiego? Nie będę ukrywać, że mój ojciec, Karl Wallenhoff, przeszło osiemdziesiąt lat temu, wzgardziwszy żywotem dorobkiewicza, zlikwidował interesy i przeniósł się tu, w wiejskie zacisze, pragnąc żyć w zgodzie z naturą i swymi zainteresowaniami. Zmiana nazwiska to też raczej nie przestępstwo?

– W takim razie może pomówimy o owych zainteresowaniach...

– Nie ma w tym żadnej tajemnicy: etnografia, biologia.

– I archeologia...

– I archeologia.

– A medycyna?

– Tylko w ograniczonym zakresie.

– Rozumiem, że ze szczególnym uwzględnieniem parapsychologii, hipnozy, magii...

Altenbach roześmiał się:

– Mogę dać słowo honoru, że mój ojciec nie był czarnoksiężnikiem.

– Niektórzy mówią nawet, że nigdy nie umarł.

– Fantazjują albo mają złe wiadomości. Sądzę zresztą, że znam genezę tej plotki. Mój ojciec bał się śmierci. I wydał dyspozycję, w dawniejszych latach może szokującą, dziś dość powszechną. O ile wiem, jeden prezydent USA, Walt Disney i parę gwiazd filmowych zdecydowało się na coś podobnego.

– To znaczy?

– Kazał się hibernować w momencie śmierci. I obecnie jego ciało spoczywa w pewnej krypcie, pogrążone w arktycznej temperaturze, czeka na czasy, kiedy nauka upora się z problemem nieśmiertelności.

– Osobiście w to wątpię – wtrącił się najmłodszy z Wallenhoffów, Peter – czy uda się go odmrozić po tysiącletniach.

– Mimo to szanujemy wolę patriarchy – dodała Liza.

– A pańska matka? – spytał Fred.

– To była prosta dziewczyna. – Rozmówca o sępiej twarzy nie okazał zdenerwowania. – Amerykanka, nigdy nie wzięli ze sobą ślubu, towarzyszyła ojcu w podróży po Polinezji, gdzie zmarła wkrótce po moim urodzeniu. Jest pochowana na Tahiti... Jak pan więc widzi, nie mamy nic do ukrycia. A że nie lubimy ludzi, uciekamy od zgiełku, nie przyjmujemy gości... chyba każdy człowiek, nie tylko w Szwajcarii, ma do tego prawo?

– Nie jesteś zmęczony, tatusiu? – do rozmowy włączyła się Liza.

Pokręcił głową.

– Coś jeszcze, panie, hmm... Gray?

Gość spojrzał mu prosto w oczy i przez chwilę miał wrażenie, jakby wpadł do studni.

– Porozmawiajmy otwarcie – rzekł wolno. – Znaleźliście się w niebezpieczeństwie.

– My?

– Powiedzmy, że przestało być tajemnicą to, co ukrywaliście przez wiele lat. Powiedzmy, że pewnym ludziom udało się skojarzyć określone fakty i już wiemy, iż od kilkadziesiątu lat wasza rodzina prowadzi pewne interesujące badania... Wiemy o nich, ba, przemykamy oczy na ich... jakby to rzec, niekonwencjonalność.

– Nie prowadzimy żadnych badań, ale jeśli twierdzicie, że was one nie interesują, to w czym rzecz?

– Bo... – Fred ściszył głos. – Nie jesteśmy sami na tym świecie, Herr Altenbach. Są ludzie, więcej, są państwa, które wiele by dały, aby poznać treść tej rozmowy. Wiemy, że powstała operacyjna grupa, która ma poznać wasze dokonania i bez skrupułów wykorzystać je dla własnych celów...

Mimo półmroku twarze Altenbachów wyglądały na zaszępiłe.

– To absurdalne domniemanie – zaczął Ernest, ale tym razem w jego głosie brak było poprzedniej pewności.

– Gdyby jednak tkwiło w nich źdźbło prawdy – kontynuował niezrażony Fred – proszę o przemyślenie naszej propozycji. Nie domagamy się ujawnienia waszych wyników, nie chcemy jednak, aby sięgnęli po nie inni. Z tego co wiemy, żyją na świecie ludzie, którzy są waszym swoistym materiałem doświadczalnym. Chcielibyśmy zapewnić im ochronę. To wszystko.

– Pięknie powiedziane, panie Gray – powiedział stary Altenbach. – Proszę mi wierzyć, sam prosiłbym o pomoc, gdyby wasze domysły odpowiadały prawdzie. Jednak pierwsze słyszę o jakichkolwiek eksperymentach... Jakież miałyby to być doświadczenia, cóż miałyby stanowić ich cel?

– Przybyłem przedłożyć ofertę, a nie odkrywać, na ile jesteśmy poinformowani – sucho zabrzmiał głos Freda.

– A my uprzejmię dziękujemy za troskę.

– Przyjmujecie naszą pomoc?

– Nie.

Nikt nie zatrzymywał gościa. Gray zrozumiał, że dziś niczego nie wskóra. Z drugiej strony wiele do myślenia dawał mu fakt, że w ogóle doszło do rozmowy.

– Proszę nie uważać, że jestem zniechęcony, Herr Altenbach – powiedział wstając. – Mocno wierzę, że do naszej współpracy dojdzie. Byle nie za późno. Na wszelki wypadek zostawię wizytówkę. To nazwisko i telefon pewnej miłej dziewczyny w Bazylei. Stałe hasło: „Czy to pani chciała wynająć pokój na Allschwilerstrasse?” Zapamięta pan?

– Nie sądzę, żebyśmy skorzystali z tej drogi porozumienia – odparł gospodarz, ale bilet wziął. – Wolfgang pana odprowadzi.

Fred pożegnał się uprzejmię z Peterem i Liżą. Od początku usiłował wyczuć, czy ktoś z młodszych członków rodziny nie byłby bardziej skłonny do współpracy, ale nie zauważył

pęknięć w monolocie. Jedynie na koniec starsza pani dłuższą chwilę trzymała jego dłoń w ręku.

– Niech pan uważa, mister Gray – powiedziała cicho. – Śmierć krąży blisko pana.

Majordomus towarzyszył mu aż do samochodu i zamknął za nim drzwiczki. Wielki „Szary Dom” znów pogrążył się w mroku.

\* \* \*

Nazywali ją KOMÓRKA. W istocie nie miała żadnej nazwy. Nie mogła mieć, ponieważ jej nie było. Przynajmniej oficjalnie. Według Sherlocka Holmesa z paru kropli wody można wykoncypować istnienie Niagary. Analogicznie, zniknięcie tych lub innych ludzi, nagły sukces policji włoskiej podczas obławy na Sycylii czy nieoczekiwane samobójstwo dyplomaty mogło dowodzić, że KOMÓRKA działa. Ale nawet prasa, tak zwykle rozgadana, na ten jeden temat zachowywała dziwną powściągliwość – i tylko w rozmowach prywatnych żurnaliści wspominali o Nadzwyczajnej Komórce do Walki z Międzynarodowym Terroryzmem lub Specjalnym Biurze do Akcji Specjalnych, a może Agendzie Koordynacji Antyzamachowej. Podobnie nie wiadomo, czy bezpośrednim zwierzchnikiem tej grupy jest Interpol (raczej nie), sztab NATO (być może), czy CIA (ewentualnie). Sekretarz stanu USA, zapytany o to na jednej z konferencji prasowych, zaprzeczył wszelkim pogłoskom o istnieniu KOMÓRKI. Podobne zaprzeczenie złożył szef Sztabu Paktu Atlantyckiego na posiedzeniu Parlamentu Europejskiego. A zatem KOMÓRKI nie było. A jeśli nawet, to działała niekontrolowanie, niedemokratycznie, przy bardzo dyskretnym poparciu rządów i bez wiedzy policji lokalnych.

– Gdyby wszelako istniała – napisał jeden z komentatorów prasy lewicowej – stanowiłaby wielki, tragiczny dowód słabości demokracji wobec form zorganizowanego przestępstwa.

Inny intelektualista, wyklęty przez własne środowisko, twierdził przeciwnie:

„Gdyby KOMÓRKI nie było, należałoby ją wymyślić. Inaczej wszyscy zginiemy. Nie wysyła się kaznodziei przeciwko wściekłemu psu”.

Nawet Fred Gray, od trzech lat zatrudniony w niej na kontrakcie luźnego specjalisty, nie miał większego pojęcia o jej strukturze. Swego szefa, ponoć emerytowanego oficera izraelskiego Mossadu, choć jego zdaniem był to amerykański protestant, znał pod pseudonimem Kuzyn.

Półtora roku przed wizytą w Szarym Domu, 14 marca, oddział zachodnioniemieckiej policji opanował pewne mieszkanie w Dusseldorfie, stanowiące kwaterę niedobitków terrorystycznej organizacji, która ongiś miała na swym koncie detonacje paru samochodów-pułapek i uprowadzenie federalnego ministra, a obecnie, wspierając oficjalnie działania antyamerykańskich pacyfistów, nieoficjalnie trudniła się usługową działalnością na rzecz sowieckiego KGB.



Akcję nadaną przez KOMÓRKĘ wykonał miejscowy oddział antyterrorystyczny. Jeden z „Wyzwolicielei Europy” padł na miejscu, drugi skonał w pędzącym na sygnale ambulansie. W ręce policji wpadło trochę broni, ale przede wszystkim znaczna ilość papierów, z których jeden (lista nazwisk z kręgów elity związanych z mafią), spowodował rządowe przesilenie we Włoszech, a drugi udaremnił zamach na prezydenta USA podczas jego wizyty w Bonn. Ronald Reagan stanowił, i historia to potwierdziła, wielkie zagrożenie dla „imperium zła”, toteż zamach szalonego terrorysty na limuzynę amerykańskiego gościa byłby na rękę chwiejącemu się mocarstwu. Oczywiście, sprawy tej nigdy nie ujawniono. Może tylko w trakcie spotkania z Gorbaczowem w Rejkjaviku. Gorbi usłyszał kilka aluzji od Ronnie’go.

Na tym tle trzeci dokument, poźółkły, gruby list zaadresowany: Angelica Vidal, Bordeaux, a podpisany krótko – Etienne, nie powinien wzbudzić równie wielkiego zainteresowania Kuzyna. A jednak.

„Droga Ciociu – pisał francuski dziennikarz – nie mając nikogo, do kogo miałbym zaufanie, a kto nie byłby pod obserwacją, przesyłam ci kopię mego artykułu, na wypadek gdyby jego oryginał nie dotarł do redakcji. Gdyby coś się ze mną stało, proszę Ciocię o osobiste przekazanie papierów majorowi Legrand z Centrali Surete w Paryżu. Sprawa jest niezwyklej wagi. Zaklinam Ciocię, wspominając nasze wspólne wakacje pod Bayonne sprzed lat, o spełnienie tej prośby. Mam nadzieję zresztą, że moja ostrożność okaże się przesadna. Ściskam Ciocię serdecznie. Nie mam już czasu – muszę pędzić, by zdążyć na pociąg do Bellinzony. Etienne”.

Załączony tekst, na słabej przebitce maszynowej, nosił tytuł „Największa zagadka XX wieku (2)”. Stempel wskazywał nadanie jej 29 października 1956 na dworcu w Zurychu.

Niewiele czasu zabrało odnalezienie pierwszego odcinka w popołudniówce. Później sięgnięto po zakurzone akta sprawy zagadkowego zniknięcia Etienne’a Garny.

Koleje listu udało się odtworzyć tylko w przybliżeniu. Przesyłka musiała przybyć do Bordeaux 1 listopada 1956 nazajutrz po śmierci na wylew krwi do mózgu, od dawna niedomagającej staruszki. W ogólnym zamieszaniu nie otwarta koperta została zapewne ciśnięta między papiery, te zapakowane w kartonowe pudła, z których po latach wygrzebała ją rączka małego Filipa, wnuczka pani Vidal, poszukującego filatelistycznych okazów. Prawdopodobnie znaczek zostałby odklejony, a list powędrowałby do kominka, gdyby nie zainteresował się nim Armand, brat Filipa, student Akademii Sztuk Pięknych, a zarazem sympatyk Ruchu Antytotalego. Armand najpierw nosił się z zamiarem wysłania listu do popołudniówki, która przed laty po pierwszym odcinku zawiesiła interesujący cykl, jednak „przyjaciele” odradzili. W trzy tygodnie potem koperta z kroplami krwi, które trysnęły z szyi niemieckiego terrorysty, znajdowała się już w najwłaściwszych rękach, wypielegnowanych dłoniach pułkownika Kuzyna.

Zabity terrorysta, Willy Lofter, 40-letni eks-nauczyciel greki, aktywny uczestnik wydarzeń 1968 roku, później współpracownik Frakcji Czerwonej Armii, uchodził za jednego

z przywódców „Wyzwolicielei Europy”. Fakt, że nosił przy sobie list sprzed blisko trzydziestu lat, dowodził, jak wielką wagę przykładał do jego treści.

Otwarte pozostało pytanie, czy mocodawcy Loftera zdążyli poznać jego treść?

„Wyhodować nadczłowieka? Czyste szaleństwo? Ale ileż wynalazków nie do wiary dokonało się w naszym XX stuleciu? – pisał Garny. O wiele bardziej niepokojące jest, że trwający już blisko sześćdziesiąt lat proces udało się utrzymać w kompletnej tajemnicy. Gdyby nie ucieczka doktora Sandlera, nikt w świecie nie miałby pojęcia, że gdzieś w Alpach znajduje się kwatera rodzinnej organizacji, od blisko wieku prowadzącej niezwykle, niebezpieczny eksperyment, zakładający wyhodowanie człowieka o talentach równych mitycznym herosom, półbogom, a może nawet samym bogom...”

Fred Gray przeczytał dokumenty w milczeniu.

– Czy to możliwe? – zwrócił się do szefa.

– Nie wiem – Kuzyn w zamyśleniu przebiegał palcami po wypolerowanym blacie biurka.

– Jednak gdyby choć jeden procent wskazywał, że jest to prawdopodobne, byłaby to sprawa niezwyklej wagi. Z zeznań Sandlera, tego doktora-wariata, które przytacza Garny, wynika, że w ciągu pół wieku Rodzina poczyniła znaczne postępy, a kolejne „króliczki” doświadczalne posiadały coraz więcej paranormalnych możliwości. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że od czasu jego ucieczki minęło blisko czterdzieści lat, uzyskanie egzemplarza noszącego w ich nomenklaturze symbol „zero” jest bliskie. Może już nawet zostało osiągnięte. I biada nam, jeśli taki nadczłowiek stałby się narzędziem wrogów Wolnego Świata.

– A jeśli to wszystko jest fikcją literacką?

– Podsumujmy zatem wyłącznie konkrety: doktor Reiner znika z domu i odnajduje się po latach jako wariat; Garny tropi tajemnicę i znika... Nie on jeden. Mamy w aktach sporo zdarzeń, pasujących do owej afery.

– Jakich?

– Nasz komputer wybrał wszystkie incydenty pasujące do zagadki. – Pułkownik wyciągnął stos wydruków. – Ten jest pierwszy.

– Zniknięcie milionera Karla Wallenhoffa w roku 1899?

– Właśnie. Dziwnie to współgra z opowieścią doktora Reiner o Starym Szefie...

– Na czym jednak miałyby polegać owo hodowanie supermana? – spytał Gray.

– Tego nie wiemy. Do zajęć Sandlera należało jedynie badanie pewnych egzemplarzy doświadczalnych, analiza materiałów statystycznych, układanie testów sprawdzających „boskość”...

– Niewiarygodne! Jak przeprowadzano te testy, że nikt o nich się nie dowiedział?

– W uśpieniu, pośrednio, na odległość. Członkowie Rodziny dysponowali niezwyklejmi talentami parapsychologicznymi. Z zeznań Sandlera wynika, że doświadczalnych egzemplarzy są setki i to na wielu kontynentach.

– Inżynieria genetyczna?

– O niczym takim „doktor Reiner” nie wspominał. Był tylko wykonawcą, pionkiem, badał skutki, nie przyczyny. Zresztą, jeśli plan zrodził się pod koniec XIX wieku nikt nie wiedział o możliwościach manipulacji genetycznych. A potwierdzeniem jego niedoinformowania jest choćby to, że do swej ucieczki nie dowiedział się nawet, gdzie leży centrala.

– Nie wierzę, żeby tak ogromna organizacja zdołała pozostać w ukryciu – Gray nerwowo zapalił papierosa.

– Nie przeczę – westchnął szef. – Jest to trudne do zrozumienia. Jednak, czy organizacja musi być wielka, kiedy jej twórcy swobodnie posługują się hipnozą, telepatią czy prekognicją... Drogi Fredzie, mimo wszystkich wątpliwości, nie wolno nam zlekceważyć tej historii. Willy Lofter przykładał do niej wagę. I nie sądzę, żeby tajemnica zeszła do grobu wraz z nim. Dlatego wezwałem ciebie, musimy pierwsi dotrzeć do kryjówki Wallenhoffów, zanim zrobi to KGB, terroryści czy inny diabeł.

– Jak mamy tam dotrzeć? Przecież charakterystyka Sandlera jest nieprecyzyjna. Dom pod wodospadem na krańcu odludnej doliny. Nie wiadomo nawet, w Szwajcarii, Włoszech czy Francji?

– Na szczęście mamy zawężony obszar poszukiwań – od porwania doktora do przybycia do rezydencji Wallenhoffów upłynęły dwie godziny. Doktor miał worek na głowie, ale nikt nie zatrzymał mu zegarka. Wszystko wskazuje, że nie przekroczone granicy. A poza tym wzmianka Garny’ego o pociągu do Bellinzony... Wszystkie dane zostały wprowadzone do naszego komputera, również informacje na temat dolin i nieruchomości, w efekcie został nam tylko jeden adres: „Szary Dom” w tessyńskiej dolinie, własność rodziny niejakich Altenbachów.

## Rozdział IX

# Kłopoty i przyjemności

Fred Gray znalazł się ponownie w Locarno jeszcze przed północą. Miał już inne nazwisko, inną powierzchowność i nowy paszport. BMW porzucił na bocznej uliczce i pieszo dotarł do nie rzucającego się w oczy hoteliku. Mimo późnej pory okoliczne lokale pulsowały życiem, a po uliczkach snuły się grupy młodzieży. Agent uważał, że wykonał dwie trzecie swej misji – dotarł do gniazda Wallenhoffów i zmylił pogonie. Co się tyczy współpracy z mieszkańcami „Szarego Domu” był przekonany, że prędzej czy później do niej dojdzie. Był zawodowcem i nie wstydził się tego. Czasami tylko zastanawiał się, czym by się zajmował, gdyby nie robił tego, co robi? Może prowadziłby własną knajpę, a może tresował lwy w cyrku?

W aromatycznej pianie wypełniającej staromodną, hotelową wannę, czuł się jak człowiek, który dobrze zapracował na swoje dzienne wynagrodzenie. Był odprężony, choć nie do końca. Szelest, który złowił mimo szumu lejącej się wody, był cichy. Ale nie dość cichy. Fred już wiedział, a może tylko czuł, że ktoś wszedł do jego apartamentu. Kto? Przeciwnik nie miał prawa się domyślić miejsca jego pobytu. A jednak. Z przerażeniem skonstatował, że broń pozostała w sypialni. Kroki zbliżały się ku drzwiom, na moment stanęły. Intruzów musiało być dwóch, słyszał ich szepty. Będą chcieli wziąć mnie żywcem, tym lepiej! – pomyślał. Starając się nie czynić hałasu, zdjął ręczny prysznic i zanurzył go w wodzie, potem zamknął dopływ zimnej wody. Teraz z kranu walił czysty wrzątek. Jedną rękę oparł na dźwigni prysznic.

Kopnięte drzwi rozwarły się raptownie. Najpierw zobaczył lufę pistoletu, tuż za nią wysokiego, śniadego mężczyznę.

– Ręce do gór... – zawołał, lecz urwał. Strumień wrzątku z prysznic zalał mu twarz i ręce. Rzucił się do tyłu, mimowolnie odpychając kompana.

To wystarczyło Fredowi, wyskoczył z wanny i zatrzasnął drzwi. Upuszczony pistolet pozostał w środku. Gray porwał go i przywarł do ściany. W samą porę. Zagrała seria z automatu i sypnęły się drzazgi z drzwi. Fred strzelił dwukrotnie przez drzwi, zastanawiając

się nad sposobem ucieczki. Wysoko nad wanną znajdowało się okno z matowego szkła, dwa metry długie, pół szerokie. Wspiął się na wannę i odbił obunóż, przypominając sobie czasy, kiedy wysokością metr osiemdziesiąt wyrównał rekord szkoły w skoku wzwyż. Głową i barkiem wypchnął szybę, następnie flopem przeleciał przez otwór...Nie przejmował się odłamkami szkła kaleczącymi jego tułów i ramiona.

Dwa pietra niżej znajdował się hotelowy ogródek, w którym goście, słysząc strzały, poderwali się na równe nogi. Wszyscy osłupieli, kiedy przez świetlik z drugiego piętra wypadł nagi człowiek, upadł na pokryty winoroślą ażurowy dach kawiarni, przebił go i wylądował między stolikami. Mężczyzna ociekający krwią i mydlinami nie wydawał się szczególnie zażenowany, zerwał ze stołu serwetę i wymachując pistoletem, wrzasnął:

– Kryć się!

Zaraz z klatki schodowej rozszczękał się automat. Golas przemknął między stolikami i dopadł bocznej uliczki, u jej wylotu wykonał piruet i strzelił ponad restauracją. Z jednego z okien runęło na podest dla orkiestry ciało rosnącego mężczyzny o wystających kościach policzkowych.

Owinięty obrusem, Fred dobiegł do wąskich schodków na zakręcie ulicy, przesadził je kilkoma susami i znalazł się na bulwarze biegnącym powyżej hotelu. W perspektywie alei zamajaczyło znajome BMW. Otworzyły się drzwiczki.

– Prędko! – zawołał Carlo.

Fred wskoczył do środka, wóz ruszył gwałtownie i wtedy Gray uświadomił sobie, że popełnił beznadziejny błąd.

Właściwie mógł jeszcze wyskoczyć, był prawie gotowy, czekał na najbliższy zakręt i zmniejszenie szybkości, kiedy z tyłu na jego szyję spadła pętla. Tak sprawnie, że nie zdążył asekurować się ręką. W lusterku pojawiły się ciemne okulary i kapelusz. Kobieta lekko ściągnęła linkę.

– Spokojnie, Christine, jeszcze nie teraz – powiedział Carlo.

W dole za nimi morze świateł i światełek Locarno oddalało się coraz bardziej.

Pędzili wariacko serpentynami w stronę klasztoru Madonna del Sasso. Carlo był równie perfekcyjnym kierowcą, jak zdrajcą. Szkolny błąd. Carlo? Kto by pomyślał, pracował dla KOMÓRKI tyle lat. Cała dotychczasowa pomoc, której mu udzielał, służyła uśpieniu jego czujności. Niewątpliwie wrogowie znali już kryjówkę Wallenhoffów. A on głupiec, sam ich tam zaprowadził. Tylko dlaczego brali go żywcem?

Klasztor pozostał w dole z tyłu. Fred czuł, że serweta nasiąka krwią, linka na szyi coraz bardziej pozbawiała go tchu. Wreszcie stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, przez małe okienko wlewał się żar południowego słońca. W pobliżu beczwały kozy, a cela śmierdziała nawozem. Włochy? Raczej nie przekroczyli Alp.

Zauważył, że skaleczenia opatrzone mu fachowo, ale nie zlekceważono przeciwnika – ręce i nogi miał skute kajdankami... Obok posłania stał dzbanek z chłodnym napojem. Chwilę

pił łączywie. Jego silny organizm, mimo upływu krwi, nie poddawał się łatwo. A mózg, precyzyjna maszynka pod czaszką, powiedział mu, że dopóki żyje, nic nie jest stracone.

Odwiedzili go w trójkę: Carlo, Omar – smagły rewolwerowiec, jego poparzona twarz tonęła w plastrach i Christine, śliczna dziewczyna, najwyraźniej panienka z dobrego domu, która wybrała drogę na lewo od zdrowego rozsądku.

– Dzień dobry, panie Gray – zaczął przymilnie Carlo z uśmiechem na spoconej twarzy.  
– Proszę wybaczyć mało komfortowe warunki, ale na wojnie, jak na wojnie... Mam nadzieję, że szybko dojdziemy do porozumienia, panna Christine ma mało czasu, a nasz biedny Omar powinien prędko spotkać się z jakimś dermatologiem. Wprawdzie życia nie możemy ci zagwarantować, ale śmierć może być przyjemna lub nieprzyjemna...

– Ale po co mówić o śmierci – przerwała Christine i tu zaskoczył Freda jej ciepły alt, po fizjonomii spodziewał się raczej ostrego sopranu – wszystko zależy od pana.

– To znaczy?

– Może się pan uratować, a nawet odzyskać wolność.

– A stawką będzie moja praca dla was?

– Co za inteligencja – zachichotał Carlo.

– Oczywiście – ciągnęła dziewczyna po angielsku z lekko zauważalnym obcym akcentem (Czeszka, Rosjanka?) – musielibyśmy otrzymać od pana pewne gwarancje. Na razie potrzebujemy drobnego gestu przyjaźni.

– Mam przeprosić pana Omara? – spytał ironicznie.

– Omar zapłacił za swój brak profesjonalizmu i może mieć pretensje tylko do siebie. My potrzebujemy informacji. Jak poszło w „Szarym Domu”?

– Było sympatycznie.

– A konkretnie?

– Już zapomniałem.

Twarze im stężały, a oko Omara przypominało nieomal wylot lufy.

– Kiepski czas na kpiny – wycedził Carlo.

– Jestem do kupienia – Fred uniósł się na posłaniu. – Ale jestem drogi i współpraca za cenę życia mnie nie interesuje. Mogę grać w waszej drużynie, ale koszt transferu wynosi pół miliona.

– Marek? – zachrypiał szyderczo Carlo.

– Dolarów. Do mojej kieszeni. I oczywiście pełna swoboda ruchów.

– Jesteś rzeczywiście bezczelny – powiedziała Christine. – Stawiać warunki w twojej sytuacji?

– Dysponuję sporymi atutami. Wiem więcej niż wy. Mam wejście do rodziny Altenbachów i jestem fachowcem.

– Trzeba zabić tego psa – powiedział Omar. – Nawet wpół zdechły może być niebezpieczny.

– Milcz! – rzuciła Christine. – Nie jesteś od myślenia! – Dziewczyna oparła czoło na splecionych dłoniach. Wyglądała jak zmęczony anioł z nagrobnego monumentu.

– Są sposoby, żeby zmusić go do mówienia, wystarczy wezwać fachowca... – podsunął Carlo.

Fred zignorował groźbę:

– Powiedzmy, że zdobędziecie siłą „Szary Dom”. Pał sześc, że ściągniecie sobie na kark całą policję szwajcarską i oddziały paramilitarne, a to cholernie twarde chłopaki, ale przecież nie zależy wam na martwych Altenbachach. Chodzi wam o receptę eksperymentu oraz o nazwiska i adresy, a te można zdobyć tylko sposobem...

– Nie słuchaj tego skubańca – wybuchnął Omar. – Już teraz knuje zasadzkę...

Christine kiwnęła głową na swych współpracowników i wszyscy wyszli. Naradzić się? Wydać wyrok?

\* \* \*

Cały dzień przeleżał na sienniku, skuty kajdankami. Na zewnątrz nie działo się chyba nic ciekawego. Raz tylko usłyszał warkot nadjeżdżającego samochodu, przy czym nie było to BMW Carla. Samochód nie odjechał – zapewne więc siły przeciwnika jeszcze wzrosły. Koło południa Omar przyniósł mu pożywienie, włoską zawieszistą zupę i spory kawałek pizzy. Omar rozkuł więźnia na czas posiłku, ale Carlo ubezpieczał go, trzymając automat w ręku. O ile Włoch żartował, to smagłokóry terrorysta, doświadczony po incydencie w Locarno, patrzył na Graya tak, jak patrzy się na niebezpiecznego skorpiona. Potem znów skuli mu ręce, tym razem z przodu, a rozkuł nogi. Drewniana wygodka znajdowała się opodal komórki z kamienia, stanowiącej jego celę. Idąc w jej stronę mógł wreszcie rozejrzeć się po okolicy. Jego więzienie znajdowało się na niedużej polanie, z trzech stron otoczonej lasem. Z czwartej perspektywę zamykały strome skały, jednak trudno było domyśleć się, co jest za nimi.

– Tylko nie siedź za długo! – ostrzegł Omar, bawiąc się splotką.

W środku było cicho i smrodliwie, ospale brzęczały wielkie muchy. Agent zastanawiał się nad swoimi szansami. Dwóch uzbrojonych mężczyzn na podwórzu, nie wiadomo ilu wewnątrz domu poniżej, ze ścieżki widział tylko dach zabudowań i zagrodę dla owiec... Do najbliższych zarośli ze sto metrów. Przyjrzał się desce z tyłu. Obluzowana. Jeszcze bardziej zainteresował go duży zardzewiały gwóźdź, który dawno przestał spełniać jakiegokolwiek zadania konstrukcyjne. Chwilę majstrował przy ćwieku, wreszcie wyjął go i wsunął do kieszeni. Teraz sięgnął do ust. Dla obserwatorów niezbyt biegłych w technice dentystycznej jamę ustną Freda wypełniał iście hollywoodzki garnitur zębów, niezwykle u człowieka, który zaliczył wiele mordobić. Było to istne dzieło protetyki. Fred podważył szóstkę i siódmkę. Proteza mieściła miniaturowy schowek. Wydobył zeń małeńki kawałek metalu, potem umieścił zęby na swoim miejscu...

– Hej, pośpiesz się, a może podać ci środek przeczyszczający? – huknął z zewnątrz Omar.

Starając się nie spieszyć, Fred ujął mikrowytrych ustami i przybliżył rękę do twarzy.

– Wyłaź wreszcie! – pistolet Omara łomotnął w drzwi.

Uderzenie było tak nieoczekiwane, że szczęki Graya drgnęły. Zbawczy kluczyk wyleciał pomiędzy zębów i potoczył się po podłodze. Agent usiłował zatrzymać go wzrokiem, nie miał jednak zdolności telekinetycznych. Wytryszek jak ciągnięty magnesem doleciał do szczeliny między deskami, jakimś cudem przeleciał przez nią, ginąc na zawsze w dole z nieczystościami.

Zrezygnowany wyszedł z kibla, mrużąc oczy w słońcu.

– Czy szanowny pan miałby jeszcze jakieś życzenia? – zapytał przesadnie ugrzecznionym tonem Carlo.

– Chciałbym się umyć.

– To chyba da się załatwić.

Zeszli niżej, pomiędzy zabudowania gospodarcze. Znajdowało się tam wielkie koryto, trudno byłoby nazwać ową ocembrowaną kadź basenem. Pod murem leżał ogrodniczy szlauch.

– Chcesz się myć, to się rozbieraj...

Skrzypnęły drzwi i z wnętrza domu, wysunęła się Christine. Z zaciekawieniem patrzyła jak Fred zdejmuje spodnie i, bez większego ociągania, majtki.

– Co mam zrobić z górą? – spytał, unosząc skute rękę.

Terroryści lekko się zjeżyli.

– Rozkujcie go na chwilę – zdecydowała terrorystka. – Omar będzie miał go na oku.

Trzeba przyznać, że Fred robił wrażenie harmonijnie zbudowanego. Proporcjonalne, nie nadmiernie umięśnione ciało szpeciła jedynie długa blizna na żebrach, pamiątka po niezbyt celnym pchnięciu nożem w zaułkach Hongkongu. Klejnoty męskie na tle nieopalonych części ciała przeważnie wyglądają żałośnie – w jego przypadku jednak jednolita opalenizna i naturalność postawy kojarzyły się raczej z antycznym posągami.

Carlo włączył wodę. Wąż ogrodniczy leżał w cieniu, toteż chlusnęło dotkliwym zimnem. Gray skulił się i przysłonił twarz. Włoch rozkręcił kurek na pełny regulator. Ciśnienie było silne jak w pożarniczej motopompie. Agent zaklął. Trójka obserwatorów wybuchnęła śmiechem. Pyszna zabawa! Więzień usiłował wydostać się spod wodnego bicza, ale ten dopadał go, obracał, podcinał, obalał... Płasanina trwała dłuższą chwilę, a Carlo, mimo prób kapanego, tylko rechotał z radości. Wreszcie goły człowiek zaczął zlorzeczyć i wygrażać. Dalibóg, to było jeszcze zabawniejsze. Trójka widzów nie zwracała jednak uwagi, że taniec świętego Wita w wykonaniu nagiego nieszczęśnika jest znacznie mniej bezcelowy, niż mogłoby się wydawać.

Gray od początku wiedział, co robi. Wirując i przewracając się znalazł się w połowie podwórza, parę metrów od stojącego na cembrowinie zbiornika Omara, który na swe



nieszczęście dawno opuścił broń. Jeszcze dwa kroki i struga wody przeznaczona dla nadgorliwego czyściocha objęła również smagłolicego rewolwerowca.

– Uważaj, baranie! – zaklął, oślepiiony przez moment.

To wystarczyło Fredowi, stanął przy Omarze i pchnął go silnie, tak że ten stracił równowagę i runął do kadzi. Nim do Carla dotarło, co się dzieje, Gray skoczył ku dziewczynie. Nieporadnie szukała czegoś w torebce. Fred minął ją, dążąc ku niskiemu murkowi, za którym ciemniał zbawczy las. Carlo nareszcie zrozumiał, co się dzieje. Jednak w pośpiechu, zamiast zakręcić wodę, cisnął węża i sięgnął po broń. Idiotyzm! Pozostawiona sama sobie gumowa bestia poczęła jak zwariowana tańczyć po podwórku. Nim Omar wygramolił się z sadzawki, plecy uciekiniera zniknęły za murem...

– A dokąd to, przyjacielu? – zapytał Greya mężczyzna, oczekujący na ścieżce po drugiej stronie muru. Szczupły, elegancko ubrany albinos o króliczych oczach. Fred skoczył ku niemu. Nieznajomy nie uchylił się, tylko odparował cios, a następnie wyprowadził własny w podbrzusze agenta, potem poprawił, wyminął gardę i uderzył w podbródek. Gray upadł. Wprawdzie mógł dalej walczyć, ale żałował sił. Poznał przeciwnika. To był Helmut. Jeden z osobników najgorliwiej poszukiwanych przez policję pięciu kontynentów. Helmut, współczesny Old Shatterhand, obok Carlosa najbardziej niebezpieczny zabójca na Ziemi.

Z podwórka wybiegli pozostali prześladowcy: Christine, Omar, Carlo. Dobięgli do Freda.

– Zostaw! – warknął Helmut, widząc, że Omar zamierza kopnąć leżącego. – Przecież to nasz potencjalny współpracownik.

Znów zapadł zmrok, a Gray ponownie zamknięty w komórce leżał z kajdankami na rękach i nogach, usiłując zasnąć. Doświadczenie nakazywało mu maksymalne oszczędzanie sił, które nie wiadomo kiedy mogą się przydać. Ciągłe jeszcze żył i tylko to się liczyło. Podobnie jak fakt, że był Helmutowi do czegoś potrzebny.

Rad był też, że zna przeciwnika. Helmut vel Ivan Owsianikow był żywą legendą, asem atutowym używanym przez Stasi i KGB, kiedy należało załatwić trudną sprawę na cudzy rachunek. Do końca nie wiadomo kim był, potomkiem dobrej norymberskiej rodziny, który niejako pod prąd przeskoczył mur berliński? Nadwołzańskim Niemcem?

Wydawało się, że po brawurowym odbiciu izraelskich zakładników w Tananarivie Helmut został wyeliminowany na długo. Może na zawsze. Niestety. Chociaż ciężko ranny, zdołał ująć z więziennego szpitala w Tel Avivie i na dobre dwa lata słuch o nim zaginął. W Interpolu twierdzono, że jako inwalida przeszedł na emeryturę i po operacji plastycznej twarzy przebywa gdzieś w Ameryce Południowej albo Oceanii. Niektórzy twierdzili, że Helmut nie interesował się polityką i równie dobrze czułby się u lewaków, jak i faszystów, i jedyne, co naprawdę lubił to złą sławę i pieniądze. Fred podejrzewał jednak, że to tylko część prawdy. Służba dla wolnego świata, ze wszystkimi jej demokratycznymi ograniczeniami, dawałaby mu znacznie mniej satysfakcji niż akcje „w służbie pokoju i socjalizmu”.

Jak dotąd spotkali się tylko raz. Przed trzema laty. Gray ubezpieczał wówczas pewnego ambitnego komisarza ze środkowych Włoch, znanego z ciężkich strat, jakie zadał hydrze Czerwonych Brygad. Komisarz miał obiecanych parę wyroków śmierci, ale nie przejmował się nimi. Chroniło go zresztą stale paru włoskich funkcjonariuszy, no i Fred. Helmut załatwił rzecz brawurowo. Przystał na jakiś czas do konkurencyjnej organizacji terrorystycznej i dał się ująć w czasie akcji z bronią w ręku. Oczywiście nikt z aresztujących go karabinierów nie miał pojęcia, kogo schwytał naprawdę. Helmut wyspał bez litości całą podziemną siatkę, czym zyskał wdzięczność i sympatię komisarza, następnie zaproponował rozpracowanie kierownictwa Międzynarodówki terroru. Za poręczeniem swej przyszłej ofiary został zwolniony z więzienia. Egzekucji komisarza dokonał w jego własnym gabinecie, skąd umknął na ruchomym bloczku, po linie przewieszanej między strzeżoną kwaterą na dziesiątym piętrze biurowca a gankiem pobliskiego barokowego kościołka. Gray strzelał do niego w locie, ale chybił. Rewanż również zaczynał się kiepsko.

Skrzypnęły drzwi. Ktoś wszedł do celi. Zaintrygowało to Freda, którego ciekawość rzemiosła przewyższała lęk przed śmiercią. Panował absolutny mrok. Ktoś usiadł na posłaniu... Gray poruszył się, ale postać tylko szepnęła: cii, kładąc mu palec na ustach. Bardzo pięknie pachniał ten palec. Postać przesunęła agenta na posłaniu. Zabolały sińce i skute od wielu godzin ręce. Nieznajoma – jej kobiecość raczej nie budziła wątpliwości – położyła się obok Greya i delikatnie, długimi paluszkami zaczęła rozpinać koszulę więźnia. Uczuł ciepły dotyk wilgotnych ust na szyi i piersiach. Muśnięcia jedwabistych włosów. Kobieta, czy raczej dziewczyna, nie przejmowała się sytuacją Freda. Skrepowanie mężczyzny wydawało się ją cieszyć, a nawet podniecać. Wszystko odbywało się w absolutnej ciszy. Płaszcz, a może szlafrok zsunął się z ciała nocnego gościa. Wilgotne usta dotknęły brzucha Freda. A potem była rozkosz, rozkosz, rozkosz...

## Rozdział X

# Bogowie schodzą na Ziemię

Zagłada każdej cywilizacji jest katastrofą. Upadek superkultury zwanej Etea nie miał sobie równego we wszechświecie. Zgasło wielkie, dobroczynne słońce, planety-matki zmieniły się w martwe bryły żużlu, a oni, bogaci tysiącleciami rozwoju, wielowieczni, nieomal równi Temu, Który Naprawdę Stworzył To Wszystko, musieli szukać ratunku na rubieżach Galaktyki. Musieli gnać w maleńkich awaryjnych stateczkach poza znane konstelacje i mgławice, poza życiodajne słońca, których promienie dawały im nieśmiertelność.

Czyż mógł przynieść satysfakcję fakt, że ich wrogowie również zginęli, że dobro i zło utonęły wspólnie w wirze zagłady? Marzenie o kulturze wszechświata, kulturze Piękna i Dobra oddaliło się tak bardzo, że ostatni z ocalałych utracili wiarę. Zresztą, w co mogli wierzyć? Ich kobiety – dawczynie życia – zginęły co do jednej, a autogeneza bez zbawczych promieni „I”, których źródło zniknęło, stała się niemożliwa.

Żeglowali więc swymi stateczkami, ponadczasowi, prawie nieśmiertelni, zrozpaczeni.

Z czasem, kiedy niemożliwe okazało się odtworzenie rozbitego świata, każdy począł sam szukać swej kosmicznej wyspy, aby na niej spróbować uratować choć część siebie, ową odrobinę wiecznego światła, zanim ta wypali się w nich do końca.

Urr nie był pierwszym, który skierował się ku trzeciej planecie pojedynczego słońca. Jedynej tak podobnej i jednocześnie niepodobnej do jego Ojczyzny. Wiedział, że zagładali tu przed nim inni, być może trwali nadal w rozmaitych zakątkach życiodajnego globu, pełnego lazurowych mórz, zielonych lasów i ośnieżonych gór. Kiedy znalazł się na orbicie, pożegnał swój wielowiekowy statek i wyfrunął z kokona kadłuba maleńkim ładownikiem. Przekroczył granicę. Nie miał odwrotu.

Nie wybierał miejsca starannie, z pomiarów jednak wiedział, że osiąść musi wśród gór wysokich, ale niezbyt mroźnych, których rozrzedzone powietrze przypominało atmosferę Tej, Która Nie Istnieje.

Chmury rzedyły, kołyszący się pojemnik sunął ku Ziemi. Przez iluminator Urr widział poszarpane i ośnieżone żłeby wielkiej góry. Niżej rozciągała się ciemna mierzwa lasów, a jeszcze niżej srebrzyła się migotliwie, nadgryziona skalistymi wybrzeżami, tafla morza z dziesiątkami małych wysp, wysepek, raf.

– To ma być mój dom! – pomyślał Urr i coś szepnęło mu, że mogło być gorzej, gdyż ta ziemia – ciepła, choć kamienista – jest po prostu piękna.

Osiadł w żłebie i przeniknął na zewnątrz kabiny. Zarówno temperatura, jak i skład atmosfery mieściły się w granicach tolerancji. Jego organizm mógł znieść stustopniowy upał i stustopniowy mróz. Dotknął gruntu. Wymówił słowo, pierwsze słowo, które przyszło mu do głowy: „Ziemia”.

Według kryteriów świata, w którym się znalazł, Urr był istotą doskonałą. Jego siła nie miała sobie równych. Jego wzrok mógł zabijać, lecz i goić zarazem. Jego fluidy miały moc pobudzania życia. Potrafił unosić się nad skałami jak górski orzeł, nurkować na dno mórz i tygodniami obywać się bez pożywienia. Posiadał dar prekognicji, hipnozy i teleportacji, umiał kamienieć na tysiąclecia snu, mógł zniknąć lub przybierać dowolny kształt człeka, zwierzęcia czy rośliny. I był zdolny kochać.

A ponieważ przyniósł ze sobą wielką, niespełnioną miłość, pokochał ową ziemię kamienistą, ową wodę wyspami obsypaną, owe zwierzęta chyżo pomykające zaroślami, uwijające się w powietrzu i przecinające wodę. I pędził z nimi jak łania wśród łań, jak zając nad zające, jak ryba niezrównana.

Ale był samotny.

To prawda, wiedział, że za morzami i górami osiadło paru mu podobnych, równie samotnych i równie wielkich. Ale nie pragnął towarzystwa istot tej samej płci, dobrych kolegów kosmicznej eksploracji, jednak nie mających owego ciepła, które pod Matczynym Słońcem dawały ich Samice. Piękne, dobre, wierne...

Spotykał też ziemskich dwunogów – jakby przez przekorę na podobieństwo istot niebieskich uformowanych – brudnych i kosmatych, ledwie z dziczy zwierzęcej wyodrębnionych, lecz już bardziej od innych ssaków przebiegłych, złośliwych i podłych.

A jednak czasami wzbierała w Urrze chęć wyciągnięcia rąk do owej hołoty, nad wyraz żalostnej w swej pospolitości, mizerii, prymitywie, bełkotem nieartykułowanym wstrętnej, łukami nadczołowymi nieestetycznej, przygarbioną sylwetką – małpom podobnej.

Często figlując w wodach z najprzyjaźniejszymi i najrozumniejszymi z ziemskich istot – delfinami, zastanawiał się, czy nie dałoby się tak ukształtować ich chromosomów, by uczynić z wesołych ssaków swych partnerów. Ale cóż, nawet rozumni i zdolni mówić, stanowili jednak inny gatunek, niemożliwy do stworzenia rodziny.

I nieraz, choć płacz obcy był jego błękitnej naturze, w pieczarze u szczytu góry Urr lkał i wzywał Tego, Który Większy Jest Niż On i Jemu Podobni.

Aż dnia pewnego, gdy zapuścił się na drugi brzeg ciepłego morza, dojrzał smugę dymu wznoszącą się ponad zielenią. I zszedł ku niej, nagi i ogromny. Przy ognisku krzątało się stadko dwunogów. Innych od dotąd napotykanym, prostych, pięknych, z przepaską ze skór na biodrach. Ich język, acz chropawy, nie brzmiał aż tak zwierzęco, a dziecko, ssące pierś matki nie przypominało małej małpki.

I zdziwił się Urr. Pozostając niewidzialnym, długo obserwował ową osadę. Widział mężczyzn idących na łowy, kobiety zajęte przyrządzaniem pożywienia. I zdał sobie sprawę, że całe tysiąclecia upłynęły od chwili, gdy opadł na ten świat. I choć dotąd czas nie miał dla niego znaczenia, pojął, że zmarnował go, że ktoś bezustannie pracował nad tym gatunkiem, uszlachetniał go i doskonalił. Może sąsiad zza morza? Siwobrody?

A potem zobaczył – bo mógł widzieć nocą i przez ściany – jak dwie istoty zespały się w prokreacji i nie było w tym nic ze zwierzęcej kopulacji. Zwierali się bowiem pierściami, usta ich wymieniały pocałunki, a dłonie przygarniały do siebie. Jak Niebiescy.

I nie upłynęło wiele lat, kiedy pewne dziewczę z wioski szło ku strumieniowi po wodę. Było piękne i młode. Smukłe jak gazela, o brwiach zrosniętych wspanialej niż przełęcze górskie. Jej piersi podskakiwały jak dwoje figlarnych koźlich źrebiąt, gdy od matki odbiegła. Jej usta były rozchylone jak imię wielkiej tajemnicy, w jej oczach odbijało się niebo z wodą złączone.

I wyszedł Urr na ścieżkę i objawił się jej po raz pierwszy, ludzkich kształtów, ziemskiej urody. No, może trochę niezemskiej.

Kiedy padła drżąca na ziemię, a stłuczony dzban rozsypał się wśród kamyczków, on klęknął przy niej i rzekł do niej mową znajomą. Potem pozbiierał dzban tak, że stał się znów cały. I napełnił go wodą, choć do źródła było daleko, i unióś dziewczę na ramionach na swój szczyt, gdzie nazwał ją żoną.

I dał jej imię Gaja – Ziemia. A siebie kazał zwać Uranosem. Taki był początek.

\* \* \*

Wszystko, co możemy przeczytać w mitach greckich, opisywali ludzie wiele, wiele lat po omawianych wydarzeniach. Stąd ogromna liczba pomyłek i przeinaczeń, domysłów i interpretacji niezgodnych z prawdą, którą zachowały małe złote tabliczki. To, co działo się przed tysiącletkami, Homer, Hezjod i pomniejsi przenieśli w epoki bliższe i opisywali językiem sobie znanym. Najistotniejsze wszelako jest to, że mitologia grecka, podobnie jak podania chińskie, indyjskie czy semickie, nie była żadną miarą zbiorem ludowych bajek i legend. Stanowiła niedokładną, acz dążącą do wierności relację o faktach, pamięć o których stepił czas, niedoskonałość języka, a nade wszystko brak pojęć adekwatnych do opisywanych zdarzeń. Ponieważ treść tabliczek dotyczyła bogów greckich, trudno dziś oddzielić przygody wszystkich innych bogów od przypadków ludzi, stwierdzić, czy dramat Ozyrysa był ludzkim czy boskim i do jakiego stopnia Izyda miała naturę niebiańską. Zresztą, skutek tragedii,

która spotkała wyprawę sir Dunstalla, zbiór przechowywany przez klan Wallenhoffów pozostał kompletny.

W przypadku mitów relacje przekazywane z pokolenia na pokolenie zostały utrwalone dopiero wówczas, gdy język pisany wyrugował pieśń-skarbnicę, kiedy pamięć, zastępowana przez protezę pisma, marniała jak niestrzyżony żywopłot. Dłużej pamięć plemienna ostała się jedynie wśród ludów Oceanii, wśród nie znających pisma Dogonów czy niektórych plemion indiańskich.

W wypadku „tabliczek olimpijskich” jesteśmy w szczęśliwszym położeniu. Mamy źródło bezpośrednie. Szkoda, że bez chronologii. Zapewne we właściwym czasie uczeni ustalą, kiedy miała miejsce ucieczka kosmitów, kiedy rozpoczęto genetyczne uszlachetnianie rodu ludzkiego i planową hodowlę homo sapiens. Kiedy wreszcie Uranos pojął za żonę Gaję, dając w osobach Kronosa i Tytanów pierwsze pokolenie półbogów-półludzi?

Jeśli porównamy odnaleziony zapis z tradycyjną mitologią, znajdziemy masę różnic. Chaos jako początek wszechrzeczy to tylko zamaskowana aluzja do galaktycznej katastrofy. Uranos nie był synem, lecz mężem Gai – Ziemiarki. Nie poprzestał zresztą na jednej niewieście. Według tekstów ze złotych płytek wchodził on w wiele związków, których celem miało być uszlachetnienie rodu ludzkiego. Wiele z owych krzyżówek jako nieudanych zostało zniszczonych. Echo tych wydarzeń pobrzmiwa w micie o sturękich, o cyklopach, prawdziwych potworkach-hybrydach. Samo pokolenie Tytanów również napawało Urra niepokojem. Wprawdzie ich moc i umiejętności świadczyły o kosmicznym rodowodzie, lecz charakterzy posiadali zgoła ludzkie, ziemskie. Byli po ludzku zawistni, chciwi i okrutni. Uranos zachował ich jako najdoskonalsze krzyżówki, zamierzał jednak eksperymentować dalej.

Na przeszkodzie stanął mu jednak spryt Kronosa. Nie wiemy, w jaki sposób unieszkodliwił swego ojca, natomiast jest faktem, że udało mu się to. Zajął jego miejsce. Kronos zdawał sobie naturalnie sprawę, że dalsze krzyżówki mogą tylko osłabić boski potencjał. Stworzył więc z rodzeństwa, w większości przyrodniego (jak wspomniałem obok Gai były inne ziemskie kobiety), ekskluzywny „Klub Bogów” w pałacach ukrytych wśród pieczar Olimpu. Tytani byli niezwykle długowieczni, ale śmiertelni. Dyscyplina też nie należała do ich silnych stron. Co rusz któryś schodził na ziemię, zabawiał się z kobietami, mniej lub bardziej świadomie wzbogacając ród ludzki. Historia Prometeusza jest piękna, ale raczej literacka. W rzeczywistości Prometeuszy było wielu. Ci utalentowani dżentelmeni z Olimpu dzielili się swą wiedzą z ludzkim potomstwem, z czego obdarowani korzystali w znikomym stopniu, choć pamięć wielu nauk przetrwała pokolenia, owocując w filozofiach pierwszych Jończyków.

Lęk przed dalszą degradacją rasy sprawił, że Kronos zarządził małżeństwa wyłącznie w rodzinie. Sam poślubił przyrodnią siostrę Reę. Potomstwo za każdym razem było starannie

badane przy urodzeniu, po czym decydowano, czy pozostawić je na Olimpie, czy strącić na Ziemię. Brak dowodów na uśmiercanie dzieci, a tym bardziej połykanie.

Jednak Zeus, czy jak kto woli Dzeus, należał do takich właśnie strąconych. Może przez pomyłkę, a może jego boskie parametry przekraczały wskaźniki ojca, zaś jego iloraz inteligencji napawał stryjów przerażeniem?

Wskutek luk w relacji tabliczkowej możemy tylko się domyślać przebiegu Tytanomachii. Zeus zebrał podobnych mu wygnańców, pół – lub ćwierćbogów, i stoczył walkę z Kronosem. I zwyciężył. Może okazał więcej przebiegłości, może więcej okrucieństwa?

Nowa ekipa na Olimpie miała już całkiem wyraźną przewagę cech ludzkich. Nadziemskie umiejętności traktowano instrumentalnie – w celach politycznych bądź hedonistycznych. Kosmiczna dobroć i niebieskie partnerstwo ustąpiły miejsca ludzkim swarom i animozjom. Coraz więcej zdarzało się niekontrolowanych krzyżówek. Dodajmy, że genealogia olimpijczyków też jest bardziej skomplikowana niż podaje Homer; wielu było Hermesów, Afrodyt, nawet Aten. Jedni starzeli się i umierali jak ludzie, inni, gdy wyczerpała się tajemnicza życiodajna siła, zasypiali w podziemnych kryptach. Tak usnął pewnego razu Zeus I, Afrodyta I... W „Klubie Bogów” pojawiły się istoty zgoła nieczytelne, jak Dionizos, czyniące z kosmicznych atrybutów jedynie przedmiot zabaw i igraszek.

Tymczasem małżeństwa braci i siostr również prowadziły do degeneracji rodu.

Kolejne pokolenia stanowili bohaterowie-herosi, Herakles, Tezeusz... Istnieli naprawdę i mieli sporo cech ojców z Góry. Sporo, ale coraz mniej. Nadziemski pierwiastek powoli roztapiał się w tubylczym. U progu czasów historycznych ostatnie generacje bogów prawie nie zstępowały już na ziemię – rządził wówczas Zeus VII, przez niektórych nazywany Apollinem V. Owa segregacja stawała się koniecznością. Dekadency niebianie zaledwie z odrobiną genów Uranosa, częstokroć musieli ustępować lekko dowartościowanym ludziom. Zajrzyjmy do historii wojny trojańskiej...

Z wolna pustoszały pałace, ród wymierał, dochodziło do częstych bratobójstw, wreszcie wybuchła tajemnicza epidemia, która wedle tabliczek wyludniła podziemną rezydencję. Dziś trudno wyjaśnić, czy zagładę należy przypisać hemofilii, czy też w czasie eksperymentów w niebiańskiej siłowni nastąpił radioaktywny wyciek. Pozostała jedynie Atena III, która żyła jeszcze jakiś czas, zżerana samotnością i nostalgią. Ona to właśnie spisała na złotych tabliczkach dzieje Przybyszów. Ona hermetycznie zamknęła Olimp i jako ostatnia zasnęła w przezroczyściej krypcie. Na Ziemi zostali sami ludzie.

Oczywiście, krew kosmitów nie poszła na marne. Z niej zrodził się cud grecki, jońska żywość umysłu, niezwykłość kultury, jej trwałość i rozmach. Przez krótki czas Złotego Wieku, gdy prawie w każdym Greku płynęła odrobina boskiego genu, można było mieć nadzieję, że stan ów będzie trwał wiecznie.

Niestety. Mieszanie genów trwało nadal. Esencji kosmicznej nie przybywało. A tymczasem Grecja chłoneła niewolników, kupców, turystów, rozlewała się hellenistycznymi podbojami na cały świat śródziemnomorski, przekazała impuls Rzymowi.

A potem, kiedy rozpuszczanie kulturotwórczej substancji doszło do końca, kiedy ziemskie cechy zdominowały ludzi bez reszty, antyk upadł. Na słoneczne brzegi Morza Śródziemnego runęli pozbawieni genialnego pierwiastka barbarzyńcy. Oczywiście, tu i ówdzie wskutek paradoksów genetyki pojawiał się jeszcze osobnik posiadający więcej niż inni niezwyklego genu – prorok, cudotwórca, geniusz. Atoli coraz częściej to, co ongiś osiągnano uczuciem, nadprzyrodzonym darem, samą wolą, trzeba było wykuwać pracą mózgu, wynalazkami, spekulacją. I tak doszliśmy do naszych czasów.

Jednak wcześniej trójka archeologów – Dunstall, Schultz i Wallenhoff odkryła grobę Kosmitów w górach Olimpu. Popatrzyła w uśpione twarze Zeusa, Afrodyty, Ateny...



## Rozdział XI

# Katastrofa

Z upływem lat mecenas Otto Schmidt coraz gorzej znosił podróże. Gdyby policzyć wszystkie dni, które w ciągu ostatniego półwiecza spędził w pociągu, samolocie, samochodzie lub na statku... Stacjonarne było jedynie dzieciństwo. Ale trudno było mu żałować przykrej egzystencji w sierocińcu, dokąd trafił jako podrzutek. Wszystko jednak zmieniło owo zadziwiające przedpołudnie, kiedy wezwany przez pedla wszedł do gabinetu dyrektora, gdzie oczekiwał go dystyngowany pan o siwiejących skroniach i sportowej sylwetce.

– Przywitaj swego wuja, Ottonie – powiedział dyrektor tonem, którego nigdy dotąd nie używał.

Dopiero po wielu latach dowiedział się, że Stary Pan Altenbach nie był jego wujem, lecz ojcem... i że było to ojcostwo mało chwalebne, choć nie przypadkowe. W jego życiorysie ten dzień okazał się zwrotny – posłano go do dobrej szkoły, ukończył studia prawnicze w Bazylei... Jednak wcześniej przeszedł cały szereg najrozmaitszych badań, których sensu nie potrafił wówczas pojąć. Z zawiązanymi oczami musiał zgadywać kolory kart, odnajdywać asa w rozsypanej tali, godzinami wpatrywać się w rozmaite przedmioty, odpowiadać przez sen na pytania, dawać się ważyć, mierzyć, fotografować lub wkładać dłonie do tajemniczych aparatów.

Po każdej z prób Altenbach nie krył rozczarowania i mruzczał rozmaite zdania w rodzaju: „nie zawsze musi się udać” albo „to jest w granicach normy”. Z czasem Otto pojął, o co chodziło i pogodził się, że jest trochę gorszy niż być powinien. Pokochał nową rodzinę i starał się być użyteczny. Właśnie przez swą normalność, łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi mógł przeprowadzić to, co jego genialnym krewniakom przychodziło z trudem. Rządził finansami rodziny, bywał łącznikiem, doradcą, kurierem.

Kiedyś każda podróż wydawała mu się ryzykiem, a każdy człowiek w mundurze detektywem, śledzącym jego poczynania. Później oswoił się z myślą, że świat zewnętrzny nie wie o ich działalności i najprawdopodobniej nie dowie się, aż przyjdzie czas. Ciekaw był

bardzo, czy on sam dotrwa do tego dnia. Stary Pan nie dotrwał. Ale nawet jeśli śmierć miała go zabrać wcześniej, bywały chwile, gdy ogarniała go bezmierna duma granicząca z pychą. On, Otto Schmidt, wychowanek podrzędnego sierocińca, uczestniczył, współtworzył... Choć bywały i chwile zwątpienia, kiedy myśląc o półwieczu swojej służby zastanawiał się, jaki to wszystko miało sens? Czy cel nie był jedynie fantasmagorią, a cała hipoteza naciągniętą mrzonką?

Boeing dotknął kołami płyty lotniska w Zurychu. Autobusy dowiozły ich do terminalu, głos z megafonu przypominał, że pasażerowie z Moskwy i Warszawy proszeni są o odbiór bagażu. Pociąg do centrum Zurychu odchodził za parę minut. Wszystko toczyło się normalnie. Mediolańskim ekspresem dotarł do Bellinzony. Po drodze, w toalecie wagonu pierwszej klasy, w notesie spisał z pamięci wszystkie zdobyte informacje, przeczytał je jeszcze raz, później kartkę podarł i staranie spożył, popijając piwem, zakupionym u sprzedawcy, który z wózkiem przemierzał pociąg. Od dawna nie przynosił tylu dobrych wiadomości. Oczywiście, jego obserwacje powinny zostać potwierdzone badaniami, wszelako...

Z przyzwyczajenia przetoczył wzrokiem po wagonie. Ludzi siedziało nie więcej niż kilkunastu. Jakieś małżeństwo z dwójką dzieci, para pod oknem zajęta mapą i folderami, ani chybi turyści... Narzeczeni? Nie, sądząc po wzajemnym traktowaniu raczej brat z siostrą, dalej dwie młode, zdrowe dziewczyny, pod oknem ksiądz zaczytany w „New York Harald Tribune” i osiłek o twarzy mopsa. Doktor Schmidt nie cierpiał takich osiłków. Jako człowiek wątki czuł ogromny respekt przed siłą fizyczną i nawet kamerdyner Wolfgang wzbudzał w nim lęk. Wjechali w tunel św. Gotharda. Otto nie lubił tuneli. Przypominało mu to lata, gdy za karę wychowawca zamykał go w schowku na szczotki. Schowek nie miał okna i Otto przekonany był, że się udusi. Naraz w pociągu zgasło światło. Ogarnął go strach. Tym bardziej, że zgodnie ze zwyczajem nie nosił ze sobą broni. Światło jednak zaraz rozbłysło. Mecenasa rozejrzał się. Rodzeństwo chichotało, dzieci bawiły się w najlepsze, ksiądz na powrót rozłożył amerykański dziennik, tylko „mops” zniknął.

Doktor Schmidt nie lubił, jak ktoś znika. Naturalnie barczysty osiłek mógł wyjść do toalety. Chociaż, dlaczego miał to robić po ciemku? Poza tym minął kwadrans, a mężczyzna nie wracał. Próżno Otto powtarzał sobie, że to nie jego sprawa. Niepokój, jak ślimak, który wyszedł ze swej skorupki, nie miał ochoty schować się w niej ponownie.

Wjechali na dworzec w Bellinzonie. Powinien tu na niego oczekiwać Wolfgang. Doktor rozejrzał się, ale charakterystycznej sylwetki kamerdynera nie dostrzegł. Prawnik miał nawet ochotę zapytać krępego spoconego Włocha, gapiącego się na rozkład jazdy, czy nie widział rudego olbrzyma, ale nie zwykł zagadywać nieznanym. Tymczasem z wagonu gramolił się ksiądz, który widocznie zaczytał się i omal nie przegapił stacji. Ksiądz był drobny, ale miał ogromny kufer. Aż dziw, że nie nadał go na bagaż. Konduktor pomógł wytaszczyć sakwojaza na peron, po czym pociąg ruszył.

– Signore, czy mógłby mi pan pomóc? – ksiądz zagadał do Ottona. – Mój bagaż jest lekki, tylko okropnie nieporęczny.

Ksiądz chwycił za jedno ucho, Schmidt za drugie. Rzeczywiście, pakunek był niezwykle lekki. Wyszli przed dworzec...

– To jeszcze parę metrów, zaparkowałem w bocznej uliczce – tłumaczył sługa Boży.

W tym samym momencie mężczyzna o twarzy mopsa wyszedł spoza filaru na peronie bagażowym, przeszedł przez tory i znikł gdzieś w dworcowych zabudowaniach.

Samochodu BMW nie zaparkowano tak blisko, jak ksiądz obiecywał, ale i tak wysiłek był nieduży.

– Tu postawimy – powiedział kapłan. – Dziękuję.

Nagle z cienia wyłonił się spocony facet z wąsikami i po raz nie wiadomo który doktorowi Schmidtowi wydało się, że coś tu nie gra...

Kiedy ciało mecenasa znalazło się już w bagażniku, a kufer po misternym złożeniu skurczył się do rozmiarów małej walizeczki, ksiądz wskoczył do wozu, a Carlo nacisnął gaz.

\* \* \*

Po niezwyklej nocy nastąpił zwyczajny świt. Gray otworzył oczy – na posłaniu obok niego nie było śladu nieznanego. Tylko jeden blond włos przyczepiony do koca stanowił dowód, że wizyta nie była snem. Miał dużo czasu na rozmyślanie, dopiero koło dwunastej wszedł Omar, jak zwykle wymachując splotką.

– Szef zaprasza na śniadanie – powiedział.

– Mam skakać na skutych nogach? – warknął Fred.

– Zaniosę cię.

Na przykrytym obrusem stole pośrodku dziedzińca piętrzył się stos bułeczek, owoców, serów. Brak wędlin wskazywał, że Helmut jest jarozsem.

– Witam kolegę – albinos skłonił się przed usadzonym na krześle więźniem. – Rozkuj mu ręce, Omar, nie będziemy przecież go karmić. Nogi pozostaw!

Posiłek spożyli we dwóch. Nigdzie nie było nawet śladu pozostałych porywaczy. Nie pojawił się Carlo, ani Christine.

– Ludzi jednego fachu winien cechować wzajemny szacunek – powiedział w pewnym momencie Helmut. – Szacunek i uprzejmość, nawet jeśli przypadkowo znajdują się po dwóch stronach barykady. Zresztą mówiono mi, że chce pan dla nas pracować.

– Podałem swoją cenę.

– Przyzwoita stawka i nie wiem, czy jeszcze potrzebujemy współpracownika. Nawet tak znakomitego jak pan. Sprawy pokomplikowały się... Chociaż, patrząc z naszej strony, mocno się uprościły. Właściciel stawu rybnego nie kupuje sobie wędki. Nieprawdaż? – ponieważ Fred milczał, koncentrując się na konsumpcji szparagów, terrorysta ciągnął dalej: – Szczerze

żałuję, że w naszym pojedynku zabrakło lepszej dramaturgii. Ale cóż, życia nie układają scenarzyści filmowi. Głupio pan wpadł, głupio zginie...

– Czy zawsze jesteś taki pewien siebie, Helmut? – zapytał, nie tracąc zimnej krwi. – Wiem, że blefujesz. Do układanki brakuje ci masy klocków. Nie znasz istoty eksperymentu Altenbachów, nie znasz ich adresów, kontaktów...

– Jeszcze parę godzin. A co powiedziała by pan na odrobinę dobrego wina?

– Chętnie.

Rozmowa toczyła się lekko, można rzec, niefrasobliwie. Fred rozważał wprawdzie ewentualność gwałtownego pchnięcia stolika na siedzącego vis-à-vis Helmuta, kiedy Omar, zachowujący się jak doskonale ułożony kelner będzie odwrócony, jednak we właściwym momencie zauważył nieruchomą sylwetkę kolejnego oprycha za oknem pobliskiej szopy.

Po posiłku Helmut przeprosił gościa, tłumacząc, że wzywają go obowiązki, i Gray znów wylądował w swej celi. Z coraz większą irytacją myślał o kolegach z KOMÓRKI. Czy nikogo w centrali nie zaniepokoił brak wiadomości od niego? Czyżby go skreślono?

Dopiero pod wieczór jego uwagę zwrócił warkot samochodu i wściekły głos Helmuta:

– Musieliście przycisnąć go tak mocno? Mam przez was organizować tu jakieś pieprzone sanatorium?

W jakiś kwadrans później albinos zajrzał do jego celi.

– Przykra wiadomość, mister Gray – powiedział. – Będziemy musieli się rozstać.

– Wyjeżdża pan – uśmiechnął się Fred.

– Właśnie. Pan zostaje!

Szczęknęła odbezpieczona broń. „A więc koniec – pomyślał Gray – zaraz dowiem się jak przebiega proces umierania”. Spróbował przybrać drwiący wyraz twarzy. Ale terrorysta nie strzelił, opuścił broń.

– Nie lubię szlachtować skutych profesjonalistów – rzekł. – To jest jak niełojalność we własnym związku zawodowym. Hej, Carlo, mam zadanie dla ciebie...

Wszedł makaroniarz – zdrajca z podłym uśmiechem na ustach. Rola kata wyraźnie mu odpowiadała.

– Kropniesz go, jak odjedziemy, tylko nie zbliżaj się zanadto. Do pomocy zostawiam ci Rona. – W drzwiach pojawił się mężczyzna, który tak precyzyjnie podszedł mecenasa Schmidta, tym razem nie nosił sutanny ani koloratki. – Żegnaj, Fred!

– Do zobaczenia, Helmut.

Zawarczały silniki dwóch samochodów. Ron pozostał w drzwiach. Brzydki wyraz wykrzywił usta Carla.

– Addio, seniore! – rzekł przeładowując broń.

– Głupio robisz, Carlo. – Gray postanowił rozmawiać. – Centrala znajdzie cię, nawet gdybyś się zapadł pod ziemię. Swoją drogą, ciekawe od jak dawna pracujesz dla KGB?

– Gównu cię to obchodzi!

– Nie dyskutuj z nim, rób swoje – warknął stojący z boku Ron.

– A może ty masz ochotę? – Carlo jakby utracił trochę pewności siebie.

– Ty dostałeś rozkaz – fałszywy ksiądz wzruszył ramionami i rozpakował porcję gumy do żucia.

– Mógłbym cię wybronić przed Centralą, Carlo! – odezwał się Gray, ale tamten tylko wybuchnął prostackim śmiechem i uniósł spluwę.

– Lepiej zrób rachuneczek sumienia, Fred!

Padł strzał. Jednak Gray nie odczuł bólu, za to Carlo upuścił broń, chwycił się za pierś i z wyrazem ogromnego zdumienia począł osuwać się po framudze drzwi. Krew chlustała z wielkiej rany, wywalonej pociskiem dużego kalibru. Kolejne bang, bang!

Teraz księżulo, trafiony w ramię, zwinął się jak faworek i wpadł do środka komórki. Sięgnął po broń, ale Gray, mimo skutych kończyn, był szybszy. Runął na Rona i swymi dziewięćdziesięcioma kilogramami mięśni obalił go na ziemię. A gdy zmagali się, dysząc, rozległ się ostatni strzał i Ron sflaczał. Zdumiony Fred ujrzał na progu Christine, spokojnie chowającą broń do kabury pod wygoloną pachą.

– Masz kluczyk od kajdanek? – spytał krótko. Miała. Roztarł wolne ręce: – Czy ktoś jest jeszcze w domu? – dorzucił

– Był dozorca zagrody, ale został wyeliminowany.

– Ty go załatwiłaś? – w jego głosie rozległ się podziw. – Dlaczego to zrobiłaś?

Uśmiechnęła się:

– A nie przyszło ci do głowy, że mogę pracować w tej samej firmie co ty? A poza tym, jest coś jeszcze.

– Co mianowicie?

– Podobasz mi się, Fred.

Przygarnął ją delikatnie. Poczul ten sam zapach co w nocy.

– Powinniśmy się pośpieszyć, w obejściu nie ma żadnego sprawnego samochodu, a do najbliższej osady są dwie godziny forsownego marszu.

– Zatem idziemy – zakomenderował. – Nie wiesz przypadkiem, dokąd pojechali?

– Mówili o „Szarym Domu”.

Natychmiast przyspieszył kroku. Po drodze dziewczyna przyznała, że od trzech lat współpracuje z KOMÓRKĄ, uchodząc jednocześnie za prawą rękę Helmuta. Prawą rękę i termofor do łóżka. Jak się słusznie domyślił – pochodziła z Czech. Była pilotką zagranicznych wycieczek, złapana podczas próby przemytu dość chętnie została współpracownicą wywiadu niemieckiego. Oficer prowadzący, czego zrazu jej nie wyjawiał był równocześnie agentem KOMÓRKI. Po paru mniejszych zleceniach dostała zadanie przeniknąć do struktur lewackich organizacji, powiązanych z wywiadem ZSRR. Praga na przełomie lat 70. i 80. stanowiła ich centrum. Christine Wagner dała się „zwerbować” i odbyła parę kursów jako kurierka dokumentów. Podczas czwartego poznała Helmuta. W

Czechosłowackiej Republice Socjalistycznej oficjalnie ogłoszono, że uciekła na Zachód. W istocie, po krótkim kursie stała się prawą ręką superterrorysty. Również kochanką, choć nieczęsto. Helmut, wierny orientacji marksistowsko-leninowskiej, jeśli idzie o orientacje seksualne wykazywał zadziwiającą zmienność upodobań: dziewczyny, chłopcy, dzieci, zwierzątka...

– Znasz jego mocodawców? – zapytał Fred.

– Gdybym znała, moja misja nie trwałaby ani godziny dłużej. Niestety, Helmut swoje kontakty trzyma jak gracz karty – „przy orderach”. Wiem o dwóch ludziach, ale nigdy nie spotkałam się z nimi twarzą w twarz. Może dzięki temu jeszcze żyję – roześmiała się pogodnie.

O obu „kontaktach” Helmuta Fred wiedział już wcześniej. Nie miał naturalnie pojęcia, że informacja o nich dotarła do KOMÓRKI od Christine. Pierwszy z nich zidentyfikowany jako Maks Gold, od 1969 roku zaprzętał uwagę tajnych służb. Ów uczeń Marcuse’a, kontrowersyjny w swych poglądach na jednostkę, własność i państwo, lubił przebywać w gronie postępowych intelektualistów, sygnować rozmaite apele lub pisywać artykuły do lewicowych periodyków. Pojedyncze tropy i sugestie, że może mieć jeszcze inne wcielenie – sugestie o szkoleniu na Kubie i w obozach partyzanckich w Syrii – nie zostały potwierdzone. Nigdy jednak nie znaleziono dowodów na czynne zaangażowanie się Maksa po stronie przemocy. Przez dziesięć lat nie złamał nawet przepisów o ruchu drogowym, a pieniądze rodzinne, którymi szastał, nie musiały być nawet prane. Nic na niego nie mieli. Kontakty z Helmutem? Bystry adwokat z pewnością dowiódłby, iż były czysto towarzyskie. Drugi z dżentelmenów, wymienionych przez Christine, nosił imię „Henri”, kryptonim „Nieosiągalny”. Najprawdopodobniej w swoim jawnym życiu miał inne imię i nazwisko. Niektórzy uważali, że to kryptonim pewnego handlarza bronią, inni, że syna białogwardyjskiego imigranta. Nikt go jednak nigdy nie widział, nie sfotografował.

Christine twierdziła jednak, że właśnie on jest bezpośrednim przełożonym grupy UNO, jak zwał się obecnie odprysk Wyzwolicielei Europy.

Wkrótce nadszedł zmierzch i jakakolwiek droga na skróty stała się niemożliwa. Ponad wzgórzami jeszcze przez pewien czas lśniły w świetle majestatyczne, ośnieżone szczyty. Ciągłe nie bardzo miał pojęcie, gdzie się znajdują... Zmienacka pochwyliły ich reflektory świateł samochodu. Christine krzyknęła. Już miał zamiar pociągnąć dziewczynę i sturlać się z nią do rowu, kiedy spoza reflektorów doleciał ich znajomy głos.

– Strasznie przepraszam, poruczniku, że zjawiam się dopiero teraz, ale miałem sporo kłopotów... Ale widzę, że dał pan sobie radę beze mnie.

Podbiegł do samochodu. Za kierownicą siedział tęgi mężczyzna o nalanej twarzy, przypominającej mordkę mopsa. Porucznik Burke!

– Jakaś godzinę temu spotkałem dwa podejrzane samochody jadące z przeciwka – informował.

– Trzeba było pojechać za nimi.

– Bałem się o ciebie, Fred. Nie mieliśmy żadnych wiadomości, Kuzyn szaleje... Mamy czarną serię, w dodatku w Bellinzonie komando UNO schwytało jakiegoś starucha i wrzuciło go do bagażnika.

– Mecenasa Schmidta – wyjaśniła Christine.

– A ty skąd się tam wzięłeś? – zapytał Gray. – Miałeś mnie ubezpieczać.

– A przy okazji śledzić osobnika o pseudonimie Ron, który jechał z Zurychu w przebraniu księdza.

– Dziwne, że nie pojechałeś za nimi.

– Dziwne, że tu w ogóle jestem. Kiedy śledziłem księdza, mój partner Horst miał sprowadzić samochód z parkingu. Zdażył chyba tylko przekręcić kluczyk i było po nim. Ci dranie są ciągle pół kroku przed nami!

Fred zmarszczył brwi. Nie uśmiechała mu się współpraca z porucznikiem Burke. I nie szło tu nawet o niechęć od pierwszego wejrzenia. Mimo wielu lat pracy dla KOMÓRKI dzieliło ich prawie wszystko. Stosunek do życia i do zabijania. Hierarchia wartości. Wreszcie szczęście. Fred był zdolny i miał szczęście, a porucznik pracowity, lecz mimo dłuższego stażu zawodowego pechowy. Co gorsza, Freda kochały kobiety, a „mops” musiał wydawać szmal na prostytutki. Jak mieli się lubić?

Podczas drogi Gray zrelacjonował dotychczasowy przebieg zdarzeń. Łącznie z pomocą udzieloną przez Christine. Burke uważał, że trzeba jak najszybciej nawiązać kontakty z centralą, Fred nie podzielał tej opinii. Po zdradzie Carla był przekonany, że przeciwnik inwigilował ich szeregi. Jedynym człowiekiem, do którego miał zaufanie był Kuzyn ale już co do systemu łączności takiego przeświadczenia nie miał.

\* \* \*

Ośmiu ludzi Helmuta obstawilo „Szary Dom” tak szczelnie, że nie prześlizgnęłyby się nawet mysz. Dodatkowych dwóch umieszczono przy mostku na wypadek przybycia ewentualnej odsieczy. Tylko kto mógłby zorganizować odsiecz? W domu Altenbachów nie zauważono żadnych objawów niepokoju, na jedyną linię telefoniczną nałożono podsłuch, przecięto ją zresztą o zmierzchu. Pod główną bramą przyczaילו się dwóch chłopaków z bazukami, gotowych na komendę rozwalić ją w kawałki. Punkt dziewiąta Helmut zadzwonił do drzwi. Minęła chwila, a pojawił się Wolfgang. Giani zamierzał go zlikwidować, ale dowódca powstrzymał narwańca ruchem ręki.

– Pan Helmut? – zapytał kamerdyner.

– Tak – odparł zaskoczony albinos.

– Pan Altenbach czeka na pana!

Helmut ruszył ku schodkom, Giani chciał iść za nim, ale szef powstrzymał go z uśmiechem:

– Zaczekać kwadrans, chyba że wystrzele...

Wolfgang wprowadził Helmuta do luksusowego patio. Z trzcinowego fotela podniósł się rudawy tłuścioch, w obszernym szlafroku. Peter był sam.

– Kto was poinformował, że przybędę? – zapytał Helmut.

– Po prostu to wiedzieliśmy.

– W takim razie nie będę musiał długo rozwozić się nad celem mojej wizyty.

– Rzeczywiście. Domyślamy się, czego od nas chcecie i czego z pewnością nie otrzymacie.

– Czyżby?

– Tak. Oczywiście zaraz padną informacje: dom jest otoczony i jeśli za dziesięć minut...

– To nie wszystko, wasz mecenas...

– Jest w waszych rękach? No cóż, to rzeczywiście jest kłopot, ale nie aż tak duży.

Helmut przyjrzał się z podziwem mężczyźnie o wyglądzie zapasionego księżula.

– Jest pan odważny, Herr Altenbach.

– Przeciwnie, przyjacielu, jestem obrzydliwym tchórzem, tylko wiem, że nie możesz mi nic zrobić.

– Doprawdy?

– Spróbuj...

Tu Peter wlepił wzrok w nieproszonego gościa, przewiercając go nieomal na wylot. Helmut odwrócił oczy i spróbował sięgnąć po broń, jego ręka zdawała się jednak ważyć sto kilo.

– Niezłe – wymamrotał. – Długo pan tak może? Zaręczam jednak, że to nie powstrzyma moich ludzi...

– Za parę minut rozpoczną szturm? Tym lepiej. To będzie bardzo pożyteczna robota... Nieco kosztowna dla Towarzystwa Asekuracyjnego. Ale widzi pan, od pewnego czasu sami chcieliśmy zlikwidować tę kwaterę. Oho, pański Giani bardzo się denerwuje, chyba przyspieszy akcję.

– Widzi pan przez ściany? – Helmut nadal nie mógł wykonać ruchu.

– Na niezbyt znaczną odległość. Poza tym nie nadużywajmy słowa „widzę”, raczej czuję. Czuję wasze emocje, myśli. Również pańskie. Niestety, muszę pana rozczarować, w domu nie ma archiwum, również dziadek i mama oddalili się, nie czekając na pańską wizytę.

– Oddalili się? Jak!? Przecież od wczoraj dolina jest obstawiona!

– Po spotkaniu z panem Grayem przewidzieliśmy dalszy rozwój sytuacji. Á propos, przy najbliższej okazji proszę mu się kłaniać. To miły człowiek.

– Gray nie żyje – stwierdził terrorysta.

– Chyba się pan myli. No nic, mamy mało czasu.

Altenbach zrzucił szlafrok, ubrany był w bardzo obcisły dres. Identyczny jak ten, który miał na sobie Helmut. Podszedł dwa kroki i począł niezwykle uważnie wpatrywać się w twarz



terrorysty. Ten nie mógł nawet drgnąć, czuł tylko wzbierające strumyki potu, zalewające mu ciało. Wygląd Petera również zdradzał znaczny wysiłek. Poblądł, jego oczy wydawały się jeszcze bardziej wylupiaście, jeszcze chwila, a twarz poczęła mu się zwężać, włosy zmieniać barwę, znikł podwójny podbródek, sylwetka wyszczuplała. Już wcześniej zdjął okulary w złocistej oprawce, a jego ciemne oczy zmieniły barwę.

– Och, szajse! On staje się mną – przemknęło Helmutowi, który poczuł się, jakby stał przed lustrem. Tymczasem Altenbach zabrał mu broń, opatulił szlafrokiem i pchnął bezwładnego na fotel.

Właśnie minął umówiony kwadrans. Gwałtownie huknęły bazuki, zaterkotały serie z automatów. Poleciało szkło, kurz, tynk! Po chwili zwinne sylwetki wypełniły patio. Nikt nie stawiał oporu, bo nikogo w domu nie było. Ludzie rozbiegli się po zabudowaniach, a Giani stanął przed szefem. Ten wskazał tęgawą postać w szlafroku.

– Bierzcie go! Zdaje się, że trochę go sparaliżowało. Może nawet popuścił w portki.

– Mój głos, mój głos – pomyślał unieruchomiony Helmut.

– Przeszukać dom?

– Nie ma po co. Reszta uciekła. Archiwum i skarbiec zabrali ze sobą. Brać go i spływamy...

W kącie patio widać było rozlaną plamę tłustej cieczy. Giani cisnął w nią niedopałek papierosa. Buchnęły płomienie. Dwóch terrorystów wyniosło bezwładnego mężczyznę do samochodu. Tymczasem ogień rozprzestrzenił się. Wspiął się po kotarach i boazeriach, atakował drewniane meble i podłogi. Nim odjechali, całe wnętrze „Szarego Domu” przypominało krater płynnego ognia.

Kiedy pół godziny później Fred, Burke i Christine znaleźli się na miejscu nie mieli praktycznie nic do roboty, rodowa siedziba Altenbachów płonęła jak pochodnia. Wkrótce runęły ściany, a na miejscu niedawnego zamczyska pozostała nieregularna kupa popiołów i zgliszcz, grzebiąc pod sobą resztki tajemnic.

W godzinę po zakończeniu akcji Giani odkrył, że eskortowany zakładnik to jego własny, nieustraszony dowódca, wściekły, a zarazem roztrzęsiony. Altenbach ulotnił się gdzieś po drodze. Na koniec nieszczęść, kiedy wielki tir, którym ewakuowano dwa wozy ekipy, dotarł pod umówiony pensjonat w Lugano, na podjeździe oczekiwał na Helmuta przerażony Omar. Specjalista od każdej roboty dygotał jak listek, bredził coś o cudach i duchach. Z jego słów wynikało, że miał okropny sen, w którym przemożna siła kazała mu rozkuć uwięzionego Schmidta.

– Zrobiłeś to? – wycedził Helmut.

– Mu... musiałem. Zwłaszcza, gdy przez ścianę przeniknęła do pokoju postać.

– Duch?

– Nie, kobieta, drobna, niska, o siwych włosach. Parokrotnie przesunęła ręką nad głową nieprzytomnego mecenasa i ten zaraz wstał, kompletnie zdrowy, jakby ubyło mu dwadzieścia

lat, a ostatniej doby nie spędził w bagażniku BMW. Oddalili się przez drzwi, a ja nie mogłem kiwnąć nawet małym palcem u nogi...

Omar spodziewał się tęgiego mordobicia, atoli Helmut ze zrozumieniem pokiwał głową. Przypominał kogoś, komu wyrwano dziesięć zębów. Wysiadł w Lugano i dobrze zrobił, gdyż na przejściu granicznym do Włoch ciężarowy kolos z całą grupą szturmową otoczył doborowy oddział szwajcarskiej straży granicznej.

## Rozdział XII

# Urlop w Alpach

– Dostajesz miesięczny urlop, Fred – rzekł pułkownik Kuzyn, uśmiechając się jowialnie. Chociaż dla ludzi znających go lepiej ten wyraz mógł być mylący.

Nie ufa mi, przemknęło przez myśl Grayowi.

– Nasza praca nie składa się z samych sukcesów – kontynuował szef. – Czasem trzeba zrobić krok w tył, aby później skoczyć milę do przodu. I nie rób sobie wyrzutów z powodu Carla. Istnieje tysiąc i jeden sposobów kupienia człowieka, nawet jeśli przez wiele lat był wierny... Zresztą, możemy się cieszyć, wszystko wskazuje, że Altenbachowie uszli z życiem. W ruinach „Szarego Domu” nie znaleziono żadnych ciał. To samo powtarzają złapani terroryści.

– Jeśli nawet Altenbachowie uciekli, to nie nasza zasługa – mruknął Fred. – Co gorsza, spóźnienie Burke’a spowodowało przedwczesną dekonspirację Christine... Dotarła tak blisko Helmuta, którego ścigamy od lat...

– Miała do wyboru: uratować ci życie czy kontynuować misję.

– Wiem. Ale wiem również, że była o krok od zdemaskowania sowieckiej agentury, kontrolującej europejskie grupki terrorystyczne. Teraz jest spalona.

– Niekoniecznie. Według wersji, której pozwoliliśmy przeciec do prasy, została aresztowana. Póki co, przebywa w więzieniu w Lugano razem z ludźmi Helmuta. Ale z więzienia niekiedy udaje się uciec...

– Mam się tym zająć? – oczy Graya rozblęły.

– Nie. Zostaw to innym. Ty jedziesz na urlop.

– Nie chcę wypoczynku – westchnął Gray.

– Potraktuj to jako rozkaz. Odezwiemy się do ciebie.

Uścisnęli sobie ręce. Pułkownik odprowadził agenta do wyjścia. Po chwili tylnymi drzwiami wsunął się do gabinetu Burke.

– Słyszałeś rozmowę? – spytał Kuzyn.

– Potwierdza tylko moje najgorsze przypuszczenia, podobnie jak ostatni meldunek od Carla.

– To nie jest wiarygodne źródło. Przecież Carlo zdradził! – przerwał pułkownik.

– Według wersji Graya. Moim zdaniem makaroniarz brał forszę od obu stron. Zresztą, jeśli w istocie Italianiec zdradził, dlaczego kompani z UNO polecili go zlikwidować? A jeśli to wszystko zasłona dymna? Wiesz, że od dawna nie mam zaufania do Graya. Jego pochodzenie...

– Sprawdził się w wielu trudnych sytuacjach. Jest bardzo cenny.

– O ile pozostał wierny. Zdolny agent pracując na dwie strony może być groźniejszy od wściekłej tarantuli.

– Dlatego trzeba go sprawdzić. Dałem mu urlop. Odsunąłem od dalszej akcji...

– Chcesz posłuchać, co mi powiedziała Christine? – Porucznik włączył mały magnetofon:

CHRISTINE – Nie potrafię powiedzieć tego z całą pewnością. Ale od początku postępowanie Helmuta w stosunku do Graya było dziwne.

BURKE – Dwuznaczne?

CHRISTINE – Można i tak powiedzieć. Jakby chodziło jedynie o zatrzymanie go w odosobnieniu na czas operacji przeciwko Altenbachom. Potem miałam umożliwić mu ucieczkę.

BURKE – Pytałaś dlaczego?

CHRISTINE – Helmut nie zwykł się zwierzać nawet mnie. Gadał coś o szacunku wobec przeciwnika.

BURKE – Potwierdził, że Gray pracuje dla UNO?

CHRISTINE – Nie. Tego nie...

Pionowa zmarszczka przekreśliła czoło Kuzyna.

– To jeszcze nie dowód. Terrorysty mogli oszczędzić go, żeby wywołać mętlik w naszych szeregach. Dostarcz prawdziwych dowodów zdrady, wtedy porozmawiamy. Teraz zobaczymy, co mamy nowego w sprawie mecenasa Schmidta?

Ostatnia podróż adwokata Altenbachów była co najmniej dziwna. Mniej więcej przed dwoma tygodniami ze swego stałego mieszkania w Genewie udał się do Paryża, gdzie zabawił dwa dni, później spędził weekend w Amsterdamie, skąd ruszył ku Helsinkom. Z Finlandii przepłynął promem do Gdańska i udał się do Warszawy. Tam przebywał cztery dni, mieszkając w hotelu „Victoria”, a następnie odleciał do Zurychu, aby stamtąd skierować się do Bellinzony. Co robił przez ten czas? W Paryżu odwiedził dwa sierocińce, którym przekazał poważne subsydia, odbył również parę spotkań finansowych, przy czym drugiego dnia agent KOMÓRKI stracił go na parę godzin z oczu. W Amsterdamie spotkał się ze znanym szlifierzem diamentów, zaś w Helsinkach odbył naradę z niejakim Paavo Polkolainem, nauczycielem miejscowego gimnazjum. Najbardziej tajemniczy okazał się pobyt w Warszawie – tu nikt go nie śledził, w kraju, który dopiero niedawno zniósł stan

wojenny, nieliczni agenci Zachodu mieli mnóstwo innych zajęć. Zresztą, miała to być tylko szybka przesiadka na Okęciu. Tymczasem pobyt przedłużył się i zanim KOMÓRCE udało się kogoś przerzucić do Polski, Otto Schmidt znajdował się już w drodze powrotnej.

Według najnowszych doniesień mecenas odzyskał już wolność. Dzwonił do przyjaciółki zamieszkałej w Chur (jej telefon był na nielegalnym podsłuchu) i najwyraźniej również zdecydował się na urlop, bo telefonicznie zarezerwował dwa bilety na parotygodniowy rejs po Morzu Karaibskim.

\* \* \*

Autostrada biegnąca dwudziestodwukilometrowym tunelem pod przełęczą św. Gotharda tylko na moment, w Andermatt, wylania się na powierzchnię, aby następne jedenaście kilometrów przebyć ponownie pod ziemią. Ów piękny zakątek nie zachwycał kierowcy policyjnej więźniarki, która przy skromnej eskorcie policyjnego ambulansu przewoziła schwytanych terrorystów do Zurychu. O wiele większe wrażenie zrobiła na nim ciężarówka, hamująca tuż przed maską wozu. I strzały, jakie otworzono z dwóch samochodów, które stanęły na sąsiednim pasie. Akcja została doskonale synchronizowana. Mundurowi konwojenci zginęli w pierwszych trzydziestu sekundach akcji lub dogorywali na drodze. Świece dymne ograniczyły widoczność do paru metrów. Małe ładunki wybuchowe odstrzeliły drzwi więźniarki, na której dachu błyskawicznie wylądował śmigłowiec. I nim ktokolwiek zdołał podnieść alarm, śmigłowiec z emblematami pogotowia górskiego (później okaże się – fałszywymi) wzbil się nad Alpami, unosząc dziewiątkę odbitych więźniów i czwórkę napastników. Christine padła w ramiona Helmuta.

– Zawsze można na ciebie liczyć – powiedziała.

– Mam nadzieję, że to samo będę mógł powiedzieć o tobie – odparł albinos.

\* \* \*

Fred Gray nie znosił beczynności. Sprawa, którą prowadził, zapowiadała się pasjonująco, a tymczasem odsunięto go od śledztwa. Wszystko przez ambicje i intrygi porucznika Burke'a, który nie pierwszy raz oskarżał go o nielojalność. Inna sprawa, że Fred wierzył w rozsądek i przyjaźń swego dowódcy, toteż liczył, że lada moment wróci na pierwszą linię. Na razie miesiąc wyznaczony mu na odpoczynek przez pułkownika wydawał się wiecznością. Wykorzystał go najlepiej jak umiał. Pojechał do Włoch, gdzie odwiedził pewien cmentarz, później, korzystając z zupełnie innego paszportu, znalazł się na Costa Brava w Hiszpanii. Spędził tam tydzień, nurkując i wypoczywając z nastoletnią blondynką o imieniu Evelyn. Poleciał też na wyspę Jersey, gdzie dokonał paru operacji finansowych na wypadek, gdyby ktoś zechciał zablokować jego konta.

Zgodnie z poleceniem Kuzyna trzymał się z daleka od centrali KOMÓRKI. Tylko dwa razy dzwonił do szefa na numer kontaktowy, ale najwyraźniej został on wyłączony. Nie był to

jeszcze powód do alarmu, ale mógł przyprawić o drobny ból głowy, tym bardziej, że zbliżał się koniec przewidzianego urlopu. Nie potrafił też pozbyć się wrażenia, że jest śledzony. Wreszcie, pod sam koniec sierpnia, w paryskiej skrytce z ulgą znalazł informację streszczającą się jednym słowem: Meiringen. Znał to miasteczko, położone nieopodal przełęczy Brunig, toteż udał się tam bezzwłocznie i czekał, aż pojawi się ktoś z firmy. Trzy dni spędzone w Meiringen, niewielkiej miejscinie, w której jedyną rzeczą godną uwagi jest muzeum Sherlocka Holmesa, pogłębiły jego chandrę. Trzeciego dnia oczekiwania, wybrał się na spacer do wodospadu Reichenbach, w którego nurty runął według Conan Doyle'a „geniusz zbrodni”, profesor Moriarty. Dzień był słotny, turystów ledwie kilku, natychmiast więc spostrzegł na ścieżce za sobą szczupłą brunetkę z plecakiem. W jej energicznych ruchach było coś znajomego...

– Cóż za spotkanie, Gray – powiedziała Christine. – Znowu na jednym szlaku?

– A więc uciekłaś?

– Dałam się odbić. Helmut musi być pewien, że go nie zdradziłam.

– I jest pewien?

– Przecież żyję.

– Wie, że się spotykamy?

– Nie, na razie, póki sprawa odbicia więźniów nie przycichnie, polecił mi się ukryć.

– Widzę jednak, że nie zamierzasz spełnić tego polecenia.

– Wiele nie ryzykuję. Mam, jak widzisz, nowe włosy, dzięki soczewkom kontaktowym mam piwne oczy, makijaż odmienił mi kształt twarzy. A poza tym szwajcarska policja dostała od KOMÓRKI fałszywe linie papilarne Christiny Wagnerovej. Nawet w przypadku jakiejś kontroli, ja to nie ja.

– I co zamierzasz robić?

– Ten szlak prowadzi w dwie strony. Do wodospadu albo do łóżka. Co wolisz?

Wybrał drugie rozwiązanie.

Przy drinku i papierosie opowiedziała mu o swej ucieczce, później o rozmowie z Helmutem.

– Wie o Altenbachach więcej niż przypuszczałam – mówiła. – Na własnej skórze doświadczył ich umiejętności z zakresu hipnozy czy telepatii. Widział ich zadziwiające predyspozycje do mimetyzmu czyli upodabniania się do dowolnego człowieka, czy nawet zwierzęcia. Helmut twierdzi, że Peter zmienił się w niego tak dokładnie, że członkowie komanda wzięli go za szefa.

– W naszych materiałach jest wzmianka o podobnym zjawisku – ożywił się Gray. – W latach dwudziestych żyło na Hawajach bractwo ludzi-kameleonów, półkrwi tubylców. Swe praktyki demonstrowali tylko niektórym turystom, odbierając przysięgę o zachowaniu dyskrekcji... No, nie wszyscy jej dotrzymywali. Oglądanie jak Polinezyjczyk przemienia się w tego, który na niego patrzy, u wielu wywoływało szok. Ale to nie wszystko. Bodajże w 1921

roku do szefa policji w Honolulu zgłosił się jeden z członków bractwa, twierdząc, że grupa turystów uprowadziła jego córkę, najzdolniejszą spośród „kameleonek”. Utrzymywał, że już wcześniej jakiś Niemiec, zachwycony popisami, proponował Elizie kontrakt na wyjazd do Europy. Gdy rodzina gwałtownie się sprzeciwiła, po prostu uprowadził dziewczynę. Wysłanie listów gończych wstrzymała wiadomość nadesłana przez Elizę, w której informowała o zawarciu małżeństwa z panem Horsteinem. Do przeproszającego pisma dołączona była kopia zawartego aktu. Inna sprawa, że po tym wydarzeniu słuch o dziewczynie zaginął. Nigdy publicznie nie wystąpiła w Europie. Biorąc pod uwagę rysy twarzy nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wspomniana Eliza to babka Petera Altenbacha, a matka Lizy Altenbach...

– Najgorsze, że Helmut doszedł do identycznego wniosku – powiedziała Christine i ponownie pociągnęła Freda pod kołdrę.

\* \* \*

Przelew, który za pośrednictwem Banków na Kajmanach i wyspie Jersey wpłynął na szwajcarskie konto Freda Graya, Burke potraktował za ostateczny dowód zdrady agenta.

– Nikt nie dostaje za darmo stu tysięcy dolarów – oświadczył i Kuzyn mógł tylko pokiwać głową. – Sprawdziłem i mam prawie pewność, że pieniądze przekazano z zagranicznych kont KGB. Nie powinniśmy dłużej czekać!

W kwaterze pod Monachium naradzało się siedem osób. Łącznie z głównym szefem, generałem o pseudonimie Teść. Wszyscy doskonale znali Graya, a łączniczka z NSA chyba nawet się w nim podkochiwała.

– Tak, pozostawienie go samopas łączy się z ogromnym ryzykiem. Zwłaszcza, gdy program znajduje się na finiszu – powiedział generał. – Prędzej czy później ludzie Helmuta dopadną Altenbachów i wydrą ich tajemnice. Gray wzbudził zaufanie starszych państwa toteż w każdej chwili może odegrać rolę „konja trojańskiego”.

– Możemy go aresztować – powiedział Kuzyn. – Znajdziemy jakiś powód...

– A jeśli nie da się aresztować, jak wytłumaczymy się z kolejnych strat ludzkich? To trzeba rozwiązać definitywnie.

\* \* \*

Drobny facecik o wystających zębach, upodabniających go do nutrii, stał na parkingu dworca w Interlaken, nieczuły na uroki piętrzącej się za jego plecami panoramy Eigeru i Jungfrau. Całą uwagę skierował na pociąg wtaczający się między perony. „Nutria” nie przybył tu odpoczywać. W jego turystycznej torbie krył się sprzęt, przydatny raczej do odpoczynku wiecznego.

Mimo dwóch upojnych dni i nocy spędzonych z panną Wagner, Fred Gray miał dość nudnego Meiringen. W oczekiwaniu na wezwanie z centrali zdecydował się przenieść do Grindelwaldu, gdzie było więcej atrakcji i łatwiej Christine mogła ukryć się w tłumie

turystów. Dojechali do Interlaken Ost rozłożonego na płaskiej równinie między dwoma jeziorami. Pogoda była pyszna, a ośnieżone szczyty Alp Berneńskich strzelały monumentalnie ponad zalesionymi górami wokół miasta.

Snajper przyjrzał się wysiadającej parze i uczył radosny skurcz. Są! Kiedy dziewczyna skierowała się do kasy kolejki górskiej, chwilę rozważał czy strzał przez kieszeń płaszcza da zadowalający efekt i czy zdoła się bezpiecznie ewakuować po zamachu. Wahania przerwała mu japońska wycieczka, która żółtawą falą oddzieliła go od potencjalnej ofiary. Jakaś skośnooka ślicznotka chciała nawet zrobić z nim zdjęcie, ale wykręcił się. Szybko kupił bilet i pognął za Fredem i Christine, zmierzającymi w stronę wagonika.

Do Grindelwaldu prowadzą dwie trasy: jedna krótsza, doliną i druga okrężna, z kilkoma przesiadkami, przez góry. Śledzeni wybrali dłuższą, bardziej widokową drogę. Mógł jedynie pójść w ich ślady.

Fred nie zwrócił uwagi na „nutrię”. Był zbyt zamyślony. Mimo oszałamiającego seksu z Christine nie do końca był pewien jej uczuć. Zresztą, czy w ogóle tacy jak oni mogli sobie pozwolić na miłość? Seks owszem. Natomiast psychicznie pozostawali obcymi ludźmi, szczerze chronili swe emocje, a pod zewnętrzną serdecznością tliła się ostrożna nieufność. Gray wiedział już o Christine Wagner stosunkowo dużo, ale czy wszystko? Zastanawiając się nad psychicznym modelem swej kochanki, doszedł do wniosku, że stanowi ona ciekawy melanz emocji i chłodnego cynizmu. Momentami spontaniczna, nastrojowa, kiedy indziej mroziła swym opanowaniem. Co nią kierowało naprawdę – pieniądze czy niezdrowa żądza przygód? W swej pracy sypiała z innymi facetami, a nawet z pewną lesbijką – deputowaną do parlamentu krajowego.

Kiedy przedstawiała idee Helmuta czuł, że w jakimś stopniu była pod urokiem terrorysty, choć w zbawienie świata poprzez kąpiel w krwi burżujów i drugą Kambodżę w sercu Europy, nie wierzyła. Z drugiej strony uważała, że mimo szczytnych celów KOMÓRKI, metody do jakich się uciekała, nie różniły się wiele od działań przeciwnika.

– Nie my narzuciliśmy reguły tej gry – tłumaczył jej Fred. – Wolny Świat musi się bronić, choćby przed twoimi przyjaciółmi.

– Wolny świat ma jednak do swej obrony instytucje demokratyczne: policję, wojsko, Interpol.

– Nie wierzę w skuteczność demokracji w oblężonej twierdzy, do której przedostała się zaraza!

– Ja też. I dlatego pracuję dla was – odpowiadała.

Przekomarzania kończyły się w łóżku, całował jej wspaniałe piersi, brzuch i łono i wreszcie zanurzał się w niej aż do pełnej zatraty.

Christine nigdy nie pytała go o przeszłość, chociaż o swoim partnerze wiedziała znacznie mniej niż on o niej. Europejczyk, nieźle wykształcony, z pewnością nie był ani Niemcem, ani tym bardziej Anglikiem, choć obu językami władał biegle, podobnie jak francuskim.



Dobiegał czterdziestki, mógł więc pochodzić z którejś z licznych fal emigracyjnych, wyrzucających na brzegi Wspólnego Rynku rozmaitych Robinsonów ze świata „demoludów”, do którego i ona przynależała. Nie miał obcego akcentu. Ale ta doskonała znajomość Wschodu, ten stosunek do kobiet? Polak, Ukraińiec, Jugosłowianin? Nie miała wątpliwości, że przeszedł twardą szkołę życia. Ręce i mięśnie wskazywały, że dłuższy czas musiał pracować fizycznie, później chyba zaciągnął się do jakiejś formacji najemników, w chwilach zdenerwowania kłął w sposób charakterystyczny dla tych, którzy miesiące strawili w Czadzie albo innej Biafrze. Ale czy był kiedykolwiek żonaty, czy poza hotelami i kryjówkami istniał dla niego rodzinny dom, czy wreszcie miał kogoś bliskiego, z kim wiązało go uczucie?

Podobnie jak Gray zatopiona w swych myślach, nie zwróciła uwagi na śledzącego ich osobnika. Tymczasem kolejka sunęła łagodnie w górę, wśród lesistych zboczy doliny i wkrótce dotarła do miejscowości Lauterbrunnental. Tu przesiedli się na kolejkę zębatą, która od razu poczęła ostro się wspinać, zostawiając za sobą dolinę z domkami rozsypanymi w bujnej zieleni. Po przeciwległej stronie wznosiła się długa, skalna ściana, przekreślona siwą kreską wodospadu.

Monumentalne piękno z wolna przywracało im humor. Terrorysty, zagadki Altenbachów i zagrożenia zdały się pozostawać w tyle. Mieli wakacje! W Kleine Scheidegg opuścili żółtoniebieskie wagoniki. Do Grindenwaldu należało wybrać zjazd w dolinę. Oczywiście, można było pojechać wyżej, aż na samą przełęcz Jungfrauoch, ale Gray zamierzał odłożyć tę przyjemność na później.

W kiosku kupili przeciwsłoneczne okulary, w restauracji wypili kawę. Było ciepło, a w słońcu mimo znacznej wysokości wręcz upalnie. W pobliskim zabudowaniu naszczekiwały psy husky, na bezkresnie błękitnym niebie krążył śmigłowiec. Tymczasem zajęchały wagoniki do Grindelwald.

– Biegnij i zajmij dla nas miejsce – powiedziała Christine. – Ja jeszcze muszę... – wzrokiem wskazała na toaletę. Ku wagonikom zmierzała spora wataha turystów. Fred wyprzedził ich i wskoczył do częściowo już wypełnionego wagonu. Ściągnął kurtkę, położył walizki na półkach. Spojrzał na zegar, do odjazdu pozostało jeszcze pięć minut. Christine ciągle nie wracała. Wychylił się z wagonu i ze stopnia popatrzył w kierunku zabudowań – nigdzie śladu zgrabnej sylwetki w kolorowym sweterku. Siódmy zmysł włączył automatycznie system wczesnego ostrzegania. Fred przeniósł wzrok z budynku na peron po drugiej stronie placu. Wagoniki na Jungfrauoch, w jednym mignęły trzy kolorowe pasy!

Pędem przemierzył dystans między peronami. Kolejka już ruszyła, automatycznie zamknęły się drzwi. Nabierała pędu, zaraz kończył się peron... Kiedy mijało go ostatnie otwarte okienko, Gray podskoczył i chwycił się krawędzi. Potem podciągnął się i precyzyjnie przez wąski otwór wślizgnął się do środka, witany oklaskami wycieczki Japończyków. Dwie urodziwe córki kraju Kwitnącej Wiśni przesiadły się, robiąc mu miejsce

obok siebie, ale agent podziękował tylko skinieniem głowy i ruszył ku przodowi składu. Mógł liczyć jedynie na własne ręce. Broń pozostała w bagażach.

Christine siedziała w pierwszym wagoniku, nienaturalnie wyprostowana obok mężczyzny o bobrowym zgryzie. Jego prawa ręka ginęła gdzieś za plecami dziewczyny i Gray wiedział, że nie jest to finezyjna pieszczota. Ponieważ miejsca na wprost tej dwójki zajmowała jakaś wiekowa para Szwajcarów, usiadł po przekątnej. Udawał, że nie zwraca uwagi na Christine i jej towarzysza. Oni rewanżowali mu się tym samym. Ale niezupełnie, druga ręka nieznanego, znajdująca się w kieszeni płaszcza, chyba nie była pusta. Gray wiedział, że jest na linii strzału i zastanawiał się, jakie są zamiary napastnika.

Tymczasem wszedł konduktor. Ciekawe. Nikt z ich trójki nie miał biletu. Jeśli „cyngiel” zostanie wezwany do zapłacenia, będzie musiał wypuścić broń przynajmniej z jednej ręki. Czy wówczas wytrzyma nerwowo? Fred czuł wstręt przed użyciem Bogu ducha winnego konduktora w charakterze puklerza... Ale co mu pozostawało? Widział, jak mięśnie na twarzy „nutrii” tężeją. Nie czekając na zbliżenie się konduktora agent powiedział głośno:

– Dla mnie trzy bilety na Jungfraujoch!

Na dwóch twarzach pojawiło się odprężenie. W oczach wynajętego mordercy błysło coś na kształt podziwu. Chyba też nie miał ochoty na chaotyczną strzelaninę.

Ciekawe jaki miał plan? Zapewne bandzior zaczął się na Christine przy drzwiach toalety i przekonał ją o konieczności zmiany trasy wycieczki. Wiedział, że Fred prędzej czy później pojmie, co się stało i podąży za nimi w góry. Tymczasem przez pół godziny (tyle trwa przerwa między kolejnymi pociągami) uda mu się zarówno pozbyć dziewczyny, jak i dobrze przygotować zasadzkę na Freda. A może na górze czekał na nich komitet powitalny? Czyj? Nie mógł przecież zapytać „nutrii”, kto go wynajął, CIA czy KGB?

Przed Eigergletscher Gray wstał i przezornie przeszedł do drugiego wagonu. Ostatnia stacja przed wjazdem w tunel wyżłobiony w masywie Eigeru mogła stanowić pokusę dla mordercy. Dwa strzały, potem na narty i szus w dół... Schodząc z oczu bandycie pozostawiał go w rozterce, tym bardziej, że napastnik nie mógł wiedzieć, że Gray jest bezbronny. Ogarnął ich mrok tunelu, wytyczonego z początkiem wieku z niewiarygodną śmiałością. Szanse się wyrównują – pomyślał Gray. Nie mógł już wyskoczyć. A odwrót? W wypadku podniesienia alarmu, można było unieruchomić kolejkę...

Przez drzwi w odbiciu szyby widział wystające zęby przeciwnika. Co on kombinował?

Sprzątnąć ich w zakamarkach skalnych korytarzy, strącić w śnieżną otchłań? Możliwe. Jak jednak planował po egzekucji opuścić przełęcz?

Pociąg wtoczył się na wykuty w skale dworzec. Ze słabo oświetlonej stacji rozchodziły się korytarze, oznakowane napisami: restauracja, taras widokowy, wypożyczalnia sprzętu, lodowy pałac, sfinks...

Naraz u wylotu chodnika prowadzącego do restauracji, ponad głowami wysiadających, Gray dostrzegł postać w kombinezonie Górskiego Pogotowia. Nowy zastrzyk adrenaliny.

Błyskawicznie skojarzył człowieka w kombinezonie z helikopterem, kołującym nad Kleine Scheidegg. Wsparcie „nutri”... Co gorsza, znał tego faceta. Wiedział już, kto wydał na niego wyrok i że nie byli to „obcy”.

W trakcie jazdy Fred bardzo uważnie przyjrzał się wszystkim podróżnym, pod kątem ewentualnej pomocy. Niestety, nie dojrzał żadnego mistrza karate na urlopie, przeważali starcy i małeletnie dziewczyny. W końcu jego wzrok padł na małego chłopca w pełnym rynsztunku alpinistycznym, z rakami, czekaniem. Ekwipunek uzupełniał fiński nóż, wiszący u pasa i latarka grotolaza. W tłoku, podczas wysiadania, bez trudu wyciągnął tę finkę z pochwy. Zanim schował broń w rękawie, dotknął klingi. Naostrzona!

Odblokował drzwi, wysiadł po drugiej stronie pociągu i kryjąc się za wagonami dotarł na skraj tunelu. Ukryty w cieniu, obserwował jak „nutria” rozmawiał z „ratownikiem”. Rozglądali się czujnie, zdziwieni, że cel zniknął. Christine między nimi robiła wrażenie kompletnie zrezygnowanej. A może tylko udawała, wystarczyła chwila nieuwagi, wywołana przez wyłaniający się z ciemnego korytarza elektrowózek. Natychmiast wykorzystwała podarunek losu, jak pantera przesadziła pojazd i zniknęła w tunelu po drugiej stronie. Zabójca sięgnął po broń. Jego kompan powstrzymał go. Nie chciał robić zbiegowiska, a może miał inne instrukcje. W każdym razie obaj puścili się w pogoń za Christine. Zapomnieli o Fredzie? Chyba nie! Gray zauważył spojrzenie, wymienione ze smukłym mężczyzną, również w ratowniczym kombinezonie, który stał na drugim końcu peronu i palił papierosa. Trzech przeciwników. Tylko tyle?

Zastanawiał się, czy chudy może znać jego nowy rysopis. Sprawdzimy. To dawało szansę. Przybierając głupekowaty wyraz twarzy sięgnął po pozostawione przez kogoś narty i ruszył prosto na smukłego przystojniaka.

– Psepraszam, nastostrada to tam? – zaseplenił. Wzrok mężczyzny poszedł za jego dłonią. Błąd. W ćwierć sekundy później stal finki przecięła mu krtań. Ciało upadło na kamienną posadzkę. Fred nawet nie obszukał trupa, wiedział, że nagły upadek mężczyzny i rozlewająca się krwawa kałuża za chwilę zwrócą powszechną uwagę. Pobiegnął w głąb korytarza, którym uciekła Christine. Po kilkudziesięciu metrach trafił na drewniane schody, wspiął się po nich, nie zaszczycając uwagę widoków, rozciągających się za małymi okienkami, ani drzemiących głowami w dół nietoperzy.

Droga rozwidlała się. Chwila rozterki – przelecz? A może lodowy zamek? Wybrał zamek. Przy wejściu roztrącił wracających turystów. Już po paru krokach znalazł się wśród korytarzy wykutych czy raczej, sądząc po fakturze ścian, wylizanych w lodowcu. Liczne wnęki były podświetlone. Po szklistym dnie jaskini niósł się pogłos. „Ratownik” czuwał, kontrolując wszystkie wyjścia z lodowego labiryntu, w którym zniknęła Christine i ścigający ją najemnik. Naraz gdzieś z oddali dobiegł krzyk. Odwrócił się, zrobił krok i w tym momencie poczuł na szyi chłodne dotknięcie klingi.

– Oszalałeś, Fred! – wybełkotał. – Przecież mnie nie zabijesz.

– Zawołaj swego kumpla, Leo.

– Nie wygłupiaj się, mamy cię tylko zabrać do centrali.

– Żywego czy umarłego? Powtarzam: zawołaj go!

„Ratownik” usłuchał.

– Kurt, Kurt! Chodź tu szybko...

Z jakiegoś korytarza wysunęła się zaciekawiona grupka Japończyków.

– Won, zółtki! – ryknął na nich Fred. Zmyli się błyskawicznie.

Jeszcze chwila, a pojawił się zabójca, prowadząc ślaniającą się na nogach Christine. Musiała zdrowo oberwać, jej twarz ociekała krwią.

– Mam ją... – zaczął radośnie, ale urwał, widząc klingę na gardle kolegi. – Rany boskie, człowieku, oszalałeś, mieliśmy rozkaz, żeby ją tylko...

– Nie kłam, Kurt! – powiedział dobitnie Gray. – Albo przynajmniej uzgodnij wersję z Leo. Wiem, że dostaliście rozkaz, aby mnie zlikwidować. Nie wiem dlaczego. Nigdy nie byłem nawet przez chwilę nielojalny...

– Też uważam, że to pomyłka – wybełkotał Kurt. – Ale jeśli wrócisz z nami, wszystko się wyjaśni.

– Puść dziewczynę! – przerwał mu w pół słowa. – Liczę do trzech albo będzie o jednego sukinsyna mniej.

– Puść ją, Kurt – stękał Leo. – I tak nam nie ucieknie.

Dziewczyna wysunęła się z objęć mordercy. Gray gestem skierował ją w stronę stacji.

– Za sześć minut masz kolejkę na dół, pokaż, co potrafisz, a potem... Podalem ci kiedyś pewien telefon i adres, czekaj tam na mnie.

– Nie zostawię cię...

– Spokojnie, to moi towarzysze z jednej jednostki, z pewnością się dogadamy.

Nie był tego pewien. A właściwie wiedział, że o żadnym dogadaniu nie będzie mowy. Jeśli uznano go za zdrajcę, był załatwiony. Nie znał przypadku, aby ktoś skreślony przez KOMÓRKĘ, żył dłużej niż dobę. Zawsze zdarzał się jakiś nieszczęśliwy wypadek, atak serca czy zatrucie pokarmowe...

Kurt nie zamierzał odłożyć broni. Widząc, że Gray wolno, ale systematycznie cofa się do zakrętu korytarza, przekalkulował sytuację i postanowił poświęcić kumpla. Wystrzelił. W ostatniej chwili Fred zasłonił się „Ratownikiem”. Kula trafiła Leo w pierś. Agent znajdował się już o krok od zakrętu chodnika. Mocno pchnął rannego i skoczył w tył. Ciało w kombinezonie potoczyło się po lodzie niczym kula na kręgielni i obaliło strzelającego. Tymczasem Fred wypadł na drewniane schody. Jeszcze chwila, a znalazł się na słynnej przełęczy. Od północy nadciągała chmura, natomiast całe południe, żleby, wierchy, lodowce skąpane wciąż były w pełnym słońcu. W dole, niczym małe paciorki, migały na śnieżnym dywanie kolorowe kombinezony. Śmigłowiec stojący na śnieżnej płaszczyźnie wyglądał jak zabawka. Wyżej, wokół skalnego wierzchołka żeglowały ptaki – kruki, może orły... Fred

rozejrzał się, był w pułapce. Wokół niego nie było narciarzy, na wszystkie strony opadały urwiste żleby, piargi, śnieżne nawisy. Od schodów dobiegały kroki napastnika. Co robić?!

Ze skraju przełęczy startowały wielkie kolorowe lotnie przypominające latawce, a po trosze pradawne pterodaktyle. Gray dobiegł do grupki podniebnych żeglarzy w momencie, gdy do lotu przygotowywał się ostatni z zawodników.

– Przepraszam – powiedział, dość bezceremonialnie odpychając go od drążka. Nie myślał w tym momencie ani o tym, że jest tylko w koszuli, że nie ma nawet rękawiczek, ani że nigdy nie uprawiał tego sportu. Odbił się i skoczył. Ziemia gwałtownie uciekła mu spod stóp na głębokość pół kilometra. Lotnia zachybotła się niebezpiecznie. Wyprostował drążek... Z tyłu huknął strzał, ale chybił. Trener lotniarzy widząc, co się święci, podbił rękę „nutrii”. Później skoczyli nań inni. Biegnącego z odsieczą pilota śmigłowca obalił jakiś wielki brodaty Skandynaw, przywodzący na myśl herosa z pradawnej sagi. A Fred Gray szybował już dostojnie nad dwudziestoparokilometrowym jęzorem lodowca Grosser Aletschgletscher...

## Rozdział XIII

# Z zapisków Karla Wallenhoffa vel Altenbacha

*(...) Chociaż wielu prowadzących pamiętniki twierdzi, że czyni to dla siebie, nie mam zamiaru grzeszyć nadmiarem skromności twierdząc, iż piszę jedynie dla własnej przyjemności lub z myślą o swych potomkach. Żywię niewzruszoną nadzieją, że gdy dojrzymy do brzegu nowego świata, owe zapiski (mnie wśród żeglarzy dawno już nie będzie) czytane będą z równym zainteresowaniem, jakim cieszyłby się „Dziennik pokładowy Noego”, „Kronika dinozaurów”, czy (tout proportion gardez) „Wspomnienia Pana Boga”. Nie zamierzam się ani usprawiedliwiać, ani chwalić, ale paru faktów przemilczeć nie mogę, choćby po to, żeby zaspokoić ciekawość potomnych, ciekawość, kto wie, czy nie najbardziej ludzką z ludzkich cech. Żałuję, że nie prowadziłem systematycznego dziennika, dziś bowiem, acz wiek nie maści jeszcze mej pamięci, łatwiej przychodzi mi przywoływać fakty niż przypominać ówczesne myśli, nadzieje i pragnienia. Perspektywa służy narracji, szkodzi psychologii. Dziś, kiedy znam dorobek Freuda, lepiej mogę rozumieć własne rozterki, a kilkadziesiąt lat historii XX wieku powiedziało o człowieku więcej niż poprzednich kilkadziesiąt stuleci. (...)*

Urodziłem się 11 października roku 1874. Wzmianki warte jest jedynie żydowskie pochodzenie mojej matki oraz fakt, niechętnie wspomniany w rodzinie, spalenia za czary jednej z mych prababek ze strony ojca. W ciągu pierwszych dwudziestu paru lat mego życia pędziłem żywot tyle bogaty, co pozbawiony większego celu – oceniany przez wszystkich jako dziecko szczęścia – podróżowałem, studiowałem. Czy czegoś pragnąłem? Owszem, pożerała mnie żądza sławy, ale mając wiele zainteresowań nie bardzo wiedziałem, której z dyscyplin się poświęcić – czy reformować zmurszały gmach medycyny, czy na nowo interpretować historię? Wszystko przychodziło mi zbyt łatwo. Wcześniej uświadomiłem sobie własne umiejętności paranormalne, już w szkole potrafiłem siłą woli zmieniać myśli nauczyciela... Spadek po prababci-wiedźmie? Umiejętności te starałem się ukrywać, a czasami nawet się ich bałem. Dziś dochodzę do wniosku, że owa pogoń za sławą wynikała z mych kompleksów. Spytacie, jakim prawem taki osobnik jak ja, zdolny, przystojny, zamożny, może mieć

kompleksy? A jednak – zawsze byłem sam, nie miałem rodzeństwa, rodzice zajęci pomnażaniem majątku nie obdarzali choćby gramem czułości. Purytańskie wychowanie wpoilo mi rezerwę wobec kobiet, a pierwsze doświadczenie erotyczne ze starszą pokojówką wywołało we mnie wstręt. Zresztą, bardzo długo nie zaznałem szczęścia. Kobiety na mej drodze dzieliły się na sprzedajne lub niedostępne. Owszem, zakochałem się w córce jednego z mych angielskich nauczycieli, chciałem się nawet żenić. Niestety, Elizabeth mogła mieć wszystkie przymioty tego świata, ale wedle mych rodziców brakowało jej jednego – pieniędzy. A w tym czasie musiałem być posłuszny. Zapytacie, czemu nie zahipnotyzowałem ojca i nie wymusiłem zgody? Wówczas nie przyszło mi to nawet do głowy. Więc może pragnienie dokonania rzeczy niezwykłych wynikało z potrzeby rekompensaty uczuciowej mizerii? (...)

W połowie 1897 roku los zetknął mnie z Herbertem Dunstalem, archeologiem-amatorem. Dunstall, marząc o sławie Schliemanna lub Champolliona, organizował wyprawę w poszukiwaniu legendarnej siedziby greckich bogów. Utrzymywał, że posiada dane, wedle których siedziba taka istnieje. Śmiejąc się w duchu, wyraziłem chęć wzięcia udziału w ekspedycji. Po śmierci matki niewiele łączyło mnie z rodową siedzibą Wallenhoffów, z wiecznie narzekającym na zdrowie ojcem, z żeglującym po placówkach dyplomatycznych stryjem... Towarzyskie kontakty, a nade wszystko telepatyczne zdolności przydatne w grach hazardowych sprawiały, że nie miałem większych problemów finansowych. Zresztą, grywałem nie za często, bo cóż za przyjemność dla dżentelmena grać w pokera wiedząc, jakie karty mają w ręku partnerzy albo jak cieszyć się z wygranej w ruletę, gdy potrafiłem zatrzymać wirującą kulkę w dowolnym momencie. (...)

W Salonikach do naszej szczupłej ekipy dołączył doktor Peter Schultz. Obok dyletantów, potrzebny był chociaż jeden naukowiec z prawdziwego zdarzenia. Przyznam się, że nie od razu go wtajemniczyliśmy. Dyskrecja Dunstalla wynikała z dwóch powodów. Ogłoszenie, że idziemy szukać Zeusa, naraziłoby nas na żarty i drwiny ze strony naukowców i czytelników gazet. Z drugiej zaś strony woleliśmy nie ryzykować, że ktoś zechce nas ubiec. (...)

Jeszcze nie opadł pył po kamiennej lawinie, na zawsze kryjącej pałace bogów i nieszczęsnego Dunstalla, kiedy mój umysł zaczął pracować ze wzmożoną szybkością. Schultz lamentował, obwiniając się odpowiedzialnością za śmierć sir Herberta, ja, zazdrosny o przyszłą sławę, kupiłem sobie przysięgę zachowania naszych odkryć w tajemnicy do czasu, gdy pierwszy opublikuję sprawozdanie. Przez dwa miesiące w hoteliku w Stambule Schultz ślęczał nad złotymi tabliczkami. Najpierw z części słownikowej opanował alfabet Niebieskich (starszy od jakiegokolwiek ze znanych, łącznie ze słynnym dyskiem z Faistos). Był to alfabet pośredni między hieroglifami a literami, w sumie dość prosty, a zarazem tak precyzyjny, że aż dziw bierze, iż nie przyjął się wśród ludzi. Oddawał bowiem nie tylko rzeczywistą wartość wyrazu, ale i jego zabarwienie emocjonalne.

Wkrótce poznaliśmy pamiętnik Ateny III – ostatniej z bezpośrednich potomkiń Uranosa-Urra – Przybysza z Gwiazd. (...)

W trakcie pracy doktor Schultz parokrotnie dostawał z podniecenia wysokiej gorączki. W malignie improwizował sceny z przeszłości i wtedy zdawało mi się, że i ja uczestniczę w owych Gigantomachiach, pracach Heraklesowych czy poszukiwaniach Złotego Runa... Ale swoje złote runo miałem przed sobą. Za każdym razem bredzenia Petera kończyły się wspomnieniem lawiny i śmierci angielskiego arystokraty.

Kiedy archeolog wreszcie doszedł do siebie, wspomniałem mu, że policja turecka przeszukiwała mnie na temat losów Dunstalla.

– I co pan odpowiedział? – wyszeptał pobladły.

– Stwierdziłem, że sir Herbert odłączył się od nas w trakcie zwiedzania Olimpu i samotnie ruszył w góry. Czekaliśmy na niego długo, później szukaliśmy go, ale bez rezultatów.

– Niech panu Bóg wynagrodzi. – Na wymizerowanej twarzy pojawiła się ulga.

I wtedy powtórnie zażądałem przysięgi. Dał słowo, że o naszej wyprawie nikt nie dowie się przed upływem trzydziestu lat. Czy już wówczas miałem plan?

Tak! Koncepcja pojawiła się jak błyskawica. Tej nocy, kiedy nieprzytomny Schultz leżał trawiony gorączką, a nad Stambułem, niegdysiejszym Konstantynopolem czy jeszcze dawniejszym Bizancjum, przetaczała się burza, stałem w oknie. Wyładowania elektryczne krajały niebo, wycinając z mroku wieżyczki minaretów słynnej świątyni Mądrości Bożej, obecnie meczetu, i dumałem nad przemijaniem i znikomością człowieka wobec sił natury. Z tabliczek przeczytałem dość wiele, by wiedzieć, że człowiek dzisiejszy jest potomkiem prymitywnych hominidów (uszlachetnionych przez Uciekinierów z Gwiazd) z małym dodatkiem boskiego genu, ową kropelką krwi Uranosa, z której zrodziły się nie, jak chciała mitologia, krwawe Erynie, lecz ludzki Geniusz. Pomyślałem też, że z niepojętych wyroków losu trafiali się ciągle ludzie mający tej krwi trochę więcej, a zdarzały się prawdziwe wyjątki, jak Leonardo da Vinci, Paracelsus, Cagliostro (jeśli nie wszystko, co o nim mówią, jest baśnią) i że chyba ja sam jestem w większym stopniu prawnuczkiem Kronosa niż jęczący przez sen Schultz. Tylko co z tego wynikało?

Naraz w świetle błyskawic przypomniał mi się okres studiów, kiedy pasjonowałem się biologią. Znałem zagadnienia dziedziczności. Od kiedy czeski zakonnik Mendel dokonał swoich odkryć, nauka ta dokonała znacznego postępu. I pomyślałem, że podobnie jak wśród potomków białego i czarnego królika, które są przeważnie szare, pojawia się nagle jeden aksamitnie czarny lub biały, tak i wśród ludzi co jakiś czas rodzi się osobnik obdarzony większą liczbą cech Boskiego Przodka...

Burza przesunęła się poza Bosfor, ulice zalały potoki dżdżu, a ja nadal nie odchodziłem od okna, jakby owa elektryczność indukowała moje myśli. Przypomniałem sobie artykuł w jakimś piśmie dla hodowców bydła, którego autor dowodził, że istnieje metoda pozwalająca



na restaurację zaginionego gatunku zwierząt. Chodziło o tura, którego ostatni egzemplarz padł z początkiem XVI czy też XVII wieku w Polsce.

„Zachowała się – pisał ów autor – zwłaszcza na terenach Białej Rusi, znaczna liczba krów o większej ilości pierwiastka turzego niż u innych. Zapewne wynika to z przeszłych krzyżówek zwierząt domowych z dzikimi pobratymcami. Gdyby udało nam się wybrać najbardziej turze egzemplarze spośród tamtejszego bydła, a następnie krzyżować je między sobą, po latach otrzymalibyśmy egzemplarze niewiele lub zgoła niczym nie różniące się od monumentalnych przodków, stanowiących ozdobę dziewiczych puszczy Germanii”.

Odchodząc od okna miałem już gotową koncepcję. (...)

Dlaczego nie opublikowałem mego pomysłu? Czy nie ogłoszono by mnie wtedy szaleńcem? W końcu nie mogłem zaprosić żadnej komisji na Olimp. A złote tabliczki...? Niestety, prześladował mnie pech. Któregoś dnia zawiozłem chorego Schultza do medyka z ambasady angielskiej. Po powrocie zastaliśmy drzwi wyłamane, służącego na wpół martwego, szafy otwarte, papiery w nieładzie. Po tabliczkach ani śladu. Myśląc o bogach nie wzięliśmy pod uwagę zwykłych złodziei. Być może moje dzieci potrafiłyby przewidzieć taki obrót rzeczy, ale ja nie umiałem jeszcze antycypować przyszłości. Mych talentów starczyło wszakże na wytropienie złodzieja, na obezwładnienie go, a następnie na dotarcie do złotnika-pasera. Niestety, zjawiłem się u niego w momencie, kiedy ostatnia porcja dokumentów ginęła w rozgrzanym tyglu. Ocalały jedynie cztery płytki z tekstem boskiego przesłania... I to akurat opisujące ogólnie znane sceny z mitologii.

Przedstawiając koncepcję podpartą czterema tabliczkami, naraziłbym się na oskarżenie o fałszerstwo. Tabliczki ogłoszono by fałszykatami. Świadek znerwicowanego Schultza nie miało większej wartości. A moja koncepcja? Uszami duszy słyszałem już nagonkę ze wszystkich stron, od Kościoła poczynając, na naukowcach i socjalistach kończąc. Zresztą i ja sam nie miałem żadnej pewności, czy mój plan ma szanse powodzenia. Jednak gdyby się udał – przewróciłbym cały gmach obecnej wiedzy, a przede wszystkim dostarczyłbym ludzkości genialnych przewodników, którzy mogliby ją poprowadzić we właściwym kierunku.(...)

Jak chciałem dokonać tego dzieła? Jeszcze w Stambule dopadł mnie telegram zawiadamiający o śmierci ojca. Z dnia na dzień stałem się bardzo bogaty. I co najważniejsze – niezależny. Rozstałem się z wracającym do zdrowia Schultzem, jak się później okazało, na zawsze. (...)

Idea nie jest jeszcze planem. Nawet mając pieniądze, byłem jak ów szaleńczy podróżnik, rozpoczynający samotną wspinaczkę na szczyt wyższy niż Mont Blanc. Wiedziałem, że jeśli przedsięwzięcie miało się powieść, winienem zachowywać jak najściślejszą tajemnicę. Ale jak miałem dokonać tego sam i od czego zacząć? Zakładając, że istnieją na świecie ludzie z nadwyżką świętego genu, nie miałem pomysłu, jak ich szukać. Wróciłem do Wiednia. Towarzyszył mi młody Grek – obdarzyłem go z racji postury mitologicznym mianem Ajaksa. Służył u mnie jeszcze w Stambule i mocno go poturbowano, gdy bronił mego apartamentu

przed złodziejami. Lojalność szła u niego w parze z zabobonnością. Pochodził z jakiejś zapadłej dziury pod górą Athos i bez zastrzeżeń uwierzył, że jestem wysłańcem Niebios.

Udowodniwszy mi, że czytam w jego myślach, zyskałem weń wiernego pomocnika. Dobrym pomysłem okazało się też zaangażowanie czterech studentów, którym zleciłem pracę o charakterze detektywistycznym. Z roczników gazet, plotek w kronikach towarzyskich, ciekawostek policyjnych mieli wyszukać dla mnie wszelkie informacje o zjawiskach dziwnych, paranormalnych, o ludziach nadzwyczajnie uzdolnionych. Oczywiście, nikt z moich pracowników nie wiedział, komu służy i w jakim celu zbiera informacje. Ajaks płacił im wystarczająco dobrze, by nie zadawali pytań. Zawarłem też znajomość z kilkoma młodymi arystokratami, którzy wprowadzili mnie w środowiska okultystów i spirytystów, wirujących stolików i dziwacznych, często nieobyczajnych obrzędów. Później wprowadzono mnie do Łoży Masońskiej. I nic! Po paru miesiącach prób zacząłem wątpić w sens mego przedsięwzięcia. Kartoteki puchły od danych, a ich weryfikacja postępowała diabło powoli. Przez ten czas poznałem prawdziwy „smutek czarnej magii”. Co rusz demaskowałem tanie hochsztaplerstwo, nieudolne szarlataństwo, rzekomi cudotwórcy okazywali się zwykłymi oszustami, jasnowidze zręcznymi cwaniakami, a media podrzędnymi aktorkami. Bardzo rzadko zmuszony byłem jakiś przypadek poddawać powtórnej weryfikacji. Po dokładniejszym badaniu zawsze spod cienkiej warstewki tajemnicy wyzierał banał...

Zaczynałem tracić nadzieję. Moja reputacja stawała się coraz bardziej oplakana. Stryj ambasador słał ze swej placówki upominające listy. Nie odpisywałem. Owładnęła mną tylko idee fixe. Brakowało dowodów, ale wierzyłem. Oprócz prasy kontynentalnej zleciłem śledzenie gazet amerykańskich. Wreszcie w noc zamykającą 1898 rok udało się dokonać niewielkiego postępu. W Wiedniu bawił pewien niezwykle uzdolniony człowiek, w którego talencie dostrzegałem coś metafizycznego, nie podaję bliższych szczegółów, postać jego jest zbyt znana w kulturze europejskiej i obawiam się, że powiedziawszy słowo za dużo, naraziłbym na szwank swoją opinię człowieka dyskretnego.

Doprowadziłem do tego, że zaproszono go na bal, na którym znalazła się wybrana wcześniej przeze mnie kobieta – o jej intuicji sporo wiedziałem, mimo że nie demonstrowała swych talentów publicznie. Reżyserią hipnotyczną władałem w znikomym stopniu, ale udało mi się tak zaaranżować sytuację, że już tej samej nocy w powozie doszło między nimi do zbliżenia... Później spotykali się jeszcze przez kilka tygodni.

Jeszcze w czasach młodości natrafiłem na ustronną osadę w alpejskiej dolinie. Wymarzone miejsce, w którym człowiek pragnący spokoju mógł zaszyć się przed światem. Postanowiłem zamieszkać tam na stałe. Postarałem się o metrykę na nazwisko Karl Altenbach. Powoli wyprzedawałem majątek, akcje, zabezpieczając gotówkę spakowałem i ukryłem srebra, biżuterię, kolekcję broni. Na co jeszcze czekałem? Na potwierdzenie.

Trzynastego lutego pani X złożyła wizytę znanemu lekarzowi. Nie trzeba było być telepatą, aby odgadnąć przebieg wizyty. Była w ciąży i wszystko wskazywało, że wmówi

małżonkowi wcześniaka... Nie miałem pewności, czy dziecko będzie krokiem w stronę Uranosa (bis), ale postanowiłem posunąć się dalej. Postanowiłem zniknąć. I zadbałem o oprawę tego zdarzenia. Przez noc piłem w podmiejskich spelunkach, byli świadkowie, którzy mogli zeznać, że nieomal wdałem się w bójkę z osobnikami o wyglądzie kryminalistów. Nazajutrz jak zwykle spotkałem się z wiedeńskimi przyjaciółmi, po kawie wyszliśmy na Ring. Już nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. W pewnym momencie przypomniałem sobie, że zostawiłem w cukierni swoją ulubioną laseczkę. Prosiłem, żeby szli naprzód, a ja dołączę. Dzień był wymarzony na spacer, słoneczny. Nie żegnając się, zawróciłem.

Po drodze znajdowała się publiczna toaleta. Na zegarku miałem dokładnie dwunastą. Drzwi pierwszej kabiny otworzyły się, wszedłem do środka. Czekał tam mój Ajaks. Przystąpiliśmy do dzieła. Brzytwą ściałem wąsy. Zamiast nich dokleiliśmy siwą bródkę, założyłem także perukę, barwnik nadał policzkom odcień rumianej starości. U podstawy nosa wykiełkowała dorodna brodawka, a na nosie pojawiły się binokle. Zmieniłem krawat, a płaszcz odwrócony na drugą stronę nabrał dzięki swej kracie angielskiego charakteru, całości dopełniła torba podróżna i pasujące do niej kamasze. Parę kroków i znalazłem się na Ringu. Po paru minutach nieomal otarłem się o grupę rozprawiających przyjaciół. Johann co chwilę oglądał się, czy nie nadchodzę. Na moment zrobiło mi się nawet żal tego wszystkiego, co tracę na zawsze. Ale później, gdy wskoczyłem do fiakra i powiedziałem „na dworzec”, każdy metr upewniał mnie, że słusznie uczyniłem.(...)

Mówiłem chyba, że zrazu moje umiejętności parapsychologiczne nie wydawały się wielkie, ale ćwiczeniami, a nade wszystko trenowaniem koncentracji, stale poszerzałem pole swoich możliwości.(...)

Nie wspominałem dotąd o naukowej podbudowie mej teorii. Dowodów miałem trochę, a potwierdzenie urańskiego pochodzenia ludzi można znaleźć nawet w obyczajach. Choćby małżeństwa władców. Czyż w formule nie dopuszczającej mezaliansu, nie kołatała zasada ochrony krwi boskiej przed dalszym rozcieńczeniem? A małżeństwa między rodzeństwem wśród faraonów?!

Nie mając materialnych dowodów, mogłem tylko przypuszczać, że i na innych kontynentach, gdzie w świetle informacji z tabliczek również lądowali Przybysze, także dochodziło do krzyżówek – wskazywałyby na to tamtejsze mity: chińscy lub japońscy Synowie Nieba, legenda o Krisznie. A Budda, czyż nie był typowym okazem mutanta? Kto wie – zastanawiałem się – czy krzyżówki najbardziej niebiańskich Europejczyków z najbardziej kosmicznymi Azjatami, potomkami Majów czy polinezyjskimi Synami Słońca nie przyczyniłyby się w przyszłości do wyhodowania z ludzkiej gromady przeciętniaków człowieka na wszechświatową miarę? (...)

Pierwszego marca znalazłem się na promie z Calais do Dover – miałem paru kandydatów do zweryfikowania w Anglii i pragnąłem zatrzymać się tam na dłużej. Nazywałem się wówczas Oskar Mayer, lekarz praktykujący w Salzburgu... I wtedy naprawdę się zaczęło.

Leżałem na koi usiłując się zdrzemnąć, gdy doznałem trudnego do opisanie uczucia. Tak jakby obok mej świadomości, zasklepionej w sobie jak kokos, kołatał mały, przestraszony orzeszek... Otwarłem oczy – kabina była pusta. Znów przymknąłem oczy. Wrażenie trwało.

– Nie bój się – powiedziało moje wewnętrzne ja do przerażonego intruza. Fluidy znikły. Jakby obca świadomość spłoszyła się, zdumiona moją obecnością. Po chwili jednak strach okazał się silniejszy. Znowu poczułem jej dygot. Usiłowałem przekazać informację.

„Nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo”. Reakcją pozostawało ledwie wyczuwalne drżenie. „Jestem przyjacielem, mogę pomóc”.

– Nikt mi nie może już pomóc – odpowiedziała obca jaźń. – Odejdź, zostaw mnie w spokoju, chcę umrzeć...

– Kim jesteś? – pytałem, nie pozwalając intruzowi uciec. Nic. – Musisz mieć ogromne zdolności telepatyczne, od dawna szukałem kogoś takiego jak ty. Odezwij się, proszę.

Jednak tajemnicza istota zasklepiła się już w sobie, otoczyła murem samokontroli i nie potrafiłem nawet stwierdzić, czy mój „rozmówca” znajduje się na statku, czy na oddalającym się ładzie. Wyszedłem na pokład, mimo złej pogody sporo ludzi zgromadziło się przy relingach, obserwując znikający brzeg Francji. Przesuwałem się wśród tłumu z maksymalnie napiętymi zmysłami, owszem, łapałem ich fluidy, poznawałem prymitywne umeblowanie mózdków, ale nigdzie ani śladu tajemniczego nadawcy. I naraz targnął mną dojmujący ból. Spadła niewidzialna osłona, fluidy wręcz krzyczały: „Nie bij mnie, nie bij! Ratunku!”

Znajdowałem się bardzo blisko. Raptem otworzyły się drzwi, prowadzące do podlegszych kabin i wyskoczył z nich zdyszany, czerwony na gębie mężczyzna. Podbiegł do przechodzącego oficera.

– Lekarza! Trzeba szybko lekarza...

– Jestem lekarzem – wtrąciłem się.

Mężczyzna łypnął na mnie podejrzliwie krwistym okiem.

– Czyżby?

– Doktor Oskar Mayer z Salzburga.

– Chodź pan ze mną – pociągnął mnie do swej kabiny. Obok łóżka leżała młoda, ubrana na szaro kobieta z przymkniętymi oczami. Była nieprzytomna.

– Czy żyje? – dopytywał się grubas.

– Zemdląca – stwierdziłem krótko. Nie musiałem nawet jej badać, czułem, że żyje. – Przenieśmy ją na łóżko! – zaordynowałem.

Posapując, spełnił moje życzenie. Mimo wychudzenia, dziewczyna, najwyżej dwudziestoparoletnia, była ładna, jej skóra miała piękny odcień właściwy latynoskim mieszańcom z przewagą białej krwi.

– Może zechciałby pan wyjść – powiedziałem. – Muszę zbadać chorą.

– Jestem jej prawnym opiekunem, zostanę. – W oczach czerwonołęwego pojawiły się chytre błyski.

Wzruszyłem ramionami.

Minęła chwila i dziewczyna odzyskała przytomność, wprawdzie milczała, nasze myśli jednak natychmiast nawiązały kontakt.

– To ty? – płynęło pytanie z głębi jej, ciemnych jak kulki agatu, oczu.

– Tak. Pomogę ci!

– Mnie nie można pomóc.

– Jednak spróbuję.

Mierząc puls i osłuchując chorą, dostrzegłem parę świeżych i wiele dawniejszych sińców na skórze. Najwidoczniej „opiekun” katował biedną dziewczynę.

– Starczy tego badania – warknął w pewnym momencie grubas. – Jeśli potrzebne są jakieś lekarstwa, wypiszcie receptę.

– Chciałbym jeszcze raz zbadać panią w Londynie, obawiam się, że potrzebna będzie dłuższa terapia.

– W Londynie mamy swoich lekarzy – przerwano mi niegrzecznie.

Miałem ochotę zdzielić w pysk hultaja, ale powstrzymał mnie błagalny wzrok dziewczyny. Napisałem receptę i wyszedłem. Nie straciłem jednak myślowego kontaktu. Zanim dopłynęliśmy do Dover, wiedziałem już o Sarze bardzo wiele.

Urodziła się na farmie wśród pól Środkowego Zachodu. Jej matką była hoża Metyska, ojcem europejski podróżnik, który spędził noc u przypadkowo napotkanego farmera, uważającego, że najlepiej dowiedzie swej gościnności ścieląc mu łóżko z tubylczą pięknoką. Podróżnik, wybitny intelektualista, w swych wspomnieniach nie nadmienił o tym krótkim popasie, a opuszczając Stany nie miał zapewne pojęcia, jak owocna była jego wyprawa. Do dziesiątego roku życia Sara przebywała przy matce – poznawała tajemnice przyrody, indiańskie zaklęcia, podobno pradziadek był słynnym szamanem... Jej samej nie sprawiało trudności porozumienie się ze zwierzętami czy odgadywanie ludzkich myśli. Do dziesiątego roku życia była szczęśliwa. Potem, w odstępnie miesiąca zmarła matka i właściciel farmy. Rodzina pana Parkinsa wykazała zainteresowanie wyłącznie sprzedażą majątku. Dziewczynka początkowo tułała się po obcych ludziach, na krótko zaopiekował się nią pastor. Na nieszczęście, spadkiem po indiańskich przodkach było jej wczesne dojrzewanie. W jedenastym roku życia jej piersi zaokrągliły się, a biodra zmieniły kształt. Pierwszy usiłował dobrać się do niej syn pastora, Mike. Czynił to jednak zbyt natarczywie i brutalnie, równocześnie nadmiernie demonstrował swą pogardę dla „brudnej Indianki”. Płakała, prosiła go, by dał jej spokój, zagroziła, że poskarży się pastorowi. Wtedy powiedział, że ją zabije.

Znalazła dość mocy, by go odepchnąć, uczyniła to jednak tak nieszczęśliwie, że Mike rąbnął głową o gipsowy postument kominka i zemdłał. Wtedy uciekła. W innym mieście przygarnęła ją pani Brownster. Odkarmiła, odziała, Sara była na tyle naiwna, że nie rozumiała jeszcze ostrzegawczych sygnałów z podświadomości. Nie dopuszczała myśli, że profesją tak zacnej samarytanki jest rozpusta, a jej obszerny bungalow pełni rolę najbardziej cenionego w

mieście domu publicznego. Zresztą, pani Brownster trzymała ją przez rok w małym domku wypoczynkowym, do którego nie miały wstępu inne „wychowanki”. Dopiero gdy podopieczna skończyła trzynaście lat, gdy jej uroda w pełni rozkwitła, burdelmama uznała, że nastał czas debiutu. Zaprowadziła Sarę do bungalowu i wyjaśniła, na czym polegać będzie jej rola.

– Za dziesięć lat uzbierasz dość pieniędzy, aby zmienić stan, nazwisko, założyć własny interes lub wyjść za mąż.

Łzy zakręciły się w oczach Sary tylko przez chwilę. Już nauczyła się panować nad sobą. Powiedzieć teraz „nie” pani Brownster, oznaczało ponowne narażenie się na niepewność, na poniewierkę. Tymczasem dziewczyna poznała trochę swoje możliwości. Skinęła główką i wyraziła zgodę.

Zaczęły się dzieć historie, jakich najstarsze dziwki nie pamiętały. Co wieczór Sara umalowana, utrefiona i wonna jak drugstore schodziła do salonu, siadała z innymi dziewczynami i oczekiwała klientów. O zmierzchu ruch robił się duży, co rusz trzeszczały stopnie schodów, jęczały niedyskretne sprężyny łóżek na pięterku, sypały się pieniądze do kasy, a ta najmłodsza nadal siedziała na kanapie z czarującym uśmiechem, absolutnie bezrobotna. Nawet w dzień targowy, kiedy zakłopotani i niedomyci kowboje tłoczyli się na ganku, oczekując swej kolejki i prosząc poprzedników, aby się pośpieszyli, nikt nie miał ochoty na małą Sarę. Ani szeryf, który nie popuścił chyba nawet własnej klaczy, ani sędziego, ani wydawca jedyne go dziennika, który celował w perwersji, przenosząc miłość francuską nad uznane metody Adama. Czy siedziała, czy roznosiła trunki, czy siadała przy pianinie (nauczyła się paru łatwych utworów) mężczyźni traktowali ją, jakby była jednym z antycznych posągów, których gipsowe kopie można dostać w Nowym Orleanie albo Kansas City. Tej sytuacji pani Brownster żadną miarą pojąć nie mogła.

– Charley – zwracała się do właściciela jednego z lepiej prosperujących sklepów, który miał w jej lokalu abonament. – Charley, znasz się na kobietach lepiej niż mój mąż nieboszczyk na koniach, wytłumacz mi, co jest z Sarą...

– A co ma być?

– Ładna jest?

– Ładna i owszem.

– No to dlaczego nawet ty... nigdy? Od trzech miesięcy przebywa w zakładzie i nadal jest niewinna.

– Czemu nie, mogę nawet dzisiaj – Charles pokraśniał na licu, a jego wielka grdyka zadrgała parokrotnie.

Pani Brownster osobiście dopilnowała toalety podopiecznej, a potem nie spuszczała z niej oka. O ósmej przyszedł sklepikarz, ubrany jak sam Buffalo Bill, tyle że bez broni... Wszedł, spojrzał na Sarę, a potem szybko skręcił do baru i zamówił podwójną whisky.

– Może na odwagę – pomyślała bajzelmama.

Jednak i później Charley zachowywał się dziwnie, zagrał partyjkę wista z doktorem Harrisonem, który czekał, kiedy jego ulubiona Maud będzie wolna, a potem chyłkiem, omijając szerokim łukiem kanapę z Sarą, porwał kulawą Annę Marię i znikł w numerze.

– Zawiodłeś mnie! – powiedziała nazajutrz rozżalona pani Brownster.

– Chciałem, Rosalyn, słowo honoru, cholernie chciałem. Za dnia to nawet rajcowna dziewczyna, kiedy wchodzi do mego sklepu nawet rondlom unoszą się uchwyty. Odpicowałem się, na fryzjera wydałem, wchodzę i, niech mnie bizon rozdepcze, nie mogłem.

– Nie gadaj głupstw, jak to nie mogłeś? Annie Marii wygodziłeś trzy razy!

– Ale z Sarą... zupełnie nie mogłem. Tylko spojrzałem na nią i taka niemoc mnie opadła... Byłem jak kot, który może być nie wiem jak napalony na kotkę, ale suki przecież nie ruszy. Chciałbym tego, jak chcę, żeby w naszej strudze odkryto złote samородki wielkości kurzych jaj, ale nie mogłem! To jakieś czary!

Bajzelmama nie dawała za wygraną. Odbyła mnóstwo rozmów z zaufanymi klientami, a gdy to nie pomogło, do reszty straciła cierpliwość. Złoiła Sarze skórę i kazała przejawiać więcej inicjatywy, gdyż inaczej pójdzie do czarnej roboty między Murzynki.

Dziewczyna przyjęła burę z pokorą i obiecała uczynić wszystko, co będzie w jej mocy. I rzeczywiście. Tańczyła, częstowała zgromadzonych samców smakołykami, śpiewała, siadała im na kolanach, a któregoś dnia wybiegła nawet kompletnie naga. I nic. Nawet gdy ukryto wszystkie „pracownice” lokalu, klienci siedzieli chmurni, apatyczni jak pawiany chore na żołądek i pod byle pozorem opuszczali zakład. Brani na spytki podawali identyczne powody – niemoc, niechęć, niewidzialna bariera, odpychająca siła. Sprowadzony lekarz nie potrafił wytłumaczyć anormalnego zjawiska, a gdy sam zabrał się do badania Sary, starczyło jedno jej spojrzenie i sam zaczął bełkotać, po czym nagle stwierdził, że sfalszował dyplom i w ogóle jest felczerem.

Pani Brownster poddała się po dwóch miesiącach. Sarę przeniesiono ostatecznie do kuchni, a w tym czasie odwiedził miasto domokrażca, znachor i wróżbita, Joshua Lang. Odrażający typek, który w wieku czterdziestu lat wyglądał tak samo jak dekadę później. Joshua zrobił furorę lecząc odciski, przepowiadając przyszłość, stawiając horoskopy i uwalniając żonę szeryfa od dotkliwych migren. Parokrotnie odwiedził przybytek pani Brownster. Aż któregoś niedzieli został zaproszony na prywatną herbatkę. Nie wiadomo, ile zapłacił za młodą dziewczynę, lecz faktem jest, że zaraz po herbatce wezwano Sarę i oznajmiono, że opiekę nad nią przejmuje pan Lang. Szeryf sporządził jakiś niezbyt formalny dokument. Sara uderzyła w płacz, w końcu jej życie w bungalowie było miłe i urozmaicone. Wydawało się, że rozpracowała swoją dobrodziejkę, a mózg Joshuy stanowił zagadkę. Nie potrafiła przeniknąć jego myśli. Czyżby ten brzydki osobnik był równie uzdolniony jak ona? Później miała się przekonać, że najmocniejszą stroną Langa było długoletnie doświadczenie, zdolności parapsychologiczne posiadał raczej mizerne, umiał jednak czynić z nich znakomity użytek. Błyskawicznie domyślił się, z kim ma do czynienia i jakim skarbem może okazać się

młodziutka dziewczyna. Kupił ją i, trzeba przyznać, potrafił oszukać. W pierwszych miesiącach wspólnej włóczęgi po prerii, ciepłych dolinach Kalifornii i górzystych zakątkach Oregonu, Sarze wydawało się, że pod maską prostaka odkryła niezwykłego człowieka – troskliwego, opiekuńczego, wymagającego, lecz sprawiedliwego.

Joshua uczył ją, kupował ładne ubrania – któraż młoda kobieta nie jest na to łasa? Wieczorami czytywał książki lub opowiadał o swych podróżach. Mimo wyglądu gruboskórnego chama zgromadził dość znaczną, choć nie usystematyzowaną wiedzę. Sara przywykła do niego, a nawet go polubiła. Strachem jedynie napawał ją wciąż zamknięty umysł opiekuna, z czasem jednak uznała to za element normalności. Tylko raz na jakiś czas Joshua przepadał z ich wozu, wracał po paru dniach nie ogolony i cuchnący alkoholem, ale już nie pijany.

Sielanka skończyła się, gdy miała piętnaście lat. Z okazji urodzin dała się namówić na kilka kieliszków wina, Joshua po raz pierwszy w jej obecności wypił sporo. I wtedy jego umysł otworzył się jak puszcza Pandory. Sara od razu ujrzała w nim swoją zgubę, ale było już za późno, alkohol i strach pozbawiły ją możliwości kontrolowania sytuacji. Lang bez większej trudności obalił ją i pozbawił odzieży. Później dziewictwa.

Pozbył się również maski czulego opiekuna. Sam wyznał, że zmierzyła go ta rola. Często bił ją, a później gwałcił, czasami na odwrót. Ogarnięta lękiem traciła hipnotyczne zdolności. Próbowala ucieczek, ale nie było to łatwe, Joshua przez cały czas miał się na baczności. Szczęście odwróciło się od niej ostatecznie. Wkrótce zaszła w ciążę. Miała nadzieję, że pojawienie się dziecka odmieni sadystę.

Gdzie tam. Bił ją za to, że zbyt wydatny brzuch uniemożliwiał występy. Domyślała się dlaczego. Zazdrościł jej. Rozumiał, że sam nie posiada nawet cząstki zdolności swego medium. Niedługo cieszyła się córeczką. Mary została oddana na wychowanie obcym ludziom, a Lang zagroził, że przy najmniejszej próbie oporu sam zadusi maleństwo. Sara wiedziała, że jest do tego zdolny. Pogodziła się więc z losem. Przywykła do odrażającego kochanka, zresztą chyba znudziła mu się, gdyż wykorzystywał ją rzadziej. Tylko bił ją ze stałą częstotliwością. Zazwyczaj po seansie. W czasie spektaklu Sara – indiańska księżniczka, Sara – piracka branka, Sara – zbieg z haremu przeżywała swe chwile szczęścia i jako medium usuwała w cień abominacyjnego „jasnowidza”.

Czasami nadchodziły takie noce, gdy leżąc na brzuchu, bo plecy miała zbyt obolałe, marzyła o śmierci Langa. Łajdak przewidział i tę ewentualność. Uprzedził ją, że ma wynajętego oprycha i jeżeli on zginie, bandzior zajmie się dziewczynką...

– Nie ma dla mnie żadnej nadziei – pobrzmiwało stałym refrenem w myślach dziewczyny.

Tak dopłynęliśmy do Dover. W londyńskim pociągu ulokowałem się w sąsiednim przedziale i udając, że drzemie, prowadziłem nadal konwersację bez słów.

– Czy jeśli byłabyś wolna, zdecydowałabyś się na pracę ze mną?



– Oczywiście – odpowiadał radośnie fluid. – To musi być ciekawe.

– Wiesz, co byś robiła?

– Nie mogę wszystkiego pojąć... wielki trud... dzieci... bogowie... przyszłość. To coś wielkiego i fantastycznego zarazem... Tylko to nie jest możliwe do zrealizowania.

Miałem w tej kwestii inne zdanie. Uzyskawszy od niej adres dziecka w Vermont natychmiast wysłałem tam Ajaksa z kwotą wystarczającą na wykupienie nie tylko pięcioletniej dziewczynki, ale zapewne wszystkich niewiniątek z łap Heroda.

Czekając na wiadomość z Ameryki, krążyłem wokół hoteliku, w którym zamieszkał Lang, układając plany ucieczki. Mogliśmy oczywiście oskarżyć Joshuę o sadyzm, ale ta droga wymagałaby ujawnienia zbyt wielu faktów, które z oczywistych przyczyn wołałem zachować w tajemnicy. Tymczasem Lang, jakby przeczuwając zagrożenie, coraz częściej wpadał w zły humor, wyżywał się na Sarze po parę razy dziennie. Dwudziestego szóstego marca otrzymałem oczekiwaną informację. Ajaks i Mary byli już w drodze do Europy. Pośpieszyłem więc na seans dla wyższych sfer, zorganizowany w salonie Thomasa Parnella. Przebieg wydarzeń tego wieczoru znany jest powszechnie z licznych artykułów prasowych. Ograniczę się więc do niezbędnych uzupełnień.

Po wyważeniu drzwi garderoby, zauważywszy martwe ciało jasnowidza i nieobecność Sary, jako pierwszy wycofałem się z tłumu, przebiegłem parę zupełnie pustych komnat. W galerii, na tyłach sal recepcyjnych, dojrzałem nagą postać, wstrząsaną szlochem. Sara! Stała dokładnie po drugiej stronie ściany oddzielającej nas od garderoby

– Co się stało? – zapytałem.

Nie potrafiła wymówić słowa. Narzuciłem jej płaszcz na ramiona, zbiegliśmy kuchennym wyjściem na boczną uliczkę. Przezorność nakazała mi trzymać tam wynajętego fiakra. Rzuciłem nazwę mego hotelu. W dorożce Sara drżącym głosem opowiedziała, co się stało. Po rannej, wyjątkowo intensywnej awanturze była podenerwowana, na dodatek zapodziały się jej akcesoria, być może złośliwie schował je Joshua. Bała się, a później nagle dojrzało w niej postanowienie, by sprzeciwić się Langowi. Odmówić udziału w seansie. Czuła, że jej dziecko jest bezpieczne. Joshua wtargnął do garderoby, miotając wyzwiska i razy. Nie panował nad sobą, porwał dziewczynę za szyję i począł dusić. I wówczas poczuła w sobie nadzwyczajną moc. Swoją i moją siłę, Zespoliliśmy się w myślach. Wystarczył ułamek sekundy. Biologiczne uderzenie było tak potężne, że jasnowidz padł martwy. Przeraziła się, nie chciała przecież zabijać. Słyszac harmider za drzwiami przywarła do ściany myśląc o jednym – ujść ludzkim oczom. Co nastąpiło potem, nie pamięta. Ocknęła się w mych ramionach po drugiej stronie muru... To wszystko. (...)

\* \* \*

(...) Starożytne przysłowie powiada, że nie ma takiej twierdzy, której nie zdobyłby osioł objuczony workami ze złotem. W mojej pracy, czy – wypadaloby powiedzieć misji –

wielokrotnie przekonywałem się o uniwersalnej roli pieniądza. Oczywiście telepatia, hipnoza oraz pospolite sztuki magiczne oddawały nam nieblahe usługi, ale pieniądze jeszcze większe. Dzięki nim już nazajutrz po wydarzeniach przy Grosvenor Square mieliśmy z Sarą doskonałe dokumenty, umożliwiające nie tylko bezkolizyjny wyjazd ze Zjednoczonego Królestwa, ale również wizytę we Włoszech, gdzie w romantycznej scenerii weneckich kanałów poczęte zostało nasze dziecko.

Jeśli obserwowałem u siebie parapsychologiczne predyspozycje, Sara miała je wielokroć silniejsze. Tragiczna śmierć Langa dowodziła, że suma naszych fluidów posiada moc niszczącego ładunku. Było to niezwykle i straszne zarazem. Twarz martwego magika przez lata prześladowała mnie w snach, bo choć był to rzadki łotr i sadysta, należał niewątpliwie do istot ludzkich i jako taki zasługiwał na miłosierdzie. Niestety. Nasza działalność niejednokrotnie stawiała nas wobec tragicznych dylematów. Zadawałem sobie wówczas pytanie: czy nawet dla tak szlachetnego celu jak wyhodowanie olimpijskiego boga czy nadczłowieka, wolno mi wdzierać się w cudze życiorysy, łamać prawa natury, zaludniać świat często nieudanymi hybrydami, powodować ludzkie łzy, a czasem i śmierć?

Pamiętam dramat pewnej wybitnie uzdolnionej Hiszpanki, zabitej przez własnego męża. Nie wiedziałem, że jest impotentem i bez większych wahań zapłodniłem ją w trakcie snu. Mążonek, dowiedziawszy się o jej ciąży, uznał, że został zdradzony, zastrzelił żonę i siebie. Nieszczęśnicy umarli, nie wiedząc nawet dlaczego...

Ludzie to nie króliki laboratoryjne, myszki czy bakterie, a jednak chcąc stworzyć lepszy świat, musiałem rzucać na szalę ich indywidualne losy, swój własny także. (...)

Za jeden z najważniejszych talentów mojej Sary – choć nie wzięliśmy ślubu, zawsze uważałem ją za żonę – trzeba uznać zdolność wykrywania nadprzyrodzonych cech w ludziach zgoła szarych i nie rzucających się w oczy. Fakt wykrycia u pewnego amsterdamskiego kelnera dwudziestu pięciu procent genu U nappełnił mnie zdumieniem. Sam w stupunktowej skali uranowskiej miałem jedenaście procent, a Sara trzydzieści trzy.

Wielu Czytelników będzie zadawać sobie pytanie, w jaki sposób potrafiliśmy sterować życiem, dokonywać eksperymentów z ludźmi często bardziej utalentowanymi, wyżej „procentowymi” niż my? Czyżby intuicja nie ostrzegała ich przed nami, czy nikt nie domyślił się naszej działalności? Cóż, większość z naszych laboratoryjnych myszek nie zdawała sobie w pełni sprawy ze swych umiejętności, a niektórzy zmarli, nie zorientowawszy się wcale, że są „inni”. Wychowanie, nawyki dnia codziennego, rutyna obyczajów – wszystko to stanowiło, zwłaszcza w owych czasach, skuteczny pancierz nie pozwalający na poznanie samego siebie. Niektórzy podejrzewali, że coś z nimi jest nie tak, ale woleli ukrywać, tłumić swe zdolności niż je rozwijać.

Wyjątek stanowili zawodowi uzdrowiacze i media, ale jak napisałem powyżej, akurat większość spośród nich stanowili hochsztaplerzy.

Drugi powód braku samoświadomości tkwił, wydaje mi się, w nierównomiernym rozłożeniu cech niebiańskiego geniuszu. U mnie, zaledwie jedenastoprocentowego mizeraka, prawie wszystko co lepsze dotyczyło inteligencji, a w mniejszym stopniu telepatii, u innych przeważnie bywało odwrotnie. Spotkałem kiedyś w Kalifornii osobnika o umysłowości kretyna, analfabetę i alkoholika. Nie zmienia to jednak faktu, że był jednym z niewielu, którzy lewitują w każdej sytuacji i potrafią w przypiływie dobrego samopoczucia dokonać telekinezy wielotonowej lokomotywy z jednego toru na drugi. Innym razem w naszych poszukiwaniach natrafiliśmy w amazońskim interiorze na uzdrowiciela o cudownych rękach, leczącego ludzi z ostatnich, nawet najbardziej rozwiniętych stadiów raka. Ów szaman miał mgliste pojęcie, że istnieje jakiś świat poza jego wioską na palach.

W ciągu pierwszego roku naszego programu, głównie dzięki Sarze, zinventaryzowaliśmy 628 osobników posiadających więcej niż dziesięć procent genu U. I muszę przyznać, że była to najbardziej zadziwiająca galeria figur, jaką ktokolwiek oglądał. Pustelnik perski i cieśla na Morawach, chiński kucharz w San Francisco i właściciel sklepu z krawatami w Londynie, szuler w Baden Baden, hiszpański ksiądz, tancerka w Rio de Janeiro...

Pamiętam, siedzieliśmy któregoś razu na Montmartrze w kawiarni, kiedy Sara uniosła nagle głowę. Na jej twarzy malowało się niezwykle skupienie. Jak u drapieznika, który zwietrzył zdobycz. Jej głowa poczęła zwolna się obracać, pragnęła wyłapać z tłumy fluidy Uranosa. Potem jak lunaticzka uniosła się z krzeselka. Rzuciłem banknot kelnerowi i ruszyłem za nią. Stromą uliczkę wypełniał tłum, pora była wieczorna, wokół mnóstwo kafejek i hotelików, pachniało wręcz muzyką i zabawą. Dostrzegłem wreszcie dwóch młodych mężczyzn, wędrujących nieśpiesznie po schodkach. Jeden, zapewne malarz, niósł płótno. Zadawałem sobie pytanie, który z nich jest nosicielem supergenu? Niższy chyba zorientował się, że idzie za nimi ładna dziewczyna i zagadał do niej po hiszpańsku. Cofnęła się spłoszona. Tymczasem przyjaciele uścisnęli sobie ręce i rozeszli w różne strony. Sara wypuściła powietrze i usiadła na kamiennym występie z apatycznym wyrazem twarzy.

– Który? – spytałem. Uśmiechnęła się.

– Pomyłka, po prostu zsumowały się ich fluidy, pojedynczo żaden nie ma 10%, choć w niższym jest coś wyjątkowego...

Po latach dopiero miałem zorientować się, że w ten sposób otarł się o naszą kartotekę Pablo Picasso. Katalog „procentowców” stanowił jedynie nasz punkt wyjścia. Celem przecież miała być, powiedzmy brutalnie, hodowla. Jak mieliśmy ją prowadzić? Reżyserowanie ludzkich życiorysów, zakończone łóżkowym finałem, możliwe było zaledwie w paru wypadkach, gdy partnerzy pochodzili z tego samego miasta, poza tym nadużywanie hipnozy budziło we mnie żywą odrazę. Jak jednak uzyskać (używając wulgarnej terminologii Darwina) przychówek od Hindusa z Madras i Meksykanki z Monterrey, których cechy wyraźnie się uzupełniały. Znow nie wiem, co zrobiłbym, gdyby nie Sara...

No i przypadek.

W jakiejś gazecie przeczytałem o pewnym skazańcu, od roku przebywającym w podparyskim więzieniu. Z notatki wynikało, że jest to lekarz sądownie pozbawiony praw wykonywania zawodu za eksperymentowanie nad sztucznym zapłodnieniem. Ponadto praktykował przerywanie ciąży i, jak oskarżała go prasa, współżył ze swymi pacjentkami. Dostał dwadzieścia lat. Bez większego trudu odszukałem to więzienie. Pojechaliśmy tam w listopadzie 1899 roku razem z Sarą. Udawaliśmy bogatych arystokratów, zajmujących się działalnością charytatywną. Zaawansowana ciąża przydawała Sarze dostojności. Naczelnik więzienia przyjął nas uprzejmie, wypytując o zamiary i ciesząc się z naszych darowizn na kobiety upadłe.

– Co mogę dla państwa zrobić? – zapytał.

– Chcielibyśmy – rzekła Sara – porozmawiać z tym niegodziwym Moreau!

– To wyjątkowo zatwardziały grzesznik. Żadnej skruchy, ma czelność nadal twierdzić, że nie popełnił żadnego przestępstwa.

Tu wzywa z celi doktora, który mimo ciężących na nim zarzutów robi na nas przyjemne wrażenie pasjonata, który z czystej ciekawości procesu zadławienia, sam chętnie by się powiesił. My koncentrujemy się na komendancie.

– Zaśnij – rozkazują nasze połączone fluidy. – I niczego nie pamiętaj.

Ku zaskoczeniu więźnia, komendant już śpi.

– Ubieraj się – mówię, wręczając mu cywilną odzież. W tym momencie na polecenie Sary komendant otwiera oczy, wypisuje przepustkę na trzy osoby, później dzwoni na strażnika.

– Odprowadzisz państwa do bramy – mówi wolno, z pewnym wysiłkiem.

Tym sposobem Gaston Moreau wychodzi na wolność, gdzie stanie się prawdziwym filarem mej akcji. Będzie współuczestniczył w ustaleniu stupunktowej skali, wypracuje testy na badanie procentażu, przede wszystkim jednak umożliwi działalność na szeroką skalę, konstruując specjalne urządzenie, umożliwiające przechowywanie przez dłuższy czas męskiego nasienia. Przy współpracy pewnego amerykańskiego wynalazcy, który otrzyma wystarczająco duże wynagrodzenie, by w tajemnicy skonstruować przenośną zamrażarkę, o kilkanaście lat wyprzedzając wynalazek lodówki elektrycznej.

Obyczajność nakazuje mi nie rozwodzić się zbyt nad przebiegiem owych zabiegów, z drugiej strony naukowa rzetelność zmusza do wyznań niegodnych dżentelmena.

Poboru dokonywaliśmy następująco: razem wprawialiśmy „królika” w głęboki sen, następnie Sara wywoływała projekcję obrazów i wrażeń sennych. Coś jak wynalazek braci Lumiere, z tym, że ekranem był żywy mózg śpiącego. Nigdy nie pytałem Sary o treść owych seansów, skutki wszelako każą domniemywać, że nie były to powiastki dla pensjonarek. Współ z doktorem Moreau mogliśmy obserwować wszystkie stadia męskiego podniecenia. (...) (Parę linijek wykreślonych przez autora). Nie należy jednak przypuszczać, że zabiegi owe odbywały się w komfortowych warunkach gabinetu lekarskiego. Nasze, nie wahajmy się użyć

mocnego słowa, ofiary, usypialiśmy w różnych okolicznościach – w domu, w pracy, na spacerze, raz nawet w toalecie pociągu.

Podobnie przeprowadzaliśmy proces zapłodnienia. Sara miała magiczną zdolność odgadywania u kobiet dni płodnych, toteż rzadko musieliśmy powtarzać zabieg, który mnie osobiście żenował, a doktorowi Gastonowi, niestety, dostarczał cokolwiek niezdrowej satysfakcji... Oczywiście unikaliśmy zapładniania kobiet niezamężnych: czasami trzeba było tak modyfikować ich życie, aby doprowadzić do ślubów. Nie inseminizowaliśmy też niewiast czasowo przebywających w separacji. Wspomniany przypadek z Hiszpanką jeszcze bardziej spotęgował naszą ostrożność. Jednak o ile w ciągu połowy 1900 roku przeprowadziliśmy trzydzieści zabiegów, to w roku 1901 – osiemdziesiąt, a w następnym trzysta!

W tym czasie urodziła się Anna. Ładne, grube dziecko, bardziej podobne do mnie niż do matki. Niestety wielokrotne badania wykazały, że oczekiwana kumulacja genu nie nastąpiła. Anna miała zaledwie jedenaście procent U. Poważnie zachwiało to naszą wiarę w powodzenie misji. Nie zaprzestaliśmy jednak wysiłków. Tym bardziej, że zupełnie inaczej było w przypadku Mary, córki Langa. Mniej wprawdzie utalentowana od matki, miała jednak wskaźnik dwudziestu trzech procent, a więc stosunkowo dużo.

Kontrola efektów naszej działalności wykazała pewną prawidłowość – z ponad setki urodzonych dzieci trzy czwarte miało mniejszą ilość pierwiastka U niż rodzice, dwadzieścia procent równą, a pięć wyższą. Nikt jednak nie przekroczył magicznych czterdziestu procent puli genowej. Mój syn Ernest urodził się w roku 1904. Nastąpiło to wkrótce po otrzymaniu tragicznej wiadomości z Europy o śmierci Anny, którą, jak wiele innych dzieci, skosiło ostre zapalenie płuc. Może gdyby na miejscu była Sara, udałoby się dziecko uratować. Ernest przyszedł na świat w Valparaiso, gdzie zatrzymaliśmy się w drodze na Oceanię. Poród miał bardzo ciężki przebieg i przyznam, bałem się o zdrowie Sary. Jeszcze przed podróżą nalegałem, by została w świeżo wzniesionym „Szarym Domu”.

– Będzie ci trudno beze mnie – powtarzała. – Czeka nas tyle pracy!

Później dowiedziałem się co miała na myśli. Sara nie rozstawała się z małym. Zachowywała się tak, jakby wraz z mlekiem chciała przelać w niego całą swoją siłę, umiejętności i moc. Skutki były niezwykle. Dziecko rosło i rozwijało się nader prędko, natomiast z jego matki życie uchodziło niczym piasek z rozdartego worka. Myślami była nieobecna, chudła i czerniała.

– Dziecko cię wyczerpuje, weźmy mamkę – błagałem.

– On będzie ci musiał mnie zastąpić – powtarzała jak nakręcona.

Miałem nadzieję, że wyspy Oceanii ze swym bajecznym klimatem i pogodą przyniosą poprawę jej zdrowia. Niestety – umarła cicho 14 września 1904 roku na Tahiti. Moreau nie potrafił określić przyczyny zgonu. Po prostu uszło z niej życie.

Tymczasem półroczny Erneścik wyglądał jak kulka tłuszczu, w reakcjach wyprzedzał swych rówieśników, a gdy był na tyle duży, aby przeprowadzić testy, okazało się, że ma

trzydzieści pięć procent, o dwa więcej niż matka. Poza tym przejawiał sporo moich cech. Dzięki Bogu! Zyskałem następcę, który będzie mógł dalej prowadzić moje dzieło. Coraz wyraźniej bowiem zdawałem sobie sprawę, że osobnik stuprocentowy może zjawić się po latach lub nawet pokoleniach. (...)

Czasami, gdy nocą porządkujemy z doktorem Moreau nasze kartoteki (teraz są to już tysiące osób), cieszymy się z wnuków naszych „króliczków”, a zwłaszcza z pięćdziesięcioprocentowców. Czasami czuję koło siebie opiekuńczy cień Sary. I wtedy odczuwam żal, że z pięciu lat naszej znajomości większość czasu zabrała praca, a tak bardzo niewiele zostało na miłość.

# **Część trzecia**

## Rozdział XIV

# Adam w Szwajcarii

Wczesną jesienią Genewa ożywa, zaludniają się biura prasowe, większa część Pałacu Narodów zostaje wyłączona z publicznego zwiedzania, na ulicach pojawiają się samochody z flagami egzotycznych krajów, a na niezliczonych obradach, konferencjach i spotkaniach grupki facetów za ciężkie pieniądze zastanawiają się, jak zrobić nam wszystkim lepiej, choć przeważnie wychodzi gorzej. Rozpoczynają się debaty o morzu i dzieciach, o żywności i łączności, o rozbrojeniu i uzbrojeniu, następuje zbliżenie stron, podejmowane są kroki we właściwym kierunku i... przeważnie wszystko pozostaje po staremu.

W sobotnie popołudnie 31 sierpnia, znalazłem się przypadkiem u stóp fontanny Żywej Wody, wyrzucającej z ogromną siłą stuczterdziestometrowy strumień wody ponad port na Jeziorze Lemańskim.

O sprawczej roli przypadku wspominałem parokrotnie. Teraz, przeglądając swe notatki, dochodzę do wniosku, że on i tylko on jest reżyserem moich życiowych kolei. Gdyby nie to, byłbym dziś zupełnie innym człowiekiem. Gdybym nie rozwiódł się z Heleną, gdybym nie napisał tego wrednego artykułu o Jacku, gdyby nie postawił na mnie Waldek... Czasami wydaje mi się, że zmarnowałem życie, bo kilkakrotnie, stając na rozstajach dróg, skręcałem nie w tę stronę, w którą powinienem. Czy jednak miałem prawo narzekać? W opinii znajomych należałem do ludzi sukcesu. Dzięki wsparciu Waldka jeszcze przed wybuchem solidarnościowej rewolty wylądowałem w „Dzienniku Powszednim”. Szesnaście miesięcy polskiego karnawału i pierwsze ponure kwartały stanu wojennego przeżyłem jako korespondent w zacisznej Sofii i pełnej pięknych, tanich dziewcząt Hawanie. Jeszcze lepszą nagrodą za wierną służbę okazała się Genewa. W dodatku, nie musiałem zajmować się polityką. Moją działką pozostawała kultura, wsparta modną ostatnimi czasy ekologią. Wydałem nawet tom moich szkiców na ten temat: „Koniec zielonej planety?”.

Parokrotnie próbowałem napisać coś dla siebie – do szuflady. Kiedy wybrano papieża, kiedy powstała Solidarność, kiedy wreszcie, pobladły korespondent Reutersa obudził mnie w hotelu pod Witoszą, wołając: „Wojna! Wasz Jaruzelski wypowiedział wojnę własnemu



narodowi”. Odczuwałem wówczas ogromną potrzebę napisania wiersza, wylania tego wszystkiego, co kotłowało się we mnie. Nie mogłem. W zderzeniu z tematem wydawałem się zbyt mały, za podły. Kończyło się więc na samotnej bani i wielkim kacu. Nie znaczy to, że brakowało mi słów – tych cisnęło się ponad miarę – raczej nie stawało mi odwagi. I to nie wobec tematu, lecz w stosunku do siebie. Zawsze byłem za słaby, może dlatego wybierałem łatwiejsze rozwiązania. Efekt – średniość.

Białe małżeństwo z Heleną i nieskonsumowany romans z Julią wyleczyły mnie na zawsze z marzeń o rodzinie. Owszem, w moich hotelowych wyrkach bywały rozmaite kobiety, coraz młodsze, coraz droższe, ale przecież z żadną nie potrafiłbym związać mego życia. A te rozwódki, z którymi swatała mnie rodzina? Im człowiek starszy, tym trudniej rezygnować mu z nawyków, przyzwyczajzeń, drobnych wygod.

Pod koniec lat siedemdziesiątych sprzedałem drewniak pod sosnami, dzięki chodom Waldka otrzymałem ładne, dwupoziomowe mieszkanie na Ursynowie z dużą pracownią. Raz, gdy wracałem z jakiejś oficjałki w Centrum Zdrowia Dziecka, skręciłem w stronę mej dawnej posesji. Powitał mnie warkot spychaczy, pył kruszonych tynków... Nowy inwestor zaordynował rozbiórkę rudery. Płot już obalono, spychacze plantowały tereny dawnych komórek i biedagaraży. Z samego domu trzymał się jeszcze tylko lewy narożnik, drewniana galeryjka upadła już na ziemię. Z gruzowiska wystawały dwa kominy, na których, jak na przekroju geologicznym, widać było ślady po kolejnych malowaniach – błękit dzieciństwa spędzanego u babci, w którym zapach żywicy przeplatał się z woniami konfitur, ukrytych w spizarce. Ciepła żółć, pamiątka po osobistym remoncie przeprowadzonym razem z Waldkiem, róż dzieciennego pokoju Łukasza. Przez głowę przeleciały mi te wszystkie lata. Nagle poczułem się przerażająco stary, przegrany. I tak samotny, jakby w całej galaktyce istniała tylko jedna bliska mi istota, ten umierający, dobijany przez ekipę rozbiórkową dom. Zresztą, była to prawda. Mój ojciec zmarł, a Irena wyjechała gdzieś na drugi koniec Polski, z matką i panem Czarkiem nie potrafiłem znaleźć wspólnego języka. Owszem, przychodziłem do nich na niedzielne obiady, oddawałem rzeczy do prania, uczyłem małego Albinka angielskiego, czasem Czarek pomógł mi przy samochodzie. Matka, choć chwaliła się przyjaciółkom moimi artykułami i moimi wyjazdami, przy mnie nieustannie narzekała, uważając, że przy moich możliwościach powinienem zrobić znacznie większą karierę.

Przyjaciele? Towarzystwo ze studiów rozproszyło się po świecie, z redakcyjnymi kolegami utrzymywałem stosunki poprawne, czasem jakaś bibka, parę razy w roku czyjeś imieniny... A kobiety? Latami ciągnął się romans z graficzką Natalią, której mąż trawił życie na zagranicznych budowach w Iraku czy Libii. Mieliśmy wiele wspólnych zainteresowań, razem chodziliśmy na filmowe Konfrontacje i do teatru... Intelktualnie była wspaniałą partnerką! Niestety, jako kobieta fascynowała mnie średnio. Naturalnie, co jakiś czas uprawialiśmy łózkową akrobatykę, jednak z mojej strony była to zabawa bez większego

przekonania. Poza tym, nasz romans nigdy nie przekroczył pewnych granic – nie mieliśmy wspólnych planów na przyszłość.

Wreszcie runęła ostatnia ściana. Wróciłem do samochodu. Koniecznie musiałem się napić...

– Szarecki! Adam? – wspomnienia przerwał swojsko brzmiący głos. Wysoki, siwiejący mężczyzna poderwał się zza stolika w nadbrzeżnej kawiarni, przy Promenade du Lac. – Nie przypominasz mnie sobie?

Głos wydawał mi się znajomy.

– Albert?!

– Aż tak się zestarzałem? – zawołał Goldkind, ściskając mnie serdecznie. – Kopę lat, chłopie! Ile to już się nie widzieliśmy, szesnaście, siedemnaście lat?

Nie zaprotestowałem, kiedy zaprosił mnie na obiad. Nawet nie miałem kiedy, byłemu mimowi po prostu nie zamykały się usta. Z artystycznych ambicji zrezygnował już dawno, po krótkim epizodzie teatralnym w Berlinie przerwucił się na handel antykami.

– Da się z tego wyżyć – podsumował stan swojej kasy, prowadząc mnie do najnowszego volvo.

Na szczęście nie zadawał pytań na temat mojego zajęcia. Pewnie i lepiej, raczej nie ucieszyłaby go informacja, że dawny autor „Teatryku Absolutnego” jest korespondentem reżimowego „Dziennika Powszedniego”. Bardziej interesowała go moja kondycja osobista.

– Jesteś tutaj sam czy z rodziną? – pytał

– W ogóle jestem sam.

– No to masz szczęście, ja bez przerwy wpadam z deszczu pod rynnę. Trzeci raz się rozwodzę... Ale chyba znowu się ochajtnę. A propos, co robisz podczas najbliższego weekendu?

– Nie mam jeszcze sprecyzowanych planów.

– No to się świetnie składa, porwę cię do mojej Claudii, ma willę pod Neuchatel i organizuje małe party...

Poszedłem za nim, dziarskim krokiem, nie wiedząc dlaczego w uchu natrętnie dźwięczy mi jeden ze starych songów „Teatryku Absolutnego”.

*Gdy bruków twarze – kocie lby,  
budzą się w krzyku euforii.  
Wiemy gdzie oni, a gdzie my,  
I dokąd pędzi wóz historii.  
Długo milczący i pokorni  
w pyle znosiliście swój los.  
Zanim zادهpczą was przechodnie  
Wydajcie swój prawdziwy głos!*

\* \* \*

Na małym party w willi Claudii, która okazała się sporym neogotyckim zamczkiem, otoczonym cieniastym parkiem, zgromadziło się kilkadziesiąt osób. Bogatych i wielce ustosunkowanych, których skromny korespondent spotyka jedynie na wernisażach, premierach lub konferencjach prasowych. Tu poczułem się nagle jak bohater seriali „Dallas” lub „Dynastia”, emitowanych na wszystkich prawie kanałach telewizji zachodnioeuropejskich. Albert nie znał całego towarzystwa, byli to przyjaciele Claudii, posiadacze jachtów z miejscowej przystani, albo sąsiedzi z okolicznych rezydencji. Paru należało do ich klientów. Dla mnie swoboda, z jaką Goldkind poruszał się w milieu była imponująca i trudno było mi w tym wytwornym mężczyźnie poznać wychudzonego mima ze scenki studenckiej. Claudia nie należała do piękności, miała jak na mój gust zbyt wielki nos i za mały biust, co jednak rekompensowała błyskotliwą inteligencją.

Już po paru drinkach poczułem się w miarę swobodnie, zwłaszcza, że nie obowiązywały tu żadne konwenanse. Albert przedstawił mnie jako gościa z Polski, co okazało się mieć pewien egzotyczny smaczek. Jeden z przemysłowców miał jakieś kontakty z naszą Centralą Handlu Zagranicznego, inny poznał kiedyś urodziwą Polkę. Moi rozmówcy orientowali się niezłe w naszych sprawach, zadając niekiedy kłopotliwe pytania o szanse zapowiadanych reform, procesy członków opozycji czy zabójstwo księdza Popiełuszki. Starłem się odpowiadać dyplomatycznie i sądzę, że z mych wypowiedzi byłyby zadowolone zarówno władze, jak i opozycja. Temat ten rychło przestał być zresztą atrakcyjny, tym bardziej, że przybyła włoska gwiazdka filmowa ze swym mężem producentem, stając się głównym ośrodkiem zainteresowania.

Mogłem teraz swobodnie krążyć po domu, mniej uwagi poświęcając nowoczesnemu malarstwu, a więcej dziewczynom. Większość miała około dwudziestu lat, w strojach dominowała biel, a fryzury stanowiły rozpuszczone, czasem podkreślone włosy a la święta Bernadetta. Każda wydawała mi się łakomym kąskiem, choć nie wiedziałem, jak się do nich zabrać.

Po kolejnym drinku zbliżyłem się do grupy osób orbitujących wokół pani domu. Rozprawiano z zapałem o horoskopach i magii. Ktoś utrzymywał, że to wierutne bzdury, natomiast Claudia twierdziła, że istnieją na ziemi rzeczy, o których nie śniło się filozofom.

– Sądzę – odezwał się jeden ze sceptyków, chudzielec o ostrym profilu, podobno ceniony inżynier – że pewne umiejętności, które zwykło określać się terminem paranormalne, to zwyczajnie dla naszego gatunku, tyle że rzadko spotykane, talenty atawistyczne.

– To znaczy? – zapytała prześliczna nimfetka o rozmarzonych oczach Marii Magdaleny.

– Zdarzają się jednostki, w których odzywają się atawistyczne cechy praludzi, słynny siódmy zmysł, zdolność do przekazywania myśli na odległość. Większość z nas zatraciła te

cechy w procesie cywilizacyjnym. Podobnie stało się z ludzką pamięcią wraz z wprowadzeniem pisma.

– To prawda – wtrącił ktoś inny. – Polinezyjczycy pamiętają genealogie rodzinne sięgające setki pokoleń wstecz...

– Właśnie. Dlatego nie dziwi mnie człowiek, jeden na milion, który wyczuwa bioprąd, czyta w myślach albo gnie wzrokiem łyżeczki.

– Nie wiem, czy wszystko można wytłumaczyć atawizmami – wtrąciłem się do rozmowy.

– To znaczy? – inżynier utkwił we mnie przenikliwe spojrzenie.

– Nie znam w przyrodzie zwierzęcia potrafiącego przenikać przez ściany.

– Ludzie tego też nie potrafią – zaśmiała się „Maria Magdalena”.

– Kiedyś uważałem podobnie. Jednak sam byłem tego świadkiem.

– W cyrku?

– Nie, w normalnym domu. Na moich oczach chłopiec przeniknął przez solidną betonową ścianę, dodatkowo pokrytą boazerią, nie pozostawiając na niej żadnego śladu.

– Niewiarygodne – nimfetka o urodzie dziecka-dziwki otarła się o mnie udem.

– Pan to widział? – dopytywał się chudzielec. – Czy tylko słyszał o tym?

– Tak jak widzę pana w tej chwili... Wówczas zastanawiałem się nawet, czy to nie halucynacja, jednak przed laty tę samą sztukę widziałem w wykonaniu jego matki.

– Jego matki?

– Mojej byłej żony.

– Pan jest ojcem tego niezwykłego chłopca? – zaciekał się mój rozmówca.

– Ależ Henri – upomniała go Claudia – nie możesz tak męczyć naszego gościa.

– No problem! – ożywiony alkoholem i obecnością młodej dziewczyny, która delikatnie napierała na mnie na wpół obnażonym biustem, opowiedziałem niezwykłą historię poznania Heleny, a następnie tajemnicę poczęcia małego Łukasza. – Nie wiem naturalnie, co z niego wyrosło, nie widziałem chłopaka od paru lat, jesteśmy z jego matką rozwiedzeni...

Rozmowę przerwała grupka dziewcząt, wołając, że pora wykapać się w basenie. Pokój opustoszał, tylko Isabelle popatrzyła mi głęboko w oczy i spytała, swymi wydatnymi, lekko kapryśnymi ustami:

– Może trochę pospacerujemy?

\* \* \*

Trudno stwierdzić, co z tej nocy było rzeczywistym zdarzeniem, a co pijackimi majakami porno. Kiedy na ciężkim kacu ocknąłem się koło południa w gościnnym pokoju pałacyku, po Isabelle pozostał jedynie zapach perfum, którym silnie przesiąkła atlasowa poduszka. Dom opustoszał, a służba usiłowała doprowadzić go do porządku.

Albert i Claudia wygrzewali się na leżakach przy basenie. Widząc moją zboląłą minę, zaproponowali mi aspirynę i drobnego klina... Zapytałem o Henriego, mojego rozmówcę z poprzedniego wieczoru, ale już wyjechał. Potem pokojówka przyniosła mi śniadanie.

– Podobno ożeniłeś się z tą ładną dziewczyną z waszego roku... Zaraz, jak się ona nazywała... Halinka? – pytał Goldkind.

– Helena! – poprawiłem. – Niestety, nasze małżeństwo bardzo szybko się rozpadło...

– Nie lubisz tego wspominać?

– W zasadzie już mi to zobojeźniało.

– Wtedy, w Teatryku, wydawałeś się bardzo zaangażowany uczuciowo.

– Każde zaangażowanie z czasem przechodzi, Albercie. Ty też nie wyobrażałeś sobie życia bez pantomimy. I bez Kryški.

Na chwilę zamilkł, a potem zmienił temat:

– Możesz zostać tu do poniedziałku, ale jeśli chciałbyś wyjechać ze mną, to po południu jadę do Lozanny.

Przyjąłem propozycję, podkreślając, że pierwsza wizyta nigdy nie powinna trwać za długo.

Isabelle wraz z trójką pozostałych gości pojawiła się dopiero na obiad. Topmodelka w dziennym świetle była odrobinę starsza niż mi się wcześniej wydawało, zachowywała się tak, jakby nic między nami nie zaszło. Czyżby sprawdzian wypadł niezadowolająco? Prowadziliśmy niezobowiązujący dialog, Isabelle interesowała się moim pobytem w Szwajcarii, pracą dziennikarską, a na koniec zadała pytanie:

– Kiedy wracasz do kraju?

– Chyba nie prędzej niż w listopadzie.

– Nie tęsknisz?

– Nie bardzo mam do czego wracać – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– W domu najmilej, najbezpieczniej – uśmiechnęła się. – Ja na twoim miejscu jednak bym wracała. Podobno w Polsce bywa piękna jesień.

– Jestem tu służbowo i nie mogę po prostu porzucić placówki.

Przy deserze atmosfera zrobiła się jeszcze luźniejsza. Isabelle twierdząc, że chiromancja to jej specjalność, wróżyła z ręki Albertowi, później zajęła się Claudią. Przyszłość obojga rysowała się wspaniale.

– A mnie nie powrózysz? – zwróciłem się do niej.

Trochę się zmieszała:

– Przy ludziach?

Odeszliśmy na bok. Długo trzymała moją rękę w swej dłoni.

– Podróże nie przyniosą ci szczęścia, Adamie. Tak samo kobiety. Taki człowiek jak ty, powinien kierować się intuicją, nie pragnąć zbyt wiele i... I szybko jechać do domu.

Niedługo potem odszukał mnie Albert, mówiąc, że samochód gotów jest do drogi. Uściskałem Isabelle, po polsku ucałowałem dłoń Claudii i wyruszyliśmy.

– Szczęściarz z ciebie – mówił z uznaniem Goldkind, gdy minęliśmy Neuchatel. – Nie każdemu udaje się poderwać Izę. A jeszcze, żeby dostać od niej telefon...

– Nie podała mi swego telefonu – zaczerwieniłem się.

– Ale jesteś mało spostrzegawczy! A ta karteczka, którą wsunęła ci do kieszeni, to nie jej wizytówka?

Sięgnąłem do kurtki. Rzeczywiście znalazłem tam mały kartonik. Wizytówka z adresem i telefonem jej pracowni w Bazylei. Coś podkusiło mnie, aby odwrócić bilecik na drugą stronę. Czerwieniły się tam dwa słowa, napisane szminką: „Uciekaj stąd. Szybko!”

## Rozdział XV

# Fred w tarapatach

Burke nie tuił swojej wściekłości.

– Dałaś mu uciec? Pozwoliłaś zmasakrować naszych ludzi. Dla kogo pracujesz, Christine?

– Miałam go obserwować czy zabić? – odpowiedziała ostro. – Jeśli chcieliście go załatwić, wystarczyło słowo. A teraz nie mam pojęcia, gdzie go szukać. Może Helmut go namierzy.

– OK, skontaktuj się z Helmutem, a jeśli dowiesz się czegoś...

– Skontaktuję się z wami. Na razie jadę do Bazylei.

– Mam cię podrzucić? – Burke wskazał toyotę stojącą na parkingu w Interlaken.

– Dzięki. Pojadę pociągiem! Nie ryzykujemy dekonspiracji przed grupą UNO. Mają swoje wtyczki w całej Szwajcarii. A za kwadrans mam dobry ekspres przez Berno...

\* \* \*

Na obszernym dworcu Basel SBB Christine odszukała automat telefoniczny i wykrciła numer podany przez Graya. Nikt się nie zgłosił. Spróbowała ponownie. Z tym samym skutkiem.

Czyżby Fredowi nie udało się zmylić pogoni?

Nie zamierzając spędzać nocy na dworcu, ani głupio wpaść w ręce szwajcarskiej policji, przypomniała sobie o kontakcie, który dostała od Helmuta – młody, samotny muzyk o lewackich poglądach, wynajmujący mieszkanie w malowniczym zaułku przy Hausberg, i nie mający pojęcia, kim naprawdę była. Zastała go w domu, wprosiła się. Okolicznością wyjątkowo korzystną był fakt, że Artur wyjeżdżał nazajutrz na trzydniowe tournee...

Skrzypek okazał się chłopcem trochę nerwowym i nadwrażliwym, ale cokolwiek doświadczonym i nie sprawił Christine zawodu. Wyjechał zresztą wcześniej rano. Cały następny dzień spędziła sama w jego mieszkaniu. Co godzinę dzwoniła pod umówiony

numer, nikt jednak nie odbierał. Sprawdziła w książce telefonicznej – numer zgadzał się z adresem na Sonnengasse. Dopiero trzeciego dnia, w poniedziałek 2 września, koło południa...

– Halo – zabrzmiał w słuchawce męski głos. – Słucham.

– Ja w sprawie wynajęcia pokoju przy Allschwillerstrasse...

– Ach tak – w głosie mężczyzny wyczuła nieznaczne wahanie. – Może przyjść pani za godzinę... Uzgodnimy warunki. Zna pani adres?

– Znam. – Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale połączenie zostało przerwane.

Po przyjściu pod Spalendor, charakterystyczną bramę z dwoma basztami, widniejącą na wszystkich pamiątkach z Bazylei, Christine zwolniła kroku. Coś było nie tak. Fred wspominał przecież o jakiejś dziewczynie, a odebrał mężczyzna... I dlaczego przez dwa dni nikt nie dyżurował przy telefonie?

Sonnengasse jest uliczką boczną, o małym natężeniu ruchu, zwłaszcza koło południa, toteż uwadze Christine nie uszedł młody człowiek w dżinsach, stojący w bramie vis-à-vis domu, do którego zmierzała, nonszalancko palący papierosa. Przy końcu uliczki zauważyła zaparkowaną furgonetkę marki mercedes. Przyspieszyła kroku. Mijając właściwy dom, rzuciła ukradkowe spojrzenie w górę. Okna mieszkania na drugim piętrze były szczelnie zasłonięte. Spojrzała na zegarek. Dzięki odbiciu w szkiełku zauważyła, że mężczyzna z bramy cisnął papierosa i ruszył za nią... Niedobrze.

W tym momencie zza rogu wysunęła się maska policyjnego samochodu. Tego tylko brakowało! Wykonała obrót w tył. Ujrzała kolejny policyjny ambulans. Jednak gliniarze zupełnie ją zignorowali. Oba wozy z piskiem zahamowały przed kamienicą wyznaczoną na punkt kontaktowy. Wskoczyło z nich kilku funkcjonariuszy, uzbrojonych w broń automatyczną. Jeden z nich podbiegł do młodzieńca w dżinsach. Ten wydawał się zaskoczony, kiedy wsadzano go do „suki”. Paru antyterrorystów dobiegło do mercedesa, którego kierowca próbował zapuścić silnik. Nikt nie zwrócił uwagi na Christine, która bez trudu doszła do końca uliczki. Kątem oka dostrzegła, jak z wnętrza domu wyprowadzono trzech facetów z podniesionymi rękami. Jednym z ich był porucznik Burke. Potulnie zajął miejsce w policyjnej karetce. Wiedział, że neutralni Szwajcarzy nie przepadają za funkcjonariuszami obcych sił specjalnych, działających na ich terenie. Nie oglądając się więcej, oddaliła się z miejsca operacji i zwolniła dopiero w cienistym parku Kannenfeld. Tu przysiadła na ławce.

– Christine! – usłyszała nagle szept. – Nie reaguj! Nie rób żadnego gwałtownego ruchu. Nie zadawaj żadnych pytań – kobiecy, czy raczej dziewczęcy głos dobiegał z kępy zieleni tuż za ławką. – Ciągłe możesz być obserwowana. Idź teraz spokojnie do mostu Johanniter i przejdź nim na drugą stronę. Nie zatrzymując się dojdź do Clara Platz... Nic nie mów. Kiwnij głową, jeśli zrozumiałaś, i ruszaj...

W Christine walczyły dwie sprzeczne reakcje, słuchać lub uciekać. Zdecydowała się wypełnić polecenie nieznajomej. Stając na światłach wzięła puderniczkę, by poprawić



makijaż. W lusterku od razu zauważyła niewysoką dziewczynę o puciołowatej twarzy, biegnącą między drzewami.

Zgodnie z instrukcją przekroczyła most. Na Clara Platz stanęła przy kiosku z prasą, nie bardzo wiedząc, co dalej czynić. Nagle tuż przy niej wyrósł jakiś malec i wetknął jej kartkę w rękę. Ołówkiem napisany był na niej adres, który nie figurował na jej planie miasta. Zapytała kioskarkę. Chwilę tłumaczył jej miejscowym, trudno zrozumiałym dla kogoś przyzwyczajonego do literackiej niemieczyny, dialektem. Po paru krokach skręciła w labirynt nadrzecznych zaułków i pasaży o dość podejrzanym wyglądzie. Weszła we wskazane podwórko, minęła schodki i stanęła bezradna. Zapewne kręciłaby się wkoło, ale z przeciwnej strony wyłoniła się smukła dziewczyna o słowiańskiej urodzie.

– Tędy – wskazała niskie drzwiczki. Przeszły jakimś korytarzem pełnym pancernych drzwi, świadczących o predylekcji Helwetów do schronów przeciwoatomowych, zeszyły jeszcze niżej, w końcu znalazły się w słabo oświetlonej piwniczce. Obok sterty kartonów leżał materac, a na nim mężczyzna o twarzy rozplamionej wysoką gorączką. – Fred!

– Nie jest dobrze, choć nie beznadziejnie – wyjaśnił półprzytomnie, widząc Christine – Najgorsze za nami. – I zaraz zapadł w sen.

Dziewczyna o imieniu Evelyn poprawiła mu z niezwykłą czułością poduszkę. Panna Wagner zacisnęła usta. Kim mogła być dla Freda ta mała – żonę, kochanką?

Następnego dnia Fred poczuł się na tyle lepiej, że mógł opowiedzieć o swych doświadczeniach. Christine po nocy spędzonej na sienniku czuła się trochę gorzej, ale miała nadzieję, że sama nie uległa infekcji.

Powietrzna żegluga na lotni bez odpowiedniego ubioru sprawiła, że Gray przemarznął do szpiku kości. Przez wiele kilometrów na południe od Jungfrau rozciągała się lodowa pustynia, toteż gdy minął lądowisko dla lotniarzy na lodowcu, musiał lecieć jeszcze kilkanaście kilometrów zanim, kompletnie przemarznięty, znalazł się w jakiejś wiosce. Później autostopem dotarł do Brig, gdzie można było złapać liczne ekspresy w rozmaitych kierunkach. Chwalić Boga, miał ze sobą pieniądze. Jeszcze z wioski zatelefonował do Evelyn z poleceniem natychmiastowego opuszczenia mieszkania przy Sonnengasse (znanego KOMÓRCE) i ukrycia się. W hotelu w Brig pożyczył magnetofon i nagrał list dźwiękowy do policji w Bernie. Podał w nim wszystkie siedziby, kwatery i punkty KOMÓRKI w Szwajcarii, podał pseudonimy i kontakty, sporządził nawet rysopis generała Teścia. W całej misternej wyliczance dopuścił się tylko jednego fałszerstwa – przedstawił siatkę KOMÓRKI jako organizację międzynarodowych terrorystów. Drugi list z wyliczeniem szwajcarskich agend KOMÓRKI skierował do redakcji „Züricher Zeitung”. Naturalnie zdawał sobie sprawę, że oznacza to wypowiedzenie wojny potężnej organizacji, ale nie miał wyboru. Za lojalność spotkał go wyrok śmierci. Rzecz jasna wiedział, że oskarżenie ludzi Kuzyna o terroryzm zostanie szybko wyjaśnione, znając jednak Szwajcarów mógł być pewien, że KOMÓRKA nieprędko odbuduje swój stan posiadania na ich terenie.

Jeszcze w zmierzającym do Bazylei ekspresie dostał wysokiej gorączki, ledwie oddychał. Nie pamiętał, jak korzystając ze zmniejszenia szybkości pociągu koło Pratteln, gdzie budowano nowy wiadukt, zdołał wyskoczyć. Dużo wcześniej ustalił awaryjny wariant z Evelyn. Odnalazła go nieprzytomnego w krzakach i przewiozła do przygotowanej kryjówki, szpikując antybiotykami i witaminami.

W oczekiwaniu na reakcję policji na wysłaną kasotę, przyjaciółka Evelyn – Sylvia – prowadziła dyskretną obserwację mieszkania na Mittlerestrasse. Natychmiast doniosła o grupie mężczyzn, którzy włamali się do jej apartamentu. Evelyn wysłała ją, by ostrzec Christine, gdyby pojawiła się w pobliżu, ale Sylvia nie zdążyła. Na szczęście, akurat wtedy zjawiała się policja, która otrzymała od Graya także zamiary tego lokalu.

– I co teraz? – zapytała panna Wagner, gdy Fred skończył i opadł wycieńczony na poduszki.

– Dam sobie radę. Bardziej boję się o ciebie.

– Niepotrzebnie. Nadal mają do mnie zaufanie. Widziałam się z Burkiem.

– I?

– Kazał mi cię zlikwidować.

Na twarzy Evelyn pojawił się przestrah.

– Nie bójcie się, miałam na to całą noc. Polubiłam cię, Fred i nie zamierzam wykonać zadania. Mogę cię przecież nie znaleźć. Mogę wykorzystać kontakty Helmuta, aby skryć się w Trzecim Świecie.

\* \* \*

Wściekłość generała Teścia nie miała granic. Być wyprowadzonym w biały dzień w kajdankach przez antyterrorystyczne komando z renomowanej kancelarii przy Bahnhofstrasse w Zurychu, od lat stanowiącej przykrywkę centrali KOMÓRKI? Hańba! Co gorsza, nie mógł nawet wytłumaczyć policjantom ogromu ich pomyłki. Dopiero nazajutrz, po interwencjach na wysokim szczeblu, został zwolniony. Szybko wyciszono prasę, która najpierw ogłosiła: „Zdemaskowanie siatki terrorystycznej w Szwajcarii”, a potem wydała cieniutki pisk: „Dla dobra śledztwa wyniki operacji zostaną podane w późniejszym terminie”. Pułkownik Kuzyn szczęśliwie uniknął aresztowania i na spotkaniu kierownictwa, już na terenie RFN, przypominał o swoich ostrzeżeniach.

– Podtrzymuję moją opinię, że decyzja o likwidacji Graya była przedwczesna, a jej realizacja woła o pomstę do nieba.

– Stało się, co się stało – odparł Teść. – Winny czy nie, wypowiedział nam wojnę!

– Gorzej, że po wpadce w Szwajcarii utraciliśmy tam swobodę działania – wyznał Burke.

– Przypuszczamy, że Gray przebywa w Bazylei, ale mamy ograniczone możliwości...

– Cóż to za problem? – wrzucił ramionami Teść. – Zawsze możecie znaleźć jakiegoś samotnego strzelca...

– Panie generale – chmura przebiegła po dobroduszej twarzy Kuzyna. – Możemy się jeszcze wycofać. Tacy ludzie jak Fred nie rodzą się na kamieniu, mimo dowodów dostarczonych przez porucznika Burke’a mam pewne wątpliwości...

– Wątpliwości? Po tym, jak załatwił nas i rozszyfrował? Nie, pułkowniku, nie zamierzam wycofać się z raz podjętej decyzji.

Kuzyn westchnął, chciał powiedzieć, że wsypanie ich agentury przed szwajcarską policją zamiast przed terrorystami jest pośrednim dowodem na niewinność Graya, ale popatrzył na tryumfującą mordę Burke’a i zrezygnował.

\* \* \*

Tydzień upłynął, zanim Fred doszedł do siebie. Christine i Evelyn na zmianę czuwały nad chorym, przy czym była terrorystka w ogóle nie opuszczała kryjówek. Wolą nie kontaktować się z Helmutem, ani tym bardziej z KOMÓRKĄ. Jedyne kontakty ze światem zapewniała puciołowata brunetka Sylvia. Czasem, gdy Gray czuł się trochę lepiej, Christine pytała go o plany na przyszłość. Mówił o tym niechętnie. A gdy proponowała, aby poddał się operacji plastycznej i wyjechał na antypody, uśmiechał się, twierdząc: „Jeszcze nie teraz”. Na koniec zaproponował dziewczynie wyjazd do Afryki Południowej.

– Mam tam przyjaciela, jednego z niewielu ludzi, na których naprawdę mogę polegać. Prowadzi niewielkie przedsiębiorstwo niedaleko Johannesburga. Pojedziesz tam i poczekasz, aż sprawy się wyjaśnią.

– A ty?

– Będę je wyjaśniał.

– Uważasz, że masz jakieś szanse?

– Szanse istnieją zawsze. A ja... zachowałem pewne atuty. – Z zainteresowaniem nachyliła się nad nim. – Wiem, jak szukać Altenbachów. Tylko ja to wiem.

– I chcesz handlować tą informacją, myślisz, że Helmut kupi...?

– Nie współdziałałam z terrorystami na żołądź KGB. Myślę o KOMÓRCE. Wiedzą, że się zagalopowali. Może niektórzy zastanawiają się, czy decyzja o mojej likwidacji nie była przedwczesna? Zresztą, nieważne. Zrobiłem pierwszy krok. Podaj mi tę gazetę.

Wręczyła mu „Le Figaro”. Fred otworzył dziennik na kolumnach ogłoszeń.

– Czytaj. W tym miejscu.

– „*W sprawie spadku po «Szarym Domu» zgłaszam swą gotowość, Łowca Złota*”. Ogłosiłeś to tak otwarcie, bez żadnego szyfru?

– Tak, bo mam nadzieję, że dzięki temu tekst trafi nie tylko do mego byłego szefa, ale i do jego zwierzchników... Są tam całe działy, śledzące drobne ogłoszenia w prasie.

– Zaoferujesz im współpracę, po tym wszystkim?

– Na razie wykonałem mały ruch na szachownicy... A jak rzecz potoczy się dalej? Nie mam daru jasnowidzenia. Wiem, że w kierownictwie KOMÓRKI jest zdrajca. Może i oni na

to wpadną. A jak nie... Czekaj na mnie pod Johannesburgiem. Evelyn zaraz powinna przynieść ci nowy paszport i bilet lotniczy.

- Do Johannesburga?
- Z przesiadką w Rzymie.
- Naprawdę uważasz, że ci się nie przydam?
- Tę partię rozegram sam.
- A Evelyn? Wolisz ją ode mnie?

Palce Freda zanurzyły się w jasnych włosach Christine. Chwilę milczał, a potem, patrząc jej głęboko w oczy, powiedział:

- To moja córka.

\* \* \*

Dziewiątego września Helmut spotkał się z Christine w Lorach, małym miasteczku tuż za granicą niemiecką. Miejsce spotkania nie było komfortowe, ale w miarę bezpieczne, nie rzucająca się w oczy przyczepa campingowa z bawarską rejestracją.

- Długo cię nie było. Myślałem już, że cię zwinęli – mruknął na jej widok.
- Mnie? KOMÓRKA nadal uważa mnie za swojego atutowego asa!
- W takim razie, gdzie przepadałeś na cały tydzień?
- Pielęgnowałam chorego Graya, nie mogłam odejść...
- Siostra miłosierdzia? Piękna rola – brzydki grymas pojawił się na mięsistych wargach terrorysty. – Trzeba było jednak pozwolić mu zdechnąć.
- Jak to? Cały czas próbuję zdobyć jego zaufanie, żeby dobrać się do Altenbachów...
- To może nie być konieczne. Mamy coś lepszego, niż Altenbachowie.
- Co takiego?
- Przez przypadek wpadła nam w ręce bezcenna informacja. A ściślej mówiąc, prosto w ręce szefa.
- Nie rozumiem.
- Nie musisz. Niech ci wystarczy, że cel jest w zasięgu naszych rąk. Reszta jest nieważna. Nic tu po nas.
- Po co ten pośpiech? Gray, demaskując siatkę KOMÓRKI mimowolnie wyświadczył nam dużą przysługę, w Szwajcarii zrobiło się teraz znacznie luźniej.
- I bardzo dobrze. Twoje wynagrodzenie czeka. Będziesz mogła pojechać na Seszele lub Malediwy, gdzie tylko zechcesz wypocząć.
- Wspaniale.
- Zostało tylko jedno małe zadanie.
- Jakie?
- Gray! – powiedział z naciskiem Helmut.

– Teraz mi to mówisz? – w głosie najemniczki pojawiło się lekkie zdenerwowanie – Przecież prędzej czy później załatwi go sama KOMÓRKA...

Wysokie czoło Helmuta pofałdowały gniewne zmarszczki.

– Nie cierpię niezałatwionych spraw, Christine. Gray wie za dużo, a w żaden sposób nie będzie już dla nas użyteczny. W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin musi zostać zlikwidowany. I ty to zrobisz, Christine. Prawda?

Zacisnęła usta.

– Żal ci tego faceta, rozumiem – kontynuował Helmut. – Ale nie czas na sentymenty. Gray to człowiek niebezpieczny, nawet kiedy jest sam. Póki pracował w KOMÓRCE, a ty znajdowałaś się u jego boku, mógł być przydatny. W końcu poświęciliśmy paru ludzi tylko po to, aby uwiarygodnić cię w jego oczach... Teraz to wszystko stało się bezużyteczne. Jeśli nie chcesz, powiedz, pošlemy do tej roboty kogoś innego.

– Nie jestem sentymentalna – odparła dziewczyna. – Wykonam każde zadanie...

\* \* \*

Kiedy odjechała swym mini morrisem, z zaparkowanego w pobliżu golfa wyłonił się Henri, czy jak kto woli, Gienrich Awramowicz. Dzięki czułym mikrofonom i słuchawkom na uszach, śledził całą rozmowę Helmuta i Christine, a ściszył fonię tylko na chwilę, bo nie lubił słuchać cudzych orgazmów.

– Ciągle jej ufasz? – zapytał, po wejściu do przyczepy.

– Trudno powiedzieć – odparł Helmut. – Nigdy dotąd mnie nie zawiodła. Chociaż widziałem, że zadanie ją zaskoczyło. Może nawet przestraszyło... Oczywiście, damy jej kogoś do pomocy, na przykład małego René.

– Bardzo słusznie. Niech pomaga Christine, ale jednocześnie dyskretnie ją kontroluje. A w razie czego...

– Wolałbym, żeby nie było „w razie czego” – powiedział Helmut.

\* \* \*

„Ufać znaczy kontrolować” – z tego założenia wychodził René, który od chwili wyjazdu morrisa panny Wagner z parkingu pod Lörach, nie odstępował jej ani na krok. Jednak Christine zachowywała się całkiem naturalnie, nie zatrzymała się ani razu, nigdzie nie telefonowała. Gdy jednak zaparkowała pod dworcem w Bazylei odczuł niepokój. Podszedł i przywitał się z agentką, tłumacząc, że ma jej pomóc. Wyglądała na zadowoloną tym faktem, nawet zaprosiła go na szybki obiad w jednej z dworcowych restauracji. Christine opuściła go tylko na moment, udając się do toalety. Na wszelki wypadek postanowił mieć oko na wyjście. „Kobiety bywają nieobliczalne”. Jej nieobecność przedłużała się i ziemista twarz René z każdą minutą szarzała coraz bardziej. Ale gdy po kwadransie dziewczyna wróciła ze świeżo poprawionym makijażem, odprężył się i zajął się gorącym posiłkiem.

– Lekka niedyspozycja – powiedziała z uśmiechem. – Napiję się tylko kawy.

Po kwadransie pojechali z dworca do Klein Basel tramwajem, który jest w Szwajcarii – w odróżnieniu od innych krajów – środkiem komunikacji szybkim i pewnym. Wsiadłszy przy Cara Platz, zapuścili się w labirynt podwórek. Plan był prosty. W torebce Christine znajdowała się zgrabna, dziewięciostrzałowa beretta. Niezawodna. Miała jedynie wejść do kryjówki Freda i go zastrzelić, a jeśli w środku zastanie Evelyn, nie oszczędzić świadka. René miał służyć jako ewentualne wsparcie. Albo, gdyby Christine się rozmyśliła... Nawiasem mówiąc, René miał dodatkowe zabezpieczenie. Od Clara Platz towarzyszył im z dystansu jeszcze jeden członek grupy UNO, którego Christine nie знаła...

Zatrzymali się przed niskimi drzwiami, wiodącymi do kryjówki. Dziewczyna pchnęła je, nie były zamknięte. Wołając: „Jestem”, wbiegła do środka. René spodziewał się strzałów, gdy jednak cisza przedłużała się, wskoczył z odbezpieczoną spluwą. Natknął się jedynie na Christine, bezradnie przeszukującą kryjówkę.

– Nie mą go!

René nie dawał za wygraną, przetrząsnął klitkę wypełnioną kartonami, siennikami i mnóstwem gazet. W kącie stał elektryczny czajnik z dawno ostygłą wodą. Wnętrze nie robiło wrażenia opuszczonego w popłochu. Jego mieszkańcy, ostrzeżeni lub wiedzeni intuicją, opuścili lokal co najmniej przed godziną. Ale przecież od trzech godzin kryjówka była pod obserwacją. Czyżby Gray opuścił ją wcześniej?

Dwaj faceci z Bazylei wyznaczeni do jej pilnowania nie robili wrażenia specjalnie rozgarniętych, pierwszy, stojący przy wejściu od podwórka, zeznał, że w przeciągu ostatnich godzin Evelyn trzykrotnie wychodziła z kryjówki, ostatni raz godzinę temu i już nie wróciła... Facet przy awaryjnym wyjściu miał jeszcze mniej do powiedzenia, przed godziną Evelyn wyszła z piwniczki z jakimś pakunkiem i również znikła.

– Chwileczkę – wykrzyknął René. – Czyżby potrafiła jednocześnie wyjść w dwóch miejscach? Jesteś pewien, ośle, że to była ona?

– Miała jasne włosy, zielony płaszczyk i parasolkę, bo zaczęło padać – odpowiedział tępowy osiłek. – Dokładnie jej się nie przyjrzałem, ale któż inny to mógł być?

– Ta moja nie miała parasolki! – uzupełnił drugi.

– Co za durnie! – zawołała Christine. – I naturalnie nikt za nią nie poszedł?

– Przecież mieliśmy pilnować wyjść!

René z panną Wagner rozstali się nad brzegiem Renu. Ponura twarz faceta do specjalnych poruczeń była dwa razy bardziej chmurna niż zwykle. Nie wierzył w przypadki. Był przekonany, że Graya uprzedzono! Pierwszą podejrzaną była naturalnie Christine. Gdyby to od niego zależało i gdyby wiedział, jak tego dokonała, już znajdowałaby się na dnie rzeki. Potencjalna zdrajczyni też nie była rozmowna. Zastanawiała się, co tu jeszcze robi? I nie potrafiła znaleźć sensownej odpowiedzi.

– Okazałaś się sentymentalną gęsią – mówiła sobie w duchu. – Zdradziłaś Helmuta, sprawę, swoje zawodowe zasady...

Aby ostrzec Freda wykorzystwała młodą zakonnice, która myła ręce w dworcowej toalecie. Siostrzyczka poproszona o drobną przysługę – telefon do przyjaciółki Evelyn – zgodziła się z ochotą, tym bardziej, że prośba została poparta stufrankowymi banknotami na głodujące dzieci w Etiopii.

Christine miewała mężczyzn przystojniejszych od Freda. A jednak nigdy dotąd nie podawała w wątpliwość decyzji szefa. Ani wtedy w Tessynii, gdy likwidowała własnych towarzyszy, celem zyskania zaufania Graya, ani udając lojalność wobec KOMÓRKI... Żeby jeszcze Helmut nie wyznaczył jej roli kata. I to w chwili, gdy Fred był właściwie bezbronny. Chyba każdy, nawet skończony szubrawiec, posiada granice wytrzymałości. Christine nie chciała klęski grupy UNO, pragnęła jedynie, by Fred żył. Możliwie z nią. Dlatego go ostrzegła.

– Miejmy nadzieję, że to się nigdy nie wyda – pomyślała i przypomniała sobie o bilecie do Johannesburga, który wciąż trzymała w torebce.

Dobrze by było. Jednak już po półgodzinie, rozmawiając z Helmutem, dowiedziała się o zupełnie nowym zadaniu.

## Rozdział XVI

# Akcja w Warszawie

Opóźnienie przylotu samolotu z Wiednia spowolniło jeszcze bardziej prace celników portu lotniczego na Okęciu, którzy nie uporali się dotąd z pasażerami przybyłymi z Londynu. W baraku udającym międzynarodowy terminal było duszno i smrodliwie. Ogólne rozdrażnienie i zniecierpliwienie, przerywane niekiedy wybuchem bezsilnej złości oczekujących, nie udzieliło się jakoś szpakowatemu dżentelmenowi z niewielką torbą, który spokojnie śledził notowania giełdowe w „Timesie”. Podobną powściągliwość zachowywał inny mężczyzna w ostatniej z kolejek. Z wyglądu przypominał typowego orientального gasterbeitera z RFN, przybyłego do kraju „Wandy, co nie chciała” w poszukiwaniu silnych wrażeń i łatwych dziewcząt. Jednak przy baczniejszym oglądzie – kanciasty podbródek, ledwie zagojone blizny na twarzy, potężna klatka piersiowa i pozbawiony lewentyńskiego rozmarzenia wyraz oczu wskazywały, że niekoniecznie jest to sezonowy robotnik na urlopie, raczej osobnik, dla którego sezon trwa okrągły rok.

– Ma pan coś do oclenia? – zapytała szpakowatego celniczka.

– Przybyłem na odczyt międzynarodowego spotkania dendrologów – odpowiedział z godnością pytany. Na wezwanie otworzył torbę. Poza koszulą, małym radiomagnetofonem, pidżamą i przyborami toaletowymi w czarnej teczce znajdował się jedynie maszynopis referatu.

Na parkingu długa kolejka pasażerów wyglądała niecierpliwie taksówek. Tych wprawdzie stało kilkanaście, ale jakoś nie kwapiły się z podjeżdżaniem do byle Polaka, kierowcy z oddali taksowali przybyłych. Szpakowaty Brytyjczyk musiał przypaść im do gustu, bo już po chwili został poproszony na bok i wnet pomykał polonezem, wyposażonym w stereo i minibarek, w kierunku centrum. Po drodze miał możliwość poznać czarnorynkowy kurs walut, jak i szeroki wachlarz rozrywek, które proponował operatywny taksjusz.

Dendrolog zatrzymał się w „Forum”, ale ledwo zdążył wziąć prysznic, kiedy rozległo się pukanie do pokoju. Owinął się ręcznikiem i uchylił drzwi. Smągły mężczyzna wszedł do środka. Uścisnęli sobie ręce. Obawiając się podsłuchów, nie wymienili ani słowa. Najpierw



gospodarz napisał coś na bibułce, gość zrewanżował mu się równie krótkim tekstem, potem kiwnęli głowami, podarli papierki, a skrawki spuścili w muszli klozetowej.

Konspiracja ta nie miała zresztą większego sensu, trzydzieści minut temu centrala na Łubiance otrzymała sygnał – „Maks i Omar przybyli do Warszawy”. A od pięciu minut rezydent KGB w Warszawie znał polecenie góry: „Nie przeszkadzać!”

\* \* \*

Wczesnym popołudniem piątego września, mężczyzna w białej marynarce i ciemnych okularach, wędrujący ulicą Foksal, przystanął przy siatce oddzielającej boisko od chodnika i przyglądał się rozgrywce w szczypiorniaku. Drużyna bez koszulek mocno naciskała na grupę w koszulkach. Opalone po niedawnych wakacjach torsy nastolatków śmigały po boisku liceum imienia Zamoyskiego. Wśród zawodników wyróżniał się szczupły chłopiec o regularnych rysach. Widać było, że przeżywa paropunktową porażkę. Maks nie potrzebował dodatkowych informacji – twarz chłopca zbyt przypominała portret Altenbacha juniora, sporządzony dla swych współpracowników przez Helmuta. Czyżby ten zwyczajny urwis miał być istotnie nadzwyczajnym egzemplarzem zero? A może informacje, uzyskane zupełnie przypadkiem na party pod Neuchatel od jakiegoś polskiego pismaka, były fałszywym tropem?

Gwizdek zakończył mecz. Do Łukasza podbiegła wysoka dziewczynka, najwyżej szesnastoletnia. Kiedyś będzie szalową babką, pomyślał Maks, patrząc na długie, szczupłe nogi i kształtne piersi, podskakujące pod bluzeczką.

– Co ci się dzisiaj stało? – zapytała z wyrzutem. – Normalnie potrafisz dokonywać takich cudów z piłką, a dzisiaj przegrywasz.

– Bo to był mecz. Musiałem grać fair!

– A potrafiłbyś dziś pokazać swoje sztuczki? – kusila dziewczyna. – Tylko dla mnie?

Łukasz zaczerwienił się. Swoje umiejętności starał się dotąd ukrywać. Ale odmówić Joasi? Potoczył wzrokiem po boisku. Piłka wyskoczyła z ręki nauczyciela od wf-u (ksywa Kalosz), wykonała kilkanaście kozłów, potem uderzyła o ścianę szkoły i pomknęła w stronę bramki. Jej obrońca zauważył, co się święci, zajął postawę wyczekującą, piłka minęła go z łatwością i wpadła do siatki, ale nie pozostała w niej, przeciwnie, nabrała olbrzymiego rozpędu, przekoziółkowała sama przez całe boisko i ugrzęzła w przeciwnej bramce. Kalosz śledził zdarzenie z szeroko otwartymi oczami – pierwszy raz widział tak niezwykle pogwałcenie wszelkich praw fizyki.

Nastolatka pocałowała cudotwórcę w policzek. Zmieszał się jeszcze bardziej.

– Tylko pamiętaj, że to nasza tajemnica – szepnął. Skinęła głową potakująco.

Oczywiście, nie będzie to żadna tajemnica. Aśka w największym zaufaniu zwierzy się Baśce, Baśka Kaśce i cała szkoła będzie wiedziała, że Łukasz znów wykonał cud z pogranicza psychotroniki i parapsychologii. Na szczęście, po raz kolejny nie uwierzy w tę historię nikt z dorosłych.

Oparty o siatkę mężczyzna poczuł dreszcz emocji. Właśnie zobaczył na własne oczy egzemplarz zero. Rewelacja! Mógł potwierdzić przełożonym. Koledzy na boisku ciągle komentowali niezwykle przypadek piłkopłasu, ale Łukasza zaabsorbowało coś innego. Niczym radar obrócił się wokół swej osi.

– Tu jest ktoś ze złymi zamiarami – powiedział półgłosem.

– Kto? Gdzie? – zdziwiła się Joanna.

– Tam – chłopak bez wahania podążył w kierunku siatki.

Maks zauważył ten ruch, zrobił krok do tyłu, aby wmieścić się w gęsty tłum przechodniów. Nie zdążył, wzrok nastolatka unieruchomił go. Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami.

– Panie Maks – powiedział Łukasz nieskazitelną niemczyzną, dochodząc do siatki – czego pan ode mnie chce?

Zdumienie terrorysty było w tym momencie głębsze niż Rów Mariański, chłopiec mówił jak rodowity berlińczyk, znał jego myśli, a co najważniejsze – prawdziwe imię. Maks trenował kiedyś blokadę mentalną, która miała chronić zawartość jego mózgu przed przesłuchaniami z użyciem narkotyków lub wykrywacza kłamstw. Tym razem nie potrafił domknąć swego umysłu. Czuł, jak inteligencja chłopaka myszkuje bezkarnie po wszystkich zakamarkach jego umysłu.

– Czytam pańskie myśli, choć próbuje je pan ukryć – ciągnął chłopak. – To złe plany i nigdy się nie powiodą. Proszę mnie zostawić...

– Mylisz się, chłopcze – odparł Maks. – Nic mnie nie interesujesz, ani ty, ani twoje sprawy...

– Łukasz, Łukasz! – dobiegło wołanie od strony boiska. – Muszę już iść.

Koncentracja uwagi osłabła, chłopak nagle jakby zapomniał o cudzoziemcu, odwrócił się i pobiegł do ślicznej nastolatki. Maks otarł pot i szybko ruszył w stronę Nowego Świata, mając nadzieję, że egzemplarz zero potrafi odgadywać ludzkie myśli tylko na bliższe odległości. I że jest jeszcze bardzo młody i niedoświadczony.

\* \* \*

Maks i Omar starali się nie rozmawiać w hotelu o swej akcji. Uzgodnień dokonywali zazwyczaj spacerując po którymś z warszawskich cmentarzy. Udało im się załatwić wóz. Za stosunkowo niewielką, dla kieszeni Maksa wręcz śmieszną opłatą, pewien taksówkarz, zajmujący się na co dzień dostawą dziwek, zaproponował im wynajęcie fiata szwagra. Brudnożółty, poobijany wóz nie rzucał się w oczy i miał zwyczajne polskie numery. Obaj turyści zmienili również stroje na bardziej swojskie. Maks niczym nie różnił się od polskiego inteligenta, dorabiającego kitowaniem okien, a Omar mógł z biedą uchodzić za opalonego Cygana. Już pierwszej nocy z elementów przemyślnie wmontowanych w radiomagnetofon

oraz z zawartości małej paczuszki, która czekała na Maksa w recepcji, złożyli, niczym w dzieciнным „zrób to sam”, dwa uniwersalne, poręczne pistolety.

– Zrobimy to dziś wieczorem – zdecydował Max, stojąc na skraju brudnożółtego nurtu Wisły. – Jeśli nasz środek podziała, przez noc dostarczymy gówniarza do Świnoujścia, tam zapakujemy do kontenera...

– Masz pomysł na podejście zwierzyny? – zapytał Omar. – Ciebie rozpozna, zanim zdołasz go obezwładnić.

– Dlatego ty to zrobisz. Mnie zna, ciebie jeszcze nie. Gaz powali każdego, nawet półboga.

\* \* \*

Wrześniowy zmierzch zapadł dosyć wcześnie, toteż kiedy Łukasz rozstał się z kolegami, willowe uliczki Żoliborza tonęły w mroku, a nieliczne latarnie z trudem prześwitywały przez listowie. Mama pewnie się denerwuje, pomyślał i natychmiast przywołał obraz ich mieszkania. Helena siedziała, czytając książkę. Przed nią migał włączony telewizor. Najwyraźniej wyczuła obecność myśli syna, bo uniosła głowę i przesłała mu jeden ze swych najpiękniejszych uśmiechów.

– Zaraz będę, mamó – odpowiedział jej na odległość i puścił się pędem.

Biegł przeskakując z płyty na płytę, minął przecnicę i naraz przeszył go ostrzegawczy prąd. Przystanął. Już wiedział. W bocznej uliczce dziesięć metrów przed nim czaiło się zło. Niebezpieczeństwo. Z gmatwaniny bioprądów wykroił osobowość mężczyzny, przyczajonego za zaparkowanym fiatem. Aha, to ten obserwator. Nie zwalniając, ruszył dalej, jakby niczego nie zauważył. Choć jego zmysły otrzymały kolejną informację: Złych było więcej!

Z furtki pod numerem dziesiątym wyszła jakaś starsza niewiasta. Nie zmyliło go to, ale zaskoczyło. Przebrana kobieta strzeliła w niego, nim zdążył ją unieruchomić. Miał tylko jedno wyjście. Odbił się i uniosł w górę na wysokość czterech metrów ponad chodnikiem.

Gazowy ładunek chybił. Rozległy się obcojęzyczne klątwy! Na moment zawisł w powietrzu zastanawiając się, co robić dalej? Nie widząc dokładnie prześladowców, trudno było ich zahipnotyzować. Wybrał ucieczkę. Przeleciał w powietrzu kilkanaście metrów i opadł pod latarnię. Niech tylko ścigający znajdą się w jej blasku. Napastnicy zdecydowali się na inny wariant. Zawarczał silnik. Zdecydowali się na pościg swoim wozem. Durnie! Łukasz popatrzył na zaparkowane z lewej i prawej strony samochody. Zwolnić hamulce, wrzucić wsteczny, pchnąć – to najprostsze ćwiczenie z telekinetyki. Uspione dotąd na poboczach i chodnikach auta, stoczyły się na jezdnię i zatarasowały przejazd. Rozległ się pisk hamulców. Cudzoziemcy wyskoczyli z fiata. Ominęli przeszkody i wbiegli w krąg światła. Tu ich miał. Widział jak nieruchomieją, a spluwy z gazowymi nabojami wysuwają się im z rąk. Zaśmiał się gardłowo, zaskoczony własną przezornością.

– Odczepcie się! – rzucił, zabierając im broń. – Następnym razem będzie gorzej.

I odszedł. Był w końcu tylko dorastającym, trochę idealistycznym chłopcem. Słabo znał życie. Nie przyszło mu do głowy, żeby wybadać prześladowców, dowiedzieć się, o co im chodzi. I wyeliminować raz na zawsze. Ufny we własne możliwości, których granic nie zdołał jeszcze poznać, Łukasz nie bał się niczego. I nie wiedział, do jakiej perfidii może uciec się przeciwnik.

\* \* \*

Jak co piątek pani Michalska wychodziła na nocny dyżur do szpitala. Tym, którzy obserwowali lokal numer trzydzieści trzy w starym, stalinowskim bloku na Muranowie, udało się ustalić, że matka i córka mieszkają samotnie. Dla pewności odczekali jeszcze parę godzin. Otwarcie zamka yale nie nastąpiło Omarowi najmniejszych trudności. Zaskoczyli Joannę we śnie. Spała smacznie w cienkiej bawełnianej koszulce, sama w małym mieszkaniu. Gdy zapłonęło światło i chwyciły ją twarde męskie ręce, dziewczyna pomyślała, że śni. Głos uwiązał jej w gardle, usta nakryła brunatna łapa Omara...

– Cicho, ptaszyno, cicho – mruczał bandzior.

– Bądź grzeczna, dziewczeczka, nie biespokoj się – powiedział po rosyjsku Maks. – Bądź posłuszna, to nic ci się nie stanie!

Joanna była tak przerażona, że dopiero po chwili dotarło do niej, czego żądają cudzoziemscy włamywacze. Miała zadzwonić do swego szkolnego kolegi Łukasza Szareckiego i poprosić, żeby natychmiast do niej przyjechał.

– Nic wam nie zrobimy – twierdził Maks. – Chcemy tylko z nim porozmawiać.

Omar ułożył jakąś płytę na adapterze i włączył muzykę. Akurat padło na „Requiem” Mozarta.

– Jeśli zrobisz, o co cię prosimy, to za pół godziny będziesz spała. Sama.

Kiwnęła głową i Maks zdjął rękę z jej ust. Nie płakała choć łzy kręciły jej się w oczach.

– Telefon jest w kuchni... – zaczęła, ale Maks przerwał jej, wskazując trzyotworowe gniazdko przy łóżku.

– Zaraz ci go przyniosę, tylko nie próbuj robić głupstw.

Wyszedł, a Omar rozluźnił uścisk. Joanna zdecydowała się. Przerażał ją lubieżny uśmiech smagłego napastnika i jego nabrzmiałe w okolicach rozporoka spodnie. Rzuciła się ku oknu, krzycząc: „Ratunku!”

Omar okazał się szybszy. Dopadł jej jednym susem, złapał za gardło i rzucił na łóżko. Stanowczo należała jej się nauczka. Czuł pod sobą wierzgające młode ciało, jędrne piersi. Przede wszystkim musiał jednak ją uciszyć. Nacisnął mocniej. Rozległo się chrupnięcie, a zaraz potem z gardła dziewczyny dobył się dziwny charkot.

– Puść ją, idioto! – krzyknął Maks, wbiegając do pokoju. Na jego twarzy pojawił się niepokój. Dосkoczył do dziwnie bezwładnej dziewczyny. – Cholera! – Nie mógł wyczuć

pulsu ani oddechu. Przepiękne fiołkowe oczy nieruchomo wpatrywały się w sufit. – Zabiłeś ją, kretynie! Nic tu po nas. Zmywamy się.

Minutę wcześniej, krzyk Joanny obudził ich sąsiada, pana Walentego.

– Słyszałaś? – zapytał żony. – Ktoś krzyczał!

– Może idzie nocne kino w telewizji. Słyszysz muzykę?

– Muzyka Mozarta rzadko bywa podkładem do kryminałów, zresztą dziś jest czwartek, nie ma kina nocnego. Wyjrzę na balkon. Może znów kogoś napadli?

Jednak czworokąt bloków spowijała cisza. Wszystkie okna mieszkania sąsiadki były ciemne, kuchnia, stołowy, paliło się tylko w pokoju Asi. Wrócił do mieszkania, nie zauważając ciemnych sylwetek, biegnących pod drzewami...

Niby wszystko w porządku, ale krzyk, przysięgłby, że Joanny, nie dawał mu spokoju. Szurając kapciami wyszedł w piżamie na korytarz i zadzwonił do lokalu trzydzieści trzy. Cisza. Zadzwonił jeszcze raz, potem chciał zastukać, ale drzwi same ustąpiły pod dłonią. Zawołał. Nikt nie odpowiadał, tylko na pełny regulator rozbrzmiewało „Requiem” Mozarta.

– Asiu! – Wszedł do jej pokoju i nogi ugięły się pod nim. Na zmierzwionej pościeli leżało półnagie ciało nastolatki.

Milicja zjawiała się po pięciu minutach. Karetka z matką Joanny po siedmiu. Wcześniej z bloków wyległy tłumy lokatorów. Milicja dość chaotycznie usiłowała uspokoić tłum rozbudzonych gapiów i znaleźć ewentualnych świadków. Jakiś staruszek, spacerujący z psem, wspominał o nieprawidłowo zaparkowanym fiacie, który odjechał tuż przed północą. I właśnie w tym momencie nabiegł Łukasz. Nikt go nie wzywał, jednak dokładnie w chwili, w której bandyci weszli do mieszkania Joanny, zerwał się z łóżka i krzyknąwszy do matki: „Dzieje się coś strasznego!” – popędził w noc. Drzwi do bloku zastąpił mu barczysty podoficer.

– Nie ma przejścia, chłopcze.

Naoczni świadkowie twierdzą, że ciało nietkniętego nawet palcem funkcjonariusza wykonało salto w powietrzu i wylądowało w piaskownicy. Lokatorzy rozstąpili się sami. Chłopak wpadł do mieszkania ukochanej. W sypialni zastał bezradnego lekarza, próbującego reanimacji i płaczącą matkę...

Nie mówiąc słowa, zbliżył się do łóżka. Nagły chłód ostudził jego rozgorączkowaną twarz. Klęknął obok denatki. Nikt mu nie przeszkadzał. Sąsiad księgowy twierdził potem, że gapie, lekarze, funkcjonariusze zastygli niczym figury w ołtarzu mistrza Stwosza.

Ręce chłopaka przesunęły się po szyi zmarłej, pokrytej okropnymi wybroczynami, następnie jedna dotknęła lewej piersi, druga, musnąwszy twarz zawisła nad głową. A potem w przeraźliwej ciszy padły słowa: „Mówię ci, Joanno, wstań!”

Na woskową twarz napłynęły rumieńce, drgnęły mięśnie, usta zaczerpnęły powietrza... Powieki zakryły wytrzeszczone oczy... Dziewczyna przeciągnęła się. I obudziła.

– Łukasz? Nie masz pojęcia, jaki miałam koszmary sen!

## Rozdział XVII

# Sprawy przyśpieszają bieg

Przez następny tydzień od balangi pod Neuchatel nie zdarzyło mi się nic godnego odnotowania. Wziąłem udział w paru spotkaniach, przesłałem reportaż z okazji otwarcia wystawy „Sztuka Trzeciego Świata”. Raz czy dwa wpadłem do kina. Goldkind wyjechał na dłużej do USA. Nuda. Przez pewien czas intrygował mnie napis szminką na wizytówce. O co chodziło Isabelle? Dlaczego chciała, żebym wyjechał? Inny mężczyzna? Złe przeczucia? Parokrotnie zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do niej do Bazylei. Związek z TAKĄ kobietą oznaczałby wielką zmianę w moim życiu.

Sprawa rozwinęła się sama. W poniedziałek dziewiątego, koło południa, pulchna sekretarka z biura prasowego poinformowała mnie o telefonie z Bazylei.

– Kto dzwonił?

– Młoda kobieta, Isabelle, ale nie podała swego nazwiska. Pół godziny temu, prosiła, żeby pan Sareki wpadł jutro późnym popołudniem. Podobno zna pan jej adres...

A zatem Isabelle czeka na mnie! Czeka, pamięta, może tęskni! Byłem tak zachwycony, że omal nie rzuciłem się na szyję przechodzącemu korespondentowi Agencji TASS. W ogólnym zachwycie nie zastanowił mnie fakt, że telefonująca nie podała nazwiska i nie poprosiła mnie do telefonu. Co do miejsca spotkania byłem przekonany, że chodzi o atelier przy Wasen Boden, którego adres widniał na wizytówce. We wtorek rano podjąłem z bankomatu trzysta franków – czyste szaleństwo! – i ruszyłem w drogę.

Bazylea – starożytne miasto nad brzegami Renu – od wieków zawdzięcza swój rozkwit dogodnemu położeniu. Leży na skrzyżowaniu dróg i na styku granic. Wystarcza parę przystanków tramwajem lub kilkanaście minut pedałowania na rowerze, aby znaleźć się, w zależności od obranego kierunku, we Francji lub RFN. W telewizji odbierane są liczne programy krajów ościennych. Słowem, to wymarzone miejsce dla kogoś, kto lubi lub musi kontrolować to, co dzieje się na kontynencie, bez zwracania na siebie uwagi. W informacji dworcowej otrzymałem dokładny plan miasta i już po chwili tramwajem linii jeden, za franka i dziesięć rapów, sunąłem w stronę Lucerner Ring, w pobliżu którego mieścić się miało

gniazdko modelki. Jeszcze z dworca usiłowałem do niej zadzwonić, nikt jednak nie odpowiadał, ale numer cały czas był zajęty. Około piątej wysiadłem na przystanku i już miałem ruszyć uliczką w dół pomiędzy szpalery filigranowych domków, kiedy tuż za uchem usłyszałem głos.

– Stać, nie ruszać się, nie robić gwałtownych ruchów, tu policja.

– Proszę z nami – powiedział głos z drugiej strony.

Zajechał samochód. Za kierownicą siedziała dziewczyna; blondynka, jednak nie była to Isabelle. Jeszcze chwila i tkwiłem na tylnym siedzeniu mercedesa między dwoma facetami o niezbyt przyjemnej aparycji, jednym był albinotyczny blondyn o złowrogim grymasie ust, przywodzącym na myśl zwyrodniałych rzymskich cesarów, drugi miał brzydką, niezdrową cerę wątrobiarza.

– Jedziemy! – warknął blondyn po niemiecku.

Gdy za miastem moja eskorta nałożyła mi opaskę na oczy, zacząłem poważnie podejrzewać, że nie jest to raczej znana z uprzejmości policja szwajcarska.

Zostałem uprowadzony! Tylko dlaczego ja? Tysiące myśli przelatywało przez moją biedną głowę. Pomyłka? Wzięto mnie za kogoś innego? Jak jednak miałem to wyjaśnić napastnikom, mając opaskę na oczach i knebel w ustach? Byłem człowiekiem biednym, bez znaczenia politycznego, pionkiem albo raczej zastępcą pionka, za którego nikt nie wyłożyłby nawet dolara okupu... Szarpnąłem się i w rewanżu otrzymałem cios, który wcisnął mnie w oparcie.

– Patrz, zemdłał – warknął któryś z oprawców.

Zostałem jedynie ogłuszony. Jednak pomyłka w diagnozie podsunęła mi myśl – udawać zemdlonego, jak długo się da. Miałem nadzieję, że wywnioskuję coś z rozmowy porywaczy. Niestety, nie należeli do rozmownych.

– Zatrzymaj, Christine – powiedział naraz ten po prawej.

Wóz stanął. Z obu stron auta otwarły się drzwi. Uchyliłem opaski, dookoła zielono, winnice. Czyżby właśnie tu zamierzali mnie rozwalić? Porywacze zeszli na skraj drogi z powodów najzupełniej fizjologicznych. Równocześnie dziewczyna, pełniąca funkcję kierowcy, obróciła się do mnie i szepnęła:

– Uciekaj, szybko!

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Wskoczyłem z wozu z chyżością wiewiórki. Droga była pusta, ale do góry po kamieniach pięła się ścieżka, wyżej było widać dach jakiegoś domku. Wybrałem ścieżkę. Słyszałem za sobą wrzaski, ale odsadziłem prześladowców o ładny kawałek. „Dom, ludzie, telefon!” – przelatywało mi przez głowę.

Drzwi samotnej willi zastałem uchylone. Wskoczyłem i zatrzasnąłem je za sobą.

– Au secours! Help! Hilfe! – wołałem piskliwie, z trudem dobywając głos ze ściśniętego gardła. Nikt nie odpowiadał. Na korytarzu potknąłem się o coś. Machinalnie podniosłem ciężki przedmiot. Duży nóż myśliwski. Zacisnąłem dłoń na rękojeści. Marna to obrona wobec

dwóch, nie przebierających w środkach gangsterów, ale lepszy rydz... W domu panował duszny półmrok. Wszędzie pospuszczane żaluzje, meble w pokrowcach. Szukając telefonu biegłem korytarzem, gdy zagroziła mi drogę jakaś postać. Coś usiłowało chwycić mnie za gardło. Pułapka! Z desperacją dźgnąłem nożem. Mój kordelas z chrzęstem zagłębił się w czymś miękkim, w czymś, co następnie osunęło się na podłogę. Równocześnie błysnął flesz fotograficzny.

Potem zapłonęły kinkiety i żyrandole. We wnęce, koło zasłoniętego okna, stał korpulentny człowieczek z aparatem na szyi, a na podłodze, u moich nóg, leżała skąpiana we krwi Isabelle! Śliczna, szczuplutka Isabelle w tej samej turkusowej sukience, w której poznałem ją w Neuchatel. Ewidentnie martwa.

– Dobra robota – dobiegło mnie z tyłu. Odwróciłem się. W korytarzu stała trójka moich porywaczy.

– Robisz szybkie postępy. To naprawdę bardzo ładne morderstwo – powiedziała Christine bez krztyny niedawnej życzliwości.

Nóż wypadł mi z ręki.

– Ale ja... niechący... myślałem... – a spojrzawszy na zakrzepłą krew i sznur, na którym umocowano ofiarę, dorzuciłem: – Ona jest martwa od dawna!

– Celne spostrzeżenie – do rozmowy włączył się albinos. – Tylko jak to wytłumaczysz policji? Rany zadano tym właśnie nożem. Będą na nim wyłącznie twoje odciski. A to zdjęcie... Pokaż mu, Leonello, jak działa polaroid – polecił albinos.

Fotograf wyciągnął zdjęcie z aparatu. Widać było na nim osuwającą się Isabelle, moją twarz i rękę zaciśniętą na trzonku noża, zatopionego w jej ciele.

– Zdaje się, że nieboszczka nie była dla pana obcą osobą – kontynuował bandyta. – O ile mi wiadomo, na pewnym przyjęciu pod Neuchatel spędziliście ze sobą noc...

Targnęły mną torsje...

– Rzygaj zdrowo – zaśmiała się Christine. I znów błysnął flesz. – Mordercy często nie wytrzymują nerwowo na miejscu zbrodni. No cóż, przestępstwo w afekcie, wyrok nie będzie szczególnie wielki. René, zaprowadź pana do łazienki.

Myjąc twarz, próbowałem zrozumieć co się stało. Z jakiegoś powodu gangsterzy zabili Isabelle, a mnie chcieli w to wrobić. Najgorsze, że nie miałem niczego na swoją obronę. Mogłem co najwyżej przeklinać Goldkinda za zaproszenie na to party.

„Połakomiłeś się na panienki z wyższych sfer, idioto. A teraz czeka cię więzienie, koniec kariery... Boże!” – Łzy płynęły mi po policzkach z rozpacz i wściekłości.

Kompletnie roztrzęsiony, znalazłem się w jakimś pokoju, gdzie albinos poczęstował mnie papierosem. Przyjąłem, mimo że nie palę.

– Herr Szarecki – rzekł zaciągając się dymem – nie będę owijał sprawy w bawełnę, bo nawet idiota zrozumie, że jest to ordynarny szantaż. Tak jest, szantaż. Znalazł się pan w diabło trudnej sytuacji, ale szczęśliwym trafem istnieje z niej wyjście. I to luksusowe.



- Nie rozumiem, czego właściwie ode mnie chcecie? – jęknąłem.
- Współpracy, naturalnie, współpracy, drogi przyjacielu.

\* \* \*

W ten sam wtorek, dziesiątego września, na naradzie w sztabie KOMÓRKI pod Monachium pojawił się profesor Giovanni Carmine. Naukowiec nie był chyba szczególnie wiekowy, ale postarzały go siwe brwi, wąsy, włosy, oczy, a zwłaszcza silny zarost na piersi, widoczny przez rozchełstaną koszulę. Teść przedstawił go jako głównego eksperta genetycznego, wypożyczonego z NSA. Jego przybycie wiązało się z niepokojącymi wiadomościami. Grupa UNO wykonała ruch – wysłała dwóch swoich ludzi do Warszawy.

– Istnieje duże prawdopodobieństwo – twierdził Kuzyn – że natrafili tam na egzemplarz zero lub osobnika o parametrach zbliżonych do ideału. Przypomnę, że w związku z polską wizytą Schmidta, braliśmy pod uwagę taką możliwość.

– Czy ustalono personalia tego osobnika? – spytał generał.

– Jeszcze nie. Wyłoniły się pewne trudności. Wiemy natomiast, że misja w Warszawie, kierowana przez terrorystę o pseudonimie Maks, nie wypaliła. Wczoraj wrócił z niczym do Frankfurtu. Jest pod naszą obserwacją. Z innych źródeł wiemy, że przygotowywano jakiś przerzut kontenerowcem, ale widocznie coś nie wyszło, bo akcję odwołano.

– Jeśli istotnie natrafili na egzemplarz zero, to łatwiej będzie im złapać ręką piorun kulisty, niż pojmać tego człowieka – wtrącił profesor Carmine. – Na waszą prośbę przygotowałem modelowy wizerunek takiego egzemplarza zero. Oczywiście pod warunkiem, że udałoby się go wyhodować. Wiele wskazuje na to, że rodzina Wallenhoffów, czy jak kto woli Altenbachów, przyjęła metodę krzyżówek egzemplarzy o największej liczbie pożądanых cech. Ergo, nigdy nie uzyska się pełnego nadczłowieka, ale można osiągnąć egzemplarz o cechach maksymalnie przybliżonych do ideału.

– To znaczy?

– W granicach dziewięćdziesięciu procent. I tak to byłby niewiarygodny sukces! Oczywiście zakładając, że prawdziwa jest hipoteza o kosmicznym pochodzeniu człowieka. W innym przypadku, gdyby zdolności paranormalne wynikały z mutacyjnych kaprysów naszego gatunku, osiągnięcie nawet siedemdziesięcioprocentowca byłoby mało prawdopodobne. Przygotowałem zresztą model. Proszę, oto syntetyczny zbiór cech paranormalnych, wyselekcjonowanych przez komputery.

Pochylili się nad tabelą. Moment trwało milczenie.

– Co oznacza ta czerwona kreska na trzydziestu pięciu procentach? – zapytał Kuzyn.

– Granicę między niezwykle uzdolnionym człowiekiem a... nie bójmy się tego słowa – cudotwórcą.

– A granica sześćdziesięciu pięciu procent? Niebieska.

– Poniżej są osobnicy, których możemy jeszcze nazwać ludźmi.

– A wyżej?

– To już... – Carmine przełknął ślinę. – Bogowie!

– Teraz już wiecie – zabrał głos Teść – jaką mamy sytuację. Jeśli bariera dziewięćdziesięciu została gdziekolwiek przekroczona, oznacza to globalny stan alarmowy. Rozumiecie sami, jeśli taki osobnik trafiłby w ręce wroga – terrorystów, komunistów czy innych szaleńców, mielibyśmy się z pyszna. Z drugiej strony gdyby ktoś taki znalazł się po stronie wolnego świata... Prawda profesorze?

Carmine pokraśniał z podekscytowania.

– Wyobraźmy sobie, że rozgryziemy wreszcie całą sieć rozsypanej hodowli superludzi. Jeśli ich chałupniczy interes trafi w nasze ręce, a nadludzie zaczną pracować dla nas... Czy pan wie, ile plemników znajduje się w milimetrze sześciennym spermy? – nieomal krzyknął do Kuzyna.

– Myślę, że sporo – bąknął zaskoczony oficer.

– Miliony! Miliony! – wołał ekspert. – A każdy teoretycznie zawiera życie nowego nadczołwieka. Przydzielimy temu programowi odpowiednie środki – zespoły naukowców, szpitale. Zamiast kilku tysięcy króliczków, możemy mieć ich miliony. A potem niech co setny odpowiada niebiańskim parametrom. Dokonamy większej ewolucji niż Fermi z bombą atomową.

– Tak – poparł go generał. – Już wyobrażam sobie naszych żołnierzy potrafiących lewitować i przenikać ściany, zabijać wzrokiem i hipnotyzować, wskrzeszać zmarłych, obywać się długi czas bez pożywienia lub powietrza, przenosić ciężary myślą, przy wytrzymałości własnej zbliżonej do nieśmiertelności... Koniec zimnej wojny. Koniec podziału świata!

– Taki program musiałby uzyskać akceptację na najwyższym szczeblu – zauważył Kuzyn.

– I zyska! Osobiście powiem prezydentowi: „Ronny, nie mamy wyboru. Prędzej czy później nasi przeciwnicy podejmą podobny projekt. Niewykluczone, że już podjęli. Doświadczenia z parapsychologią zawsze były u nich bardziej zaawansowane niż u nas... Dzięki Bogu w zasięgu ręki są dokonania klanu Altenbachów... A nie muszę dodawać, że jedynie nasz monopol zdolny jest uchronić przyszłe pokolenia przed prawdziwą Wojną Bogów”.

– Czyli co pan proponuje? – zapytał w końcu Kuzyn. – Przy zdolnościach, jakie ma reprezentować egzemplarz zero, przejęcie go nie będzie łatwe. Zwłaszcza, jeśli znajduje się za „żelazną kurtyną”, w Polsce.

– Wiemy jedno, z jakichś powodów Helmut nie chce przekazać go miejscowym władzom lub od razu Sowietom – zauważył Carmine.

– Może chodzi o cenę... Może w grę wchodzi walki frakcyjne – zastanawiał się Kuzyn.

– Tak czy siak, nienajgorszym pomysłem byłoby wykorzystanie komanda Helmuta – rzekł generał. – Niech odwalą za nas robotę. Niech sobie poparzą paluchy. Jeśli uda im się przetransportować tego człowieka na Zachód, tym lepiej. Wkroczymy na gotowe, a jako wyzwolicieli, zostaniemy uznani za przyjaciół.

– A jeśli mimo to nie zechce z nami współpracować? – Kuzyn miał pewne wątpliwości.

– Czas i eksperci zrobią swoje – odparł profesor. – Zresztą egzemplarz zero nie musi trafić w nasze ręce żywy. Dysponując jego ciałem zbadamy jego kod genetyczny, poznamy istotę nadludzkich umiejętności. A kto wie, czy wraz z postętami klonowania nie uda nam się produkować bogów w dowolnej ilości.

\* \* \*

Miałem więc wrócić do kraju, cały, wolny, w dodatku z trzema tysiącami franków w gotówce. Gdyby powiedziano mi o tym wcześniej, kiedy stałem zdesperowany nad zwłokami Isabelle, uznałbym to za surrealistyczny żart. A jednak. Wystarczyło podpisanie drobnego zobowiązania, w którym przyznawałem się do zamordowania Isabelle i kwitowałem odbiór zaliczki na poczet przyszłej współpracy. Z upiornego domu zawieziono mnie na dworzec w Olten, tam wyekspediowano do Genewy. Zdawałem sobie sprawę, że wpadłem po uszy, ale wrodzony optymizm podsuwał myśl, że zawsze to lepsze niż śmierć lub więzienie, prędzej czy później uda mi się z tego wypłatać, zwłaszcza gdy po powrocie do kraju zamelduję o prowokacji i próbie szantażu. Bandyci poinformowali mnie zresztą, że obronność, plan dworca w Małkini, czy funkcjonowanie stołówki w szpitalu MSW ich nie interesują, podobnie jak moje artykuły. Czego w takim razie chcieli? Żebym to ja wiedział. Musiałem ze trzy razy opowiedzieć im mój życiorys, włącznie z niezbyt chwalebny epizodem z Heleną, nie wiedzieć czemu wypytywali mnie szczegółowo o sytuację rodzinną, mieszkanie, znajomości... Co ciekawe, w ogóle nie interesowały ich moje kontakty z Waldkiem.

W pociągu przeanalizowałem listę wszystkich moich znajomych, którzy mogliby budzić zaciekawienie określonych sił. Nikt. Może poza Goldkindem? Wraz z Isabelle pochodzili z tego samego kręgu... Tylko, co ja właściwie wiedziałem o tym człowieku? Wszystkie informacje o jego życiu pochodziły z jego własnych wypowiedzi.

Poza tym – kim byli napastnicy? Naczytałem się mnóstwa książek kryminalnych i szpiegowskich, jednak wiedza wyniesiona z lektur ukazujących się w serii „Labirynt” nie pozwalała ustalić, czy albinos jest funkcjonariuszem FBI, Intelligence Service czy wręcz przeciwnie.

O wiele łatwiej przyszło mi załatwić powrót do kraju. W rozmowie telefonicznej z redakcją wspomniałem o chorobie serca i pragnieniu odpoczynku. Razem z naczelnym ustaliłem, że wrócę na parę tygodni do kraju podleczyć się. A potem Waldek załatwi mi jakąś placówkę w Mongolii czy w Laosie, gdzie nie dosięgną mnie żadne złowrogie macki.

W Swissarze znalazło się wolne miejsce. Na czwartek. Wracając do wynajmowanego pokoiku zrobiłem po drodze trochę zakupów w „Migrosie”, parę prezentów dla znajomych, dla Albinka słodycze. Trochę rzeczy na kolację i śniadanie, kartonowy pojemnik z apfelsaftem... Gwiżdżąc, wbiegłem po schodach starej kamienicy. Otworzyłem skomplikowany zamek. W środku wysypałem sprawunki na kuchenny stół i wszedłem do pokoju...

Mężczyzna siedzący przy moim stole, popijający moje piwo, miał wygląd typowego szwajcarskiego urzędnika. Schludny, zadbany i umiarkowany. Z tym wizerunkiem klóciła się jedynie czynność, której się oddawał. Czyszczenie dużego, automatycznego pistoletu.

– Wyjeżdżamy? – powiedział na mój widok.

– Ja, to znaczy, moja redakcja... – bełkotałem, zastanawiając się, w jaki sposób nieznajomy znalazł się wewnątrz zamkniętego mieszkania.

– Proszę się mną nie przejmować, zaraz skończę. A pan przed wyjazdem musi pewnie mieć wiele rzeczy do zrobienia.

– Ale ja wcale nie chcę wyjeżdżać! – desperacko wyrzuciłem z siebie.

– To po co ten bilet, który wystaje z kieszeni, dla szpanu? Skądinąd, bardzo dobrze się składa, że pan wyjeżdża do kraju. Nasza prośba dotyczy właśnie pańskiego pobytu w Polsce. A biorąc pod uwagę podjęte zobowiązania, chyba pan nie odmówi.

– Czego chcecie?

– Spokojnie, mamy czas do rana. Może odrobinę piwa? – uchylił drzwi mojej własnej lodówki. – I proszę nie robić takiej przerażonej miny. Nasze prośby nie będą wygórowane. Proszę słuchać i nie notować, ale zapamiętać!

\* \* \*

Wracając do kraju żywiłem drobną nadzieję, że wymknę się szantażystom, których macki nie sięgną za żelazną kurtynę. Jednak pierwszą rzeczą, która, powitała mnie w moim mieszkaniu na Ursynowie, był dzwonek telefonu. Ki diabeł? Nawet redakcja nie знаła dokładnego terminu mego przylotu. Odezwał się głos po francusku:

– Witamy w domu. Proszę odpocząć i przygotować się do zadania.

Nim oszołomiony wydukałem chociaż słowo, słuchawka została odłożona. Po chwili zdecydowałem się, trudno, opowiem o wszystkim władzom, dadzą mi ochronę. Pomogą. Wybiegłem z domu. I stanąłem jak wryty. Z ławeczki obok śmietnika podniósł się smagły mężczyzna, kolorem skóry bardziej pasujący do Trypolisu niż do Ursynowa.

– Czegoś potrzeba? – zapytał po niemiecku. – Może gdzieś podrzucić?

– Pa... papierosy mi się skończyły – rzuciłem pierwsze lepsze zdanie.

– Bitte – wy dobył z kieszeni paczkę „Klubowych” i grzecznie oddalił się na swoją ławkę.

Oszołomiony wróciłem windą na górę. Nieufnie popatrzyłem na telefon. A jeśli założyli podsłuch? O co tu chodzi? Moje zadanie nie wyglądało na nic specjalnego...

Wyjrzałem z balkonu. Ławka przy śmietniku była pusta.

\* \* \*

Sny... kolorowa podszewka banalnej zazwyczaj egzystencji. Lufcik do własnej podświadomości, azyl prawdy. A zarazem teatr grozy i udręki. Majaki senne odgrywały zawsze w życiu Heleny dużą rolę. Jednocześnie od najmłodszych lat utwierdzały w niej poczucie odmienności. Potrafiły być mroczne, pełne niewyraźnych konturów, ledwie ćmiących żarówek, kroków ciężkich, jakby stawianych na płynnym asfalcie.

Te najwcześniejsze, wielokrotnie powtarzalne – wysokie skaliste szczyty, pałacowe pomieszczenia i ludzie o anielskich twarzach. Kiedy w szkole poznała grecką mitologię, ze zdumieniem odnajdywała w rzeźbach Fidiasza i Praksytelesa postacie z dziecinnych majaków. Jak to było możliwe? Śnić mitologię, zanim się ją poznało.

Ale bywały i koszmary. Zanim ukończyła szesnasty rok życia była normalną, wesołą dziewczyną, nie stroniącą od na wpół dziecinnych flirtów i prywatek, aż gęstych od niewinnych pocałunków. Do czasu obozu harcerskiego koło Olsztynka. Któregoś dnia wracała wieczorem z miasteczka, posprzeczała się z chłopakami i zamiast do kina, postanowiła wrócić do obozu. Kawalek podrzucił ją kierowca nyski. Ostatnie dwa kilometry piaszczystej drogi wśród sosen i zarośli musiała przebyć pieszo.

Zobaczyła ich w ostatniej chwili. Czterech, mocno podpitych, agresywnych wiejskich osiłków.

– Te, lalunia! – zaczął jeden.

Przyspieszyła kroku.

– Księżniczka, chodź, skrzyżujemy oddechy – zachichotał drugi i skoczył ku niej.

Doszło do szamotaniny. Spocone łapy rozerwały jej bluzkę. Czyjaś ręka bezkarnie buszowała po majtkach. Ogarnął ją wstręt i nienawiść. Poderwała się z siłą zaiste niewiarygodną. Pospadali z niej jak chrabąszcze. Półprzytomna rzuciła się do ucieczki. Biegła szybko, lekko, goniona posapywaniami i pogróżkami. Smagały ją zarośla, ale nie zwracała na to uwagi. Dopiero donośny plusk z tyłu i brak odgłosów gonitwy sprawiły, że stanęła, obejrzała się. Jezioro wrzynało się w tym miejscu w ład długą, głęboką odnogą o szerokości kilkudziesięciu metrów. Teraz ta odnoga leżała dokładnie za nią. Wśród trzciny po drugiej stronie szamotali się niedawni napastnicy. Natomiast na gładkiej jak lustro tafli rozchodziły się kręgi wokół niewidocznych śladów jej nóg. Dotknęła swych butów. Z wyjątkiem podeszew – suche...

Nikomui nie powiedziała o tym cudzie. Jednak od tego czasu bardzo się zmieniła, zamknęła w sobie. Myśl o fizycznej miłości napelniała ją obrzydzeniem. Liczyła, że kiedyś to minie. Dość długo myślała poważnie o Włodku, chodzili ze sobą dwa lata i Helena wierzyła, że po ślubie wspólnie przewyciężą jej lęki. Gdy podczas owego tajemniczego snu, który trwał parę dni, zaszła w ciążę (nawiasem mówiąc bez uszkodzenia błony dziewiczej), jej uraz

psychiczny jeszcze się wzmógł. Zwłaszcza, że Włodek, ukochany chłopak, odtrącił ją, pierwszy okrzykując pospolitą kurwą. A potem Adam zaproponował jej małżeństwo. Lubiła go. Była wdzięczna za wyciągniętą rękę, choć zdawała sobie sprawę, że nie jest to oferta bezinteresowna. Czytała w myślach swego męża i wiedziała, że traktuje ją jak przedmiot, a całe jego uczucie jest przede wszystkim wielkim fizycznym pożądaniem, dążeniem do zaspokojenia męskiej satysfakcji: „Mam na własność taką dziewczynę!”

Mimo to, być może zostałaaby z czasem jego prawdziwą żoną. Niestety, Szarecki wszystko popsuł, okazał się zbyt nerwowy, zbyt natarczywy, nie umiał czekać, a gdy rozpoczynał grę, trafiał zawsze w niewłaściwą strunę. A później miłość do Łukasza przysłoniła jej świat. Rozstała się z Adamem.

Dalsze życie upewniło ją, że postąpiła słusznie. Jej nieskonsumowany małżonek ujawnił tyle wad, tyle przyziemnych słabości... Z wszystkich uczuć, jakie ongiś do niego żywiła, pozostało jedynie politowanie, z biegiem czasu przechodzące w obojętność.

Inni mężczyźni nadal jej nie pociągali. Jako kobieta atrakcyjna nie narzekała na brak adoratorów. Woląa jednak samodzielność. Podjęła pracę nauczycielki i wkrótce ukończyła zaocznie studia. Promotor, jeden z samców porażonych jej urodą, zaproponował jej otwarcie przewodu doktorskiego. Obroniła pracę w ciągu dwóch lat. Potem dostała pół etatu w PAN-ie.

Finansowo powodziło się jej dobrze. Regularnie co miesiąc, ósmego, przychodziła do niej koperta bez nadawcy, zawierająca setkę nowiutkich dolarów. Nie wiedziała, co z tym robić. Początkowo chciała oddać, ale komu? Stempel na kopercie był warszawski. Jednak nie mogła przecież każdego ósmego pilnować wszystkich skrzynek w mieście... Odkładała te pieniądze. Później zaczęła wydawać, przyjmować jak naturalną rekompensatę. Ósmy to przecież data jej wprowadzenia...

Wielokrotnie wracała myślą do tamtych czasów, a nawet do wcześniejszych zdarzeń w Rychłowie. Kim naprawdę był ten Austriak, niewiele od niej starszy, który zaczął ją na rynku, zapraszając na kawę, a gdy odmówiła, zasypał ją prezentami i liścikami? Łowcą panienek czy wysłańcem losu? W swych zabiegach wydawał się być niezmordowany. Spotkał się nawet z ciotką Frankiewiczową i za jej pośrednictwem złożył ofertę matrymonialną. Potem zdarzył się ów incydent przy murze cmentarnym, gdy zwabiona w pułapkę, doświadczyła niezwykłego uczucia przenikania przez mur (musiała wówczas znajdować się w jakimś wyjątkowym psychicznym stanie, wielokrotnie próbowała to powtórzyć, ale nigdy nie udało jej się osiągnąć podobnej koncentracji). Wreszcie zahipnotyzowano ją, co omal nie skończyło się w łóżku cudzoziemca. A ów marcowy dzień, kiedy na wpół oszołomioną gazem łzawiącym wciągnięto ją do jakiejś limuzyny w bocznej uliczce? Poznała pasażera, był to ten sam Austriak o lekko nalanej twarzy aseksualnego kleryka.

– Nie bój się, panno Heleno! – powiedział. – To przeznaczenie.

Zaraz potem straciła przytomność...

Przez wiele następnych lat usiłowała pojąć, dlaczego wybrano ją na partnerkę cudzoziemca (Łukasz był przecież do niego podobny). Czemu miała zawdzięczać fakt, że nie wykorzystano jej podczas snu, a jedynie sztucznie zapłodniono? Prędko odkryła niezwykle talenty Łukasza. Bardzo się bała, że odkryją je inni. Chciała, by był zwykłym chłopcem, a nie rajskim ptakiem wśród stada wróbli. Chociaż dość często ogarniała ją duma, że urodziła kogoś tak niezwykłego, przerażała ją myśl o nieznanym przeznaczeniu. Ku czemu to wszystko zmierzało? Kim miał stać się jej syn? Jakie zadanie mu przeznaczono? Jeszcze będąc w ciąży odwiedziła, w tajemnicy przed Adamem, pewną wróżkę na Targowej. Babina nie przyjęła honorarium, nie powiedziała też nic szczególnego. Wyraźnie przestraszona powtarzała w kółko, że czuje w powietrzu wielką moc, wobec której jest bezradna. Wydukała jedno znamienne zdanie: „pilnujcie dziecka”.

O tym ostrzeżeniu nieomal zapomniała, aż do niedawnego letniego wieczoru, kiedy bez powodu obudziła ją fala strachu. Usłyszała hałas z pokoju Łukasza. Nieomal zderzyła się z synem na korytarzu, gdy ze zmierzwionym włosom i koszulką założoną na lewą stronę biegł ku drzwiom. Nie próbowała go powstrzymać, wiedziała, że nie da rady.

Później bała się pytać o zamach na Joannę. Słuchała, co mówili ludzie. Półoficjalna wersja wspominała o pomyłce lekarza, który pochopnie uznał dziewczynę za zmarłą, a ta odzyskała przytomność zaraz po zjawieniu się jej chłopaka. Plotka o cudownym wskrzeszeniu, jako zupełnie nieprawdopodobna, na szczęście się nie rozniosła.

Jednak strach na dobre rozpanoszył się w życiu Heleny. Czuła niebezpieczeństwo, ale nie miała pojęcia, jak ochronić przed nim swego syna.

Parę dni po zamachu Łukasz sam dojrzał do rozmowy. Widział, że matka przypomina kłębek nerwów.

– Nie bój się mammo! – powiedział przy śniadaniu. – To minęło! Nie wyczuwam nowego niebezpieczeństwa. Jeśli ci dranie ponowią atak, spotka ich odpowiednia odprawa.

Tego dnia nie poszedł do szkoły. Siedzieli w kuchni i rozmawiali. Długo, szczerze, serdecznie. Po raz pierwszy opowiedziała mu o wszystkich perypetiach związanych z jego poczęciem, a on zrewanżował się, opisując zdarzenia ostatnich godzin.

– Ja naprawdę czuję w sobie siłę, mamusiu! Obronię i ciebie, i siebie – rzekł.

– Sądysz, że potrafiłbyś wytropić tych facetów? – Urwała, przestraszona własną koncepcją.

– Nie potrafiłbym tylko dokonać prewencyjnego morderstwa, mammo...

\* \* \*

Pomysł, żeby wykorzystać Adama Szareckiego do porwania Łukasza, był osobistym konceptem Henriego. Już podczas przyjęcia w Neuchatel trafnie ocenił dziennikarza jako człowieka inteligentnego, acz tchórzliwego. W sam raz, żeby posłużyć jako wytrych do

zdobycia egzemplarza zero. Skoro bezpośredni atak był niemożliwy dzięki nadprzyrodzonym talentom chłopca, trzeba było posłużyć się wybiegiem.

– Miejmy nadzieję, że ten Łukasz nie domyśli się zasadzki – niepokoił się Maks

– Sam stwierdziłeś, że możliwości telepatyczne chłopaka maleją wraz z dystansem. Postaramy się nie wchodzić z nim w kontakt bezpośredni. Jestem pewien, że miliony biologicznych fal, nakładających się na siebie, tworzą szum, z którego trudno wyłuskać właściwe informacje. Chyba że kontakt psychiczny jest stały, utrwalony, ukierunkowany, gdy medium wie, na jakiej częstotliwości ma szukać impulsów. Wtedy prawdopodobnie możliwe jest nawet międzykontynentalne porozumiewanie się.

– Powiedzmy, że to się da załatwić, że będziemy mieli szczeniaka w ręku – Maks potarł dłonią spocone czoło. – Co dalej? Jak skłonimy go do współpracy?

– Podejrzewam, że jeśli tkwi w nim trochę cech specyficznie ludzkich, zafrapuje go nasza wizja postępowego świata, połączce próżność, zafascynują możliwości...

– A jeśli nie?

– Zawsze jest druga możliwość. O ile wiemy, są dwie istoty, które kocha, a to sporo...

– Szantaż? – domyślił się Maks.

Henri tylko się uśmiechnął.

\* \* \*

Nie wiedziałem, że tak się to skończy. Omar – bo tak przedstawił się południowiec, twierdził, że całe moje zadanie ograniczy się do jednej rozmowy telefonicznej. Zadzwońię do mamy, wyślę ją do Heleny i ta zaprosi ją w moim imieniu...

– I to wszystko? – dopytywałem się.

– Oczywiście – wyszczerzył nierówne, przyżółcone zęby. – Musimy wyciągnąć ich z mieszkania, żeby założyć pewne urządzenie podsłuchowe... Potem pożegnamy się na zawsze. Będzie pan świadkiem, że nic złego im się nie stanie.

Pomyślałem o nadzwyczajnych talentach Łukasza i uznałem, że ten Arab mówi prawdę. Łukasz wyczuje niebezpieczeństwo i potrafi się obronić. Zrobiłem więc, jak chcieli.

Nazajutrz (trzynastego w piątek) skorzystałem z zaproszenia i pojechałem pickupem, który Omar zaparkował nieopodal mieszkania Heleny.

Oprócz niego pojawił się Hermann – ów Szwajcar, który przed paroma dniami napędził mi tyle strachu w Genewie. Około dziesiątej rano zobaczyłem nadjeżdżającego poloneza, od czasu mego wyjazdu do Szwajcarii pozostającego w rękach mojej mamy. Ostatnio nieczęsto odwiedzała byłą synową. Miała spore kłopoty z chodzeniem. Jednak mimo naszego rozvodu, obie panie pozostawały w dobrych stosunkach. Mama uważała Łukasza za swego wnuka i nawet w czasach, gdy ja skwapliwie pragnąłem zapomnieć o istnieniu Heleny i Łukasza, nie zaprzestała wizyt, pomagała im... Jej niezapowiedziana wizyta nie zaskoczyła jednak ani Heleny, ani jej syna.



– Adam wczoraj wrócił – poinformowała była synową, wchodząc. – Przywiózł parę drobiazgów dla Łukasza. Prosił, żebym was przywiozła do niego. Po podróży jest trochę niezdrowszy, ale może przyjmować gości...

– Bardzo chętnie pojedziemy – zarówno Łukasz jak i Helena wyczuli w głosie i aurze pani Kazi samą szczerą i życzliwą.

– Szkoda, że sam nie zadzwonił – zauważyła Helena.

– Znasz go tak samo jak ja... I tak cud, że w Genewie o was pamiętał.

Zeszli na pustą o tej porze podwórko. Wsiedli do poloneza. Mama uruchomiła silnik.

Hałas rozrusznika stłumił cichy trzask. Wnętrze wozu natychmiast wypełnił stężony gaz paralizujący. Dawka była tak silna, że błyskawicznie stracili przytomność. Łukasz mógł przewidzieć złe intencje ludzi, ale nie działanie automatycznego detonatora. Jego babcia osunęła się na kierownicę.

– Co wyście zrobili? – krzyknąłem. – Okłamaliście mnie!

– Spokojnie, zostali jedynie uśpieni – powiedział Hermann. – Jutro obudzą się w jak najlepszej formie. A ty zapomnisz o całej sprawie.

Tymczasem Omar otworzył wszystkie drzwi poloneza, żeby wywietrzyć. Potem wnieśli do mercedesa Łukasza, a następnie Helenę. Moją mamę zostawili na miejscu.

Chciałem podejść do niej, ale Arab syknął tylko:

– Nie!

Zastanawiałem się nad możliwością ucieczki, zaraz za rogiem był komisariat.

Hermann puścił do mnie oko:

– Nawet o tym nie myśl!

– Chcę tylko wrócić do domu.

– Kiedy skończymy.

– To znaczy kiedy?

– Dopiero zaczęliśmy.

Cała operacja trwała nie dłużej niż pięć minut. Należy wątpić, czy ktoś z okolicznych mieszkańców zwrócił uwagę na ten incydent.

## Rozdział XVIII

# Plan Graya

Plan Freda był prosty i zrodził się natychmiast po ostrzeżeniu przysłanym przez Christine. Ukraść jakiś wóz, odstawić Evelyn do Gleterkinden, gdzie mieszkała jej najlepsza przyjaciółka, a potem zapaść się pod ziemię. Gdyby był w formie, nie przedstawiałoby to żadnych trudności. Wycieńczony chorobą i tak słaby, że kobiecy strój pasował doń bardziej niż męski, nie był z pewnością dawnym Grayem. Zanim doszedł do Clara Platz, zatrzymała go policja.

– Idź dalej – syknął do Evelyn. Posłuchała go bez słowa.

Policjanci nie byli przygotowani na spotkanie z Rambo w spódnicy, który jakimś cudem odzyskał na chwilę dawną formę. Chwilę później obaj funkcjonariusze leżeli na ziemi, a Gray odjeżdżał ich samochodem. Ulica była jednokierunkowa, nie mógł wrócić po Evelyn. Miał nadzieję, że bystra dziewczyna poradzi sobie bez niego lepiej niż z nim. Kolejny wóz ukradł przy parkingu St. Jacobs. Przebrał się w męskie ciuchy. Uruchomił samochód, zwierając przewody i na zawsze opuścił Bazyleę. Jego sprawy przedstawiały się źle. A nawet jeszcze gorzej. Ścigali go wrogowie, przyjaciele i szwajcarska policja. Nie miał pieniędzy. KOMÓRKA zablokowała mu kartę kredytową. Znała jego fałszywe paszporty, kontakty i skrytki. Całe życie zatoczyło koło, wracając do punktu wyjścia. Jak przed dwudziestu laty był sam. Musiał wszystko zaczynać od nowa. I myślał ze strachem, co będzie, jeśli odnajdą Evelyn i zaproponują mu wymianę, jego życie za jej.

Evelyn! Jakże przypominała mu Marię. Pierwszą osobę, która w obcym świecie okazała mu życzliwość, a potem miłość. Zaczęło się od pracy na czarno w rezydencji jej starych, w charakterze ogrodnika. A potem... Pokonali wszystkie przeciwności, szykany rodziny, pogroźki władz, straszących deportacją. Uratowała go jej ciąża. Ojciec Marii, senator, nie chciał być dziadkiem bękarta i pomógł mu uzyskać status uchodźcy. Wzięli cichy ślub i wierzyli, że będą szczęśliwi. Niestety, kiedy przy porodzie Maria zmarła, odebrano mu dziecko, a jego samego zmuszono do ucieczki. Trzydzieści lat musiało upłynąć, zanim mógł się z nią zobaczyć, a osiemnaście, by zabrać córkę od dziadków. Miał wtedy inną tożsamość,

wyniesioną z Legii Cudzoziemskiej renomę zawodowego zabójcy i dość środków, aby zapewnić dziewczynie studia w Szwajcarii. Pięć lat ich kontakty były wspólną tajemnicą, a później, gdy jako pełnoletnia oświadczyła dziadkom, że wyjeżdża – nie uczyniła nic, żeby domyślili się w tym inicjatywy Graya. W Bazylei ojciec i córka znaleźli zaciszny dom, gosposię i dwa lata cieszyli się namiastką rodziny. Dość długo nie wtajemniczał jej w sekrety swej pracy. Dopiero niedawno odkrył, że Evelyn całkiem dobrze orientuje się w jego sprawach, toteż kategorycznie zabronił jej mieszania się w niebezpieczne zabawy. Słusznie podejrzewał, iż nieodrodna córka odziedziczyła po nim awanturniczą żyłkę. Za wszelką cenę starał się trzymać ją z daleka od KOMÓRKI i dopiero po wydarzeniach na Jungfrau, był zmuszony poprosić ją o pomoc.

Przed Delemont skręcił z głównej drogi, kierując się ku granicy francuskiej. Musiał znaleźć jakąś kryjówkę, wyleczyć się i czekać na reakcje jakie wywoła anons, który Evelyn zamieściła w „Le Figaro”: *W sprawie spadku po Szarym Domu zgłaszam swą gotowość. Łowca Złota*. Ostatnie wiadomości uzyskane z redakcji mówiły o dwóch zainteresowanych, którzy odpowiedzieli na anons. Ani chybi KOMÓRKA i grupa UNO... A może jednak Altenbachowie? Kontaktowy telefon, który im podał, był od dawna spalony. Dotąd choroba uniemożliwiała mu porozumienie, ale teraz...

Wyciągnął bibułkę z zapisanymi numerami. Ten niemiecki należał pewnie do KOMÓRKI, paryski natomiast, kto wie?

W pobliżu granicy zauważył leśną dróżkę i skręcił w nią. Doczekał zmierzchu i zamaskowawszy samochód w krzakach, przeszedł w bród rzeczkę o nazwie Lucelle. Znalazł się we Francji.

\* \* \*

Ostatni goście opuścili restaurację w Laferret koło pierwszej. Anette Rollin zamknęła drzwi lokalu i opuściła żaluzje. Zamierzała wyłączyć światło, kiedy za barem wyrósł wysoki, blady i nieogolony mężczyzna. Chciała krzyknąć, ale intruz położył jej palce na ustach.

– Cicho!

Słowu towarzyszył uśmiech, przenikliwe spojrzenie i tajemniczy fluid, który sprawił że strach Anette zmalał o połowę.

– Uciekłem przez granicę – powiedział. – Pomóż mi.

– Zabiłeś kogoś?

– Nie, tylko obrabowałem bank – powiedział Gray i zemdlał.

Miał szczęście. Dwudziestoletnia Anette od dawna marzyła, że w jej życiu zjawi się ktoś taki jak „Cartouche zbójca”, ktoś, kto wyrwie ją z zapyziałej wioski, otoczy miłością, luksusem. Toteż zamiast wezwać policję, zaciągnęła mężczyznę do pakamery, w której w szczycie sezonu nocowały nadliczbowe kelnerki. Ściągnęła z niego przemoczone ciuchy, podała lekarstwo... Wprawdzie w garderobie przybysza nie znalazła pieniędzy ani broni, to

jednak, gdy o świcie do zajazdu zapukało dwóch funkcjonariuszy i spytało, czy nie kręcił się tu jakiś cudzoziemiec, skłamała bez zmruczenia powiek: Nie!

– To morderca, czy tylko złodziej? – zapytała policjantów.

– Oficjalnie Szwajcarzy ścigają go za kradzież samochodu, ale chyba nie mówią nam wszystkiego.

Rano Baltur Faleri, takie nazwisko wyczytała w paszporcie, poczuł się znacznie lepiej. Zjadł śniadanie, wstał, umył się i pocałował wybawicielkę w policzek.

Boże, już jestem mokra, pomyślała. Nie było jednak czasu na amory. Lada chwila mógł nadejść ojciec albo macocha... Przeprowadziła go na stryszek w dawnej stajni.

I obiecała zajrzeć później. Cóż za emocje!

Fred spędził na tym stryszku dwa dni i trzy noce. Szybko wracał do sił. Choć roztrwonił ich sporo, wielokrotnie kochając się z Anette, która w każdej wolnej chwili wpadała do jego kryjówki. Finezja i doświadczenie małej prowincjuszki przekonały go, że rewolucja seksualna w zachodniej Europie dokonała się naprawdę dogłębnie. W czasie wolnym od erotycznej akrobatyki, obciął włosy na zero, poczernił wąsik, który zdołał zakiełkować mu pod nosem. Sam nos rozepchał pomysłowymi rurkami, a wkładki wycięte z plastiku zmieniły mu kształt szczęki. Trzeciej nocy, przed świtem pożyczył od dziewiętnastolatki niewielką sumę pieniędzy i obiecując wrócić za jakiś czas, pojechał jej rowerem w kierunku Miluzy, przekonując dziewczynę, że po odszukaniu ukrytych pieniędzy wróci i będą żyli razem długo i szczęśliwie. Wiedział, że nie dotrzyma obietnicy, ale pocieszał się, że Anette nie może być aż tak naiwna, żeby w to uwierzyć.

\* \* \*

Najłatwiej ukryć się w tłumie. Gray ufny w zmienioną aparycję, pojechał autobusem na lotnisko w Miluzie, skąd z automatu zadzwonił pod oba numery otrzymane z redakcji „Le Figaro”. Najpierw wykreślił kierunkowy do Paryża, a następnie wybrał właściwy numer abonenta. Po chwili ciszy dobiegły go dwa kasznięcia i niepewne, starcze: „Halo!”

– Ja w sprawie oferty.

– Proszę?

– Na anons podpisany przez „Łowcę Złota” wpłynęła oferta z waszym telefonem.

– Słucham, a kto dzwoni?

– Gray, czy mam przeliterować? G... R...

– Chyba zaszła jakaś pomyłka. Nie dawałem żadnej oferty. Chyba że... – staruszek zmienił ton. – Ja nic nie wiem, ale proszę zadzwonić wieczorem.

Fred odwiesił słuchawkę. Nie miał pojęcia, do kogo się dodzwonił. Staruszek mógł być równie dobrze w spółce z Altenbachami, jak z KOMÓRKĄ. Pozostała druga ewentualność. Numer we Frankfurcie.

Ustalone rezerwowe hasło dla nieznanających się osobiście pracowników KOMÓRKI brzmi: „Czy zastałem Klarę?” Prawidłowa odpowiedź to: „Klara nie była tu od tygodnia”. Autoryzację winno kończyć potwierdzenie: „Mam dla Klary prezent od Rudiego”. Hasła tego można było używać jedynie w sytuacjach awaryjnych.

Ktoś we Frankfurcie odebrał telefon.

– Czy zastałem Klarę? – zapytał Gray

– Klara nie by... – zaczął automatycznie rozmówca i prawie natychmiast się zmytygował.

– Z kim chce pan rozmawiać?

Odłożył słuchawkę na widełki. Jedno się wyjaśniło. Dawni towarzysze odpowiedzieli na jego anons. Tylko w jakim celu? Chcieli wyjaśnić sytuację, czy tylko go zabić?

Musiał szybko opuścić lotnisko, zanim ludzie Teścia zorientują się, skąd dzwonił.

\* \* \*

Wczesnym świtem trzynastego września, bulwarem Montparnasse, wśród dokuczliwej mżawki dreptała przygarbiona staruszka. Mimo wyraźnych trudności z poruszaniem się, spod kosmyków siwych włosów jej oczy rozglądały się czujnie i zgoła młodzieńczo. Szczególne zainteresowanie wzbudziła w niej pewna secesyjna kamienica, która niewiele zmieniła się od czasów jej młodości. Kobieta zadzwoniła. Otworzyła tęga konsjerżka.

– Czego? – zapytała.

– Mam ważny list do doktora Candeliera – wykaszła starucha

– Doktor wyjechał! Proszę go zostawić.

– Powinam oddać do rąk własnych. Chyba że pani pokwituje...

– Mogę pokwitować.

Obie kobiety weszły do służbówki. Dozorczyni przez chwilę szukała długopisu, a kiedy odwróciła się, na wysokości jej oczu czerniał wylot pistoletu. Chciała krzyknąć...

– Milczeć – zgasił ją męski głos. – Będzie pani wypełniać moje wszystkie polecenia, to nic się nie stanie. Jasne?

Skinęła głową.

– Kto znajduje się w tej chwili w mieszkaniu numer czterdzieści cztery?

– Mecenasa Vitry.

– Powiedziałem: w tej chwili. Wiem, że pan Vitry ma gości, mężczyzn, ilu?

– Trzech... Nie, czterech! – poprawiła się szybko.

– Doskonale, teraz pójdzie pani ze mną. Proszę wziąć klucz od mieszkania doktora Candeliera.

– Nie mogę. Doktor nie życzy sobie... – próbowała zaprotestować, ale lufa i groźne spojrzenie zrobiły swoje.

Mieszkania doktora Candeliera i mecenasa Vitry znajdowały się obok siebie. To ustalił Gray już podczas pierwszego spaceru bulwarem Montparnasse. Z apartamentem, do którego

należał paryski telefon, podany w odpowiedzi na anons „Łowcy Złota”, sąsiadowały jeszcze dwa. Na wizytówkach przy zewnętrznych drzwiach znalazł nazwiska. W książce telefonicznej odszukał numery. W mieszkaniu po lewej odpowiedział jakiś zaspany głos, burknął więc – pomyłka. Natomiast telefon z mieszkania po prawej milczał... Czyżby doktora Candeliera nie było w domu?

Na tym założeniu oparł plan akcji.

Portierka bez oporu otworzyła piękne mahoniowe drzwi, wprowadzając Freda do apartamentu znanego dermatologa.

– Tylko proszę, żeby nic nie zginęło. Doktor mnie zabije!

Przytknął palec do ust. Szybko rozejrzał się po mieszkaniu. Zauważył, że sypialnia doktora przylegała do ściany apartamentu mecenasa.

– Co jest za tą ścianą? – zapytał.

– Salon!

Nie spuszczać oka z kobiety uniósł telefon i wykręcił numer do mieszkania obok.

– Tu Gray! – powiedział w odpowiedzi na starcze „Hallo”.

– Miał pan dzwonić wczoraj wieczorem... – gderał Vitry. – Czeka tu pański klient.

– Mógłbym z nim porozmawiać?

Rozległ się chrobot i słuchawkę przejął ktoś o niskim głosie.

– Gdzie pan jest, Gray? – zapytał.

– Czy rozmawiam z monsieur Altenbachem?

– Z jego przedstawicielem – odpowiedział bas.

– Jestem w Paryżu. Dzwonię ze stacji metra przy Montparnasse i...

– Proszę tam poczekać, za kwadrans przyjedziemy po pana.

– Jak się poznamy?

– Monsieur Altenbach podał nam pana rysopis. Proszę czekać przy kwaciarni. Au revoir!

Po odłożeniu słuchawki Fred zbliżył się do pokrytej jedwabiem ściany sypialni. Lekceważąc portierkę, wydobyl z kieszeni urządzenie do złudzenia przypominające lekarski stetoskop. Zupełnie jakby sprawdzał, czy budynek nie jest chory. Zaraz usłyszał odgłosy pośpiesznej narady.

– Jest na Gare de Montparnasse – dudnił bas.

– To słyszeliśmy – zauważył drugi.

– Paul, Gaston i Andre pojedą na miejsce. – zdecydował trzeci, o znajomym, lekko chrapliwym głosie. – Zdejmijcie go w miarę spokojnie, bez strzelaniny. Żywcem... No, w ostateczności...

– A ty?

– Zabawię tu jeszcze jakiś czas. Muszę porozmawiać z mecenasem...

Kątem oka Gray dostrzegł, że konsjerżka cicho podniosła się z miejsca i zmierza ku drzwiom. Nie miał czasu bawić się w uprzejmości, ogłuszył ją jednym ciosem i ułożył na

łóżku. Wrócił do nasłuchiwania. Narada jednak skończyła się. Przez wizjer w drzwiach obserwował, jak trzech mężczyzn łąduje się do windy. Na ich twarzach malowało się skupienie.

Mają przede mną pietra, pomyślał z dumą. Pochylił się nad konsjerżką. Nadal leżała zamroczona.

– Przykro mi, ale na chwilę muszę panią opuścić.

Zbiegł na dół, zabrał klucze od apartamentu czterdzieści cztery i wróciwszy do lokalu Candeliera, ponownie zadzwonił do sąsiada.

Odebrał Vitry.

– Pan Gray? Mój bratanek pojechał po pana.

– Chciałem tylko... Cholera! Ktoś za mną idzie... Chwileczkę... muszę... – tu odłożył słuchawkę na poduszkę i wybiegł na korytarz.

Zamki w lokalu czterdzieści cztery były doskonale naoliwione. Vitry, ze stojącym nad nim Burkiem, powtarzał co chwilę: „hallo, hallo” i nawet nie zauważyli, jak Fred wyrósł obok nich.

– Może pan odłożyć słuchawkę, mecenasie – powiedział Gray. – A ty, Ted, bez zbędnych ruchów.

– Gray, ty szatanie! – twarz porucznika wyrażała podziw, pomieszany z wściekłością.

– Nie mam czasu na komplementy. Co z panem, mecenasie?

Siedzący przy aparacie starzec w czerni, uniósł ręce skute kajdankami.

– Naprawdę, jak ci nie wstyd, Burke! Żadnego szacunku dla starszego człowieka? Rozkuj go natychmiast. – Ponieważ porucznik nie zareagował, dorzucił: – Rozkuj go albo poleć swoją duszę Bogu!

Z ogromną niechęcią porucznik spełnił polecenie.

– Teraz pora na rewanż – zdecydował Fred. – Proszę. Niech pan skuje jego, mecenasie.

– Gray, nie wygłupiaj się. Nie chcieliśmy zrobić ci krzywdy. Kuzyn chce się dogadać.

– Jeszcze nie nadszedł czas rozmowy. Mecenasie, proszę ze mną!

– Jesteś szalony. Nie puszczą ci tego płazem.

– Do widzenia. Aha, nie ma co czekać na telefon kolegów, linia jest zablokowana.

Szybko zjechali na dół. Przy rogu czekała zamówiona taksówka.

– Naszli mnie dwa dni temu, straszili, kazali odbierać wszystkie telefony... Ale nie wiedzą, gdzie jest pan Peter – tłumaczył prawnik.

– Nie powiedział im pan tego, brawo!

– Nie powiedziałem bo sam nie wiem.

\* \* \*

Zatrzymaliśmy się przy jakimś baraku niedaleko lotniska na Okęciu. Hermann wniósł do środka Helenę i zażądał bym mu towarzyszył. Myślałem, że Omar wraz ze śpiącym

Łukaszem pójdą w nasze ślady. Czas jednak płynął, a oni nie pojawili się. Na moje pytanie, gdzie są, Szwajcar odparł lakonicznie:

– Daleko.

A potem zaczął opowiadać, czego jeszcze oczekują ode mnie.

Helena odzyskała przytomność około szóstej rano. Próbowała wstać, ale miała spore kłopoty z utrzymaniem równowagi. Znalazła butelkę soku i wypła go duszkiem.

Potem poczuła ukłucie w przedramię.

– Zaraz poprawimy pani samopoczucie – powiedział Hermann chropawą polszczyzną.

Tym razem nie kłamał. Musiał zaaplikować jej silny narkotyk, bo natychmiast poczuła się lepiej, kontury przedmiotów wyostrzyły się. Na monitorze widziałem jak wstaje, rozgląda się dookoła, a właściwie z przymkniętymi oczyma usiłuje łowić niewidoczne fale. Jej skupienie mogło oznaczać jedno: szukała Łukasza. Pisząc to wiem, że fluidami przeszukiwała przestrzeń dookoła. Nigdzie jednak nie natrafiła na znajomy sygnał. Wewnętrzny głos podszeptował wprawdzie, że syn żyje, ale w takim razie, dlaczego nie odpowiadał?

– Łukasz, gdzie jesteś? – jęknęła.

– Proszę się nie martwić. Syn jest zdrow i bezpieczny – powiedział Hermann. – Jest daleko stąd i pewnie jeszcze trochę pośpi.

– Co chcecie mu zrobić?

– Zaprzyjaźnić się. Chcemy, by pani nam w tym pomogła. W ramach współpracy.

– Z nikim nie będę współpracowała, zanim nie oddacie mi Łukasza.

– Może porozmawia pan z nią, panie Szarecki.

Na głos mojego imienia poderwała się na łóżku. Herman wpuścił mnie do środka, sam taktownie wychodząc. I tak miał cały pokój na podsłuchu. Helena przez moment wpatrywała się we mnie rozszerzonymi źrenicami.

– Co ty tu robisz, Adamie? Działasz przeciwko nam? Pomogłeś im w porwaniu? Dlaczego?

– Robię, co muszę – odpowiedziałem, nie podnosząc wzroku.

– Jak mogłeś?

– Tego nie da się wyjaśnić jednym zdaniem... Szantażują mnie. Zresztą... nic wam nie grozi. Chodzi o wielki naukowy eksperyment – dukałem wyuczoną lekcję. – Chcą zbadać Łukasza w warunkach szpitalnych. Chodzi o wykorzystanie jego talentów. Opracowywany jest wielki program dla dobra ludzkości. Przed twoim synem stoi wielka szansa. I bez żadnego ryzyka. Pieniądze i sława...

– Sam w to nie wierzysz – przerwała mi. – Wiesz jedynie, że są gotowi na wszystko. I boisz się. Czy to już wszystko, co miałeś mi przekazać?

– Mają wobec ciebie jeden plan. Chcą, żebyś wyjechała z Polski.

– Dokąd?

– Spotkać się z synem.



- Gdzie? – Poderwała się. A na bladą twarz w mgnieniu oka wróciły rumieńce.
- Tego mi nie powiedzieli. Ale jest kupiony dla ciebie bilet do Frankfurtu. Lufthansą.
- Przecież ja nawet nie mam paszportu!

– Masz. – Podałem jej mocno sfatygowany dokument na nazwisko Ingi Bayer ze Stuttgartu. Zaskoczona ujrzała własne zdjęcie, bogatą kolekcję stempli i wiz, a nawet własnoręczny podpis. – Samolot odlatuje za trzy godziny – dorzuciłem. – Jeśli zdążysz, jeszcze dziś spotkasz się z Łukaszem.

- Dlaczego nie ma go tu z nami? – spytała podejrzliwie.
- Nie wiem. Prawdopodobnie nie chcieli, abyście razem przekraczali granicę.
- Rozumiem, że nie mam wyboru?

– Nikt z nas nie ma. Hermann, tak się nazywa ten elegant, powiedział to wyraźnie. Jakiegokolwiek nieposłuszeństwo, próba ucieczki czy dekonspiracji, to wyrok dla Łukasza.

Nie odpowiedziała nic, ale jej wzrok był wystarczająco wymowny. „Gdybyś nie był takim tchórzem pokazalibyśmy tym draniom”. Czego się po mnie spodziewała, że zachowam się jak Rambo?

Pod barakiem czekała taksówka. Zawiozła mnie z powrotem do domu. Czułem się nieludzko zmęczony. W końcu całą poprzednią noc nie zmrużyłem oka. Z mieszkania zadzwoniłem do mamy. Zastałem ją u siebie całą, zdrową, chociaż niezwykle przerażoną. Jak twierdziła, w środku nocy obudziła się w samochodzie. Dopytywała się o Łukasza i synową...

Ponieważ nie wiedziała o mej obecności na miejscu zdarzenia, mogłem bezpiecznie zasugerować jej, że zaraz po wejściu do samochodu zemdlą na skutek gwałtownego skoku ciśnienia. Obiecałem pokazać jej list od Heleny (napisany pod moje dyktando), w którym znalazło się wytłumaczenie na temat śmierci kuzynki w Rychłowie i konieczności wyjazdu z Łukaszem na pogrzeb. Podobne listy przekazałem, do dyrekcji szkoły Łukasza i do PAN-u.

A potem poszedłem spać. Pragnąłem tego od dawna. Zasnąć i możliwie długo się nie budzić, a może wszystko jakoś się ułoży. Z tapczanu zwlokłem się dopiero wieczorem i zadzwoniłem do Natalii, żeby przynajmniej w jej ramionach zakosztować zapomnienia...

Trudno będzie. Ale miałem to opanowane. Nie myśleć o rzeczach trudnych, skoncentrować się na sprawach bieżących: pracy, stanie konta, cyckach Natalii. Zazwyczaj to skutkowało. Do dziś. Dziś nie mogłem zagłuszyć wyrzutów sumienia, ani nieprzyjemnych pytań. Daremnie powtarzałem sobie: Stało się, nic na to nie poradzę, koniec, kropka! Gorsza część mojego ego podsuwała usprawiedliwienie: „Wszystkiemu jest winna Helena. To ona zwichnęła ci charakter. Gdybyście byli normalnym małżeństwem, nie przeżyłbyś tylu frustracji, nie poszedłbyś na lep Waldka, kto wie, może byś pisał wiersze, choćby w podziemi. Tak, wszystko mogło potoczyć się inaczej. Przy kochającej żonie, utalentowanym dziecku, zresztą, kto wie, prawdopodobnie mielibyście jeszcze więcej potomstwa”. Tu zdałem sobie sprawę, jak bardzo przydałoby mi się własne dziecko. Żeby coś po mnie zostało, kiedy już obróć się w proch.

W dzieciństwie wierzyłem w Boga, w duszę nieśmiertelną. Potem zwątpiłem. Ateizm był wygodniejszy, życie bez spowiedzi mniej kłopotliwe. Oczywiście, zafascynowanie „naukowym poglądem na świat” nie trwało długo. Z pojawieniem się pierwszych siwych włosów nadszedł czas refleksji. Potem wybrano polskiego papieża. Obserwowałem transmisję z jego pielgrzymki, kręciłem się pamiętnego czerwcowego dnia wokół placu Zwycięstwa. Chciałem cieszyć się euforią tłumu, uwierzyć, że „zstąpi Duch i odmieni oblicze Ziemi”. Ale byłem jako ten nieszczęsny kandydat na ucznia. Niegotowy, by porzucić wszystko i pójść za Panem. Tym bardziej, że potrzebowałem pewności, nie domniemania, że być może On jest. Owszem, w chwilach załamania lub zagrożenia próbowałem się nawet modlić, przypominając sobie zapomniane słowa. Ale potem ganiłem własną zabobonność. Tak jest do dziś. Egzystuje we mnie dwóch ludzi. Dni należą do tego pierwszego, który w felietonach przycina „świętoszkom” z „Tygodnika Powszechnego”, i śmieje się w redakcji z żartów o Papieżu... A w nocy ten drugi zderza się z pustką i pytaniami bez odpowiedzi: Co po mnie pozostanie? Ani dzieci, ani duszy... Żeby chociaż twórczość.

Kiedyś, w „Teatryku Absolutnym” wydawało mi się, że mam coś do powiedzenia. Że jeśli nie wieszczę, to mógłbym chociaż być kamieniem ciśniętym przez Boga na szaniec. Teraz na to wszystko jest za późno. Poetą bywa się do trzydziestki, później pozostaje proza życia. Kto to kiedyś powiedział? Peđał Maliński, może ja sam?

A gdybym napisał powieść? Uderzony tą myślą wspiąłem się na pawlacz. Wygarnąłem zapiski dokonywane jeszcze w Rychłowie... Potem notatki z lat mego małżeństwa. Gdyby ten szkielet pieskiego życia powlec chrupiącą skórą fantazji?

Do Natalii nie dodzwoniłem się i po kilku próbach nagrałem się na automatyczną sekretarkę. Może to i lepiej. Jak w transie porządkowałem papiery. Uzupełniałem notatki. Opisałem przebieg zdarzeń, włącznie z tym, co przydarzyło mi się w Genewie. Chyba w ogóle zapomniałem o posiłkach. Po południu przysnąłem, ale bardzo szybko zerwał mnie dzwonek do drzwi. Wreszcie Natalia. Wyjrzałem przez wizjer. Ktoś zatykał go palcem. Cofnąłem się instynktownie. Tekturowe drzwi bez obicia blachą i antywyważeniowych sztab, stanowią naprawdę słabą ochronę naszej prywatności. Pchnięte muskularnym barkiem otworzyły się na oścież. Niski, brzydki osobnik imieniem René wtoczył się do środka.

– Pozdrowienia od Helmuta – powiedział po francusku. – Zbieraj się, wyjeżdżamy.

– Zrobiłem już, czego ode mnie chcieliście. Dajcie mi spokój! – zacząłem, ale oberwałem w nos i poleciałem na ziemię.

– Umowa zostaje przedłużona na czas nieokreślony – zaśmiał się gardłowo. Zauważył butelkę wina i dwa kieliszki. – Czekasz na kogoś?

– Na dziewczynę.

– To zostaw kartkę, że musiałeś nagle wyjechać. Za granicę.

– W redakcji podniosą alarm.

– Przecież wziąłeś urlop. Paszport masz ciągle ważny. Resztę my załatwimy. Starczy, że napiszesz kartkę do redakcji, ktoś wyśle ją z Hiszpanii czy skądś i już. Na wszelki wypadek weź ciepłe rzeczy, ale również kąpielówki.

– A gdzie mam jechać? I po co?

– Na razie Londyn, a później... Zobaczy się w miarę rozwoju sytuacji.

Otarłem krew ciekącą z nosa i zacząłem się pakować. Zebrałem teksty z biurka i wsunąłem je do teczki.

– Co to za teczka? – zapytał René.

– Pracowałem właśnie nad nową powieścią.

Wziął parę kartek, ale zobaczywszy tekst po polsku, tylko się skrzywił.

– Jeśli cię to bawi, pisz sobie. No, idziemy!

Kiedy zjeżdżaliśmy na dół, brudną, porysowaną wulgaryzmami windą, o cuchnącej moczem podłodze, tak wygiętej, jakby zaraz miała wylecieć, nieoczekiwanie przemknęło mi przez głowę, że być może już nigdy nie zobaczę mojego mieszkania – tych betonowych ścian oklejonych tapetą, starej lampy babci w kształcie greckiej bogini, regałów nabitych potrójnymi rzędami książek. Nie wiem, czy było to złudzenie, ale ruszając taksówką ujrzałem smukłą sylwetkę, która od strony przystanku szła energicznym krokiem w stronę mojego domu. Żegnaj Natalio!

## Rozdział XIX

# Początek operacji

Na Morzu Północnym szalał sztorm. Zjawisko tradycyjnie towarzyszące jesiennemu zrównaniu dnia z nocą. Liberyjski frachtowiec „Prezydent Talbert” kolebał się na wysokich falach niczym mała łódka i walcząc z przeciwnym wiatrem, uparcie dążył na zachód. Piętnastego września, koło południa silny przechył strącił Łukasza z koi. Obudził się, mimo że w Świnoujściu powtórnie potraktowano go zamraczającym specyfikiem. Oprzytomniał. Wibracje kadłuba dowodziły pracy silników. Przez niewielki iluminator widział rozkołysane fale. A zatem był na statku, a ten znajdował się na pełnym morzu. Ile mógł spać, dzień, dwa? Zmobilizował się i siłą woli pozbył się resztek otepienia. Popatrzył na kajdanki na swych rękach. Sekunda nie minęła, a pęknięte okowy jak spłoszone jaszczurki zsunęły się na ziemię. Wstał i coraz lepiej łapiąc równowagę, przeszedł się po kabinie. Od razu dostrzegł oczko kamery umieszczonej pod sufitem. Obserwowali go!

Naturalnie mógł zniszczyć urządzenie, ale rozsądek podpowiadał wstrzymanie się od jakichkolwiek działań, nim nie zorientuje się, co jest grane. Prawie natychmiast pomyślał o matce. Była z nim, kiedy stracił świadomość. Wysłał impuls kontaktowy. Nie odebrał żadnej reakcji. Podwoił wysiłek. I po dłuższej chwili złapał odbicie bardzo słabego impulsu, ślad zaledwie, mocno przygnieciony tysiącem innych fluidów. Miał dowód, że Helena żyje, jednak porozumienie z nią nie wchodziło w rachubę.

– Chytrze wykombinowali! – pomyślał o swych porywaczach. – Przewidzieli wszystko.

Cóż z tego, że mógł, przeniknąwszy ścianę, wydostać się na zewnątrz, a nawet zawładnąć mostkiem kapitańskim i skierować statek w dowolnym kierunku, jeśli zakładniczką była jego matka. Na pewno właśnie tak to zaplanowali, że jakakolwiek moja próba ucieczki skończyłaby się dla niej tragicznie. Na początek ustalił położenie – gdzieś poza cieśninami duńskimi. Później zobaczył trasę podróży. Port docelowy Londyn. Ustalił też, że cały czas wysyłany jest impuls, który był przekazem z okrętowych kamer. Ci, którzy go obserwowali, natychmiast zorientowaliby się, że coś nie jest tak, gdyby spróbował zmieniać kurs.

Zanalizował bioprądy istot żywych na statku. Pasażerów ze złą emanacją odnalazł trzech. Jeden właśnie się zbliżał. Młody Szarecki usiadł na sienniku i spokojnie czekał. Wszedł Omar. Postawił tackę z jedzeniem. Zaklął na widok zerwanych kajdanków. Nie musiał nic mówić, Łukasz doskonale wiedział, co terrorysta ma do powiedzenia.

„Nie próbuj żadnych numerów. Każdy twój ruch jest rejestrowany, próba opuszczenia kajuty lub zepsucia kamery to natychmiastowa egzekucja mamuśki”.

Zorientował się, że ma do czynienia z pionkiem. Ci, co zaplanowali porwanie, woleli nie ryzykować bezpośredniego kontaktu. Mógłby ich przejrzeć albo co gorsza zawładnąć ich umysłami. Łukasz żałował, że nie zapamiętał struktury psychicznej Maksa. Gdyby ją znał! Mimo oddalenia, mógłby włamać mu się do mózgu i czerpać informacje z samego skarbcza, oczywiście, gdyby ten znalazł się blisko...

Uważnie przyjrzał się Omarowi, szybko zauważył blizny na twarzy po bardzo niedawnej operacji... Ale to nie wszystko. Jego zmysły wykryły, że aura wokół Araba jest odmienna od innych ludzi. Ustalił jej powód. Promieniowanie gamma. Nie miał naturalnie pojęcia, że dermatolog dokonujący przeszczepów, współpracował z KOMÓRKĄ i na jej żądanie, pod transplantowanym płatem skóry umieścił cieniutką siatkę z materiału promieniotwórczego. Obecnie odpowiednio skonstruowany czujnik potrafił znaleźć Omara z odległości kilometra, nawet pod ziemią. Lub wodą. Nie był to sympatyczny zabieg. Przed terrorystą pozostały najwyżej trzy miesiące życia. Po co mu to zrobiono? Odpowiedź nasuwała się sama. Aby go śledzić. A zatem nie był zdany wyłącznie na łaskę porywaczy. Ktoś za nimi podążał. Przyjaciół czy wróg?

\* \* \*

Helena wyczuła, że Łukasz jej szuka. Nie mogła jednak nawiązać kontaktu, ani wysłać odpowiedzi. Nie z tego miejsca. Po opuszczeniu lotniska we Frankfurcie jechali jakiś czas autostradą, potem skręcili w ponure dzielnice przemysłowe. Klucząc, podjechali od tyłu do jakiejś fabryki. Mimo panującej sterylności, zmroził ją panujący tu klimat bólu i śmierci. Zobaczyła nazwę. Znajome słowo – Schlathaus – przywieziono ją do rzeźni!

\* \* \*

Jak odnaleźć Altenbachów? Mecenasy Vitry, szkolny kolega Otto Schmidta, uważał, że jedyną metodą to czekać i pozwolić się odszukać Altenbachom.

– Jeśli uznają, że to leży w ich interesie, znajdą sposób, aby spotkać się ze mną osobiście – powiedział.

Odpowiedź nie usatysfakcjonowała Graya. Po opuszczeniu bulwaru Montparnasse zadekowali się w podparyskim tanim hoteliku, w którym nikt o nic nie pytał. Przynajmniej na razie.

– A czy istnieje jakiś sposób kontaktowania się z Altenbachami w trybie nagłym? – spytał.

– Zawsze dzwoniłem do biura mecenasa Schmidta w Szwajcarii.

– Na co więc czekamy?

– Biuro zostało zlikwidowane. Ale – poskrobał się po łysej czaszce – mógłbym dać ogłoszenie w „Le Monde”. W poniedziałek.

– Nie możemy czekać aż do poniedziałku. Gliny nas wcześniej wygarną...

– Może to byłby niezły pomysł. Dać się złapać – ożywił się mecenas. – Telewizja to rozgłosi, a Altenbachowie znajdą sposób, aby nas wyciągnąć...

– Obawiam się, że byłoby to zbyt ryzykowne – powiedział Fred. – Jeśli poddamy się bez stawiania oporu, media nie zechcą o tym donieść. A jeśli z kolei dojdzie do awantury, KOMÓRKA skorzysta z okazji i załatwi mnie na amen. Ale zaraz... Zanim dorwali pana ci brzydki faceci, czy nie otrzymał pan jakiegoś zlecenia od Altenbachów?

– A miałem, miałem – rzekł stary prawnik. – Codziennie w ramach spaceru chodziłem do pewnego antykwariusza koło Ogrodu Luksemburskiego, dowiadywać się o ryciny. Bo widzi pan, monsieur Ernest kolekcjonuje od lat dziewiętnastowieczną grafikę. Szczególnie lubi ryciny Daumiera, Hoggartha. Kiedy tylko mogę, zaglądam koło trzeciej do tego sklepu. Ostatnio wprawdzie nie mogłem...

– Jest wpół do trzeciej – przerwał mu Gray. – Jedźmy tam!

– Ale przecież mieliśmy się ukrywać – zaniepokoił się Vitry.

– Czasem, by dobrze się ukryć, najpierw trzeba się odkryć. Nie traćmy czasu!

\* \* \*

– Już się baliśmy, że pan mecenas zachorował! – ucieszył się na widok Vitry’ego staruch, wyschnięty i pokręcony jak faworek w ciemnym surducie, posypany obficie łupieżem (zapewne zamiast cukru pudru). Zaraz poprowadził ich w głąb graciarni, przesiąkniętej charakterystyczną wonią starych papierów, politory, tkanin, owym trudnym do nazwania zapachem minionych epok, który stanowi prawdziwy narkotyk dla nozdrzy kolekcjonera.

– Czy pojawiło się coś nowego? – zapytał lakonicznie Vitry.

– A mam, mam dla pana prawdziwy rarytas, ręczny szkicownik poety Lammartine’a, z karykaturami członków zgromadzenia z 1848 roku, zaraz pokażę...

Poza dwoma osobami w pierwszej sali, w głębi zagraconych pomieszczeń nie widać było żadnych klientów. Marszand pociągnął Vitry’ego za sobą na zaplecze, Gray natomiast został i przyglądał się regałom, pełnym tomów w skórzanych okładkach ze złotymi napisami. Intuicyjnie szukał jakiegoś śladu, wskazówki. Mijał gabloty z miśnieńską porcelaną, gdy wśród rycin wiszących na szarej tapecie jego uwagę zwrócił piękny miedzioryt przedstawiający bal w Ogrodach Tuilleries w okresie II Cesarstwa. Wpatrywał się weń, potem

zmrużył oczy jak człowiek, który ma słabszy wzrok. Obraz bowiem drgał, postacie poczynają się poruszać w rytm walca, Fred mógłby przysiąc, że do jego uszu dociera salonowa muzyka!

– Śnię albo zwariowałem.

– Ani jedno, ani drugie – odzywa się nagle z ryciny Napoleon III, wielkości kciuka.

Gray wyciągnął rękę, żeby go dotknąć.

– Nie dotykać eksponatów – burczy cesarz, strosząc swe groteskowe wąsy. – To wszystko złudzenie, moje oddziaływanie na pańską wolę, obraz jest nieruchomy, ale pan chce go widzieć ożywionym.

Fred odwraca się. Na szezlongu w stylu empire siedzi duży, gładkowłosy wyżeł w okularach i czyta gazetę.

– To również optyczna iluzja – mówi pies, zerkając spod okularów. – I to bardzo łatwa do pokonania. Proszę przymknąć oczy i spróbować dokładnie przypomnieć sobie, jak wyglądam...

Gray spełnia polecenie i gdy na powrót otwiera oczy, widzi przed sobą uśmiechniętą, okrągłą twarz Petera Altenbacha.

– Cudów nie ma – mówi człowiek-kameleon, podając dłoń Fredowi. – Istnieje tylko sugestia i nieprecyzyjność naszych organów postrzegania. Wydawało się panu, że widzi psa, ale przedtem, gdy pan tu wszedł, kanapka była pusta, nieprawdaż?

– Tak.

– Siedziałem na niej cały czas. Tylko nie chciałem, żeby pan mnie widział. Gdyby pan miał polaroid i zrobił zdjęcie albo oglądał mnie za pomocą kamery, iluzja natychmiast zostałaby zdemaskowana.

– Czemu zawdzięczam zaszczyt ponownego spotkania?

– Sytuacja się zmieniła. – Altenbach zmarkotniał. – Potrzebujemy pana pomocy.

– Nie pracuję już dla KOMÓRKI!

– To wiemy. I tym chętniej zwracamy się do pana. Mamy kłopoty.

– Wy, wszechmocni? – Fred pozwala sobie na lekką drwinę.

– Bardzo pan uprzejmy, ale do wszechmocności naprawdę nam jeszcze daleko. Ale o szczegółach pomówimy później. Teraz wyjdźmy tylnym wyjściem. Poczciwy Vitry poradzi sobie sam.

Bez pożegnania, przez drzwi od magazynu wyszli na nieregularne podwórko, gdzie oczekiwał elegancki wóz z Murzynem za kierownicą. Wsiedli, a Peter opuścił żaluzje w okienkach.

– Do domu! – rzucił kierowcy.

Paryska kwatery Altenbachów nie mieściła się w zamczysku pełnym tajemnych przejść, duchów i pajęczyn. Wręcz przeciwnie, wybrano na nią supernowoczesną dzielnicę Defense, wzniesioną ponad gigantycznym labiryntem garaży, pasaży i podziemnych przejść. Dwupoziomowe mieszkanie, w którym się znaleźli, mogło spokojnie należeć do wziętego

inżyniera lub operatywnego przedsiębiorcy. Nowoczesne meble, wykładziny, na ścianach awangardowe grafiki. Dobry sprzęt hi-fi i wideo. I ani żywego ducha. Widocznie ze względów bezpieczeństwa Altenbachowie postanowili się rozdzielić.

– Wspólnie doszliśmy do wniosku, że jest pan przyzwoitym człowiekiem – powiedział Peter. – Przyzwoitym, oczywiście w granicach wyznaczonych przez specyfikę zawodu. Wiemy też, że jest pan chwilowo bezrobotny i dlatego proponujemy zawarcie umowy o pracę. – Przemawiał tonem irytującej wyższości, jednak Gray postanowił mu nie przerywać. – Istnieje oczywiście pewna różnica pomiędzy pańską propozycją z „Szarego Domu” a naszą dziś. Pan proponował nam współpracę z KOMÓRKA, my proponujemy panu pracę u nas.

– Ciekawe, a warunki?

– Przede wszystkim absolutne zachowanie tajemnicy...

– Obawiam się, że wasza tajemnica jest już powszechnie znana – rzekł Gray.

– Nie powszechnie – sprostował Altenbach. – Po zakończeniu pracy otrzyma pan wynagrodzenie pozwalające żyć panu i pańskiej córce do końca życia w komfortowych warunkach. Mamy tylko jeden warunek, nie wróci pan już do swego zawodu. Naprawdę jest pan za dobry na kondotiera.

– Chcecie skazać mnie na wiekuiastą nudę?

– Otrzymane środki wystarczą i na niejedno safari, podmorskie łowy, alpinistykę lub zabawy w polarnika. Oczywiście, w wypadku powodzenia misji.

– Jeśli to wszystko, chciałbym przedstawić moje warunki. Ryzykuję głową i nie mam do dyspozycji cudownych sztuk. Muszę wiedzieć wszystko, bez niedomówień poznać ostateczny cel? Po drugie, gdy poznam swe zadanie, chciałbym mieć możliwość wyboru metod i środków. Po trzecie, jeśli zginę, chciałbym mieć pewność co do zapewnienia opieki nad Evelyn...

– To oczywiste – przytaknął Peter. – Ale co znaczy „chcę wiedzieć wszystko”? Nasza prośba będzie konkretna. Dziś rano w rękach terrorystów znalazł się pewien człowiek, chłopiec i chcielibyśmy go wyciągnąć z ich łap.

– To mało, herr Altenbach, muszę wiedzieć, kim jest ten chłopiec, dlaczego go porwano. I jakie ten fakt może mieć następstwa?

Peter dłuższą chwilę wpatruje się we Freda. Gray nieomal czuje, jak wszędobylski fluid myszkuje po jego szarych komórkach.

– Chyba zaryzykujemy – mówi w końcu Altenbach. – Ale to nie jest pańskie ostatnie życzenie. Chodzi panu jeszcze o Christine Wagner. Mimo że to zajadła terrorystka i zawodowa zabójczyni?

– Uratowała mi życie.

– Kobięca słabość.

– Nigdy nie zapominam o rewanżu.



– Piękna cecha, ale... – Peter westchnął. – Moja mama widziała tę dziewczynę. Mama dysponuje jedną cechą, której nie odziedziczyłem, potrafi przewidywać przyszłość. Może z wyjątkiem własnego losu. Przykro mi o tym mówić, ale nie mam w jej sprawie dla pana dobrych wiadomości. Christine umrze.

– Wszyscy kiedyś umrzemy.

– Christine umrze niedługo.

– A ja razem z nią? – Gray starał się nadać swemu głosowi niefrasobliwe brzmienie.

– Pół na pół – odpowiedział poważnie Peter. – Mama nie ma w tej sprawie pewności. A skoro chce pan wszystko wiedzieć, proszę – Altenbach otwiera szafkę w regale. Wyjmuje parę tomów oprawnych w cielejącą skórę. Na okładce napis „Pamiętniki Karla Wallenhoffa”. Fred otwiera pierwszy z woluminów. Wewnątrz rzędki drobnego, kaligraficznego pisma, charakterystycznego dla ludzi starej daty. – Ma pan całe popołudnie, wieczór i noc – stwierdza Peter. – Powinno wystarczyć.

\* \* \*

Z lotniska Heathrow zawieziono mnie do niewielkiego hotelu, gdzie czekał Maks, który – jak mogłem się domyślać – należał do przywódców bandy. Przedstawił się jako przedstawiciel międzynarodowej organizacji zajmującej się psychotroniką, parapsychologią i innymi podobnymi dziedzinami, spoza powszechnie uznanej wiedzy. Jej cele – jak twierdził, były absolutnie pokojowe. Zależało mu jedynie na zbadaniu Łukasza.

– W takim razie, po co to porwanie?

– Nie znam pańskich politycznych zapatrywań, herr Szarecki – odparł Maks – ale nasza organizacja nie chciałaby, aby umiejętności pańskiego syna przywłaszczyły sobie tajne agencje konkurujących bloków – KGB czy CIA. Zależy nam, aby tacy ludzie mogli służyć całej ludzkości.

– Nie rozumiem w takim razie, do czego jestem wam potrzebny ja? Macie chłopaka, zbadajcie...

– Badania lekarskie niczego nie wniosły – powiedział Maks. – To znaczy niczego nadzwyczajnego. Wyniki analiz potwierdzają, że to normalny, zdrowy, szesnastoletni chłopak. Żadnych dodatkowych ciał we krwi, żadnego ekstra promieniowania, normalny metabolizm, poziom cukru, ciśnienie, itd... A jednak ten przeciętny człowiek przesuwiał wzrokiem tonowe samochody, wskrzesił zmarłą koleżankę, potrafi w mgnieniu oka hipnotyzować, czytać cudze myśli i lewitować...

– Zatem wiecie o nim więcej ode mnie. I nie wiem...

– Problem leży w odpowiednim kontakcie i w zaufaniu. Gdyby udało się nam, dzięki panu, nawiązać z nim współpracę... Mogłoby się na przykład okazać, że każdy z nas posiada to wszystko, co Łukasz Szarecki, tylko że mało kto potrafi to wykorzystać. Tak jak normalne światło dopiero skupione w wiązkę staje się laserem, tak i talenty chłopaka mogą polegać na

umiejętności bezwzględnej, punktowej koncentracji, podporządkowania w odpowiedniej chwili wszystkich sił organizmu jednemu celowi i to daje mu władzę nad myślą i materią.

– I ja mam być?

– Mediatorem. Moderatorem. Chłopak traktuje pana jak ojca...

– A jeśli mi odmówi?

– Nie sądzę. Mamy jego matkę. A poza tym, jeśli się go przekona, jak niezwyklej rzeczy może dokonać dla dobra ludzkości... Jeśli pan uświadomi go, kim jest.

– A kim jest?

Maks możliwie zwięźle opowiedział mi o eksperymencie kliki naukowców prowadzących od pokoleń groźne eksperymenty genetyczne, których celem było wyprodukowanie superludzi. Moja biedna Helena padła, jak twierdził, ofiarą takiego eksperymentu. Wszczepiono jej spreparowane jajo, z którego miał urodzić się (i faktycznie urodził) geniusz... Być może wcześniej takiemu eksperymentowi poddano także jej matkę...

Słuchając uważnie, zastanawiałem się równocześnie nad drugą stroną medalu. Kim jest Maks i jego ludzie? Mówili o miłującej pokój organizacji, nieformalnie związanej z ONZ. Dlaczego w takim razie postępowali jak gangsterzy? Czy dlatego, że walka o ideały ze złem tego świata, wymaga równie bezkompromisowych metod?

Zresztą nie aż tak strasznych, jak myślałem. Od Maksa dowiedziałem się że śliczna Isabelle żyje. Uczestniczyłem w inscenizacji z manekinem. Nawet krew była sztuczna. To była jedynie pułapka na mnie! Teraz już zbędna. Bo zgodziłem się i zostałem współnikiem. Ze strachu, ale również po trosze z ciekawości. A po skończonej akcji spotkam się z nią w nagrodę.

Kiedy więc śmigłowcem, należącym do zaopatrzenia platform wiertniczych na Morzu Północnym, leciałem z René na spotkanie frachtowca z Łukaszem, przyszło mi do głowy, że może właśnie trafiłem na swą życiową szansę. Ja, skromny gryzpiórek, stanę się ważnym trybem w nadzwyczajnym eksperymencie. Mam tylko przekonać Łukasza do współpracy. Przedstawić sytuację. Pomóc w odkryciu kryjówki przestępczych kreatur, prowadzących zabawę w stwórców – niejakiach Altenbachów...

Czy mi się uda? Niezależnie od wyniku, zdobędę wspaniały materiał na powieść. Nigdy nie słyszałem o bardziej frapującym temacie. Podobno takich geniuszy jak Łukasz jest więcej. Żyją sobie wtopieni w szary tłum. Nie zauważeni, zwykli ludzie. Niczym u starego Wellsa – „Ludzie, jak bogowie”... Czy raczej, „Bogowie jak ludzie”. Mocne!

Po niecałej godzinie lotu lądujemy na frachtowcu. Nosi nazwę „Prezydent Talbert”, port macierzysty Monrowia. Brak ładunku, tylko balast i nieznany kurs... Załoga w większości ma egzotyczne, zakazane gęby. Ech, Łukasz, Łukasz, bądź rozsądny, a dokonamy wspólnie wielkich rzeczy.

## Rozdział XX

# Dalszy ciąg zapisków Karla Wallenhoffa

(...) Szalone koło czasu nabiera coraz większego impetu. Rzeczywistość pod pozorami niezmiennego trwania przesuwana się wokół niczym na przyspieszonym filmie. Od końca wojny przykuty do łóżka mogę tylko obserwować zmianę koloru gór. Czasami mi się zdaje, że widzę, jak podczas jednego ujęcia stoki pokrywane są zielenią, potem rudzieją w letnim słońcu, pulsują barwami jesieni i nika w bieli. Z przyzwyczajenia napisałem od końca wojny. Oczywiście, drugiej wojny. Światowej! Kto mógł przypuszczać, jak potoczy się historia, gdy wkraczaliśmy w dwudziesty wiek. Nie ma już cesarstwa Habsburgów, przepadła Tysiącletnia Rzesza, teraz w moim Wiedniu stacjonują Rosjanie, a jutro? Wszystko to mgnienia, okruchy. Dni, kolumna maszerujących mrówek. I jeśli coś mnie cieszy, to tylko nasz eksperyment. Trwa, nie został odkryty. A to już tysiące ludzi. Ogromne, rozrzucone po świecie stadko króliczków doświadczalnych. I żaden, jak bakterie obserwowane pod mikroskopem, nie podejrzewa celu, któremu służy... Który się zbliża.

Kiedy narodziło się pierwsze pokolenie „pokrzyżówkowe”, a dzieci w większości wypadków miały niższe wskaźniki niż rodzice, ogarnęło mnie zwątpienie. Nieliczni o wyższych parametrach mogli być uznani za dzieło przypadku. Doktor Moreau podsycił moje obawy:

– Być może wyhodujemy kiedyś grupę bardziej uzdolnionych ludzi, ale nigdy nie zbliżymy się do bogów, bo to matematycznie niemożliwe. Dziecko nie może mieć więcej boskiego genu, niż otrzymało po rodzicach. Możemy otrzymać osobniki o wyższej liczbie pewnych wycinkowych cech. Nigdy wszystkich. – Tu podawał przykład doświadczeń z turami, ten sam, który kiedyś nasunął mi plan eksperymentu. – Nie ma możliwości pełnego odtworzenia wymarłego gatunku. Hodując neotura dbano jedynie, by selekcjonować potomstwo pod kątem wyglądu. W efekcie pojawił się nowy gatunek krowy o wyglądzie bardzo zbliżonym do tura, ale będzie to zawsze krowa i tylko krowa, a nie prądziejowy gigant.

– A ja wierzę w powodzenie – przekonywała Sara. I to mnie krzepiło. (...)

Narodziny i rozwój Ernesta podsyłyły me nadzieje, ale także obawy. Owszem, miał te trzydzieści pięć procent, o dwa więcej niż matka, ale mniej niż suma naszych wspólnych możliwości. A jeśli w następnym pokoleniu nastąpi regres?

Z wnioskami musiałem poczekać do początku lat dwudziestych, kiedy zaczęło rodzić się następne pokolenie. Setki, potem tysiące noworodków. Nie nadążaliśmy z katalogowaniem i badaniami. I znowu tylko pięć procent potomków miało wyższe wskaźniki od rodziców. Odsetek niewielki, ale wykryliśmy znaczącą prawidłowość. Chyba to Ernest zauważył, że najwyższy postęp następuje przy krzyżówkach interkontynentalnych. Dziecko moje i pewnej wyspiarki z Tahiti miało dwadzieścia siedem procent genu U, mimo że ja i matka mieliśmy w sumie tylko dwadzieścia dwa procent. Co to oznaczało? W Europie znakomita większość wybitnie uzdolnionych pochodziła od gospodarzy Olimpu. Natomiast w żyłach mieszkańców pozostałych kontynentów pozostawały krople genu Kriszny, Amona czy Pierzastego Węża – innych przybyszów z gwiazd. (Każda prawie mitologiczna dynastia Indii, Chin, Japonii i Ameryki odwoływała się do niebiańskich przodków. Podobnie rzecz się miała z Dogonami, u nich przetrwała nawet pamięć macierzystego układu Syriusza, czy z Polinezyjczykami, którzy sami nazywali siebie Synami Słońca). Czyżby przy krzyżówkach jednostek z różnych stron świata dochodziło do kumulacji – wytrącania genów ludzkich na rzecz boskich?

W Europie ród uranosowy karłał, rozpuszczał się w popolicie, bo krzyżówki zachodziły w ramach potomków jednej rodziny i następowała normalna degeneracja wewnątrzgatunkowa. Łącząc osobników z odległych stron świata mogliśmy chyba temu zapobiec (...)

Często obserwowaliśmy u dzieci sumowanie się umiejętności – ojciec miał predyspozycje telepatyczne, matka lewitacyjne, syn mógł, choć nie musiał, dysponować sumą tych umiejętności. Boże złoty! (...)

Dlatego na partnerkę dla Ernesta przeznaczyłem piękną dziewczynę z Hawajów, Elizę. Eliza, jasnobraza potomkini bóstw Ameryki i Azji, posiadała wprawdzie, według naszych badań, tylko dwadzieścia trzy procent, ale dysponowała zadziwiającymi zdolnościami mimetycznymi. Potrafiła w parę sekund upodobnić swą twarz do twarzy każdego patrzącego na nią osobnika. Oczekiwałem kolejnego porodu jak zbawienia. I stał się prawdziwy cud: ich córka Liza przekroczyła pięćdziesiąt jeden procent. Jako pierwsza na świecie! Upiłem się, normalnie upiłem się ze szczęścia. Teraz miałem całkiem realną nadzieję, że w mym rodzie pojawi się pierwszy Ten, Na Którego Czekamy. (...)

Niestety, Eliza zmarła wkrótce po urodzeniu małej Lizy. Nie potrafię udowodnić tej hipotezy, ale podejrzewam, że musi istnieć związek między narodzinami dzieci genialnych a wycieńczeniem i przedwczesną śmiercią matek.

Obserwowane zjawisko komasacji pozwoliło na zmniejszenie liczby eksperymentów. Znaczną liczbę „króliczków”, nie rokujących skokowego wzrostu, pozostawiliśmy w spokoju. O ile wiem, większość żyła potem normalnie. Część poległa na wojnach. I chyba żadne z nich

nie zdało sobie sprawy z biernego uczestnictwa w eksperymencie. (...) Oczywiście z naszą Lizą mieliśmy duże kłopoty. Jej żywa fantazja nie chciała się pogodzić z ograniczeniami misji i sporo czasu musiało minąć, zanim przekonałem ją, że nasze życie jest obowiązkiem i nawet wielka miłość nie może przeszkodzić sprawie. Serce mi się krajało, gdy patrzyłem jak płacze. Ale w końcu zrozumiała. (...)

Cholerna starość. I tak żyję już dłużej niż przeciętni ludzie. Dobiegam osiemdziesiątki. Umysł mam ciągle jasny. Tylko nadzwyczajnym zdolnościom mych potomków zawdzięczam przeżycie ciężkiego zawału. A cel ciągle jeszcze tak daleko. Kiedy w nasze zacisze wtargnęły wieści o pierwszych bombach atomowych, pojąłem, że musimy się śpieszyć... Coraz więcej jest szaleńców. Kto wie, jak będzie wyglądał świat za trzydzieści, czterdzieści lat. Czy w ogóle będzie? Im szybciej zakończymy nasz eksperyment, tym większe szanse ratunku. To jest wyścig. Nawet kilku Neouranosów potrafi zahamować tragedię, powstrzymać czyjś palec przed naciśnięciem guzika. Starcze marzenia?

Współpracownicy zarzucali mi ateizm. Czy raczej panteizm. Ponoć pragnę sprowadzić Tych, w których wierzyły lub wierzą miliardy ludzi, do rangi kosmicznych dziwolągów, wprawdzie trochę lepszych od nas, ale znowu nie tak bardzo. Czy Bóg Izraela to kosmita El? Tego nie wiem. Ale wydaje mi się, że Bóg istnieje, Jeden, Wielki, Niepodzielny. Niestety daleki. To siła dobra przepajająca Wszechświat. Bóg, w którego również wierzyli Przybysze. Wierzę i kocham go, jak kocha się światłość i prawdę, matkę i Ziemię. I sądzę, że Uranos z kolegami, a w pewnym stopniu i ja, jesteśmy tylko narzędziem urzeczywistnienia Jego wyroków. Nieśmiałyimi pośrednikami sprawy. (...)

Jeszcze trochę o genealogii rodziny. Z wolna przechodzę na emeryturę. Robię miejsce Ernestowi, Lizie, żeby byli w pełni samodzielni, gdy odejdę. Wiem, że są zdolniejsi ode mnie. Mają świeże pomysły. To Ernest przeprowadził nieprawdopodobną akcję zdobycia partnera dla Lizy. Wydobył Pierre'a Leblanca, syna Pierrette Ducroix z prawdziwego piekła obozu koncentracyjnego. (...)

Biedny Pierre, nie uświadomiony geniusz lewitacji i psychokinytyki. Miał trzydzieści sześć procent, dużo! Syn Pierrette Ducroix. Swego czasu musieliśmy uprowadzić ją w dniu ślubu. Konieczność. To były jej płodne dni. Groziło zajście w ciążę podczas nocy poślubnej z mężem nieprzydatnym dla naszego eksperymentu. A z doświadczenia wiedzieliśmy, że największe szanse urodzenia osobnika o wyższym procencie daje dziewicze łono. Partner wybrany dla Pierrette, grajek z Boliwii, to smutny potomek bogów znad jeziora Titicaca, skończony dziwkarz i pijak. Ale o wskaźniku dwudziestu sześciu procent. W ich wypadku pragnęliśmy skojarzyć normalne małżeństwo. Daliśmy im dużo pieniędzy. Niestety, Alonso zginął po pijanemu w jakiejś burdzie, a Pierrette wkrótce potem się rozpiła – dziecko trzeba było przewieźć do Europy i umieścić w dobrym domu opieki... Sama Pierrette (dwadzieścia dwa procent), była córką iluzjonisty i kobiety o uzdrawiających fluidach. (...)

Liza posiadała pięćdziesiąt jeden procent, Pierre Leblanc trzydzieści sześć, ale dysponowali umiejętnościami uzupełniającymi się. No i mieli tak różnych przodków. Wpatrywałem się w ich dziecinę z nadzieją i lękiem. Peter, Peter, co z ciebie wyrośnie?

Znów był postęp! Wręcz skokowy – siedemdziesiąt cztery procent. Nie wierząc wynikom, powtarzaliśmy testy wielokrotnie. Ostatni raz tydzień temu. Zawsze wypadło tak samo, czasami nawet siedemdziesiąt pięć! (...)

Nie mam już sił śledzić wszystkich poczynań rodziny. Trzymać tak wiele nici. Mój Boże, może kiedyś osiągniemy nawet nieśmiertelność. Ja, niestety, urodziłem się za wcześnie. Dlatego się boję. Pomysł z pośmiertnym zamrożeniem mego ciała traktuję jako kosztowny luksus, jednak przynajmniej choć trochę umniejsza on mój strach przed NIEUCHRONNYM. Czy zgrzeszyłem świętokradztwem, które plasuje mnie gdzieś obok budowniczych wieży Babel, czy też wypełniam przeznaczenie? O Panie mój. Zważ me intencje, kiedy już stanę przed sądem. Sąd? Ciągłe te antropomorficzne wyobrażenia na podstawie ilustrowanej Biblii. Ale jak wyobrazić sobie inaczej niebo? Zapewne gdzieś przy porządkowaniu materii i energii nastąpi ostateczne rozgraniczenie dobra i zła. Czego było we mnie więcej? Nie wiem. Grzeszyłem pychą, ambicją. (...)

Czy ja jeszcze żyję? Ciało chyba już nie. Znikam z tego świata etapami. Jeszcze się ze mną konsultują. Ale czy mnie kochają? Czy w głębi ducha przeklinają brzemię, które narzuciłem trzem pokoleniom? Nie znam ich myśli. To specjalność Petera. Jestem zbyt niskoprocentowy. (...)

Te obsesyjne marzenia o nieśmiertelności. Prześladowają mnie na jawie i we śnie. Czy Żyd Wieczny Tułacz był jednym z przypadkowych genetycznych mutantów? A legendarni alchemicy? Czy ich zbliżenie do zagadki wiecznego życia to jedynie nowożytna mitologia? (...)

Tydzień temu rozmawialiśmy o partnerce dla Petera. Jeśli dobrze trafimy z wyborem, wówczas ich dziecko... Aż boję się swych nadziei. Czuję się, jakbym był na ostatnim zakręcie schodów, niedaleko, parę stopni i wielki finisz... Ale już go nie zobaczę! Jak Mojżesz na progu Ziemi Obiecanej.

Partnerka dla Petera? Możliwości widzę kilkanaście. Oglądałem najlepsze rodowody. Skłaniam się ku ewentualności numer siedem. To moja szczęśliwa liczba! Mary, córka Sary i Langa (dwadzieścia jeden procent) została skojarzona w lipcu 1916 roku z szesnastoprocentowym mieszańcem – Bobem Brianem, który, po żółtoskórej matce odziedziczył niezwykle umiejętności szamanów filipińskich, dokonujących operacji bez chirurgicznego otwierania organizmu. Ich córeczka to przepiękna Margaret. Urodziła się w 1918 roku, wynik – trzydzieści siedem procent. Początkowo nie wierzyliśmy – jeden z największych skoków w naszych rejestrach. Na partnera Margaret (Ernest niestety nie wchodził w grę, ze względu na zbyt bliskie pokrewieństwo) wybrałem Europejczyka, jedną z tych postaci dwudziestego wieku, które nie wiedzą nawet, że ich wielkość jest dziełem

naszych krzyżówek. Nie domyślił się uczestnictwa w naszym zabiegu. Urodziło się dziecko, syn John, aż 62 procent. Prawdziwa rewelacja! Wcześniej wydaliśmy Margaret za młodego, obiecującego inżyniera Andy'ego Watsona. Inżynier pracował dla wojska. Razem z młodą żoną i dzieckiem otrzymał przydział na Hawaje. Wydawało się – bardzo bezpieczne miejsce. Cóż za naiwność. Nasza nadzieja, John, razem z Andym Watsonem zginęli 7 grudnia 1941 roku podczas bombardowania Pearl Harbour. Margaret straciliśmy z oczu. Zresztą mieliśmy złe doświadczenia z drugimi dziećmi króliczków. Zawsze następował regres.

Tymczasem młoda wdowa wstąpiła do wojskowych formacji kobiecych. Być może szukała śmierci, a może zemsty. Rok 44 zastał ją we Włoszech, w szpitalu polowym pod Monte Cassino. Poznała tam ciężko rannego Polaka, zakochali się w sobie. Marek był wprawdzie kaleką, niezdolnym do erotycznego współżycia, ale Margaret nie szukała miłości fizycznej. W 1946 roku przyjechała razem z mężem do Polski, gdzie osiedlili się we Wrocławiu, Marek skończył architekturę na miejscowym uniwersytecie. Jak napisałem, nie monitorowaliśmy wówczas jej losów, figurowała w ewidencji rezerwowej.

Tymczasem w roku 1948, pod koniec sierpnia, we Wrocławiu odbywał się Światowy Kongres Intelktualistów. Margaret pracowała tam jako tłumaczka. W trakcie pracy poznała ojca swego pierwszego dziecka, wspomnianego wybitnego artystę. Oczywiście oboje nie mieli pojęcia o swoich dotychczasowych powiązaniach. A przecież zadziałał jakiś nadzwyczajny magnetyzm, a może palec Boży... W upalny wieczór sierpniowy na łodzi płynącej Odrą, tych dwoje ludzi zdecydowało się na seks. Wyjeżdżając, Wielki Umysł nie wiedział, że łono Margaret jest znowu pełne. Ona zapewne wyznała swój grzech mężowi, ten jednak, sam bezpłodny, obiecał uznać dziecko za własne. Wkrótce urodziła się dziewczynka o pięknym, greckim imieniu Helena, która odziedziczyła urodę po matce. Zgodnie z wielokrotnie wspomnianym fatum, Margaret umarła wkrótce po porodzie. Mimo swej niepełnosprawności Marek ponownie się ożenił – ze swą daleką kuzynką, też wdową, Elą Frankiewiczową, która po opuszczeniu Lwowa przeniosła się do małego miasteczka na zachodzie Polski. Helena chyba nigdy nie dowiedziała się, że nie jest córką ani oficjalnego ojca, ani przybranej matki.

O istnieniu mej prawnuczki dowiedziałem się znacznie później. Liza z początkiem 1952 roku przebywała – zresztą nielegalnie, bo czasy były niedobre – we Wschodniej Europie. Natrafiła na fluidy maleńkiej Heleny. Odnalazła dziewczynkę, zbadała ją. Wynik mógł zaszokować – ponownie sześćdziesiąt dwa procent. (...)

Będę tedy sugerować zapłodnienie przez Petera paru kobiet. Ale moja intuicja podpowiada mi Helenę. Dojdzie do tego dopiero za kilkanaście lat, kiedy mnie już na pewno nie będzie na świecie... A potem egzemplarz zero? Kto wie? (...)

Czyjaś ręka dopisała na końcu ostatniej strony: *Karl Wallenhoff zmarł w kwietniu 1953. Ale dzieło jego będzie kontynuowane.*

## Rozdział XXI

# Na pełnym morzu

Za oknami wieżowców Defense świt. Gray popija zimną kawę i zamyka ostatni tom zapisków.

– To prawie wszystko, co mój pradziad napisał – komentuje Peter Altenbach, budząc się z drzemki. – Ale pana zapewne bardziej interesuje, co nastąpiło potem?

– Właśnie, ten wyśniony egzemplarz zero. Już go macie?

– Prawie. Jednak muszę uzupełnić historię o swoje życie. Miałem dzieci z kilkunastoma kobietami, jednak w żadnym przypadku nie nastąpiła kumulacja genu. Dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych wybrałem się do Polski, do wspomnianej kandydatki rezerwowej.

– Heleny?

– Świetną ma pan pamięć. Odnalazłem ją, gdy spędzała wakacje w małym prowincjonalnym miasteczku. Powinienem postąpić jak we wszystkich innych wypadkach. Zapłodnić niczym Zeus, spadający złotym deszczem na nieświadomą Danae. Ale popełniłem niedopuszczalny błąd, zakochałem się. Pierwszy raz w życiu. Oszalałem dla tej pięknej młodej dziewczyny. Chciałem się z nią ożenić. Dwa tygodnie spędziłem w Rychłowie...

– Rychłowie! – przerwał mu Fred. – Pan powiedział, Rychłowie?

Altenbach zaskoczony popatrzył na Graya, przez moment chciał nawet spytać o powód wzburzenia, jednak wolał opowiadać dalej. Poza tym wiedział przecież sporo o Fredzie.

– To Rychłowo nie okazało się dla mnie szczęśliwe. Z ożenkiem nie wyszło. Dostałem kosza. Zawiodła nawet próba zapłodnienia pod hipnozą. Dopiero pół roku później, w czasie demonstracji studenckich udało mi się wreszcie wciągnąć tę dziewczynę do samochodu. Usypiam ją, wywożę za miasto. Nie ma pan pojęcia, co to była za pokusa! – Na nalaną twarz Petera wystąpiły ceglaste rumieńce. – Jej nagie ciało na pościeli i ja sam. Mogłem przeobrazić swą twarz w oblicze Clarka Gable’a, Gerarda Philippe’a, czy innego herosa z dziewczęcych marzeń. Nie zrobiłem tego, choć próbowałem wpływać na jej myśli, aby wzbudzić cielesną żądzę. Opierała się nawet przez sen. Cofnąłem się przed gwałtem. Po zabiegu nadal pozostała dziewczicą. A kiedy zostawiliśmy ją w podwarszawskim lasku, wiedziałem, że nigdy się nie



ożeniu. Że nikogo oprócz niej nie potrafię kochać. No i żyję w celibacie, choć mógłbym mieć wiele kobiet, może wszystkie, ale cóż to za satysfakcja, zdobyłbym je magią, nie sobą... Ale do rzeczy. Cięża była szokiem dla Heleny, na szczęście znalazł się przyzwoity facet, który się nią zaopiekował, ożenił. Urodził się syn, Łukasz. Liza widziała go, gdy miał rok, zresztą sprawdzaliśmy go wielokrotnie, miał osiemdziesiąt siedem, później nawet dziewięćdziesiąt procent. To jest Ten, Na Którego Czekamy.

– Pogratulować! Rozumiem, że to właśnie on znalazł się w łapach Helmuta i towarzyszy.

– Niestety.

– A jeśli wolno wiedzieć, jak nazywa się współczesny Uranos?

– Łukasz Szarecki.

– Szarecki – cała krew odpływa z twarzy Freda. – A jak brzmi imię jego ojca... znaczy ojczyrna?

– Adam Szarecki.

Krótkie milczenie, po czym agent wybucha krótkim, gardłowym śmiechem.

– Co za scenariusz, co za scenariusz... – powtarza. – Pewnie jest pan ciekaw mej reakcji?

– Nie muszę pytać, wiem to, mister Gray. I jeśli pozwoli pan, nadal będę opowiadać. Po paru latach Szareccy rozchodzą się. On robi dziennikarską karierę, ona pracuje naukowo. Łukasz dorasta. Ostatnio odwiedził go doktor Otto Schmidt. Dyskretnie zbadał jego rozwój. Zastanawialiśmy się, czy już nie pora, aby go uświadomić. Przecież gdy osiągnie pełnoletność, zostanie naszym szefem. Zdecyduje, co mamy dalej robić. Tak postanowił Karl Wallenhoff. W naszej rodzinie liczy się nie wiek, czy doświadczenie, tylko procenty... – tu Altenbach przechodzi do tematu uprowadzenia. Nie zna wielu szczegółów, wie jednak, że Łukasza rozdzielono z matką, prawdopodobnie celem szantażu. Helena Szarecka prawdopodobnie żyje. Jednak nigdzie nie można odszukać jej fluidów.

– A wiecie chociaż, gdzie przebywa Łukasz?

– Czujemy go niezbyt dokładnie. Jest gdzieś na morzu, na północ od nas. Chyba jednak wiemy dokąd płynie. Jeśli szantażem zmusili go do odszukania naszej nowej kwatery, za jakieś siedem dni zejda na ląd.

– Czegoś tu nie rozumiem. Mocodawcą Helmuta jest KGB. Dlaczego w takim razie nie zabierają chłopaka do Sowietów. Tam byłby naprawdę nieosiągalny...

– I my zastanawialiśmy się nad tym. Są dwie możliwości. Mówi się, że w Moskwie trwa obecnie walka na szczytach władzy, KGB jest głęboko podzielone, a zwierzchnicy Helmuta znaleźli się w mniejszości, postanowili więc przeczekać...

– A druga ewentualność?

– Grupa UNO może liczyć na jeszcze innych wpływowych klientów. Arabowie, Chińczycy. Toteż oddadzą chłopaka dopiero po licytacji, temu, kto zapłaci więcej.

– Rozumiem, jednak do czego jestem wam potrzebny? Jestem sam.

- Pan umie walczyć. My, niestety, nie potrafimy stosować przemocy. A bez niej pewnie się nie obejdzie. Łukasz w rękach bandytów to potencjalne zagrożenie dla całej ludzkości.
- Rozumiem, że unicestwienie chłopca nie wchodzi w grę?
- Wolelibyśmy zginąć wszyscy. A zatem zgodzi się pan być naszym orężem?
- Powiedzmy. Czy jednak wolno mi będzie używać metod, które uznam za skuteczne?
- Cóż... Dziadek prosił... – głos Altenbacha zadrżał – aby działać bez rozlewu krwi.
- Tego nie mogę wam zagwarantować – wycedził przez zęby Gray.

\* \* \*

Łukasz, zamiast ucieszyć się z mego przybycia, potraktował mnie jak szmatę.

- Jak mogłeś to zrobić mamie? Wydałeś ją, chociaż była kiedyś twoją miłością? Zdenerwował mnie, tym bardziej, że miał rację. Postanowiłem jednak się nie tłumaczyć.
- Jesteś podobno genialny, a niczego nie rozumiesz – odpowiedziałem. – Sądząc po pozorach, uważasz sprawę za pospolity kidnaping, a tymczasem chodzi o wielki eksperyment. Wybuchnął śmiechem. I nagle zaczął mówić jak człowiek całkowicie dorosły.
- Wierzysz w humanitarny eksperyment, panie redaktorze, panie magistrze, a gdzie rzeczowa krytyka źródła? Przecież nie trzeba być telepatą, aby odróżnić naukowca od terrorysty, a grupę entuzjastów, pragnących naprawdę pomóc ludzkości od funkcjonariuszy przestępczej mafii, których sposoby zbawienia świata można było oglądać podczas Rewolucji Kulturalnej.
- Czy to twoja własna hipoteza? – zawołałem.
- A po co hipoteza? Czytam w ich myślach.
- Nie przesadzaj. Czytanie w myślach? Nie wierzę w takie sztuki.
- Mam może poczytać w twoich? „Ach, jak by mi się przydała odrobina cywilnej odwagi, ale cóż, tu trzeba hartowanej stali, a mój kręgosłup jest z miękkiej cyny”.
- Nie masz prawa tak mówić ani mnie osądzać! – zawołałem wściekły, ponieważ dosłownie zacytował myśl, która przeleciała przez mój mózg. – Myślałem, że się dogadamy...
- Z tobą czy z Makssem?
- To nieważne, jestem tylko pośrednikiem. Sądziłem jednak, że potrafisz zauważyć pozytywne aspekty sytuacji. Przecież oni chcą tylko współpracy...
- To na początek, a co później?
- Skąd tyle przenikliwości brało się w tym szesnastolatku? Mówił jak człowiek, który życie strawił na intelektualnych dyskusjach. I zna wszystkie pułapki życia.
- Skoncentrujmy się na faktach – ciągnąłem. – Siedzimy na dobre w ich łapach. Na dodatek mają również Helenę. Nie kłóćmy się, dlaczego tak się stało i kto jest winien. Mamy do wyboru, śmierć albo współpracę. Wybieraj, ale twoja decyzja to również los dalszych dwojga ludzi...
- To bardzo prosta alternatywa. A są i inne możliwości.

– Jakie?

Przymykając oko, wskazał na jedną z kamer w końcu kajuty, a potem dodał:

– Ach, żebyś nie był takim tchórzem, tato!

„Tato”? Zadrzałem. Nigdy jeszcze tak mnie nie nazwał. Żeby pokryć sprzeczne, szarpiące mną uczucia, rzuciłem: „Jeszcze pogadamy!” i wybiegłem na pokład.

Wymiana szyfrowanych meldunków z Maksem poważnie zachwiała moją wiarę w ich czyste intencje. Ale musiałem dalej pełnić rolę pośrednika.

– Jeśli w ciągu minuty nie zmienisz swej postawy, gotowi są na tortury. – Powiedziałem po powrocie do kabiny. – Helena straci najpierw ucho...

Wiedział, że nie jest to czcza pogróżka. Pobladł. I ja poczułem chłód, gdy przenikał mój mózg, sprawdzając czy nie trzymam tam niczego na pocieszenie, wreszcie powiedział głucho:

– Chcicie poznać główną kwaterę moich przodków. Dobrze, pokażę wam. Zaraz podam odpowiedni kurs kapitanowi. Nie znam dokładnie miejsca, to będzie na razie tylko kierunek... Czuję, że od celu dzieli nas przeszło tydzień drogi... – jego głos, jak na tragiczną sytuację, wydawał się opanowany. – Mam jednak parę własnych żądań.

– Przekażę, ale nie wiem, czy je spełnią...

– To są żądania do przyjęcia dla nich – rzekł dobitnie. – Po pierwsze, nie chcę cię więcej widzieć. Doprowadzę ich na miejsce, ale nie chcę być więcej nagabywany czy przekonywany. To pierwszy warunek. Drugi, uprzedzam, że gdy znajdziemy się na miejscu i pojawią się kolejne postulaty twoich przyjaciół, nie spełnię żadnego, dopóki nie spotkam się z mamą. Wtedy ewentualnie pójdę na dalsze układy... Ale o tym porozmawiam na miejscu i to z bezpośrednimi szefami.

– Przekażę, ale nie wiem, jaka będzie odpowiedź – wybąkałem.

– Odpowiedź niech przyniesie mi ktoś inny. Nie chcę na ciebie patrzeć.

Chyba nikt mnie nigdy nie potraktował gorzej. Uniosłem wzrok, pragnąc spojrzeć w oczy Łukasza. Ział z nich chłód, odraza i pogarda. Potem odwrócił się na pięcie. Więc wyszedłem.

\* \* \*

Wiadomość wysłana ze statku ucieszyła kierownictwo grupy UNO, ucieszyła też sztab KOMÓRKI. Od pewnego czasu szyfry przeciwnika nie stanowiły tajemnic przed szyfrantami Teścia. Zaraz odnotowano zmianę kursu „Prezydenta Talberta”, który nie zawijając do Londynu, znalazł się na Atlantyku i ruszył w kierunku południowozachodnim. Dokąd zmierzał? Do Ameryki Południowej, na Karaiby?

– Odciąga, czy prowadzi do celu? Ciekawe – głośno zastanawiał się generał.

– Chłopiec chyba jeszcze nie znalazł sposobu na swych porwaczy. Na razie więc współpracuje – stwierdził profesor Carmine. – Swoją drogą, koronkowo wymyślili ten szantaż. To wręcz samozaciskająca się pętla.

– Co w tej sytuacji pan radzi, profesorze?

– Czekać. Przebywać w pobliżu i włączyć się w odpowiednim momencie. Mamy tę przewagę nad bandą UNO, że im potrzebny jest egzemplarz zero żywy, my poradzimy sobie nawet z umarłym. Różnica w technice.

Teść kiwa głową i zwraca się do szyfrantki.

– Prowadzić dalej ścisły nasłuch. Czy wykryto już miejsce pobytu Maksa?

– Nie mamy takich możliwości radiolokacyjnych. Ich stacja nadawcza jest ruchoma. Albo znajduje się w samochodzie poruszającym się drogami północnej Francji albo wynajęli nieduży samolot.

– W każdej chwili możemy zwrócić się o pomoc do francuskiej Sûreté – odzywa się, dotąd jedynie przysłuchujący się rozmowie, pułkownik Kuzyn. – Są w stanie zlokalizować nadajnik i zniszczyć bandyckie kierownictwo.

– Nie śpieszmy się. Maks, podobnie jak Helmut, to też tylko wykonawcy. Jeśli mamy ich zgarnąć, to tylko razem z łącznikiem z KGB. Moim zdaniem należy śledzić ich i wejść na gotowe.

Narada jest skończona. Kuzyn wymienia jeszcze parę zdań ze swym szefem, potem opuszcza paryską kwaterę KOMÓRKI. Szybki renault przewozi go do zacisznego pensjonatu pod Wersalem, gdzie czeka już porucznik Burke. Melduje, że właśnie zlokalizowano hotelik, w którym Gray przebywał przez pół dnia z mecenasem Vitry. Niestety, zdążyli zwiać. Vitry wrócił do domu, ale było wątpliwe, by wiedział, co stało się z Fredem.

– Oczywiście, cały czas jest śledzony – zakończył.

– Drogi przyjacielu, o ile znam Freda, nie spotka się więcej z mecenasem. Chodziło mu wyłącznie o kontakt z Altenbachami. Jeśli zaczął już pracować dla Altenbachów, mamy nową, groźną sytuację. Ale nic to, poprosimy o pomoc Sûrete. Powiemy, że to wielokrotny morderca. Dostaną wariantowe rysopisy Graya. Nie opuści Francji...

– Dlaczego miałby ją opuszczać?

Kuzyn nie zamierzał mówić porucznikowi wszystkiego ani o frachtowcu, ani o egzemplarzu zero, toteż stwierdził krótko:

– Istnieje uzasadniona obawa, że tak postąpi. Dlatego będą kontrolowane przejścia graniczne, porty i lotniska. Również prywatne. Mysz się nie przemknie...

– Można spróbować zająć Graya od innej strony. Odnaleźć jego córkę. Chyba ciągle jest gdzieś w Szwajcarii – proponuje Burke.

– Nie stosujemy takich metod – odpowiada twardo Kuzyn. – Poza tym, wciąż nie doceniasz Freda. Zraniony w najczulszy punkt zapolowałby na nas. I daję ci słowo, nikt nie wyszedłby z tego żywy – a po dłuższej pauzie dodaje: – Żałuję, że cię posłuchałem i nie próbowałem dogadać się z Fredem.

– To zdrajca!

– Ty tak chciałeś to widzieć. A ja cię posłuchałem. Coraz częściej dochodzę do wniosku, że to Christine działała na dwie strony. Nie mamy od niej żadnych wiadomości, prawda? Kamień w wodę?

Burke purpurowieje, a Kuzyn ciągnie dalej.

– Teraz nie ma już szans, aby Fred do nas wrócił. Możemy go jedynie zneutralizować. Wygraj tę partię, to zapomnę o twych błędach, Burke, ale jeśli przegrasz...

– To co? – Twarz porucznika przypomina jak nigdy twarz starego mopsa.

– Oddam cię Grayowi.

\* \* \*

Wydawało się, że osaczenie Freda Gray'a będzie tylko kwestią czasu. Czternastego września, po doniesieniu od portiera, dokonano nalotu na pewne mieszkanie w dzielnicy La Defense.

Mężczyzna, którego rysopis zgadzał się z jedną z wersji listu gończego, wszedł do mieszkania należącego do niejakiego Pierre'a Voisin. I od doby go nie opuścił. Portier należał do starej kadry policyjnych konfidentów, jego meldunek potraktowano więc bardzo serio. Mieszkanie zostało sprawnie otoczone przez uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy. Ewakuowano sąsiadów. Snajperzy wylądowali na dachu. Dowódca Lucien Guyard zastanawiał się nad wyłamaniem drzwi, najpierw jednak postanowił zadzwonić. Otworzył mu tęgawy mężczyzna w szlafroku.

– Słucham – zdążył powiedzieć, ale odepchnięty poleciał pod ścianę. Jeden rzut oka wskazywał, że nie jest to poszukiwany Gray.

– Nazwisko! – warknął Guyard.

– Pierre Voisin – rozespany mężczyzna wyciągnął z kieszeni szlafroka okulary i nałożył je na nos. – O co chodzi?

– O pańskiego gościa, zbiegłego terrorystę.

– Nie goszczę żadnych terrorystów.

– Zobaczymy. Chłopcy, przeszukać!

Zgraja mężczyzn z automatami rozbiegła się po apartamencie, trzaskały drzwiczki szaf, w poszukiwaniu skrytek zrolowano dywany. Wreszcie brygada wbiegła po krętych schodkach na drugą kondygnację.

Jedną sypialnię zastali pustą, w drugiej panował półmrok. Nie przeszkodziło to Guyardowi zauważyć podłużnego kształtu przykrytego kocem. Jednym susem dopadł pościeli i zerwał przykrycie. Dziewczyna była piękna i naga. Nie spała, ale nie wyglądała na szczególnie przerażoną. Miała najwyżej osiemnaście lat, może mniej, ale pał sześc, Guyard nie pracował w obyczajówce. Jej piękne, jędrne piersi przypominały złociste jabłka z ogrodu Hesperyd, kędzierzawy, złocisty trójkącik – runo, za którym gonił Jazon. Lucien w tym momencie zazdrościł po równi Jazonowi, co i panu Voisin. Dziewczyna przeciągnęła się.

– Moja narzeczona, Antoinette – przedstawił gospodarz, który sapiąc nadszedł za nimi.

– Przepraszam – wybelkotał zaskoczony funkcjonariusz. I z lekkim żalem dodał: – Niech się pani przykryje.

Rewizja okazała się niewypałem, opuszczenie mieszkania po gładkiej ścianie uznano za niemożliwość. Biedny portier nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego wziął słodką call girl za seryjnego zabójcę... Zarówno Gray, jak i sprawca wzrokowych omamów funkcjonariuszy, Altenbach, śmiali się z incydentu jeszcze następnego dnia, gdy na jednym z mniej uczęszczanych przejść przekraczali granicę między Francją a Belgią.

– Widzisz przyjacielu – skomentował zdarzenie Altenbach – ludzie widzą tylko to, co chcą widzieć. Gdyby ktoś ci zrobił zdjęcie, mógłby się przekonać, że cały czas leżałeś tam wyłącznie ty i to bez żadnej charakteryzacji.

Niefortunny incydent i śliczna Antoinette długo jeszcze będą nawiedzać w snach inspektora Guyarda. Tym bardziej, że po paru dniach przyjdzie mu do głowy, że przegapił bardzo istotny szczegół. W całym mieszkaniu nie znalazł ani strzępka kobiecego stroju. A przecież piękna dziewczyna nie zjawiła się w Defense w stroju Ewy.

Altenbach i jego najemnik przebyli północno-wschodnią Francję szybko i, mimo licznych kontroli policyjnych, bezboleśnie. Altenbach dawał prawdziwy koncert telepatycznych możliwości, a przy okazji poczucia humoru. Zagląjącym do wozu funkcjonariuszom jego pasażer objawiał się, a to jako rosły nowofundland, a to pyzata dziewczynka, a to wreszcie stos walizek. Najczęściej jednak widzieli puste siedzenia.

Pośpiech Petera wynikał z pragnienia jak najszybszego znalezienia się w nowej siedzibie rodu. Tam razem stanowili siłę, poza tym wszystko wskazywało, że w jej kierunku posuwa się podróżujący morzem Łukasz i jego porywacze. Altenbach postanowił nie ryzykować lotu prosto z Francji. Jego magia była bezskuteczna wobec kamer, dlatego uznał, że łatwiej uda się przeskoczyć Atlantyk startując z holenderskiego lotniska Schiphol.

Słońce przypiekało, dzień był bezwietrzny, Altenbach złożył dach i kabriolet dosłownie frunął autostradą ponad polami historycznych bitew i wielowiekowych zmagania. Wreszcie granica. Peter podał dokument i na życzenie kontrolującego, otworzył automatycznie bagażnik.

– Dziękuję, proszę jechać, szerokiej drogi – usłyszał uprzejme słowa.

W tym samym jednak momencie praktykantka, dyżurująca przy monitorze w budynku posterunku, wykrzyknęła zdziwiona:

– A dlaczego w ogóle nie zajmują się tym drugim?

Dowódca placówki zerknął na ekran. W istocie, funkcjonariusze zachowywali się tak, jakby w odkrytym wozie znajdował się tylko kierowca. Ponieważ samochód już ruszał, wybiegli z posterunku. Trzeba trafu, że w rozklekotanym Citroenie tuż przed Altenbachem popsuł się rozrusznik. Peter manewrował, żeby go ominąć, ale miał za mało miejsca.

– Stać, stać! – rozległy się wołania.

Posłusznie zgasił silnik. Komendant i dziewczyna w twarzowym mundurku dobiegli do wozu.

– A gdzie jest pasażer? – zawołał dowódca.

– Jaki pasażer? – Kierowca wydawał się nie mniej zaskoczony niż kontrolujący go funkcjonariusze.

– Widzieliśmy pańskiego pasażera – powiedziała dziewczyna. – Na monitorze.

– Nikogo tu nie było – odparli jej koledzy.

Intuicja podpowiedziała praktykantce, żeby wyciągnąć rękę i dotknąć siedzenia. Jeśli będzie ciepłe... Wyciągnęła dłoń i zadrżała. Dotknęła męskiej nogi. I w tym momencie miraż przysnął. Na tylnym siedzeniu zobaczyła mężczyznę, którego twarz znała z listów gończych. Dlaczego jednak nie krzyczała? Nie zrobiła żadnego ruchu, tylko trwała niczym mucha uwięziona w bursztynie?

Altenbach był skoncentrowany maksymalnie. Panować nad wzrokowymi wyobrażeniami czterech osób, unieruchomić piętą... Dotarł do granic swych możliwości. A jak dołączyć inni zaciekawieni zbiegowiskiem? Na szczęście, gość z citroena wreszcie zapalił. Komendant chciał wydać polecenie wyjścia z samochodu, ale ku własnemu zaskoczeniu z jego ust padło krótkie:

– Proszę jechać!

Renault skoczył do przodu i zniknął za zakrętem. Tam Altenbach zatrzymał, wysiadł i truchtem zawrócił, by popatrzeć na posterunek. Funkcjonariusze zdążyli już oprzytomnieć.

– Tam siedział poszukiwany, dotknęłam go! – krzyczała praktykantka. – Dlaczego pan kazał mu odjechać?

Szef upierał się, że nikogo nie widział. Postanowił jednak wrócić na stanowisko, zaalarmować stronę belgijską i powiadomić o zagadkowym wydarzeniu centralę. Ale nim doszedł do budynku, zrobiło mu się gorąco i sennie, pomyślał, że w taki dzień najlepiej wybrać się na ryby albo umówić się z kimś, a po kwadransie nie pamiętał nawet, że chciał gdzieś dzwonić. Praktykantka odczuwała bóle głowy, zwolnił ją więc ze służby. Inni jakoś zapomnieli o wszystkim.

Tymczasem Fred musiał przejąć kierownicę. Altenbach, kompletnie wyczerpany, odpoczywał na tylnym siedzeniu.

– Przedźwignąłem się! – mruczał, dysząc. – Boże, jak ja się źle czuję, ale to minie, minie. A do Holandii niedaleko.

\* \* \*

Przez parę dni mocno kołysało. Leżałem na koi, co rusz wstrząsany torsjami i wyrzutami sumienia. W chwilach lepszego samopoczucia pisałem moją książkę. Ciężko szło. Zabolaty mnie okropnie słowa Łukasza. Szczególnie, że były celne.

Na wysokości Hiszpanii przestało wreszcie huścić, zrobiło się też znacznie cieplej. Godzinami stałem przy relingu, wpatrując się w wodną przestrzeń. Czasem w oddali mijał nas jakiś statek lub przemknęło stado podskakujących na falach delfinów.

Miałem dużo czasu na niewesołe refleksje. Trawiły mnie, jak coca-cola rdzę. Nie widziałem przed sobą przyszłości. Od kiedy przestałem służyć za pośrednika, moje notowania na statku spadły. Gdy przychodziłem na posiłek, wszyscy spoglądali na mnie spode łba. Chyba tylko jakieś wyższe kalkulacje wstrzymywały ich przed wyrzuceniem mnie za burtę. A co będzie później? W myślach liczyłem na jakiś cud, ale parę razy w ciągu nocy budziłem się na wąskiej koi obłany potem... I myślałem o śmierci.

– Jaką jesteś, wielką ciszą, niebytem, ulgą po bólu, po nieudanym, spieprzonym dokumentnie życiu? – Pytałem i odpowiadałem sobie odruchowo: – To niemożliwe, żebym umarł, przecież jestem młody, tyle mógłbym jeszcze zrobić...

– Co mógłbyś takiego zrobić? – odzywał się we mnie ten drugi, mały, złośliwy karzełek-ironista, kiedyś wierny towarzysz młodzieńczych zwątpień, potem wróg zapędzony w najdalszy kąt podświadomości. – Co mógłbyś zrobić? Jeszcze parę kilo felietonów o niczym, trochę żartów, które nikogo nie bawią, a może przemówienie dla Waldka?

– Gdybym miał szanse...

– Dostawałeś mnóstwo szans.

– Nie miałem szczęścia!

– Miałeś go aż za dużo. Tylko wpatrzony w każde pięćdziesiąt groszy, goniąc za ulotnymi przyjemnościami, nie chciałeś go zauważyć. Straciłeś miłość Łukasza.

– Nigdy jej nie miałem!

– Mogłeś mieć. Gdybyś spróbował być mu prawdziwym ojcem. Kiedyś chłopak bardzo tego potrzebował, a ty cieszyłeś się, że nie musisz płacić alimentów.

– Odejdź, mały szatanie!

– Odejdę, ale wrócę. Będę ci towarzyszył w ostatniej drodze.

– Umrzemy razem.

– Ja się nie boję. Uwielbiam czarny humor, a śmierć jest tylko najłatwiejszą pointą kawału. Czołem! Idę...

– Nie, poczekaj, poczekaj idioto! Chcesz, śmieć się ze mnie, ale nie opuszczaj mnie. Potrzebuję twojej rady!

– Przecież nigdy nie chciałeś słuchać mych rad. – Mówiłeś mi tylko rzeczy gorzkie.

– To była gorycz lekarstwa, nie trucizny. Teraz broń się sam.

Obok, w dusznej kajucie posapuje i jęczy przez sen René. Mój opiekun, a może mój przysły kat. Usiłuję się modlić. Rozczulam nad sobą. Łzy mi płyną, gdy próbuję przypomnieć sobie „Ojciec nasz”.

– Wiesz, że zachowujesz się kabotyńsko? – Krasnal znów pojawia się na skraju mego mózgu. – Ale płacz, płacz, jeśli ma ci to pomóc. Inny by myślał. Łukasz nie może nic zrobić,



bo jest obserwowany. Ty mógłbyś. Teraz, na pełnym oceanie na pewno nie prowadzą łączności telewizyjnej. Radiowe komunikaty można sfalszować. Gdybyś opanował radiostację, a Łukasz zahipnotyzowałby strażników... Mówiliby to, co tylko on zechce. Wyciągnęlibyście informację, gdzie jest Helena...

– Szalony pomysł!

– Inni by próbowali. Choćby twój stryjeczny brat, Alfred. Pamiętasz go?

– Alfred dawno nie żyje. Poza tym, gdyby istniały takie możliwości, Łukasz zrealizowałby je beze mnie. A może nawet realizuje... Tak szybko zgodził się na współpracę, że teraz, ani chybi, ciągnie bandziorów prosto w pułapkę.

– Powinieneś przynajmniej spróbować mu pomóc. Jesteś tu dość długo, a nawet nie usiłowałaś obejrzeć instalacji alarmowej, nadajnika. Przekazałbyś to Łukaszowi... Zresztą, po co masz przekazywać, sam wyczyta co trzeba w twych myślach. Nie poddawaj się panice. Myśl chłodno. Czekać na cud nie masz żadnych szans, a tak – chociaż niewielkie – ale zawsze.

Zsuwam się z koi, René śpi jak zabity. Mijam go. Nawet się nie poruszył. Pokład jest cały mokry od rosy. Na wschodzie różowieje niebo. Jakże inaczej wyobrażałem sobie podróż szlakiem Kolumba. Dochodzę do rufy. „Prezydent Talbert” sunie gładko po falach, wielki jak pięciopiętrowa kamienica. Jutro chyba dotrzemy do Azorów, a dalej? Wpatruję się w pianę wypływającą spod śruby, długie bruzdy za statkiem, rozsypujące się po wodzie. Ku horyzontowi...

Cholera. Czyżby to było złudzenie? Gdybym tak miał lornetkę. Wyteżyłem wzrok. Daleko za rufą zobaczyłem coś, co przypominało sterczący na sztorc patyk. Szybko zniknęło.

– Co tutaj robisz? – mocna dłoń łapie mnie za ramię. Omar! – Czego węszysz? – powtarza południowiec.

– Zemdlilo mnie – krzywię boleśnie twarz i wskazuję na żołądek.

– Przy tak spokojnym morzu? Nie nadajesz się na marynarza – rechoce terrorysta. – Masz, spróbuj, może ci pomoże – wtyka mi w dłoń płaską butelkę. Jakaś whisky.

Może jestem niedorajdą, ale pochodzę z tych stron Europy, gdzie picie to najlepiej rozwinięta gałąź sportu. Piersiówka jest prawie pełna. Unoszę ją do ust. Przechylam. Kątem oka patrzę na Omara. Rozbawienie ustępuje miejsca zainteresowaniu. Wypiłem połowę, potem trzy czwarte. Trochę mnie zatyka, ale nic. Kończę heroicznie! Obcieram usta rękawem i oddaję pustą butelkę. W oczach bandziora pojawia się podziw. Sam, wychowany w islamie, pije pewnie od niedawna.

– Umiesz grać w kości? – pyta całkiem przyjaźnie. – Ja też nie mogę zasnąć.

Idziemy. Jeszcze chwila, a będę czuł się zupełnie lekki i rozluźniony. Jednak w mniejszym stopniu sprawczynią tego stanu jest whisky. O wiele większy wpływ ma dostrzeżony w wodzie obiekt – peryskop łodzi podwodnej.

\* \* \*

Lot na drugą półkulę przebiegł bez większych wrażeń. Do Caracas dolecieli punktualnie. O świcie 15 września w porcie La Guaira oczekiwał ich olbrzymi Wolfgang. Uwagę Graya zwrócił zgrabny jacht, pływający pod banderą panamską, o nieco pompatycznej nazwie „Krzyż Południa”.

– Wynajęliśmy go dla pana, wedle życzenia – poinformował majordomus.

– Nie przypuszczałem, że będzie taki piękny.

– Jest szybki jak motorówka – tłumaczył Wolfgang, któremu najwyraźniej powierzono funkcję kapitana.

– Kiedy możemy wyjść w morze?

– Uzupełniamy jeszcze ekwipunek. Pańskie zamówienie było dość nietypowe. Jutro nasz człowiek przyleci ze Stanów z brakującym sprzętem i możemy wypływać.

– Mamy bardzo dużo czasu – uspokaja Peter. – Statek Łukasza potrzebuje tygodnia, by tu dopłynąć... Masz już dla nas plan, Fred?

– Nawet parę. Chciałbym jednak realizować go sam.

Altenbach zamyślił się.

– Jak sobie życzysz, widziałeś jednak, że coś niecoś potrafię i mogę się przydać.

– Wolałbym, żebyś zlokalizował miejsce, które stanie się kwaterą KOMÓRKI, kiedy jej pościg dotrze na naszą wyspę. Jestem pewien, że znaleźli sposób na podążanie śladem frachtowca.

– Niech i tak będzie. Nawiasem mówiąc, chętnie spędzę trochę czasu przy dziadku. Boję się, że to jego ostatnie tygodnie.

Graya satysfakcjonowało stanowisko Petera. Myślał o akcji szybkiej, opartej na prostym pomysle. Skrupuły Altenbachów mogły stanowić jedynie przeszkodę. Choć czasu spędzonego wspólnie z Peterem nie uważał za stracony. Imponowała mu wiedza Altenbacha. Jego wiecznie młodzieńcza ciekawość, z jaką odnosił się do świata. I do własnych nadzwyczajnych cech, kumulowanych z każdym pokoleniem ich dynastii. Próbował tłumaczyć boskie talenty prawami nauki. Lub odkrywać nowe.

– Siłą sprawczą jest skoncentrowana myśl, czy jak kto woli, umiejętnie kontrolowana energia biologiczna. Kto potrafi ją skupić i zastosować, posiada nieomal absolutną władzę nad materią – wyjaśnił. – Weźmy najprostsze doświadczenie z elektromagnetyki, pole elektryczne porządkuje żelazne opiłki, układa je we wzory. Podobnie jest ze skoncentrowaną myślą. Tyle że nie da się znaleźć jednej prostej formuły. Umysł ludzki jest nie tylko siłownią i komputerem. Fala biologiczna to raczej warkocz kilku fal, z których jedna, boska, nie da się wytłumaczyć naszą normalną fizyką.

– Dziedzictwo Uranosa?

– Niekoniecznie, być może owa cecha pojawiła się podczas eksperymentów innych kosmitów z przedstawicielami homo, jeszcze nie sapiens. Zresztą, w wiązce fluidów

wydzielanych przez zwierzęta też znajdziemy pierwociny tego promieniowania. Na razie nie potrafimy ująć go w matematyczny wzór, może nawet nigdy nie będziemy umieli. W każdym razie wiemy, że odpowiednio skoncentrowana myśl może zmienić strukturę ciała. Materia jest o wiele bardziej plastyczna, niżby się wydawało, chociaż patrząc od strony atomowej, powinna być jeszcze podatniejsza. Przecież atom to pustka – małe jądro i jeszcze mniejsze elektrony. Niektórych dziwią bezkrwawe operacje szamanów filipińskich. Ale czy to takie dziwne? Dam prosty przykład: mamy lód z zatopionym wewnątrz kamieniem. Można lód rozbić i kamień uwolnić, ale można również go stopić...

– Jednak przy bezkrwawych operacjach nie następują zmiany podobne topnieniu, zresztą byłyby one niemożliwe, zmiana temperatury czy ciśnienia to zabójstwo dla organizmu.

– Toteż istotą działania skoncentrowanej wiązki fali biologicznej jest zmiana struktury, ale bez skutków ubocznych. Nie umiem wprowadzić, jak Łukasz, przenikać przez ściany, wiem jednak z grubsza na czym to polega. Na krótki moment drewno, kamień lub cegła, nie tracąc nic ze swej barwy czy kształtu, stają się przenikliwe jak powietrze. Z kolei lewitowanie to chwilowe pozbawienie własnego ciała grawitacji...

– A jednak nie możecie uleczyć waszego dziadka.

– Może Łukasz by potrafił. Pytanie czy Ernest chce być uleczony? W każdym człowieku istnieje pewien skończony ładunek siły witalnej, częściowo regenerujemy go, ale mimo to wyczerpuje się. Gdyby dziadek zużywał posiadaną moc wyłącznie na konserwację własnego organizmu, prawdopodobnie żyłby i dwieście lat. Ale on swój psychiczny eliksir życia oddał, wybacz staromodne słowo – sprawie, podobnie jak większość kobiet mego rodu. Dla siebie pozostawił niewiele.

Zanim się rozstali, Fred zadał jeszcze jedno pytanie, które nurtowało go od dawna:

– Skąd wziął się ten nagły przyływ zaufania do mnie? Powiedzieliście mi znacznie więcej niż potrzeba, abym dla was pracował. Jestem w końcu kondotierem, zbirem do wynajęcia, człowiekiem bez przeszłości i bez przyszłości.

– Prześwietliliśmy cię na wylot – odparł Peter. – Życie zrobiło ci dużo złego, ty chciałeś brać na nim odwet. Pragnąłeś mu pokazać, co potrafisz. Stąd Legia Cudzoziemska, służba dla KOMÓRKI. Tak naprawdę nigdy nie zabijałeś dla przyjemności. Wykonywałeś zawód, do którego masz wrodzony talent. Ale w gruncie rzeczy chciałeś zawsze żyć normalnie, mieć zwyczajną rodzinę, poświęcić czas córce, może mieć kolejne dzieci. Być porządnym człowiekiem. I właściwie nim jesteś.

## Rozdział XXII

# Martynika

Patrząc z lotu ptaka, Martynika przypomina łeb rekina z rozdziawioną paszczą. W tej niedomkniętej paszczy ulokował się port i miasto o patriotycznej nazwie – Fort de France. Zatoka dzieli wyspę na dwie części: płaską południową i północną, wyżynną, z dominującym stożkiem Mont Pelée. Możliwy jest również inny podział: na wybrzeże wschodnie i zachodnie. Strona karaibska jest duszna, gorąca niczym garnek nakryty przykrywką. Brzeg atlantycki, chłodniejszy, z wysoką oceaniczną falą, pełen przybrzeżnych raf i rekinów, mniej nadaje się na beztrudny wypoczynek. Cała wyspa, tonąca w zieleni, pełna ogromnych, wielobarwnych kwiatów, z typowo francuskim stylem życia, tak różnym od surowego drylu protestanckiego z sąsiednich wysp, przypomina rajski ogród, perłę z naszyjnika rozsypanego na ciepłych wodach.

Dwudziestego pierwszego września, dobrze po zapadnięciu zmroku, frachtowiec „Prezydent Talbert” zarzucił kotwicę nieopodal Skały Karaweli, samotnej kamiennej bryły rzuconej ręką natury w morze o trzy kilometry od Przylądka Diabła, przypominającego pazur na końcu kościstego palucha.

Lepki zmrok, w którym Krzyż Południa, Orion i inne konstelacje przywodziły na myśl perły zanurzone w smole, przecinał jedynie powracający snop światła z miejscowej latarni morskiej. Na dziobie „Prezydenta Talberta” Giani, faktyczny komisarz, kontrolujący załogę frachtowca, czekał na sygnał z lądu lub osobiste zjawienie się któregoś z szefów, którzy winni już być w wiosce La Trinite u nasady półwyspu Karaweli.

Tymczasem na „Krzyżu Południa” zataczającym kręgi wokół wschodnich wybrzeży Martyniki, zauważono statek, zanim ten jeszcze zarzucił kotwicę. Gray wołał jednak nie zbliżać się zanadto do frachtowca. Razem z Wolfgangiem zatrzymali jacht za Skałą Karaweli. Następnie, pozostawiwszy go pod opieką czteroosobowej załogi, spuścili na wodę mały czarny ponton i popłynęli w stronę słabo oświetlonej jednostki, przypominającej bardziej Latającego Holendra niż normalny statek handlowy. Zresztą, czy „Prezydent Talbert” był

normalnym statkiem handlowym? Od dawna zajmował się podejrzanymi interesami, od transportu broni do stref konfliktów, po przetrzut najemników...

Fala nie była wysoka. W pewnym momencie, kiedy mrok nad nimi zgęstniał, przeistaczając się w kadłub „liberyjczyka”, Fred założył maskę, płetwy i butle z powietrzem. Do łydki przytroczył nóż. Gdy zsunął się do wody, ciepłej jak zupa, Wolfgang podał mu ciężką torbę, którą umocował do pasa.

– Czekaaj tu na mnie – rzekł Gray

– Powodzenia – padła mrukliwa odpowiedź.

Pierwszy odcinek przepłynął tuż pod powierzchnią, korzystając z rurki, potem zanurzył się głębiej i przeszedł na powietrze z butli. Niebawem dotarł do pokrytego glonami kadłuba „Prezydenta”, parę metrów poniżej linii wodnej.

Posuwając się wzdłuż statku, wyciągał kolejno z torby pudełka zaopatrzone w magnesy, które rozmieszczał w równych odstępach. Połączył je zaizolowanym przewodem (miał tylko jeden zapalnik radiowy). Detonacja miała nastąpić po wysłaniu impulsu z nadajnika. Dawny, dobry sprzęt jeszcze z czasów „komórkowych”. Zakończywszy minowanie, wypłynął na powierzchnię po cienistej stronie kadłuba, dokąd nie docierały błyski latarni ani światło półksiężyca. Do liny kotwicznej doczepił mocny haczyk i w tak zaimprovizowanej szatni powiesił ekwipunek płetwonurka. Prócz ciemnego kombinezonu zostały mu tylko nóż i sakwa. Teraz wyciągnął z niej zwój liny, zakończonej małą, sześćciozębną kotwiczką. Rzucił, mając nadzieję, że nie trafi w jakiegoś śpiącego na pokładzie marynarza. Udało się! Chwilę potem znalazł się na śródkręciu. Pustka. Załoga albo zeszła na ląd albo nie wychylała nosa ze swych kajut. Po dobrej chwili zauważył ognik żarzącego się papierosa. Na szczęście wartownik przechadzał się po drugiej stronie pokładu. Nurek podpełzł bliżej i zauważył, że półnagi mężczyzna pilnował masywnych drzwi. Czyżby znajdował się tam Łukasz? Gray miał ochotę załatwić wartownika i wyciągnąć egzemplarz zero. Wolał jednak trzymać się planu. Łukasz powodowany lękiem o los matki mógł przecież nie zgodzić się na ucieczkę. Co innego, gdyby nie miał innego wyjścia. O Helenę Fred akurat martwił się najmniej. Wiedział, że jeśli Łukasz ucieknie, ludzie Helmuta nie ośmielą się pozbyć jedyne go atutu, jaki dawała im Szarecka – żywa. Co więcej, uwolnienie chłopaka dawałoby dodatkową gwarancję jej bezpieczeństwa. Oczywiście, autorem takiej kalkulacji mógł być ktoś obcy, nie syn.

Strażnik, nieświadom bliskości zagrożenia ziewnął, a Gray cofnął się w głąb korytarza. Niedaleko oświetlonego mostka (przy sterze ktoś czuwał), Fred zamocował kolejny ładunek. Wystarczająco silny, aby zmieść nadbudówkę z przyległościami. Zapalnik, tym razem czasowy, nastawił na 2.25. Zostawił sobie pięć minut. Nie musiał się nigdzie śpieszyć. Czasu, by udać się do Łukasza i przekonać go do celowości ewakuacji miał aż nadto. Scenariusz Graya zakładał, że pierwszy wybuch zdemoluje pokład i wywoła zamieszanie wśród załogi. Jeśli zgodnie z sugestią Altenbacha podwodna łódź Kuzyna istotnie krążyła w pobliżu, nietrudno było przewidzieć, że KOMÓRKA zechce interweniować. Może nawet przybije do

„Prezydenta Talberta”, by ratować egzemplarz zero. Wtedy obserwujący to (wraz z Łukaszem) z bezpiecznej odległości, Fred puści radiowy impuls. Wybuchną trzy ładunki pod statkiem – i obie grupy przeciwników znajdują się w opałach. Ci, co ocaleją, zanoszą swym mocodawcom wieść, że egzemplarz zero przepadł...

Do eksplozji pozostały jeszcze cztery minuty. Obchodząc nadbudówkę zajrzał przez rozświetlony świetlik do mesy załogowej. Czyżby nocny bankiet? Nie. Grano w karty. Dwóch marynarzy o potężnych, tatuowanych torsach, śniadolicy Omar, z którym zetknął się już w Locarno i... Cholera! Czwartym grającym, najwyraźniej z największym szczęściem – przed nim widniał bowiem spory kopczyk pieniędzy, był Adam Szarecki.

Do eksplozji pozostały trzy minuty. Za mało, by się zastanawiać. Nie zważając, czy go ktoś usłyszy, dwoma susami wrócił do miejsca, w którym umieścił ładunek. Rozbrajanie trwałoby zbyt długo. Oderwał go i szerokim rozmachem cisnął za burtę. Czy kierował nim impuls, odruch, czy błyskawicznie przeprowadzona kalkulacja? Sam nie wiedział. Rozległ się plusk.

– Kto tam? – zawołał strażnik. Pojawił się tak blisko Freda, że ten mógł jedynie użyć sztyletu. Charkot zagłuszyła podwodna detonacja. Gray nie czekał na dalszy rozwój wydarzeń. Przesadził reling. W locie wyprostował ciało i miękko wszedł w atramentową toń. Czas był najwyższy, na pokładzie zaroilo się od ludzi. Zapłonęły wszystkie światła.

Fred dał głębokiego nura, szukając kotwicznej liny. Sprzeczne myśli kłębiły mu się w mózgu. Sam, z rozmysłem, zniszczył swój plan. Ostrzegł terrorystów, zdradził swoją obecność ludziom z KOMÓRKI, zawiódł zaufanie Altenbachów. Jednak nie potrafił z zimną krwią posłać na dno statku, na którym płynął jego brat... Wprawdzie stryjeczny, od lat niewidziany, ale oprócz Evelyn, najbliższy krewny.

Po dłuższej chwili wymacał łańcuch i zawieszony na nim rynsztunek. Płuca mu pękały. Szukając gorączkowo ustnika z powietrzem z butli, nie czuł się wcale Fredem Grayem. Komandosem. Superagentem. Raczej Alfredem Szareckim, chłopakiem z Rychłowa, któremu zwariowany reżyser – los – ofiarował życiorys z zupełnie innego filmu.

\* \* \*

Minęła trzecia pięćdziesiąt, kiedy ponton ze zmęczonym Grayem opłynął Skale Karaweli i dobił do burty „Krzyża Południa”. Nikt go nie ścigał. „Prezydent Talbert” co rychlej podniósł kotwicę i ruszył na południe. Być może Giani nie miał pewności, kim był nocny gość na pokładzie jednostki i na wszelki wypadek wolał zmienić kotwiczowisko. Fred przywiązał ponton i wskoczył na pokład. Nikt nie pełnił straży, zakotwiczony jacht sprawiał wrażenie bezpiecznego. Wszyscy się pospali? Ruszył ku kabinnie...

– Dzień dobry, przyjacielu – przywitał go znajomy głos.

Jednocześnie zimna lufa dotknęła jego potylicy, a czyjeś sprawne ręce pozbawiły go noża. Na zydłu, z pistoletem trzymany oburącz i wycelowanym w pierś agenta, siedział uśmiechnięty porucznik Burke.

– Zdaje mi się, że tym razem gra skończona.

– Tak sądzisz? Pytanie czyja? – W głosie Freda nie było zdziwienia. Ani strachu.

– Brawurowy do końca. To mi imponuje. Ale nie masz na co liczyć przyjacielu. Z twojej załogi zostało dwóch rannych fagasów. I nie sadzę, żeby cokolwiek mogło to zmienić. Jesteś trupem, Gray!

– A widzisz, co trzymam w ręku? – Między palcami Freda pojawiło się, zniknęło i znów pojawiło, metalowe pudełeczko z pulsującą diodą. – Uważaj, bo upuszczę.

– Co to niby ma być, do pioruna? – Uśmiech znikł z twarzy porucznika.

– Zapalnik radiowy...

– Zaminowałeś własny jacht?

– Nie jacht, Burke. Jako katolik nie lubię samobójstw. Trzy miny znajdują się na dnie frachtowca „Prezydent Talbert”, dwie inne przy waszej podwodnej łódeczce... Jedno drgnienie i nie ma ani egzemplarza zero, ani waszej jednostki. – Mówiąc to, cofał się powoli, aż znalazł się z powrotem na pokładzie. Burke i trójka jego ludzi postępowała za nim, nie bardzo wiedząc co robić.

– Łzesz... – głos porucznika stracił pierwotną pewność siebie.

– A jak myślisz, co robiłem tej nocy pod wodą? Łowiłem raki?

– Sknociłeś operację, słyszeliśmy jak ładunek eksplodował obok frachtowca...

– Tylko po to, aby was tu zwabić, koledzy.

– Ale kiedy, u diabła, mogłeś zaminować moją łódź? Nawet się do niej nie zbliżyłeś.

– Ja nie, ale mój przyjaciel Wolfgang zaliczył skrócony kurs scuba-divingu.

– Chryste, szefie – wyrwało się jednemu ze zbirów – przecież wypłynęło ich dwóch, a wrócił jeden.

– Właśnie, a teraz łap! – zawołał Fred i cisnął srebrzystym pudełeczkiem w Burke'a. Ten puścił pistolet i niezręcznie usiłował złapać lecący nadajnik. Gray padł plackiem na ziemię i w tym momencie od rufy zaszczełał automat Wolfganga. Pociągnięty za nogi Burke wylądował na podłodze. Następny cios Freda pozbawił go sił. Jego ludzie skoszeni pierwszą serią, ranni lub martwi, nie nadawali się do walki. Za to z magazynu uwolniono obezwładnionych marynarzy „Krzyża Południa”.

Jednak przewaga ludzi Graya nie trwała długo. Na powierzchnię wypłynęła łódź podwodna i jej karabiny maszynowe zwróciły lufy w stronę jachtu.

– Otworzycie ogień, to straciecie kumpla! – zawołał Fred, zasłaniając się półprzytomnym porucznikiem.

Od strony morza dobiegło przekleństwo snajpera Kurta, a potem rozległ się głos Kuzyna.

– Nie pogarszaj swej sytuacji, Fred. Chcemy jedynie porozmawiać.

– Nie dziś. Zabieram go na brzeg! – zawołał donośnie Fred. – A wy przekazcie Teściowi, żeby dał sobie spokój z tą akcją. Moje słowo, że Altenbachowie nie wpadną w niepożądane ręce. A egzemplarz zero odzyska wolność. O to wam przecież chodziło...

Kuzyn wydawał się gotów pójść na ugodę. Kurt jeszcze się opierał.

– Błagam! Zróbcie, jak mówi – krzyknął Burke, czując, że za chwilę Fred skręci mu kark. – On zaminował nasz statek. – Tu urwał i wpatrywał się w leżący nadajnik. – Dlaczego to nie wybuchło? Blefowałeś?

– Na wszelki wypadek zmieniłem częstotliwość fali. Chcesz sprawdzić, co się wydarzy, gdy go dostroję?

Burke już więcej nie przeszkadzał i akceptował polecenia, co jakiś czas tylko powtarzał:

– Chryste, człowieku, coś ty narobił? Coś ty narobił?

– Ciesz się, że żyjesz. I daję ci przyjacielską radę, Ted, ostatnią... Nie wchodź mi więcej w drogę!

Porządkowanie sytuacji zajęło jakieś pół godziny. Wolfgang załadował rannych funkcjonariuszy na ponton, porucznikowi profilaktycznie nałożono kajdanki, mógł więc do woli sapać i prychać jak tygrys, któremu wyłamano zęby. W przystępie dobrego humoru, Gray wyjaśnił mu, skąd nagle pojawił się Wolfgang. Po prostu, dla bezpieczeństwa całą powrotną drogę płynął pod pontonem, nie wychylając głowy, by w odpowiednim momencie włączyć się do akcji...

\* \* \*

Tak naprawdę nie wiem, co tej nocy zdarzyło się na pokładzie. Graliśmy kolejną noc w karty. Od małego miałem smykałkę do gier. Właściwie, przez wiele lat kierki, brydż i poker stanowiły moją główną rozrywkę. Lubiłem karty i one chyba mnie też. Wśród mych okrętowych partnerów na szczęście nie było żadnego szulera, dlatego też ogrywałem tych prostych ludzi bez większych trudności, choć wyznam, oględnie, starając się ich nie zniechęcać. Talent do picia i hazardu znacznie podreperował moją reputację wśród oprychów. W pewnym sensie zaczęli mnie traktować jak jednego ze swoich. Nie krępowali się i niczego nie taili. Inna sprawa, nie wiedzieli wiele. Maks prawdopodobnie tak dobrał załogę, aby Łukasz nie mógł wyczytać za wiele z ich mózgów, czy raczej – mózdków. Doszedłem do wniosku, że są grupą bojową jakiejś międzynarodowej organizacji terrorystycznej. Mieli jedno zadanie – chronić Łukasza jak źrenicy oka. Dlaczego, tego nie wiedzieli.

Moja świetna passa wydawała się nie kończyć. Parę razy zdecydowałem się pasować z mocną kartą, by za bardzo nie wydoić ich z forsy. Gdybym kiedykolwiek z tego wyszedł, byłbym zamożnym człowiekiem. Gdzieś o w pół do trzeciej, gdy miałem już szczerą ochotę kończyć, od rozgrywki oderwała nas detonacja. Wybiegliśmy na pokład. Koło burty drgało jeszcze w przedśmiertnych konwulsjach drobne ciało faceta imieniem René...

– Gray... to... był Gray... – zdołał wykrztusić, zanim skonał.



Na rozkaz szefa grupy, Gianiego, oświetlono reflektorami morze wokół statku, jednak nie udało się nic dostrzec. Zapewne intruz zgiął wraz ze swym śmiertelnie niebezpiecznym ładunkiem.

Partacz!

Do kart nie wróciliśmy, dobrą godzinę roztrząsano incydent. Wszyscy byli zdania, że facet wpadł tu na przeszpiegi. Zabił strażnika, ale nie próbował włamać się do Łukasza? Dziwne. Zmienił plan, z jakiego powodu?

– Kim jest ten Gray? – spytałem na boku Omara.

Skrzywił się, słysząc to nazwisko, dotknął twarzy w miejscu, w którym skóra miała wyraźnie inny odcień.

– Ich agent – mruknął.

– Znaczący czyj?

– No, imperialistycznych świń!

– To ktoś z policji?

– Gorzej. Ze specjalnej komórki do walki z nami!

Tymczasem wrócił z mostka Giani. Musiał się z kimś porozumieć, bo nakazał szybkie zapuszczenie silników i wyjście w morze. Równocześnie wzmocniono warty. Zagrały silniki i podniesiono kotwicę.

Nie mogąc zasnąć, myślałem o Martynice leżącej od nas o wystrzał z armaty – baśniowej krainie z dziecięcych lektur – jak „Kapitan Blood”, „Wyspa Robinsona”... Wiatr przynosił od strony lądu egzotyczne zapachy drzew i kwiatów. Może mi się zresztą tylko wydawało. Później moje myśli skierowały się ku tajemniczemu mężczyźnie, który sam jeden wtargnął na wrogi statek, a potem równie tajemniczo się rozplynął. Cóż za odwaga! Czy raczej pogarda śmierci! Gray? Uśmiechnąłem się. Co za przypadek. Gray – szary – to brzmiało jak moje nazwisko po angielsku.

\* \* \*

O świcie „Krzyż Południa” zawinął do Sainte Marie, niewielkiej osady rybackiej wschodniego wybrzeża, położonej wśród gajów bambusowych i kwiatów hibiskusa. Peter już czekał w maleńkim bistro pod palmowymi liśćmi. Jego twarz ściągał ból, którego nie próbował ukryć.

– Dziadek jest w agonii – powiedział. – Wątpimy, czy zdąży zobaczyć Łukasza. A tak tego pragnie.

Gray szybko zrelacjonował wypadki ubiegłej nocy. Nie ukrywał swej porażki. Tym akurat Peter szczególnie się nie przejął.

– Zmieniamy koncepcję – rzekł. – Złapaliśmy psychiczny kontakt z Łukaszem. Chłopak pojął wszystko i wie, co ma robić. Doprowadzi ich do celu. Parę lat temu wynajęliśmy starą plantację na naszą letnią siedzibę. Łukasz pokaże terrorystom drogę, a już my postaramy się zakończyć sprawę.

– To znaczy, zlikwidujecie ich?

– Absolutnie nie. Postaramy się jedynie wyczyścić im mózgi. Koncentracją fluidów Lizy, Łukasza i moich sprawimy, że zapomną wszystko: sprawę, która ich przywiodła, nas. Przesaną być groźni. Bez rozlewu krwi.

– A ich mocodawcy? Ci przecież nie zapomną!

– Gdy wyswobodzimy Łukasza, bez trudu znajdziemy i mocodawców. Ich też spotka wybiórcza amnezja.

– A jaka miałyby być w tym moja rola? – Gray był wyraźnie poirytowany.

– To proste. Spraw, żeby na plantacji zjawili się również funkcjonariusze KOMÓRKI.

– Też mają zapomnieć?

– Też.

Pierwszym krokiem do tego celu był powrót na jacht i uwolnienie Burke’a.

– Jesteś wolny, Ted – powiedział Fred, zdejmując mu kajdanki. – Zmykaj.

Chwilę trwało, nim dotarło to do porucznika. Kołysząc się jak pijany zszedł po trapie na brzeg. Obejrzał się parę razy, jakby spodziewał się strzału w plecy, aż wreszcie przy zabudowaniach nie wytrzymał i ruszył pędem, goniony śmiechem patrzących.

Ciekawe, ile czasu zabierze mu skontaktowanie się z Kuzynem? Od tego zależał ciąg dalszy ich planów. Fred specjalnie się nie kryjąc, miał przez Fort de France skierować się na północny zachód, by śledzący go „komórkowcy” przed wieczorem znaleźli się na plantacji. Zrobił to, choć intuicja podpowiadała mu, że plan jest zły i ryzykowny.

\* \* \*

Niedziela. 22 września, godzina 7.15 – od tej chwili prowadzę moje notatki na bieżąco. Wylądowaliśmy szalupą w miasteczku Le Robert. Giani, Omar, Łukasz, ja i dwóch marynarzy. Dookoła wspaniała roślinność, palmy królewskie i kokosowe, na stokach plantacje bananów i ananasów. Nikt nie zwrócił na nas uwagi, broń została głęboko pochowana, a wszyscy ubrali się jak na wycieczkę, kolorowe koszulki, słomiane kapelusze, ciemne okulary, aparaty fotograficzne. Łukasz nie zdradzał chęci ucieczki. Ciągłe było bardzo zamyślony. W nadmorskim hoteliku oczekiwał nas wysłannik szefów. Niejaki Leonello. Dziwna śródziemnomorska krzyżówka: twarz amorka z wyłupiastymi oczami ryby. W rękę trzymał radiotelefon.

– Spełniliśmy twoją prośbę, mały – rzekł do Łukasza. – Twoja mama jest już wolna.

– Wiem – odparł mój pasierb.

Leonello skrzywił się ironicznie, ale włączył w telefonie opcję głośno mówiącą

– Cześć! – poznałem głos Maksa. – Mam informację dla Łukasza. Twoja matka jedzie teraz z naszą koleżanką na lotnisko we Frankfurcie. Jeśli spełnisz swoją obietnicę i doprowadzisz nas do kryjówki Altenbachów, już jutro znajdziesz się w ramionach mamusi. Hej, Christine, przełączam na ciebie.

Trzaski. Po chwili słyszę głos Christine, rozmawiającej z samochodu. Dojeżdża właśnie do lotniska. W Niemczech dochodzi jedenasta. Za pół godziny odlatuje ich samolot do Caracas... Niedługo się spotkamy. Oczywiście, o ile Łukasz będzie grzeczny.

– Obiecałem – przerywa chłopak.

Potem odzywa się Helena, w jej głosie słychać zmęczenie. Na koniec ożywia się i woła, żeby Łukasz nie przejmował się nią i niczego nie wydawał. Połączenie z samochodem zostaje przerwane.

– Wszystko jasne? – spytał Maks.

– Jedno chciałbym wiedzieć – pyta chłopiec. – Jak osiągnęliście efekt, w którym nie mogłem porozumieć się z mamą? Przecież nawet gdyby była w łodzi podwodnej...

– Znaleźliśmy lepszą kryjówkę – zaśmiał się Maks. – Umieściliśmy ją w piwnicach wielkiej, funkcjonującej dzień i noc, największej rzeźni w Europie. Over!

Pojałem perfidię tego pomysłu. Emocje setek szlachtowanych czy czekających na śmierć zwierząt, tworzące olbrzymią biologiczną zagłuszkę, stanowiły przegrodę nie do przebycia, nawet dla ultraczułych fluidów Łukasza.

– A zatem prowadź, chłopcze – Leonello zwrócił się do Łukasza. – Gdzie jest ta tajemnicza kwatery?

– Nie wiem – wzruszył ramionami nastolatek. – Czuję jedynie kierunek. To będzie gdzieś tam. Ale wcale nie tak blisko.

Przy drodze czekały dwa nowe landrovery. Później zorientowałem się, że kilometr za nami podąża trzeci. Ktoś z bezpiecznej odległości najwyraźniej pilnował, aby Łukasz nie splotał jakiegoś figla. Ciekawe, czy z takiej odległości mój pasierb mógł wyczuwać złe intencje. Niestety, zachowywał nieprzenikniony spokój, a mnie nadal ignorował. (...)

\* \* \*

Popołudnie. Sjesta. Skwar wyludnił ulice Fort de France. Pusto na przestronnym bulwarze de Gaulle'a i leniwy spokój na ogromnym skwerze, zwanym Savana. Tylko w klimatyzowanym wnętrzu hotelu przy rue de la Liberte, ruch. Tu zainstalował się sztab generała Teścia. Oficjalnie zameldowali się jako grupa hotelarzy z USA, badająca nowe możliwości turystyczne Karaibów. Z pobliską policją mogą porozumiewać się via Paryż, i to tylko w razie konieczności. Kuzyn, osowiały, popija drinka. Po nieudanej próbie schwywania Graya, generał osobiście przejął dowodzenie. Pułkownik wie już, że w najlepszym razie idzie w odstawkę. Fred blefował. Żadnych min na łodzi nie znaleziono. Powinien już nie żyć. A on pozwolił mu zbiec.

– Na Martynikę łatwo przybyć, trudniej się wydostać – broni się Kuzyn. – Teraz są na niej wszyscy: Altenbachowie, terroryści, nawet Gray, a przede wszystkim egzemplarz zero. Komplet. Czego chcesz więcej?

Teść ignoruje jego wypowiedź.

Od paru dni, obserwując rejs „Prezydenta Talberta”, brano pod uwagę możliwość, że celem terrorystów może być Martynika. Od wczoraj domniemanie to przerodziło się w pewność. Dwudziestu ludzi zajęło stanowiska w różnych punktach wyspy. Śledzone są dyskretnie trzy landrovery, które po opuszczeniu Le Robert kręcą się po labiryncie drózek, posuwając się na północny zachód, Pelletier, Saint Joseph, Gros Morne – kolorowe trójkąci wędrują po mapie. Wóz namiarowy nie odstępuje promieniującego Omara. Również wolno jadący samochód Graya, zauważony już w Sainte Marie na krzyżówce w rejonie Le Lamentin, otrzymuje stałego opiekuna. Wszystko wskazuje, że samotnie i dość ostentacyjnie Fred kieruje się w stronę stolicy.

– Wyjadę mu naprzeciw – gorączkuje się Burke.

– Cierpliwości, poruczniku, życie ci niemiłe? Zobaczmy na razie, co nasz ancymon zamierza...

Co chwila zajmująca się nasłuchem grupy UNO dostarcza meldunków. Szyfry terrorystów są dość prymitywne i łatwe do złamania. Może czują się bardzo pewni siebie? Tajemniczy pozostaje tylko jeden krótki telefon do siedziby radzieckiego konsulatu. Tymczasem dwa wozy terenowe dojechały do Bezaudin i tam zawróciły. Droga się skończyła. Wracając, mijają Morne de Esses, gdzie zatrzymał się trzeci z radiostacją numer dwa, kilometr za nimi. Tam prawdopodobnie znajduje się sam Helmut, pozostający w łączności ze stanowiskiem na północy stolicy koło bazyliki Sacre-Coeur. Miniaturki paryskiej świątyni. Najprawdopodobniej obsługuje ją Maks. Po każdym seansie przekazuje komplet meldunków do centrum miasta. Jednak nie daje się namierzyć odbierającego. Łączność jest jednostronna. Nie można wykluczyć, że to ktoś w sowieckim konsulacie.

– Mają silną ekipę – szczęki generała Teścia zaciskają się mocniej.

Do pokoju operacyjnego zagląda snajper Kurt. Paskudny facet o zębach nutrii.

– Melduję gotowość helikoptera, generale, możemy ruszać.

\* \* \*

Godzina 13.40. Piszę szybko i niechlujnie. Trochę się martwię, że mogę mieć potem kłopoty z odczytaniem. Ponieważ Łukasz działa jak kompas, pokazujący jedynie kierunek, posuwamy się bardzo powoli, kluczymy, zawracamy, koło wioski Bois Lezard, gdzie znajduje się centrum jezdzieckie, złapaliśmy gumę. Naprawa przeciąga się. Nie lepiej byłoby przesiąść się na konie? Posilamy się w jakimś dusznym gaju. Dookoła sosny araukarie. My przysiedliśmy pod „drzewem podróżnych”, fantastyczną palmą, przypominającą ogon pawia... Mnóstwo kolibrów. Dwa z nich zawisły nad naszymi głowami, bijąc tak prędko skrzydłami, że te stały się omal niewidzialne. W innej sytuacji chyba wariowałbym z zachwytem. A tu nie opuszcza mnie napięcie. Twarze terrorystów są czujne, niespokojne. Napięcie wisi w parnym powietrzu. Nawet Łukasz co jakiś czas nerwowo zaciska ręce...

Leonello i Omar wściekają się, twierdząc, że chłopak tak ich prowadzi, jakby celowo chciał opóźnić podróż. Może ich zwodzi, a może w istocie nie tak łatwo jest mu trafić...

Jedziemy dalej. Wóz podskakuje na nierównej drodze. Nadal jednak próbuję notować.

Jestem urzeczony tropikalnym pięknem. Nawet zabudowania biedoty, domki z blachy falistej, w bujnej zieleni wyglądają malowniczo. Zresztą, czy takie chatki dowodzą nędzy? Ich mieszkańcy ubrani są dostatnio, mają samochody. Może więc wynika to raczej z lenistwa i braku potrzeby solidniejszego budowania?

Dawno nie miałem takiej potrzeby pisania. Nie wiem, co wyjdzie z tej książki. W teczce mam nieprawdopodobny chaos, zapisane kawałki dialogów, przemyśleń i ledwie naszkicowane kawałki fabularne. Groch z kapustą! Kiedy to się wszystko skończy, trzeba będzie przeprowadzić bezwzględną selekcję materiału. Zauważam, jak coraz bardziej moje losy schodzą na margines opowieści. Wiem, że powinienem centralną postacią uczynić Łukasza. Tylko, że mało go znam. Cóż wiem o jego myślach, odczuciach? Pamiętnik z optyki Łukasza? Nie do zrealizowania! Zresztą, czy ktoś, kto wie wszystko, nadaje się na bohatera? Chyba komiksu! A ten Gray? Pojawił się jak meteor, ale... Kim jest? Dlaczego gotów jest walczyć jeden przeciw wszystkim? Jak w dobrym amerykańskim kryminale. Szkoda, że nic o nim nie wiem. Gdybym mógł zamienić z nim chociaż parę zdań... Gdybym poznał jego biografię.

Tymczasem okolica staje się coraz dziksza, a las wyższy. Drzewa zdają się mocować z płataniną pnączy. Obserwuję wszystkie odcienie zieleni, ułożone piętrami, od głębokiego cienia tuż przy ziemi, do oślepiających refleksów między koronami drzew. Mijamy jakieś opuszczone domostwa. Czasem las rzednie i otwiera się panorama wzgórz o dziwacznych kształtach...

\* \* \*

Zupełnie nieoczekiwanie pierwszy samochód skręcił w boczną, zarośniętą drogę. Drugi poszedł w jego ślady. Po paru minutach stanęli. Leonello wysiadł z ponurą miną i ruszył w stronę Adama Szareckiego. Ten przestał pisać. Mimo odległości dzielącej oba samochody, do jego mózgu dotarł głos Łukasza: „Uciekaj!” Nie poruszył się, przekonany, że doświadcza złudzenia. „Uciekaj! Przed chwilą dostali dyspozycję, że nie jesteś już do niczego potrzebny. Będziesz zlikwidowany!”

Leonello zbliżał się, a on siedział jak sparaliżowany. Zlikwidowany? Oczywiście, czego się mógł spodziewać? Towarzyszący mu terroryści uśmiechali się złowrogo. Leonello znajdował się o parę kroków. Pot, omdlewająca bezwładność ciała, choć niezwykle ostre widzenie wszystkiego. Szarecki nie wykonał ruchu. To jego ciało uniosło się w powietrze i znikło w krzakach. Obserwatorowi mogło się wydawać, że skoczył, bijąc równocześnie rekord świata w skoku w dal, wzwyż i o tyczce. On jeden wiedział, jak było naprawdę. Niezdarnie podniósł się i zaczął uciekać. Zagrała seria z automatu, ale kule, lecąc po

zdumiewających trajektoriach, omijały go. Biegł dalej. Strzelali, czyli jeszcze żył. Broni dobyli wszyscy, jednakże kule zdawały się nie mieć dziennikarza. Nie draśnięty zniknął w gęstwinie.

Wśród bojowców rozgorzała dyskusja. Giani uważał, że należy koniecznie złapać Polaka, Leonello przekonywał, że to bez znaczenia, bo Szarecki w żaden sposób nie mógł zaszkodzić grupie.

– A jak da znać policji? – podsunął ktoś z boku.

– Zostawcie go mnie! – powiedział Omar, wyskakując z dzipa.

– Ty? – zdziwił się Giani. – Przecież nawet się trochę z nim zaprzyjaźniłeś?

– Dlatego załatwię rzecz szybko i estetycznie. Źle się czuję w tym podskakującym pudle.

– Dobra, ale weź nadajnik – rzekł Leonello. – Po robocie zgłosisz się do Helmuta. Swoją drogą, kto by pomyślał, że Polaczek jest taki zwinny.

– I o swoich notatkach nie zapomniał – dorzucił Giani. – Kto wie, co tam bazgrał.

Łukasz przez cały czas wydawał się drzemać.

\* \* \*

W Fort de France Gray zostawił swój wóz na parkingu przy placu im. Stalingradu i ruszył pieszo w stronę centrum. Zachowywał się jak człowiek czujny, ale bez przesady. W każdej chwili mógł otrzymać kulę, wiedział jednak, że jego egzekucja w tej chwili nie byłaby dla KOMÓRKI opłacalna. Zajrzał na pocztę, zjadł obiad. Kiedy wrócił do auta, przeżył krótką chwilę wahania. Czy w momencie przekręcania kluczyka nie nastąpi na przykład eksplozja? Założył, że nie nastąpi. Znów miał rację. Przejechał cały Bulwar de Gaulle'a, a następnie wśród wzgórz usianych willami ruszył na północ drogą numer trzy. Raz tylko zboczył z drogi. Skręcił w pustawą dróżkę i dokładnie obejrzał wóz. To, czego szukał, znajdowało się wewnątrz zderzaka i wyglądało na grudkę błota... Uśmiechnął się. Nadajnik miał informować KOMÓRKĘ o miejscu jego pobytu. Na niczym bardziej mu nie zależało.

\* \* \*

Omar lubił polować. Zwłaszcza, gdy zwierzyną był człowiek. Kiedy oba samochody odjechały, dłuższą chwilę pozostawał jak skamieniały. Słuchał. W lesie panowała jednak cisza. Nie trzasnęła ani gałązka. Zastanawiał się, jak postąpiłby na miejscu Szareckiego? Uciekałby lasem? Przy tak gęstym poszyciu i dużej odległości od ludzkich osad nie był to dobry pomysł. Zwłaszcza dla mieszczucha, nieobeznanego z tropikalną przyrodą. A znów iść do przodu drogą, mając wiele kilometrów do najbliższych zabudowań? Najprościej byłoby odczekać, a później wrócić do głównej drogi. Bez trudu mógłby znaleźć kogoś, kto zechce go podwieźć... Tylko, żeby dojść do szosy, trzeba trzymać się ścieżki. Omar, idąc bezszelestnie jej skrajem, przeszedł kilkaset metrów. Później schował się w kępie krzaków. Mając na oku zarówno ścieżkę, jak i zakręt drogi, mógł tu czekać nawet pół dnia. Mijały go autobusy z

turystami, rozklekotane wozy miejscowych. Nikt nie zwalniał. W lesie ciągle spokój. Przez moment przyszło mu do głowy, że może nie docenił Polaka. Po godzinie coś poruszyło się w zielonej gęstwie. Ptak, zwierzę?

Szarecki, rozglądając się, ostrożnie wyjrzał z krzaków. Nie widział Omara, natomiast zauważył dwa dość wolno jadące samochody. Wybiegł z lasu. Jednak zanim dotarł do pobocza, samochody znikły. Omar uniósł broń. Kismet, znów ktoś jechał, samotny wóz od strony Fort de France. Adam zamachał desperacko, ale szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy nie zahamował i znikł za zakrętem. Zabójca wyszedł z krzaków. Szarecki nawet nie zorientował się, że zwalista postać podchodzi do niego. Arab schował spluwę, decydując się na użycie noża. Uniósł ramię. W ostatniej chwili Adam obejrzał się, spostrzegł słońce lśniące na stali... Huknął strzał. Terrorysta okręcił się wokół swej osi i runął jak podcięte drzewo w przydrożny rów.

Spomiędzy drzew wyszedł szczupły mężczyzna. Widocznie zatrzymał swój wóz tuż za zakrętem. Szarecki spoglądał to na niego, to na nieruchome ciało. Z opóźnieniem dotarło do jego świadomości, co właściwie się zdarzyło. Nie znał wybawcy, jedynie mógł się domyśleć: Gray?

– Pan Szarecki, jeśli się nie mylę? – padło w odpowiedzi. – Chyba coś panu upadło.

Wybawca podniósł z pobocza jego podniszczoną teczkę z rękopisem.

## Rozdział XXIII

# Pod wulkanem

Łysy wierzchołek Mont Pelée, wulkanu-mordercy, wystaje ponad lasami na podobieństwo grzbietu uszpiętego dinozaura, górując nad całą północną Martyniką. Każdy, kto na niego spojrzy, mimowolnie wraca myślą do owego tragicznego dnia w 1902 roku, gdy rozżarzona chmura gazów zsunęła się z krateru na położone u podnóża miasteczko Saint Pierre. Zginęli wszyscy mieszkańcy z wyjątkiem jednego Murzyna – włóczęgi siedzącego w głębokim lochu. Później przez lata zbijał forszę, opowiadając wszystkim o swym cudownym ocaleniu. Dziś Saint Pierre żyje normalnym życiem siedmiotysięcznego miasteczka. Ślady tragedii zatarł czas i roślinność. Zwiedzającym demonstruje się ruiny dawnego teatru, resztki kościoła i więzienia. Jest również małe muzeum karaibskich Pompei.

Wykorzystując boczną drogę Gray i Adam znaleźli się w miasteczku jeszcze przed grupą UNO, którą Łukasz prowadził drogą okrężną, choć może nieco lepszą. Fred nie zamierzał czekać na napastników. Altenbach dużo wcześniej podał mu adres. Skierował się więc na północ w stronę Le Precheur, drogą oznakowaną na wszystkich mapach jako ślepa. Trzydzieści kilometrów od Saint Pierre szosa kończyła się i zaczynał duży Park Narodowy. Nie on jednak był celem, jeszcze przed Precheur skrzyli w bok obok tablicy: „Plantacja Charmeuse trzy kilometry”. Ktoś – zapewne wielki optymista – urządził sobie rezydencję na samym stoku wulkanu.

La Charmeuse było w czasach Burbonów niewolniczą plantacją, później kolonialną rezydencją jakiegoś notabla, wreszcie opuszczonym uroczyiskiem. Nie wiadomo czego więcej wsiąkło w miejscowy grunt: krwi i potu czy szampana i rumu? Przed kilkunastu laty pośrednik Altenbachów kupił posiadłość na ich letnią rezydencję.

Gdyby Fred był Adamem, zapewne zastanawiałby się, czy ten dzień przesądzi o losach świata? On jednak realizował cele bardziej konkretne. Pozostawił za sobą w dole taras widokowy, na którym grupa niemieckich turystów podziwiała panoramę wybrzeża. Przyczepy campingowe wskazywały, że zamierzali zatrzymać się w tym miejscu na dłużej. Dalej biegła droga prywatna, z każdym metrem coraz bardziej stroma. Fred przystanął na skraju potoku.



Po drugiej stronie wody, ledwie widoczne w zaroślach, czerniały zrujnowane mury starej destylarni rumu.

– Tu zaczekasz – polecił Szareckiemu.

– Dlaczego? – spytał Adam, wysiadając dość potulnie

– Dlatego, że wyżej może być gorąco. Masz tu coś na odwagę – to mówiąc Fred wręczył mu mały pistolet. – Tylko nie użyj go zbyt pochopnie.

W trakcie podróży rozmawiali niewiele. Gray pobieżnie poinformował Szareckiego, że pracuje dla prawdziwego ojca Łukasza i jest pewien, że dziś skończy się większość nękających ich problemów. Mówił tak pewnie, że Adam mu uwierzył. Cały czas nie mógł pozbyć się wrażenia, że kogoś mu on przypomina. Intonacja głosu, ruchy... Czy nie spotkali się przed laty? Ale gdzie? Pytanie odłożył na później. Ze swej strony wspomniał o szantażu jakiemu uległ, i mimo że Fred o to nie pytał, nie taił swej haniebnej roli w porwaniu pasierba.

– Ale jeśli tylko dostanę szansę, postaram się zrehabilitować!

Oferta zawisła w próżni. Tuż przed rozstaniem, Gray rzucił jakby od niechcenia:

– Adamie, ja naprawdę nie jestem odważny, po prostu nie mogę sobie pozwolić na strach.

– A po chwili pauzy dorzucił: – Trzymaj się, brachu!

Dopiero po chwili dotarło do Szareckiego, że zdanie to zostało powiedziane po polsku.

Zgodnie z poleceniem wszedł w ruiny destylarni. Lata minęły od czasów jej świetności. Pajęczyny, zapadnięty dach, dwa szczury, które wyprysnęły spod nóg, wszędzie masa zielska. W części północnej zachowało się coś w rodzaju piętka. Schody dawno zmurszały, ale od tyłu, po uschniętym drzewie, można było dostać się na wyższą kondygnację. Wspiął się tam, chcąc poszerzyć sobie pole widzenia. Z piętka wprawdzie nie mógł dojrzeć plantacji – tylko szczyt anteny telewizyjnej wskazywał, gdzie może być dom – za to widoki w dół był o wiele ciekawsze. Po kwadransie na drodze pojawiły się dwa znajome landrovery. Potem trzeci. Jednak nie podążył za pozostałymi, zaparkował w korycie strumienia. Trzech mężczyzn zamaskowało pojazd, a następnie ruszyło prosto w stronę kryjówki Adama. Dwóch niesło broń, trzeci niedużą walizkę. Ulokowali się tuż pod stanowiskiem Szareckiego.

– Gdyby wejść wyżej, widok byłby rozleglejszy – zaproponował facet z walizką.

– I kark skrócić łatwiej. Bierzmy się do roboty – warknął wysoki. Szarecki poznał głos Helmuta i zrobiło mu się jeszcze nieprzyjemniej.

\* \* \*

Ciężką, porośłą pnączami bramę otworzył osobiście Wolfgang. Na tle ponurego wierzchołka wulkanu, posiadłość sprawiała wrażenie małego raj. Wszystko tonęło w kwiatach, Oleandry, bougenvillie, hibiskusy, astromerie... Na stoku rozciągały się plantacje kawy, bananów i innych tropikalnych owoców. Na wprost wznosił się pięknie zrekonstruowany dwór w stylu kolonialnym, obok, w starej wozowni ulokowano garaże. W dawnych chatkach niewolniczych mieszkała chyba służba, choć dziś nie było widać nikogo.

Majordomus przeprowadził Graya przez chłodną, ciemną sień, idącą w poprzek domu. Po obu jej stronach mieściły się obszerne salony pełne książek, obrazów dawnych mistrzów, sof i kredensów.

Wyszli na długi ganek, z którego rozciągał się przepiękny widok na południe. Najbliżej były trawniki z jedwabistą trawą, basen w kształcie delfina, wypełniony nieskończenie błękitną wodą, potem kwietniki, dalej las i wreszcie odległe o jakieś dwa kilometry morze.

Altenbachowie czekali na Freda. Na posłaniu spoczywał Ernest. Siedząca przy nim Liza mocno zmizerniała i postarzała się, jeden Peter wyglądał lepiej od innych, jego normalnie bladą twarz pokrywała zdrowa opalenizna. Natomiast starzec przypominał szkielet, było jasne, że patriarcha umiera. Na dźwięk kroków uniósł powieki...

– Przyjechał Łukasz?

– Jeszcze nie, ale wkrótce będzie – rzekł Fred.

– To bardzo dobrze – wycedził starzec i znów jakby zapadł się w siebie. Liza starła chusteczką kropelki potu roszące mu czoło.

– I jak? – Peter ujął pod ramię agenta.

– Terroryci z Łukaszem będą tu za jakiś kwadrans. Ludzie z KOMÓRKI chyba też pojawią się niedługo, wiedzą, gdzie jestem.

– W takim razie musi się pan teraz ukryć – rzekł Altenbach. – Poradzimy sobie sami.

– Powinienem być pod ręką. Obawiam się, że zarówno Helmut, jak i Kuzyn mają w zanadru różne sztuczki. Znają już wasze możliwości i boją się, że nie pójdzie łatwo.

– Też to czuję. Nie idzie całkiem tak, jak myśleliśmy... Coraz więcej cienia gromadzi się wokół nas... Ale trzeba!

– Zatem muszę pozostać!

– Będzie pan w pobliżu, ale nie na widoku. Pozwól, mamó...

O parę kroków od tarasu pyszniła się olbrzymia waza, przewyższająca wzrostem człowieka. Wyrastały z niej egzotyczne rośliny i jak włosy topielicy zwisały ku ziemi. Altenbachowie podeszli do imponującego naczynia. Chwila koncentracji wystarczyła, by ich dłonie przeniknęły przez fajans. W środku było pusto. Rolę doniczki spełniała jedynie szyjka wazy. Teraz matka i syn chwycili brzegi przeciętego dłońmi naczynia i rozciągnęli je, jakby mieli do czynienia z elastyczną gumą.

– Niech pan wchodzi do środka, w razie potrzeby rozbije pan ściankę jednym kopniakiem.

Fred wszedł, a krawędzie zablizniły się bez śladu. Siedział jak w jajku. I to w jajku przygotowanym na jego miarę. Na wysokości oczu w ornamencie znajdowały się małe otworki, dzięki którym mógł widzieć, słyszeć i oddychać. Parę minut po osiemnastej posiadłość wypełnił warkot motorów samochodowych i dwa wozy terenowe, bezceremonialnie objechawszy dom, zahamowały, żłobiąc bruzdy w rajskim trawniku. Wskoczyli Giani, Leonello i cała reszta z odbezpieczoną bronią. Na ich mrocznych twarzach

malowała się satysfakcja. Wsiadł i Łukasz. Nie powstrzymywany przez nikogo dobiegł do podcieni i stanął przy łóżku umierającego. Ernest podniósł się dziarsko niczym młodzik, przygarnął chłopca do siebie i szeptał coś gorączkowo. Teryści z głupkowatymi minami przyglądali się scenie. A potem ciało Altenbacha powoli osunęło się na poduszki. Nie żył. Liza z czułością dotknęła ramienia Łukasza.

– On nie może umrzeć! – krzyknął chłopak i uniósł dłonie nad głową pradziadka.

– Zostaw go, wnusiu – uspokajała go Liza. – Tak być musiało. Teraz jego siła jest twoją siłą. Naszą siłą!

– Czułości zostawcie na potem – dość brutalnie odezwał się Giani. Zmiotł dłonią ze stołu serwis pamiętający zapewne czasy Bötgera i ustawił odbiornik.

– Gratuluję! – rozległ głos Helmuta. – I witam gospodarzy. A także juniora. Możemy przystąpić do następnego etapu naszej owocnej współpracy.

– Chwileczkę – zaproponował Łukasz. – Umówiliśmy się przecież, że tylko was zaprowadzę na miejsce. Dalsze rozmowy będą możliwe po zobaczeniu się z moją mamą.

– O tym właśnie pragnąłbym podyskutować...

\* \* \*

Helikopter generała Teścia przeleciał ponad zatoczką Saint Pierre. W dole widać było łódki rybaków i nielicznych plażowiczów. Piasek był tu brunatny, wulkaniczny, nie zachęcający do słonecznych kąpiei. Pilot wziął kurs na Mont Pelée, przelatując nad niewielkim lotniskiem Beausejour. Teść milczał, widać jednak było, że jest podniecony. Jak nigdy. Teraz musiało się udać. Dzięki komputerowej analizie obrotu nieruchomościami na Martynice odkrył plantację La Charmeuse już parę dni wcześniej. Śledzenie Omara miało znaczenie drugorzędne, a jeśli zaproponował trick z podłożeniem Grayowi elektronicznego szpiega, zrobił to tylko po to, aby uspić czujność agenta. Mógł go aresztować? Mógł. Ale wolał finał w dobrym stylu. Siedzący obok profesor Carmine z emocji połykał cukierka za cukierkiem, a Kurt po raz kolejny sprawdzał broń. Cały czas prowadzili podsłuch przeciwnika. Operacja Lisia Kita rozpoczęta.

– Włączył się nadajnik trzeci – melduje łącznościowiec.

Teść nakłada słuchawki. Słyszy głos Helmuta:

„O tym właśnie pragnąłbym podyskutować...”

– Nie podchodź za blisko – woła generał do pilota. – Jeszcze mamy czas! – Omijają stożek od północy. Pułkownik zwraca się do łącznościowca: – Przełącz teraz na stanowisko kapitana Hirscha. Pełna gotowość przed fazą „Nora”.

– Co to znaczy? – słychać głos Łukasza pytającego Helmuta. – Ustaliliśmy przecież...

– W tej chwili boeing 737 z twoją matką na pokładzie znajduje się trzysta kilometrów na północny-wschód od Martyniki. Zgodnie z rozkładem kieruje się prosto na Caracas – mówi Helmut. – Niestety, do Caracas nigdy nie doleci...

Nawet Gray sztywnieje w swoim ceramicznym opakowaniu.

– Nie jesteśmy idiotami ani instytucją charytatywną – cedzi terrorysta. – W samolocie umieściliśmy bombę. Wybuchnie dokładnie o 17.05. Boeing będzie akurat mijał Martynikę, może nawet uda się to zobaczyć.

– Dranie! – krzyczy Łukasz. – Zapłacicie za to...

– Moment! O ewentualnych rachunkach pomówimy potem – przerywa Helmut. – Tym bardziej, że wcale nie zależy nam na śmierci twojej mamuśki. Jest sposób, aby zapobiec katastrofie. W każdej chwili możemy nawiązać łączność z pilotem. Poinformować go o kłopotliwym bagażu. Wystarczy mu czasu na zmianę kursu i lądowanie na Gwadelupie. I my będziemy syści i samolot cały...

– No to załatwili nas! – myśli Gray.

– Rozumiem, że znów chcecie postawić jakieś warunki? – głos chłopca lekko drży.

– Tak, ale tu oddam głos osobie bardziej kompetentnej. – Włącza się nadajnik z Saint Pierre, gdzie w wynajętym pensjonacie zdążył się już ulokować Maks.

– Nasze żądania są proste – mówi. – Kompletna lista nazwisk wszystkich waszych egzemplarzy doświadczalnych, włącznie z ich adresami.

– To niemożliwe! – woła Peter. – Nigdy!

– Podajcie im. Proszę! – błaga Łukasz.

– To byłaby klęska, zwłaszcza, że nie mamy żadnej gwarancji, że to koniec żądań...

– Ale ja żądam! – Tego już nie mówi grzeczny chłopczyk z liceum Zamoyskiego, lecz rzeczywisty potomek Uranosa.

– Idź, wyciągnij archiwum – Liza zwraca się nagle do Petera.

– I żadnych figli – dorzuca przez radio Maks.

– Żadnych figli – rechoce Giani.

– Tylko zmieńcie kurs samolotu – prosi Łukasz.

– Najpierw wszyscy złożycie przysięgę...

Profesorowi Carmine trzęsą się ręce. Cudowna rzecz ten podsłuch.

– Niesamowite, niezwykle – cmoka. – Ale to wykombinowali! Moglibyśmy zrobić im teraz tęgi figiel.

– Jaki? – pyta „Teść”

– Na przykład, ostrzegając załogę tego samolotu.

– Po co? Christine i Helena za dużo wiedzą, żeby przeżyć! – logika tych słów może przerażać.

W odbiorniku słychać tymczasem przysięgę Łukasza. Na Boga, na życie swej matki (czyżby wiedział, że przysięga złożona pod przymusem nie jest ważna?) obiecuje pracować dla Grupy UNO, awangardy postępowej ludzkości. Potem słychać, jak Peter wraca z archiwaliami.

– Papiery nas nie interesują. Będziecie czytać głośno nazwiska – poucza Maks. – To na wszelki wypadek, gdybyście chcieli kiedyś zmienić zdanie.

Generał sam sięga do przełącznika. Spotyka zdziwiony wzrok Carmine.

– Już teraz?

– Przecież oni nadają tę listę dalej. Do bazy w sowieckim konsulacie. Tam zostanie nagrana. Na to nie można pozwolić!

– Ale to oznacza...

– Sam pan mówił, profesorze, że egzemplarz zero jest równie dobry żywy, jak martwy!

Kuzyn w centrali w Fort de France ledwie trzyma się na nogach. Jest przerażony. On by to inaczej rozwiązał. Zamach nieznanymi sprawcami na konsulat, zakłócenie łączności. Niestety, nie ma już nic do gadania.

Teść tymczasem włącza przycisk. Odzywa się głos kapitana Hirscha. Generał mówi jedno słowo: „Nora”.

Leżąc płasko na podłodze Adam śledzi przez szparę krzątanie Helmuta przy radiostacji. Słyszy każde słowo. Myśli o Helenie lecącej nad Atlantykiem, szczęśliwej, że wkrótce zobaczy syna. Maca w kieszeni broń. A gdyby parę strzałów... Cóż by to dało? Gdzieś poza zasięgiem działa Maks i ktoś jeszcze...

Tymczasem wśród turystów na platformie widokowej zaczyna się ruch. Z wnętrza campingowych przyczep wynurzają się lufy granatników. Zamiast aparatów fotograficznych pojawiają się uzzi i bazooki. Kapitan Hirsch w szortach i koszulce polo wydaje ostatnie dyspozycje.

– „Gonitwa”! – rzuca hasło Teść.

Zanim Peter przeczytał pierwsze nazwisko eksplodują, pierwsze dwa pociski. Jeden trafia w basen, drugi wywraca landrover obok figowca. Zaraz potem na plantację spada prawdziwa lawina ognia. Pociski wybuchają wszędzie. Pod arkadami i w domu, rwą trawnik, gruchocą pojazdy, szlachtują bezbronne palmy. Jakiś odprysk uderza w wałę, która rozpada się jak łupina orzecha, odsłaniając Graya. Ten, wprowadzając zaskoczony, nie traci zimnej krwi. Porywa za rękę ogłuszonego Łukasza. Wśród kłębow dymu i ogłuszających detonacji biegną ku zaroślom. Ogień nie ustaje. Usiłuje biec za nimi Leonello, ale pada ścięty strzałem Freda, przypominającym trzepnięcie natrętej muchy. Gnają, już są prawie na skraju ognistej ulewy. W tym momencie zza szczytu Mont Pelee wynurza się helikopter. Czy dostrzegą uciekających? Czy podadzą namiary baterii?

\* \* \*

Detonacje z granatników przybliżają się. Coraz bliżej. Potężny podmuch ciska Graya między bananowce. Natychmiast podrywa się, rozgląda. Dookoła kłęby pyłu.

– Łukasz, Łukasz! – woła.

Najpierw dostrzega dłoń. Drobna, chłopięcą dłoń... Nieruchomieje z przerażenia. Dłoń leży osobno. Łukasza odnajduje w krzakach. Krew zalała mu twarz. Oczy ma zamknięte. Fred ocierając rozcięte czoło, szuka dalszych obrażeń na ciele chłopca. Nie znajduje.

– Łukasz! Łukasz! Ocknij się! – niemal płacze.

Drgnęły powieki.

– Co, co? Mamusiu... Boli.

– Umiesz zatamować krew? – pyta Gray.

Rozszerzone źrenice chłopca zdają się niczego nie widzieć. Może również stracił słuch?

– Umiesz zatamować sobie krew? – powtarza krzyżąc, Fred.

Łukasz kiwa głową. Zrozumiał. Ogłuchł tylko od kanonady, która właśnie gwałtownie cichnie. Przez moment patrzy ze zdziwieniem na ranę, na odciętą dłoń. Wystarcza moment koncentracji, by powstrzymać krew. Fred ściąga koszulę, chce podrzeć ją na bandaż, ale Łukasz gestem nakazuje mu, by się wstrzymał. Bierze zdrową ręką oderwaną dłoń i dostawia do przegubu starannie, jakby bawił się klockami lego. Wszystko nie trwa dłużej niż minutę. Kończyna zdaje się przyrastać jak w animowanym filmie. Chłopak porusza nią, najpierw słabo, potem pewniej. Gdyby nie kałuża krwi, Gray dałby słowo, że Łukasz nigdy nie został ranny. Znow słyhać warkot kołującego helikoptera.

Detonacje zdziwiły Maksa. Bezszykownie krzyczy w mikrofon. Nie słyszą go lub nie chcą słyszeć. Po chwili kanonada od strony gór potwierdza najgorsze – KOMÓRKA poszła na całość. Maks już wie, że przegrali, a jedyne, co mu pozostało, to próbować ucieczki. Tymczasem otwierają się drzwi hotelowego apartamentu. Gold zrywa się instynktownie zasłaniając sobą radiostację. Seria z uzzi przecina go w pół i rzuca razem z nadajnikiem na dywan. Burke końcem stopy przewraca go na wznak i upewniwszy się, że terrorysta nie żyje, wybiega z pensjonatu. Drogę zastępuje mu czereda Murzyniątek.

– Uciekać, policja! – woła porucznik łamaną francuszczyzną. Wskakuje do czekającego wozu i śpieszy w stronę, z której dochodzą odgłosy kanonady. Nie chciałby stracić finału widowiska.

Również Helmut na moment stracił głowę. Jednak próbuje zorientować się w sytuacji. Jak dotąd ogień skierowany na plantację szedł ponad nimi, ale w każdym momencie przeciwnik mógł zainteresować się starą rafinerią.

– Wiejemy – wskazuje kumplom na kanion potoku. – Nie na dół, w górę! Mamy parę spraw do załatwienia. – Potem kopniakiem rozbija bezużyteczny nadajnik.

Po paru minutach Adam schodzi z pięterka. Niczego nie rozumie. Jest ogłuszony. Rozpętane szaleństwo nie zostawiło mu nawet miejsca na strach. „Przeczekać, tylko jakoś to wszystko przeczekać”.

Helikopter Teścia zatacza coraz mniejsze kręgi nad plantacją. Dwór płonie. Samochody są rozbite, podobnie jak garaże. Wszędzie poniewierają się ludzkie ciała lub ich fragmenty – Altenbachowie pospołu z napastnikami. Kuzyn próbuje zidentyfikować ich przy pomocy

kamery. Siwe włosy prawdopodobnie należą do babki Lizy, ten tułów grubasa – to pewnie Peter. Los przekornie oszczędził starego Altenbacha. Starzec umarł zanim nastąpił atak, zastygł z uśmiechem na wychudłej twarzy.

Kurt obserwuje generała kątem oka. Wydaje się być zdziwiony, że gospodarze – bliscy bogom – tak łatwo przegrali. Nie wzięli pod uwagę tak brutalnego i bezlitosnego ataku? Liczyli na długotrwałe pertraktacje?

Coś poruszyło się w zaroślach. To ranny Giani usiłuje głębiej wczougać się w gąszcz. Kurt udaremnił te zamiary. Zatoczyli jeszcze jedno kółko. Nigdzie śladu chłopaka i Graya.

– Parę osób uciekało w stronę lasu, ale dostali się pod silny ogień – mówi pilot.

– Sprawdźmy.

Ukryty wśród bananowców Fred zauważa nadlatujący śmigłowiec. Zwraca się do Łukasza.

– Potrafiłbyś coś z tym zrobić?

Chłopak kiwa głową. Kurt tymczasem dostrzegł już podwójny cel wśród falującego listowia. Z zapalem kieruje tam lufę automatycznego pistoletu. Skrzydła helikoptera tną ciężkie, duszne powietrze. Poza tym cisza.

– Co jest? – pyta generał.

– Nie mogę strzelać – syczy Kurt przez łopатовate zęby.

– Jak to, nie możesz?

– Ręce, moje ręce są takie ciężkie.

Teść chciałby go zastąpić, ale i on nie może się poruszyć. Nie jest w stanie przycisnąć nawet przełącznika, aby wyznaczyć cel dla baterii Hirscha. Helikopter nadal wisi w powietrzu, tyle że teraz przypomina dziecianną zabawkę, wypełnioną kukielkami. Łukasz dobiega do pobojowiska. Klęka przy Lizie i Peterze. Ciała jego ojca i babki są potwornie zmasakrowane. Na poczerwieniłe z wysiłku policzki i na czoło chłopaka występuje pot. Widać ogromny wysiłek i koncentrację. Próbuje ich wskrzesić. Wszystko na nic. Przez pękniętą czaszkę Lizy wypłynął mózg. Głowy Petera w ogóle nie można znaleźć.

– O Boże! Nie potrafię ich ożywić! – płacze Łukasz.

Obok łóżka Ernesta leży zwałiste ciało Wolfganga. Młody cudotwórca pochyla się nad nimi, przytula. I tu udaje się. Majordomus ożywa. On jeden z całej plantacji!

Fred w tym czasie szuka telefonu. Trzeba jak najszybciej połączyć się z lotniskiem. Skomunikować z najbliższymi wieżami kontrolnymi. Ostrzec załogę boeinga, bo czas ucieka nieubłaganie. Niestety szlag trafił wszystkie środki łączności. Czy wszystkie?

– Radio jest jeszcze tam – wskazuje chłopcu wiszący nad ich głowami śmigłowiec. Łukasz zdaje się go nie słyszeć.

Od bramy znów słychać serię z karabinu. Pryska ją szyby w helikopterze.

– Obudź ich – krzyczy Fred.

Mechaniczna wazka ożywa. Niestety, ranny pilot nie panuje nad sterami. Pojazd przechyła się na bok, leci ku ziemi jak ranny ptak. I nagle Wolfgang, który całe życie przesłużył w domu Altenbachów, gdzie cuda były na porządku dziennym, widzi coś, co nie śniło się nawet filozofom. Wzrok chłopca podtrzymuje stalowego owada. Spowalnia jego upadek. Wbrew grawitacji. Śmigłowiec miękko siada na zrytej murawie. Łukasz wspina się do kabiny. Ranny pilot jęczy. Kurt już skończył. Teść, lekko ranny, żyje, ale jest mocno ogłuszony. A profesor Carmine? Krew bucha z rany na piersi, jednak naukowiec jest przytomny, patrzy na spustoszenie, którego jest współautorem, na zbliżający się egzemplarz zero.

– Może tak miało być... – Nie wyjaśni nigdy tych enigmatycznych słów. Siwa głowa opada na ramię Teścia.

Łukasz kieruje spojrzenie na generała. Stary dowódca wie, że przegrał i nie próbuje podejmować żadnego ruchu. Wpatruje się w chłopaka jak zahipnotyzowany. Nie boi się śmierci.

– Zapominasz – mówi dobitnie Łukasz.

– Tylko nie to, nie... – chce krzyknąć generał, ale nagle ogarnia go ni to mgła, ni to senna błogość, zastyga w bezruchu, a fluidy Łukasza spokojnie kasują jego pamięć.

Gray już zorientował się, że śmigłowiec zaatakowała grupka niedobitków Helmuta. Obiegł zabudowania i przykucnął za wywróconym wozem. Helmuta rozpoznaje z daleka po wzroście i ruchach. Trzej terroryści kryją się pod ścianami murzyńskich chat. Co kombinują? Może myślą o zawładnięciu helikoptera? Posuwają się ostrożnie, skokami. Fachowcy! Gray nie czuje nawet, jak płomień buchający z wnętrza dworu opala mu włosy. Czeka. Kiedy dwaj terroryści nikną z pola widzenia, woła dobitnie.

– Helmut!

Chciał dać mu szansę. Albinos mógł przecież paść na ziemię, skryć się. Odruch jednak okazał się silniejszy. Zawołany po imieniu, po raz pierwszy w życiu popełnił błąd. Odwrócił się. Tak spotkała go śmierć. Jego kumple natychmiast zawrócili i otworzyli ogień. Fred ledwie zdążył skryć się za wrak landrovera.

– Dość zabijania! – krzyknął nagle Łukasz. Jeszcze raz okazało się, że jego słowa miały moc sprawczą. Umilkły strzały. Bandyci posłusznie wyleźli z krzaków. Rzucili broń.

– Zapomnicie wszystko – mówi im Łukasz, a potem zwraca się do Freda: – Radiostacja w śmigłowcu też nie działa!

– Macie jeszcze jakiś radiotelefon? – Gray pyta pierwszego z otepiałych terrorystów.

– Został w ruinach na dole – mówi jeden.

– Biegiem! – woła Fred.

Łukasza nie trzeba przynaglać, choć widać, że chłopaka potwornie zmęczyły dotychczasowe wysiłki. Potyka się, często pada.



Wolfgang, wskrzeszony z martwych, nie towarzyszy im. Przyniósł z basenu wody, umył twarz pani Altenbach. Jakimś kilimem przykrył tułów Petera. A potem klęknął i zaczął się modlić. Prosił Pana, aby nie karał zbyt surowo tych, którzy zapragnęli Mu być równi, a byli tylko narzędziami Jego niepojętego przeznaczenia.

\* \* \*

Cała bitwa ominęła Adama. Chociaż ucichły strzały, postanowił nie opuszczać starej destylarni. Czekał. Czuł, że Łukasz i Gray żyją. Ponowna kanonada upewniła go w decyzji pozostania na miejscu, wrócił na piętro. Tymczasem z dołu nadjechały dwa odkryte samochody terenowe. Grupą dowodził facet w krótkich szortach o szerokiej twarzy i kwadratowym podbródku.

– Zajmiesz tu stanowisko, Burke – wskazał ruiny w zieleni. – Ja przekonam się, co się dzieje na plantacji. Ciągłe nie ma łączności z generałem.

– Po co się tam pchał, bitwa była już wygrana – skomentował porucznik.

Trzech facetów, tęgich byczków z tajnej formacji, zajęło stanowiska. Stan schodów odstręczał ich od włożenia na pięterko. Samochód z Hirschem podążył w stronę plantacji. Minęło parę minut, gdy z bocznej ścieżki wyłoniły się dwie sylwetki. Szczupły mężczyzna i wyrosnięty chłopak.

– Gray! – syknął Burke. – Nareszcie, draniu. Biorę go na siebie, wy zajmijcie się małym! – dorzucił półgłosem.

Dlaczego Gray nie zauważył niebezpieczeństwa? Chwilowe rozluźnienie? Czemu zawiódł także Łukasz, był zbyt zmęczony? Burke uniósł broń...

A gdzie był w tym czasie Adam Szarecki? Poza sobą. Nagle wydało mu się, że wyszedł ze swego ciała i z boku śledził rozgrywające się wypadki. Ogarnął go nieznany dotąd chłód i zdecydowanie. Z beznamienną precyzją oceniał sytuację. Wiedział już, że „dobrzy” wygrali. Potrzebny był jeden niewielki wysiłek, żeby wszystkiego nie zaprzepaścić. Mały krok. Czuł, że ten krok był mu przeznaczony jeszcze w spalonym dworze pod Rychłowem, przypominającym nieco tę zrujnowaną destylarnię. Jeśli czegoś żałował, to tego wszystkiego, co zdarzyło się pomiędzy. Cała przyszłość świata skoncentrowała się w palcu Adama. W palcu zaciśniętym na cynglu małego, precyzyjnego pistoletu. Strzelił przez szparę w podłodze. Burke, trafiony w plecy, padł twarzą ku ziemi. Jego kumple instynktownie otworzyli ogień w górę. Ciało Szareckiego uderzone serią, wypchnięte poza krawędź muru, runęło w wilgotną gęstwinę parowu.

Adam strzelał niepotrzebnie. Łukasz doskonale wiedział o zasadzce. Zamierzał odchylić trajektorie pocisków, bo na sparaliżowanie strzelców brakowało mu sił. Nie przewidział czynu Adama. Myśl o matce stępiła jego przenikliwość. Fred potrzebował minuty, aby przenieść bojowców do krainy wiecznego terroru.

Nim udało się odszukać ciało Adama, ten był absolutnie martwy. Osłabiony Łukasz nie dał rady go wskrzesić. Chociaż bardzo próbował...

– Oddał swe życie za mnie – powtarzał zdumiony. – Mój tata.

Gray w tym czasie próbował uruchomić radiostację. Niestety, kolejny nadajnik też uległ zniszczeniu. Pech? Może fatum? Do 17.05 pozostało kilkanaście minut.

– Czy potrafiłbyś nawiązać telepatyczny kontakt z matką? – zapytał chłopca.

Łukasz podniósł się znad ciała Szareckiego, brudną, osmoloną twarz żłobiły kanały łez.

– Spróbuję.

\* \* \*

Dzięki bezchmurnej pogodzie, mimo wysokiego pułapu lotu można już było rozpoznawać poszczególne wyspy Morza Karaibskiego, perełki zieleni uwięzione w błękitnym oceanie. Christine drzemała. Nagle poczuła, że siedząca obok Helena poruszyła się.

– Coś się stało? – zapytała.

– Rozmawiam – odparła matka Łukasza. Po czym szybko podniosła się z miejsca i ruszyła ku przodowi samolotu. Christine poszła za nią, ale nie próbowała jej zatrzymać. Przed wejściem do kabiny pilotów drogę zagroziła im stewardesa.

– Muszę porozmawiać z kapitanem – rzekła Helena.

– To niemożliwe...

Wzrokiem odsunęła dziewczynę. Unieruchomiła Christine. Jakby kontakt z synem dodawał jej nadludzkich sił. Pasażerowie zajęci porównywaniem krajobrazów z mapą, w ogóle nie zwrócili uwagi na to, co się stało.

Zaskoczenie kapitana trwało krótko. Szybko zorientował się, że Helena nie żartuje. Lata spędzone w powietrzu nauczyły go nie lekceważenia niczego. Na wiadomość o bombie, która może wybuchnąć za parę minut, zareagował zgodnie z procedurą. Nawiązał kontakt z najbliższymi lotniskami. Obniżył lot. Ponieważ zostawili już w tyle Gwadelupę z jej doskonałym lotniskiem, na awaryjne lądowanie pozostawała Martynika albo Dominika. Martynika leżała trochę bliżej.

W przestrzeni powietrznej ogłoszono alarm. Komunikaty o strzelaninie koło Saint Pierre dodały wiarygodności relacji Heleny. Boeing stale tracił wysokość. Helenie i Christine polecono wrócić na miejsca. Zapaliły się napisy, wzywające do zapięcia pasów i niepalenia. Uspokajające ogłoszenia mówiły o przymusowym lądowaniu na Martynice ze względu na niekorzystne warunki atmosferyczne nad Caracas. Christine była wstrząśnięta – domyśliła się wszystkiego. Pojęła, dlaczego jej, obwinianej za pomoc Grayowi, powierzono konwojowanie pięknej Polki. To miał być jej ostatni lot.

– Nie zdążymy – powiedział w pewnym momencie kapitan. – Jeśli wybuch nastąpi dokładnie o 17.05, do lotniska Lamentin zabraknie nam sporo kilometrów.

– A jakaś autostrada? – podpowiada drugi pilot.

– W tej części wyspy są tylko kręte górskie drogi. Zresztą, według moich obliczeń katastrofa nastąpi, zanim dotrzemy do wybrzeża...

– Ale chwileczkę, na mapie widzę małe lotnisko na stoku Mont Pelée – Beausejour.

– To pewnie trawnik dla szybowców – odpowiada kapitan, ale łączy się z Fort de France.

Odpowiedź z Lamentin przychodzi natychmiast: lotnisko jest w zasadzie nieczynne, ma jednak długi pas, przystosowany do przyjmowania transportowców wojskowych.

– Spróbujemy – decyduje kapitan.

Helena czyta myśli kapitana, Łukasz zna myśli Heleny i relacjonuje je Grayowi.

– Nie dolecą – mamrocze Fred. – Zabraknie im minuty... Na miejscu kapitana zaryzykowałbym wodowanie w pobliżu plaży...

Według kwarcowego zegara pozostały jeszcze dwie minuty. Przez okienka widać zieloną plamę wyspy. Helena odpina pas i wstaje...

– Co pani zamierza? – cicho Christine.

– Skakać – szeptem odpowiada Helena. Zaszokowana terrorystka idzie za nią.

Nie zatrzymane dotarły do tylnych drzwi zewnętrznych. Zablokowane!

– Spróbuj, mamusi – dźwięczą w jej mózgu słowa syna. – Jestem z tobą!

Helena koncentruje się jeszcze raz, szarpie dźwignię. Potem uderza ramieniem jak taranem. Drzwi zostają wydarte jak wieczko konserwy. Samolot leci już tak nisko, że nie następuje żadna dekompresja kabiny. Woda ucieka pod nimi w szaleńczym tempie. Błyskawicznie przybliży się żółtawo-zielone pasmo wybrzeża. Helena rzuca się do przodu. Christine zamierza iść w jej ślady, choć doskonale wie, jak nikłe są szanse. Zabiją się, uderzając o wodę. Już ma wyskoczyć, gdy dostrzega, że Helena zaczęła się żakietem o blachę wyłamanych drzwiczek. Cofa się, odczepia. Udało się...

Wyteżając wzrok, Łukasz i Fred śledzą ogromniejący statek powietrzny. Podchodzi ostrym kątem do wybrzeża. Mija Le Precheur, potem ich stanowisko.

– Czas minął – mówi nagle głucho Gray.

Obaj widzą błysk, huk dotrze do nich chwilę później Łukasz przymyka oczy. Kiedy je otwiera, nie ma już samolotu, jest tylko deszcz sypiących się szczątków.

– Zdążyła? – pyta Fred.

– Tak. Jesteśmy, lecimy razem – twarz chłopaka sinieje z koncentracji. – Zwolnij, mamusi! Zwolnij! Naprawdę to potrafisz. Wolniej. Nie bój się. Trzymam cię. Już...

Oslabiony ogromnym wysiłkiem, osuwa się na ziemię.

Jest 17.10. W stronę miejsca katastrofy podążają szybko łodzie ciemnoskórych rybaków. Jeden z nich już po pięciu minutach wyłowi piękną kobietę z dalekiej północy. Jedyną, która z katastrofy wyszła bez najmniejszego szwanku.

## Epilog

Cóż jeszcze mógłbym dodać? Nie jestem zawodowym literatem. Prawdziwy autor tej książki, Adam Szarecki, pozostał na zawsze w tropikach. Obok mądrej i dobrej Lizy, nadzwyczajnego Petera i niezwykłego Ernesta. Razem z nimi zginęło kilkunastu ludzi służących imperium Zła... a także tych, którzy byli przekonani, że działają na rzecz Dobra. Zapewne wielu z nich do końca uważało, że czyni słusznie, chyba że w ogóle nie zastanawiali się nad niczym. Nie byli pierwszymi ani ostatnimi zwolennikami uszczęśliwiania ludzkości na siłę, wyznawcami zasady, iż „cel uświęca środki”. Przegrali. A kto wygrał? Chyba wszyscy.

Wydarzenia pod Saint Pierre odbiły się szerokim echem na spokojnej Martynice, spowodowały ustąpienie miejscowego prefekta policji. Oficjalnie ogłoszono, że były to porachunki międzynarodowych szajek przemytniczych.

A nieoficjalnie? Paru ocalałych funkcjonariuszy KOMÓRKI zatrzymała miejscowa policja, jednak po interwencjach międzynarodowych wszyscy zostali zwolnieni. Naturalnie, nie znaleziono ani śladu po Łukaszu, jego matka też zniknęła z Saint Pierre jeszcze tej nocy. Ulotnił się również piękny jacht „Krzyż Południa”. Za to zatrzymani terroryści i „komórkowcy” zapadli na dziwny zanik pamięci, którego nie tłumaczył nawet przeżyty szok. Żaden nie wiedział, dlaczego znalazł się na Martynice i co tam robił. Zagadkowa amnezja dotknęła również ich szefa, generała Teścia. Nawet spotkanie z Kuzynem niczego nie zmieniło. Zresztą, po paru dniach podobny zanik pamięci dotknął także pułkownika. W międzyczasie z archiwów KOMÓRKI poznikały wszelkie akta dotyczące operacji „Łowcy Złota”. Nawiasem mówiąc, o samej KOMÓRCIE brak ostatnio jakichkolwiek wzmianek. Niektórzy mówią, że rozwiązano ją po spotkaniu na szczycie Reagana z Gorbaczowem, inni zaś uważają, że została gruntownie przeformowana.

Od 2 października nie było więcej informacji o grupie UNO. Nie należy sądzić, by operacja na Martynice pochłonęła wszystkich jej bojówkarzy. Prawdopodobniejsza jest wersja, że po śmierci Maksa i Helmuta jej resztki zostały wchłonięte przez inne, potężniejsze ugrupowania, tym bardziej, że centrala na Łubiance popadła w tym czasie w dużo większe kłopoty. Nie wyjaśniono, bo i kto miał wyjaśnić, co stało się z superszefem, tajemniczym Henrim. Informator CIA twierdzi, że nikt taki nie przebywał w tamtych dniach w sowieckim

konsulacie na Martynice. A jeśli nawet był, to rozplynął się we mgle, z której przybył. Tylko w raportach satelitarnych wspomina się o kubańskiej łodzi podwodnej, która w tych dniach kręciła się wokół Martyniki.

Elity towarzyskie Genewy próżno oczekiwały na powrót inżyniera o ptasim profilu. Okazało się, że tak naprawdę nikt go dobrze nie znał. Jego firma okazała się fikcyjną. Nazwisko było wymyślone... Niektórzy domyślają się miejsca jego pobytu, nie czynią tego jednak głośno.

A Fred Gray? Pozostały przecież listy gończe rozesłane po całej Zachodniej Europie. Poszukiwań Interpolu i policji narodowych nie ogarnęła epidemia zaniku pamięci. Oficjalnie śledztwo zakończyła jego śmierć. W ruinach destylarni poniżej La Charmeuse znaleziono zwęglone ciało, posiekane dosłownie kulami z automatów, a przy nim dawny znaczek identyfikacyjny, jeszcze z Legii Cudzoziemskiej. Kuzyn, zanim wszystkiego zapomniał, rozpoznał byłego podwładnego.

Właściciele plantacji La Charmeuse, szwajcarscy biznesmeni Altenbachowie, polegli w czasie gangsterskich porachunków, w swym testamencie zapisali cały majątek na cele charytatywne, w większości na sierocińce. Poważny legat otrzymało również, nie wiadomo właściwie dlaczego, parę organizacji społecznych we Wschodniej Europie.

Zapewne nie dowiemy się nigdy, czy Altenbachowie przewidzieli własną śmierć. Może nawet zgodzili się na nią z rozmysłem, wiedząc, że dokonało się dzieło ich życia? Może tylko tak mogli oddać swe siły następcy?

\* \* \*

Wieczór Sylwestrowy w niewielkim mieszkaniu na Ursynowie obchodzono tego roku niezwykle hucznie. Owej nocy wypadały siedemnaste urodziny Łukasza. Wszyscy życzyli mu zdrowia, pomyślności. Ani Łukasz, ani Helena nie chcieli opowiadać o kilkunastu dniach spędzonych poza domem. Po powrocie Szarecka musiała wysłuchać masy wymówek od rodziny, miała drobne i na szczęście krótkotrwałe trudności w PAN-ie... Szybko jednak (a właściwie nadzwyczajnie szybko) wydarzenia te zatarły się w pamięci zainteresowanych i więcej nie wracano do sprawy. Na początku października wrócił z wojaży zagranicznych, również redaktor Szarecki. Wypoczynek bardzo dobrze mu zrobił, zeszczupłał, mocno się opalił, a wiotkie dotąd ciało nabrało nieoczekiwanej sprężystości. Podobno zainteresował się sportem. Szeroko komentowane było wymówienie, które złożył w „Dzienniku Powszednim”. Podobno dziennikarstwo przestało go interesować. Zwłaszcza codzienne. Ponieważ odłożył co nieco z zagranicznych diet i miał jakieś dawniejsze rezerwy, mówi się, że zamierza rozkręcić jakiś prywatny interes. Złośliwi podejrzewają, że jego cichym współnikiem ma być sam towarzysz Waldemar, co ma o tyle krótkie nogi, że ich dawne przyjacielskie kontakty uległy, nie wiedzieć czemu, gwałtownemu zerwaniu. Pewnym echem w dawnym środowisku odbił się zawarty tuż przed Bożym Narodzeniem jego powtórny ślub z Heleną. Oboje doszli

podobno do wniosku, że wymaga tego dobro Łukasza. Chłopak przepada teraz za Adamem. Razem chodzą do teatrów, trenują.

– Co za zadziwiająca przemiana – mawia o Szareckim stary bywalec SPATiF-u, Maliński.

Zmieniła się również Helena, rozkwitła. Koleżanki z Instytutu Historii na Rynku Starego Miasta twierdzą, że nabrała ochoty do życia. Zrobiła się szalenie zazdrosna o Adama. Nie zarzeka się, gdy pytają ją, czy przypadkiem rodzina się nie powiększy...

I to jest wszystko prawda. Z małym wyjątkiem. Adam Szarecki to w istocie Alfred, uciekinier, były agent KOMÓRKI. Wędrowiec, który jak Odys po latach straceńczej tułaczki nareszcie odnalazł Itakę i Penelopę. Ja.

\* \* \*

Operacja plastyczna w Miami udała się doskonale. Dzięki Łukaszowi już następnego dnia nie było śladu po bliznach. Na życiową rozsadę zdecydowałem się błyskawicznie, jeszcze tamtego dramatycznego dnia. Wystarczyło zanieść do rafinerii ciało Adama z moim znaczkiem rozpoznawczym. Potem wzniecić pożar...

Mój biedny stryjeczny brat! W jakimś stopniu zrobiłem to dla niego. Poza sobą kochał w życiu tylko dwie rzeczy, Helenę i tę książkę.

Zająłem się i jednym, i drugim. Pozbierałem skrupulatnie rozsypane kartki. Nie znalazłem zbyt wiele materiału. Trochę konspektów, mglistych hipotez. Postanowiłem to, co napisał sam Adam, zostawić w nienaruszonej formie. Resztę narracji przedstawiłem w osobie trzeciej. Dorzuciłem trochę archiwaliów ze zbiorów Altenbachów, wycinki prasowe na ich temat, choć opisujący te różne tajemnicze wydarzenia zapewne nie wiedzieli, o czym naprawdę piszą. Trochę się tego znalazło, a ja wybrałem do smaku. Na podobnej zasadzie przytoczyłem parę fragmentów z pamiętników Karla. I to chyba wszystko. Uważam się więc bardziej za redaktora niż autora. Owszem, pewne rzeczy musiałem rekonstruować, pewne sobie wyobrazić. Pomagał mi Łukasz. Trochę jako cenzor. Zależało mu przede wszystkim, bym nie przedstawił go jako jakiegoś hybrydycznego dziwoląga, tylko normalnego chłopaka z warszawskiego ogólniaka. Próbowałem. Teraz szukam jakiegoś zawodowego literata, który mógłby dokonać ostatecznej redakcji i opublikować to pod własnym nazwiskiem jako powiastkę science fiction.

Trudno jest być Adamem Szareckim. Trudno jest żyć w betonowej klitce na Ursynowie. To jednak cena naszego bezpieczeństwa – zostając na zachodzie, stale bałbym się rozpoznania, a jeszcze bardziej pokus. A poza tym mam rodzinę. Wreszcie! Chciałbym kiedyś namówić na przyjazd Evelyn. Ale bardzo trudno będzie przekonać ją do życia w PRL-u na stałe. Mnie też przychodzi to z trudem. Czasem myślę, że rozpoznał mnie Karol. Jak on śmiesznie, z naciskiem mówi do mnie „Adamie”, rozciągając drugie „a” do długości sylab. Prawdę zna również matka Adama. Zniosła wiadomość o śmierci syna godnie, a tajemnicy

dochowuje. Bez większego żalu nie kontynuuję romansu z Natalią. Helena sama jest daniem wystarczającym za wielostronicowe menu. Z dnia na dzień dostrzegam także pewne wartości życia tutaj. Mimo kłopotów i niedostatków. Kartek, talonów na benzynę i zakłamaną telewizji. Co rusz odkrywam ludzi, którzy mi imponują zaradnością i odwagą. Dobrocią. Czasem całe moje dotychczasowe życie wydaje się tylko brulionem powieści Adama...

Zastanawiam się, co będzie dalej z eksperymentem Altenbachów? Łukasz jeszcze nie zdecydował, czy zamierza kontynuować dzieło. Wśród posiadanych kartotek mamy kilkadziesiąt osób o ponad pięćdziesięcioprocentowych parametrach. Może w następnym pokoleniu kolejne jednostki przekroczą magiczne dziewięćdziesiąt jeden procent. Jakie będą dzieci Łukasza? (Bardzo trudno będzie mu pogodzić się z myślą, że Aśka nie nadaje się na partnerkę). Co w ogóle przyniesie przyszłość? Nam? Polsce? Światu?

Łukasz niechętnie mówi o planach. Na razie jest nas za mało – twierdzi. Być może za dwadzieścia lat będzie ich tłum. I co wówczas? Czy odrodzony szczep Uranosowy zechce wziąć w swe ręce losy świata? Czy podoła temu? A przede wszystkim, co z tego wyniknie dla nas, skromnych posiadaczy promili krwi niebiańskiej, szaraków nie stworzonych do kosmicznej wielkości? Czy ród bogów wybawi nas, czy pograży we frustracji naszą nicością, małością, śmiertelnością? Przyszłość jest zakrytą kartą. Chociaż cholernie ciekawą.

Jedno jest pewne. Oba imperia myliły się, sądząc, że posiadanie egzemplarza zero rozwiąże im cokolwiek. Że będzie to idealny środek do panowania nad ludźmi, jak laser, bomba, czy telewizja. Potęga neobogów to nie tylko hipnoza i lewitacja. To przede wszystkim dobro. Dobro, które jest siłą, i siła, tożsama z dobrem. Jedno z drugim nierozdzielne. Nigdy nie będzie zatem uranosowych żołnierzy, wywiadowców, szpiegów czy zabójców. To po prostu niemożliwe. Wyrostek, dziewięćdziesięcioprocentowy Łukasz, mógł jeszcze ulegać sprytnemu szantażowi, chociaż żaden szantaż nie zmusiłby go do zabijania. Łukasz dorosły czy dziesiątki jemu podobnych herosów są dla kainowych planów „zbawców ludzkości” najzupełniej nieprzydatni.

Powinien przewidzieć to i Maks, i Kuzyn. Ich współczynniki inteligencji najzupełniej do tego wystarczały. Czemu więc gonili za iluzją, płacąc tak wysoką cenę?

Nie wiem. Coraz więcej tego „nie wiem” piętrzy się przede mną. A mimo wszystko fascynuje.

Lubię chodzić po moim mieście. Niby szaro, brudno. Nieciekawie. Kolejka przed mięsnym, pijacy w bramach, obleśny rzecznik w telewizji. Wszystko zda się niskie, beznadziejne, niezmiennie. Chociaż... Kiedy jestem w pobliżu Nowego Świata zachodzę na Smolną i czekam koło szkoły na Łukasza. Coraz lepiej maskuje się ze swymi talentami. Nauczył się nawet dostawać dwóje. Lekka przesada!

Idę, rozglądam się, patrzę na ludzi. Nadchodzi kolejna wiosna, kolejna odwilż. Wkrótce wspaniałe dziewczyny zaczną się odpakowywać z futerek, szmatek i pięknieć z dnia na

dzień... I ciepiej mi się robi na sercu, gdy pomyślę, że w tej szarości, magmie zakrzepłej, cięcie zakalcowatym są, żyją, dorastają – bogowie jak ludzie.

*styczeń – lipiec 1985/wrzesień – październik 2004*